

W Kordylierach

Karol May



calibre 0.9.27

Karol May

W Kordylierach

ROZDZIAŁ I

W GRAN CHACO

Miasto Palmar leży nad rzeką Corrientes w prowincji tej samej nazwy. Nie można go zaliczyć do wielkich, a jednak prowadzi ono, jak na tamtejsze stosunki, dosyć ożywiony handel. Rolnictwo w tej prowincji, chociaż ziemia jest ogromnie urodzajna, zaspokaja zaledwie miejscowe zapotrzebowanie. Przemysł bardzo słaby, a wywóz ograni-cza się tylko do bydła i produktów leśnych.

W czasie, gdy dojeżdżaliśmy do tego miasteczka od strony południowej, stanowiło ono podstawowy punkt operacyjny dla wojsk wszelkiej broni, wysłanych przeciw powstańcom Lopeza Jordana. Wojska te odbywały właśnie ćwiczenia, a wygląd ich czynił o wiele lepsze wrażenie, niż to jakiegd doznałem w głównej kwaterze Jordana. Znaczną przestrzeń bagnisk, dzielących miasto od rzeki, można było przebyć przez urządzone liczne groble z trzciny i ubitej ziemi. Jedną z tych grobli dostaliśmy się do miasta i pełnym kłusem podążaliśmy do ratusza, który wyglądał raczej na czworak folwarczny, niż na siedzibę urzędu gminnego.

Pułkownik Alsina, zabrawszy ze sobą mnie i brata Hilaria poszedł przedstawić się komendantowi załogi. Ten, po wysłuchaniu naszego opowiadania o doznanych przygodach i zebraniu od nas nieco wskazówek, dotyczących Jordana, wydał rozkaz, aby przyprowadzónych przez nas jeńców umieszczono pod ścisłą strażą w corralach, a oficerów zamknięto w budynku gminnym. Komendant zaprosił nas do siebie na obiad.

Po sutym posiłku u gościnnego komendanta, pułkownik Alsina przedsięwziął starania o wygodną kwaterę dla nas, przy czym pamiętał, aby nam niczego nie brakowało. Szczególne względy okazywał zwłaszcza dla mnie, głosząc wszędzie, że zawdzięcza mi nie tylko swoje ocalenie, ale również ; wzięcie do niewoli bez wystrzału czterystu jeńców i zdobycie koni, których w tych czasach nigdzie nie można było dostać. Przyobiecał też uczynić wszystko, na co go stać będzie, dla ułatwienia nam dalszej podróży w nieznane strony.

Ulokowani u pewnego zamożnego kupca, trudniącego się na wielką skalę eksportem, doznaliśmy u niego niezwyklej gościnności. Dał nam do rozporządzenia w swym domu dwa wygodnie urządzone pokoje oraz obszerną izbę czeladną, gdzie natychmiast rozmieściliśmy się i zagospodarowaliśmy. Ponieważ dawno już nie miałem przyzwoitego dachu nad głową, postanowiłem przede wszystkim wyspać się za wszystkie czasy, co też uczyniłem upewniając się przedtem, że memu gniadoszowi niczego nie będzie brakowało. Za moim przykładem poszli też brat Hilario, Turnerstick i Larsen, natomiast reszta towarzyszów rozbiegła się natychmiast, szukając rozrywek, bądź spotkać się ze znajomymi, którzy zaciągnęli się do wojska i tu kwatrowali. Gomez, młody Indianin, który włókł się z nami przez cały czas ze swoją starą matką, poszedł również do miasta w poszukiwaniu swych współplemieńców, zamieszkujących okolice między Rio Salado a Rio Vernejo i stąd znających doskonale całe Gran Chaco. Wrócił do kwatery późnym wieczorem i zbudził mnie, żeby się ze mną pożegnać i podziękować mi za wszystko, co dla niego uczyniłem.

- Gdzie chcecie jechać?

- Do swojej ojczyzny. Dowiedziałem się, że moim współrodakom grozi wypędzenie z siedzib, więc muszę ich ostrzec.

- Gdzie znajdują się wasze zagrody?

- Po tamtej stronie Parany, między Rio Salado a Rio Viveras.

- Słyszałem, że są tam osady, stojące teraz pustką?

- Owszem, są. Przed laty osiedlili się tam biali. Ale, że się względem nas zachowywali nieprzyjaźnie, więc rozumie pan... trudno im było zostać na stałe i wynieśli się w końcu, a z ich domów wkrótce zostały gruzy. Teraz znowu przybyli tam jacyś obcy i chcą wypędzić cały nasz szczep z tamtych stron. Czyż więc wobec tego mamy siedzieć z założonymi rękoma i dać się wyprzeć bez oporu?

- Czegóż ci ludzie tam szukają? Jest przecież dosyć ziemi w po-bliżu i to o wiele urodzajniejszej. Czyżby im się bardziej podobała ta dzika okolica, należąca do osławionego Gran Chaco?

- Nam się też to dziwnym wydaje. Mogliby przecież zostawić nas w spokoju skoro nie brak miejsca gdzie indziej.

- Skąd ci ludzie przyszli?

- Częścią od Buenos Aires, a częścią z Corrientes. Prowadzi ich podobno jakiś inżynier z Ameryki Północnej, pełnomocnik pewnego bogatego bankiera w Buenos Aires. Inżynier ten zamierza pogłębić koryto Rio Salado w celach żeglugi. Gdyby im się to udało, zamierzają zabrać się do wycinania nieprzebytych lasów po lewej stronie rzeki i spławiania po niej drzewa, jak również zbierania w głębi puszczy yerba-mate i wywożenia jej rzekami Salado i Parana.

- Czy mają na to koncesję?

- Nie wiem. Obaj przywódcy byli tu w mieście niedawno, poszukując przewodnika, który się tu chwilowo znajdował, a ich ludzie czekali na nich u ujścia rzeki.

- Czy to liczne towarzystwo?

- O, tak. Część ich popłynęła naprzód na łodziach w górę Salado, aby tam oczekiwać na pozostałych, którzy dążą wozami, zaprzężonymi w woły.

- Wozami? Czyż w ten sposób można się tam dostać?

- Można. Tylko w pobliżu Parany podróż wozami jest niemożliwa, więc rozbiera się zazwyczaj wozy na części i przenosi się je na grzbietach wołów daleko na wolny camp. Tam składają je na nowo i jadą bez przeszkód aż na miejsce. Prawdopodobnie przeprawa nie jest zbyt trudna, skoro wśród podróżnych są kobiety i dzieci.

- Widocznie więc zamierzają osiaść tam na stałe, albo przynajmniej na czas dłuższy?

- Nie inaczej. A ponieważ mój szczerp uważa ten kraj za swoją ojczystą dziedzinę, więc postanowił bronić się przed najazdem. Z tego względu chcę jak najprędzej dostać się do swoich i przygotować ich na przyjęcie napastników. Umiem zresztą po hiszpańsku i mogę się przydać w czasie zatargu choćby jako tłumacz. Wprawdzie przywódca białych rozumie nasz język doskonale i uchodzi za dobrego znawcę Gran Chaco, jednak moja znajomość języka hiszpańskiego może się przydać naszym.

- Jakże się ów przywódca nazywa?

- Geronimo Sabuco.

- A!... Czy to ten sam, którego nazywają sendadorem?

- Ten sam. Czy pan go zna?

- Osobiście me, tylko z opowiadań. Przecież rozmawiałem o nim

nie raz z towarzyszami.

- No, sendadorów jest bardzo wielu, więc nie przypuszczałem, że to właśnie mowa o Geronimie.

- Myśmy zamierzali go odszukać, gdyż jest nam potrzebny jako przewodnik, ale spodziewaliśmy się go znaleźć o wiele dalej na północy.

- Szkoda. Już go zamówili inni.

- A jednak, pomimo to, musimy go pozyskać i właśnie dlatego tylko przybyliśmy tutaj.

- Cieszy mnie to, gdyż będę mógł was, señores, naprowadzić na jego ślad; nie znaleźlibyście go sami bez mojej pomocy.

- Więc się dobrze składa. Pomówię o tym z towarzyszami.

- Ale proszę nie zwlekać, bo chcę wyruszyć w drogę nocą. Nie mogę odkładać swego odjazdu ani chwili, ze względu na konieczność jak najszybszego ostrzeżenia moich współziomków o grożącym im niebezpieczeństwie.

~ Ile potrzeba czasu, aby dotrzeć konno na miejsce?

- Od Parany j~dzie się konno około dziesięciu dni, podczas gdy wozem potrzeba co najmniej piętnastu dni. A ponieważ ekspedycja wyruszyła stąd przed pięciu dniami, więc mam nadzieję, że ją jeszcze wyprzedzę, chociaż wypadnie mi zboczyć trochę z drogi, aby uniknąć spotkania z nimi...

- Ale co zrobicie z matką? Przecież nie możecie jej narażać na tyle trudów i niewygód w tak ciężkiej podróży. I przypuszczam, że pomimo wszystko spóźnicie się. A czy spóźnienie wyniesie pięć, czy też dziesięć godzin, to już jest rzecz obojętna. Radziłbym więc zatrzymać się z odjazdem do dnia. Konie muszą przecież wypocząć, a i ludzie są przemęczeni. A wreszcie, wybierając się do Gran Chaco, trzeba zaopatrzyć się w żywność i amunicję.

- To prawda. Ale dwie osoby nie potrzebują wiele. Skoro więc pan nie chce jechać nocą, to wybiorę się sam.

- A jak się przeprawicie przez Paranę?

- Jak? Nadpłynie pewnie jakaś tratwa lub łódź, albo okręt i przewiezie nas. - ~ - Ale zanim nadpłynie, może minąć cały dzień lub nawet więcej. Czy nie lepiej byłoby poprosić dowódcę załogi o wypożyczenie łodzi?

Pomówię z nim o tym, ale nie teraz, gdyż nie będę go budzić w nocy.

- Prawda! Gdybyśmy mieli łodzie, można by łatwo ominąć bagna z tamtej strony rzeki, gdyż znam zatokę; która siega daleko w głąb łądu i dotyka suchego gruntu. Zaczekam więc, ale pod warunkiem, że pan pojedzie z nami aż na miejsce.

- Stanowczo pojedziemy z wami, bo musimy odnaleźć sendadora.

Czy jednak dalsza droga nie będzie zbyt uciążliwa?

- O, nie! Wprawdzie w okolicach dopływów Parany są bagna, ale można je łatwo ominąć, jeżeli się zna te strony. Nie brak też tam wielkich i gęstych lasów. Ale najwięcej będzie wydm piaszczystych i równin stepowych, urozmaiconych kępami drzew. Na tę dalszą drogę radziłbym jednak panu poprosić o przewodnika mego wuja, Gomarrę, oczywiście tylko na tak długo, dopóki nie znajdziecie sendadora, który już poprowadzi was dalej przez całe Gran Chaco. A jego przewodnictwo jest dla was niezbędne, bo nie wiecie, ile niebezpieczeństw mogłoby was spotkać, gdybyście jechali sami, zwłaszcza, że należycie do rasy białej.

- O jakich niebezpieczeństwach mówicie?

- Vebra na przykład czepia się przede wszystkim białych. No i jeszcze inne niespodzianki mogą was tam spotkać.

- Zapewne drapieżne zwierzęta?

- O, jeszcze jakie! Zwłaszcza jaguary...

- Te nie są straszne dla nas. Ale może wypadnie nam spotkać się z dzikimi ludźmi, którzy są o wiele bardziej niebezpieczni niż dzikie zwierzęta?

- Dzicy ludzie? Zapewne ma pan na myśli Indian? Czyżby pan sądził, że my jesteśmy dzicy?

- Was nie można do nich zaliczyć, ale czy na przykład wasz szczep Aripones należy do ludów cywilizowanych?

- No, nie. Ale kto temu winien, że moi ziomkowie nie tacy są dla białych, jak dawniej? Czyż już tego nie dosyć, że nienawidzimy białych i bronimy się przeciw nim zajadnie, gdy nas wypierają nawet z tak dzikiego zakątka, jakim jest Gran Chaco?

- Może macie słuszość i nie dziwię się waszemu niezadowoleniu z tego powodu. Ale w żadnym razie barbażyńskie mordy i rabunki nie są uczciwym sposobem walki.

- Tak senior! Czyż jednak w waszych cywilizowanych krajach nie ma wojen? Dajcie nam taką

broń, jaką sami posiadacie, a potrafiemy

9 bronić się wedle waszych pojęć po bohatersku. Tymczasem jednak musimy odpierać napaści wrogów tak, jak możemy.

- Czy nie oburzające jest na przykład porywanie białych w niedostępne puszcze i wymuszanie potem za nich okupu?

- To jest istotnie barbarzyńskie, senior, przyznaję, ale kto nas tego nauczył? Czyż nie biali właśnie? Teraz na przykład sendador prowadzi całą ich bandę na zdobycie naszych posiadłości. Czyż to nie napad, nie rabunek? Gdy zaś wytną lasy i wybierają herbatę, to z czego będziemy żyli? Czy z resztą ktoś pytał nas o pozwolenie wycinania lasów? Czy proponowano nam jakieś odszkodowanie za to? Bynajmniej. Teraz zaś, gdy nie zechcemy pozwolić na rabunek, chwycą za broń i będą nas mordowali bez miłosierdzia, zmuszając do obrony bez wyboru środków. I kogóż to uważać będziecie wówczas za dzikich barbarzyńców? Tyle było słuszności w jego słowach, że nie mogliśmy mu zaprzeczyć.

Wolałem więc milczeć, on zaś rzekł po chwili:

- Tak, sennor. Oni są stroną zaczepną, nie nas, lecz ich należy oskarżać o mord i rabunek.

- A porywanie kobiet i dzieci czy to również obrona?

- Tak, skoro innego sposobu przeciw napastnikom nie mamy.

Biali mają karabiny i kule, my zaś tylko strzały, które niczym są wobec broni palnej. Na tę jednak nas nie stać, nie mamy pieniędzy i nie możemy ich w żaden sposób zarobić bo wyparci z kraju rodzinnego; pozbawieni jesteśmy wszelkich zarobków. Dlatego porywamy ludzi, aby za ich wydanie otrzymać okup.

- Ale też wielu jeńców mordujecie...

- Tak, istotnie, bo zresztą jest to także sposób obrony. Czyż mamy wypuszczać wrogów z rąk swoich, aby nas potem z tym większą zaciętością napadali? Zresztą szkody, wyrządzone przez nas białym, są niczym wobec krzywd, których od nich doznaliśmy i ciągle doznajemy.

- Tak. Ale, jak widzę, nie macie o tym pojęcia, ile szkody wyrządzili Indianie białym osadnikom w samym tylko dorzeczu La Platy w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Oto ni mniej, ni więcej, tylko skradli jedenaście milionów sztuk bydła, dwa miliony koni i tyleż owiec, zniszczyli trzy tysiące domów, a zabili pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

- To ba.jki, sennor.

- Przepraszam, wszystko to zostało bardzo dokładnie obliczone.

- Ale nie przez Indian, sennor. Biali to ogromnie przebiegli ludzie; sami kradną, rabują, mordują, a następnie składają to na nasz rachunek. Przysięgłbym, że co najmniej połowa tych wykroczeń i zbrodni, które sennor przytoczył, obciążą właściwie sumienia samych białych, a wszystkiemu innemu winni oni pośrednio.

- Hm! Słyszałem o tym już nieraz.

- I mówiono panu prawdę. Co gorsza, rząd posyła niekiedy wojsko, aby chroniło napastników i właśnie wśród wojska znajdują się najniebezpieczniejsi rabusie. Jeżeli zaś cyfry podane przez pana przed chwilą, zgodne są z prawdą, to właśnie dotyczą one naszych krzywd, wyrządzanych nam przez białych najeźdźców. Przecież ziemia ta była naszą odwieczną własnością i nie przestała nią być do dziś dnia. Takiemu rozumowaniu młodego Indianina, wyrażającemu zapatrywania ogółu Indian południowoamerykańskich na tę kwestię, nie mogłem odmówić słuszności, zwłaszcza że jego ziomkowie posiadali tę ziemię od wieków. Nie mogąc zaprzeczyć jego wywodom, rzekłem tylko:

- Nie mówmy o tym, bo zresztą my obaj nie możemy wpłynąć ani trochę na zmianę obecnych stosunków. Wspomniałem o rabunkach tylko dlatego, że była mowa o podróży przez Gran Chaco. Właściwie zaś polityka wcale mnie nie zajmuje.

- Nie ma więc pan czego się obawiać z naszej strony, przynajmniej tak długo, dopóki ja jestem z panem.

- O, nie myślcie, abym się czymkolwiek trwożył. Pytam o to i owo jedynie dlatego, że mam zwyczaj zawczasu dowiadywać się o stosunkach w kraju, do którego zamierzam się udać. Powiedzcie mi jeszcze, jak się wasi współplemieńcy zachowają, gdy się dowiedzą o przybyciu białych?

- Napadną na nich.

- I będą usiłowali ich wymordować?

- Prawdopodobnie, zwłaszcza rnęczyzn; kobiety wymieniamy potem za okup.

- I wy będziecie pomagać?

- Jestem Indianinem i muszę postępować solidarnie z moimi współbraćmi.

- To znaczy, że przyłożycie rękę do zbrodni...

- A biali czy będą sobie robili skrupuły, gdy wypadnie strzelać do nas? Dlaczego nam jedynie czyni pan zarzut zbrodni?

- Jeżeli macie takie zamiary, to właściwie nie powinienem was stąd puścić.
- Pan tego nie uczyni. Proszę wziąć pod uwagę, że wobec kogo innego nie byłbym tak otwarty i tylko przed panem wygadałem się z najgłębszych naszych tajemnic. Czyż za tę szczerość miałby mi pan odpłacić zdradą?
- Nie uczynię tego; ale proszę pamiętać, że od tej chwili jestem waszym przeciwnikiem. Dybiecie na życie białych, a moim obowiązkiem jest przeszkadzać temu.
- Byłyby to próżne zabiegi, sennor. ~
- Niekoniecznie. Wy ostrzeżecie swoich, a ja ostrzeżę białych, Osobiście jednak możemy zostać przyjaciółmi.
- O, w takich okolicznościach kto wie, czy nie staniemy naprzeciw sobie, jako dwaj śmiertelni wrogowie. Niech się jednak pan pomimo to nie obawia niczego z mej strony. Uczynię wszystko, aby pan nie doznał żadnej krzywdy; możemy nawet zawrzeć ze sobą braterską ugodę.
- Zgoda. Oto moja ręka,
- Dobrze. A teraz proszę iść na spoczynek, aby się choć trochę pokrzepić przed jutrzejszą podróżą.

Odszedł, a ja dhxgo nie mogłem zasnąć, rozmyślając o tym, co słyszałem.

Oczywiście byłem zdania, że Indianie mają zupełną słuszość i nikt uczciwy zaprzeczyć temu nie mógł, jak również nie mógłby zagłuszyć w sobie suxnienia, które mówiło o krzywdzie, wyrządzonej tej rasie. Czerwonoskórzy z całkiem słuszych powodów są wrogami białych i będą nimi dotąd, dopóki chociaż jeden z nich pozostanie przy życiu. Rozmyślając nad tym wszystkim, zasnąłem w stanie pewnego podniecenia i niezbyt wypoczęty zbudziłem się o świcie. Brat Hilario już nie spał. Gdy opowiedziałem nlu całą rozmowę z Gomezem, rzekł: - Dobrze, sennor, że spotkamy się z sendadorem wcześniej. Trzeba jednak zobaczyć, czy nasi towarzysze będą gotowi do drogi.

- Nie możemy wyruszyć zaraz, bo muszę przedtem rozmówić się z oficerami, a także zapytać jeszcze o kilka rzeczy Gomeza. Poszukajmy go.

Udaliśmy się do sąsiedniego budynku, gdzie Gomez spał z yer-baterami, ale już go, niestety, nie zastaliśmy; powiedziano nam, że odjechał ze swą matką jeszcze w nocy.

- Dokąd? - zapytałem.

- Nic nam o tym nie mówił - odparł Monteso. - Wspomniał tylko, że pan wie o wszystkim i prosił, aby się pan nie gniewał, jeżeli zabierze sobie czółno.

- Istotnie wiem, o co idzie. Co mówił więcej?

- Nic, tylko dziękował, że byliśmy dla niego życzliwi, i obiecał uczynić wszystko, co w jego mocy, aby nam nie wyrządzono jakiejś krzywdy.

- Wiem, co chciał przez to powiedzieć. Zaraz odjeżdżamy. Proszę przygotować się do drogi.

Turnerstick i Larsen zgodzili się oczywiście towarzyszyć nam i byli gotowi do podróży. Pozostało nam tylko widzieć się z pułkownikiem, którego zbudziłem, aby mu oznajmić, że zaraz wyruszamy.

- Żal mi - rzekł - że panowie tak prędko odjeżdżacie. Ale nie mogę was oczywiście zatrzymywać, gdy interesy wasze nie pozwalają wam dłużej pozostać. Z komendantem nie potrzebujecie się widzieć, gdyż jest to mój podwładny i wystarczy, gdy ja wiem o tym. Postaram się zaraz o zaopatrzenie was w żywność oraz konie juczne i wszystko, co potrzeba; każę też przygotować łodzie.

Odszedł wydać odpowiednie rozkazy, a ja tymczasem zwróciłem się do Gomarry z zapytaniem, czy zna okolicę i czy może nas zaprowadzić do wspomnianych osad. Odpowiedział, że zna szczerp Aripones i uśnie nawet cokolwiek mówić ich narzeczem, co rzecz prosta, było mi na rękę.

Już mieliśmy wyruszyć w drogę, gdy zavezwał mnie do siebie komendant, który się właśnie obudził. Wyjazd nasz nieco opóźniła rozmowa z nim. Dowiedziałem się natomiast od komendanta, że wspomniany przez Gomeza sendador jest istotnie owym słynnym Geronimem Sabuco, z którym nie warto się kontaktować.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Mam ku temu pewne powody - odrzekł. - Różne, wcale niepocholebne chodzą tu o nim wieści i nawet z oczu nie bardzo dobrze mu patrzy. Podobno jest w zмовie z Indianami i ja w to wierzę.

- Nie byłoby w tym nic dziwnego, sennor. Żyje przecież wśród nich, musi więc być z nimi w zgodzie. .

- Słusznie. Ale zaznaczam, że nie jest to człowiek uczciwy.

- Sądzi pan więc, że byłby zdolny zdradzić ludzi, których mu powierzono? 13
- Jestem tego pewny.
- Czy dał mu pan do poznania, że go pan podejrzewa?
- Nie tylko dałem do poznania, ale wręcz powiedziałem mu wyraźnie co myślę i zagroziłem rozstrzelaniem, gdyby naraził eks-pedycję na jakieś nieszczęście. Wzruszył na to ramionami i nic mi nie odrzekł.
- Czy ekspedycja jest dobrze uzbrojona?
- Tak, wcale nieźle. Towarzystwo to składa się z dwudziestu mężczyzn zdolnych do boju, a drugie tyle oczekuje ich po tamtej stronie borów nad Rio Salado.
- Niewielka to siła wobec całego szczepu indiańskiego!
- No, liczba nic tu jeszcze nie stanowi. Wobec Indian, którzy już na sam widok karabinów uciekają w popłochu i z reguły nie dają się nawet wciągnąć do walki, można przypuszczać, że ekspedycja da sobie radę.
- Podobno jednak znajdują się w niej i kobiety?
- Tylko pięciu mężczyzn wybrało się z rodzinami, bo przypuszczają, że uda im się odrestaurować opuszczone siedliska i w nich się zadomowić. Dlatego to zabrali ze sobą kobiety, jako gospodynie. Najtrudniejsze będą początki. Lecz jeśli tej garstce uda się osiedlić w tamtych stronach na stałe, to niebawem i inni podążą ich śladami.
- Wątpię bardzo w powodzenie osadnictwa na tej ziemi, bo Indianie nie dadzą przybyszom spokoju.
- W razie jakichkolwiek zakusów z ich strony wystrzela się napastników bez ceremonii i kwita.

Tak wyobrażał sobie komendant sprawę kolonizacji dzikiej okolicy, patrząc oczywiście na to wszystko przez różowe szkła. Więcej jednak, aniżeli jego poglądy na tę sprawę, obchodziło mnie to, że okazał niemałą dla nas życzliwość i troskę o nasze potrzeby, a gdy wyrusza-liśmy, towarzyszył nam wraz z pułkownikiem nad rzekę, gdzie przygoto-wano dla nas dwie wielkie łodzie do przeprawy, a w nich spory zapas żywności, amunicji i innych rzeczy niezbędnych w podróży. Pożegnaliśmy się z tymi ludźmi, którzy tak szybko stali się nam przyjaciółmi i odpłynęliśmy. Po czterech godzinach pracy przy wiosłach, którą pełnili dodani nam przez pułkownika ludzie, wypłynęliśmy na Rio Parana.

Gomarra, zapytany przeze mnie, czy wie o wciskającej się daleko w głąb lądu zatoce, o której wspominał mi Gomez, odrzekł:

- Jest tam nawet kilka takich zatok, ale nie skorzystamy z nich, bo lepiej będzie, gdy powiosłujemy w głąb kraju jednym z potoków, wpadających do Parany. Znam tę drogę doskonale i będziemy mogli, udając się nią, ominąć zupełnie bagniste obszary nadrzeczne.
- Czy nie byłoby dobrze, abyśmy podążyli śladami ekspedycji, którą mamy odnaleźć?
- O, to jest niemożliwe, bo przecież po pięciu dniach ślady jej zatarły się i szkoda byłoby czasu na szukanie. Zresztą wozy nie mogły jechać prosto na miejsce ze względu na odnogi wodne; musielibyśmy się więc błąkać przez dłuższy czas zupełnie zbytecznie.
- Nie wiem dlaczego ekspedycja obrała taki cel, skoro tamtajsze osady są w zupełnej ruinie i nie nadają się do zamieszkania.
- Może nowi osadnicy dlatego wybrali tę okolicę, że jest tam dobra woda?
- W dorzeczu Rio Salado nie brakuje jej nigdzie. Przekona się pan zresztą naocznie.
- Wątpię, bo stanowczo nie mam zamiaru tracić czasu nad Rio Salado.
- O ile wiem, chce pan dotrzeć do Tucuman. Byłoby najdogodniej podążyć tam wzdłuż Rio Salado aż do Matura, skąd już bez trudu można się dostać przez Santiago na miejsce.
- Niestety, nie mogę sam decydować o kierunku drogi i muszę pozostawić to sendadorowi, który będzie naszym przewodnikiem. Tak rozmawiając ze sobą nie spostrzegliśmy, że wpłynęliśmy na Paranę.

Rzeka ta jest ogromnie rybna, ale z powodu mętnej wody niełatwo to zauważyć. ~Liczne wysepki, rozrzucone na niej w wysokim stopniu utrudniają żeglugę większym statkom, a nawet i łodziom. Gomarra jednak był dobrym przewodnikiem, więc, trzymając się jego wskazówek, wyminęliśmy szybko przeszkody i dotarliśmy do przeciwnego brzegu Parany, gdzie znajdowało się ujście rzeczki, którą powiosłowaliśmy w górę.

Nad wieczorem przystanęliśmy na odpoczynek i po sutej wieczery z zapasów, zabranych z Palmar, pokładliśmy się do snu na brzegu rzeczki wokół wielkiego ogniska, które roznieciliśmy dla odpędzenia owadów.

Noc zbiegła nam bez przygód. Wczesnym rankiem zerwaliśmy się szybko, wsiedliśmy na konie i puściliśmy się stepem w dalszą drogę.

Około północy rozłożyliśmy się znowu obozem na spoczynek, by nazajutrz wczesnym rankiem pospieszyć dalej.

Okolice były bardzo urozmaicone. Wśród stepu spotkaliśmy po drodze tu i ówdzie piękne w swej dziewięćcości gaje, to znów dzikie wydmy piaszczyste, przypominające meksykańskie sonora, aż wreszcie dostaliśmy się na laguny, rojne mnóstwem błotnego ptactwa, a w swych topielach kryjące mnóstwo aligatorów, których liczne gromady widzieliśmy poprzez wyłomy w trzcinie nadbrzeżnej. I tej doby również późna noc dopiero zmusiła nas do wypoczynku. Za to nazajutrz rano odpoczywaliśmy dłużej, bo konie były bardzo pomęczone.

Byliśmy już w samym środku słynnej pustyni Gran Chaco. Dotychczas nie zauważyłem nic, co by usprawiedliwiało ujemną opinię o tych bezludnych okolicach. Jedyne dawały nam się we znaki zmiany temperatury, dni bowiem były bardzo gorące, natomiast nocami dokuczał nam dotkliwy chłód, jakby nawiewany z rozległych równin stepowych. Prócz ptactwa błotnego i świnek wodnych, zdarzało się nam widzieć wśród słonych bezrybnych bagien całe stada aligatorów. Wypatrywaliśmy na stepie jaguara, jednak na próżno. Osiem dni byliśmy już w drodze, podążając ciągle w kierunku zachodnim. Gomarra utrzymywał, że pośpiech nasz spowodował skrócenie czasu podróży o całe dwie doby, i że szybko dotrzemy do opuszczonej kolonii.

Jechałem na przedzie, a obok mnie przewodnik i brat Hilario i rozglądaliśmy się wśród stepu, czy nie spostrzeżemy Gomeza. Szukaliśmy jego tropów lub też karawany białych, jednak na próżno, pomimo, że wśród rozległej prerii, pokrytej bujną trawą, sięgającą koniom po tułów, można było łatwo zauważyć ślady ich przejścia. Nie zrażało nas to jednak i wciąż dawaliśmy baczenie na wszystko, co mogło świadczyć o ich przejeździe. Po przebyciu jeszcze kilkunastu mil spostrzeżliśmy dwa tropy.

- Może to Gomez przejeżdżał tędy ze swą matką? - zagadnął Hilario.

- Być może - odrzekłem.

--Czyżby jednak mógł wyprzedzić nas, nie mając ani odpowiednich koni, ani też żywności, której przecież ze sobą nie zabrał i z tego powodu musiał się zatrzymać, aby coś upolować?..

-. Ech, kto go tam wie! - wtrącił Gomarra. - To człowiek sprytny

16 i mądry; zapewne urządził się odpowiednio, aby nie mieć w drodze mitręgi, a więc postarał się o wszystko zawczasu; a że zna okolice doskonale, więc mógł uprosić sobie drogę.

- Tak, o jego sprycie i zdolnościach przekonałem się w rozmowie z nim - potwierdziłem.

- Jaka to szkoda, że ślady nie mogą nam powiedzieć, kto tędy przejeżdżał. Wiadomość ta byłaby nam bardzo na rękę.
- Owszem, ze śladów tych można i to wyczytać - rzekłem.
- Potraii pan to odgadnąć? - zapytał Gomarra, uśmiechając się z odcieniem powątpiewania.
- Tak, rozwiązę tę zagadkę, ale trochę później, na razie wiem tylko na pewno, że konie były ogromnie strudzone i to mi wystarcza.
- Z czego pan to wnosi?
- Z tego, że zaledwie nogi za sobą wlokły. Zresztą te dwa tropy końskie w kierunku kolonii same przez się każą się domyślać, że pozostawił je nie kto inny, tylko Gomez ze swoją matką. Śledząc w dalszym ciągu ślady, nie mogłem na razie dostrzec nic. takiego, co by dostarczało jakichkolwiek danych do wnioskowania o jeźdźcach. Dopiero po dłuższym czasie natrafiłem na rzecz wielce interesującą; oto z lewej strony zobaczyłem głęboko wryte w ziemię ślady kół znacznej liczby wozów. Tu więc, przy lagunie, musiał być przez noc postój kompanii. Popioły kilku ognisk oraz liczne ślady koni i bydła w kierunku wody świadczyły o tym niezbitcie.
- To ekspedycja - zauważył Gomarra. - Nie wiadomo jednak, kiedy tu była.
- Przedwczoraj - odrzekłem, wnosząc to z wielu znaków.
- Więc dziwię się, że zwierzęta nie padły im ze znużenia.
- To niczego nie dowodzi, wszak teren był dla nich dosyć łagodny... Wczoraj rano ruszyli w dalszą drogę.
- Kiedy tu byli dwaj jeźdźcy?
- Przed południem, a więc bardzo niedawno, bo w tej chwili właśnie mamy południe. Zatem jeźdźcy ci znajdują się przed nami zaledwie o parę godzin drogi.
- Dogonimy ich?
- O, nie! Wszak konie nasze ledwie się już wloką. Ja jedynie mógłbym na swoim gniadoszu jechać jeszcze kilkanaście mil i dopę-dziłbym ich około wieczora.

- O, nie puścimy pana - rzekł Gomarra - bo już teraz znaj-dujemy się na obszarze, należącym do szczepu Aripones. Wszelkie moje perswazje, że mi się nic złego stać nie może, były daremne. Towarzysze nie puścili mnie i rad nierad musiałem zanie-chać zamiaru.

Jechaliśmy śladami wozów i już po kilku godzinach spostrzeegliśmy, że grono osadników znowu odpoczywało, co dawało wiele do myślenia. Objechałem opuszczone obozowisko i odkryłem ślady jednego czło-wieka, który kręcił się wokoło. To mnie zastanowiło. Należał on niezawodnie do ekspedycji, bo ślady jego wychodziły z obozu i tam też wracały. Człowiek ten jakby szukał czegoś z dala od swoich. Wywnioskowałem dalej, że dziś rano karawana ruszyła w dalszą drogę, wlokąc się z trudnością, jak wynikało ze śladów. Po przenocowaniu na otwartym stepie wyruszyliśmy nazajutrz wczesnym rankiem w nadziei rychłego dopędzenia osadników, gdyż i oni, jak przypuszczałem, również musieli odpoczywać, więc nie mogli zbyt oddalić się od nas. Mijały jednak godziny, a na stepie nie dostrzeegliśmy ani śladu obozu.

To również nastęczało mi różnych domysłów. Przedtem były dwa obozowiska w niedalekich od siebie odstępach, a potem jechali przez całą noc... Widocznie stało się coś ważnego - co jednak, nie mogłem odgadnąć.

Nagle zamajaczyła przed nami w oddali jakaś postać na koniu. W pewnej odległości jeździec zatrzymał się i zdjęwszy z głowy kapelusz o szerokich kresach, zawołał głośno:

- Hej! Sennores! Czy jedziecie z Palmar?
- Tak, z Palmar. A czego pan sobie życzy? - zapytał brat Hilario.
- Chwała Bogu, że was spotkałem. Może jeszcze nie będzie za późno na ratunek.
- Dla kogo?
- Dla...

Tu spojrział na mnie i urwał.

Ubrany był jak gauchos, a twarz jego pokryta była tak gęstym zarostem, że ledwie nos było mu widać.

- Czy to możliwe? - zawołał. - Pan tutaj?
- Tak, ja! - odparłem. - Zna mnie pan?

- Ależ doskonale! Tylko pan nie może mnie poznać, bo... bo...

zapuściłem brodę...

18

- Głos pański słyszałem kiedyś...

- Przypomina pan sobie? Chciałem właśnie wracać do domu, aby przybyć na czas i żeby pan nie oczekiwał mnie na próżno...

- Ach, wiem już... Mam przyjemność z sennorem Peną?

- Nareszcie mnie pan poznał. Niechże więc przywitam się z pa-nem!

Uściskał mi mocno rękę i rzekł: - Czyżby istotnie pan mnie nie poznał? Przecież pan jedzie do mnie! Dziwny zaiste zbieg okoliczności, bo oto spotykamy się nie u mnie w domu, lecz tutaj, w dzikiej okolicy, podczas gdy ja byłem pewny, że pan jedzie wygodnie dyliżansem z Buenos Aires. Toteż to dziwny wypadek!

- Jak widzę, w usposobieniu pańskim zaszła zmiana: ma pan w sobie iście młodzieńczą werwę, podczas gdy w Meksyku był pan zawsze poważny.

- Bo miałem powody być poważnym.

- A skąd się pan tu wziął?

- Jadę z Goya.

- Chcielibyśmy tam się dostać w celu odszukania Geronima Sabuco.

- I nie zastalibyście go, bo widziałem go niedawno w okolicy opuszczonych siedzib na stepie.

- Rozmawiał pan z nim?

- Nie głupim. Byłbym to niewątpliwie nałożył głowę.

- Czyżby był pańskim wrogiem?

- Nie, ale podsłuchałem go i jeżeli się tego domyślił, na pewno mam w nim śmiertelnego wroga.

- Podsłuchał więc pan jakąś ważną tajemnicę?...

- Niestety, niezbyt miłą. Opowiem panu.
- A skąd pan się dowiedział, że my tędy jedziemy?
- Mówiono mi, ale nie wiedziałem, że to pan jest owym cudzo-ziemcem, o którym wspomniano.
- O cudzoziemcu? Zapewne mówił to Indianin Gomez?
- Słyszałem to imię.
- A zatem idzie o zdradę, którą kryje sendador?
- Niestety, tak.
- Niechże mi pan opowie wszystko natychmiast...
- Owszem, ale nie teraz. Dowie się pan wszystkiego po drodze.

Pojadę z wami. Tu nie można czasu tracić na próżno.

Ruszyliśmy naprzód, przynaglając, ile się dało, konie do pośpiechu i rozmawialiśmy z Peną.

- Byłem w Goya - mówił - i chciałem przez Salado wrócić do domu...
- Sam? - przerwał mu brat Hilario. - Toż to bardzo niebezpieczne!
- No, tak! Dla świątobliwego mnicha może, ale nie dla mnie. Już niejednemu niebezpieczeństwu zaglądałem w oczy!
- Jechałem już sam przez Gran Chaco.
- Do licha! W takim razie mam chyba do czynienia z bratem Jaguarem?
- Owszem, tak mnie nazywają...
- A, to co innego! Cieszę się niewymownie z tego spotkania.

Z kolei przedstawiłem Penie wszystkich swych towarzyszy. Pena opowiadał dalej:

- Najwygodniej było mi wracać z Goya do domu obok starych kolonii, toteż wybrałem się tą drogą, kryjąc się, ile możności, przed Indianami. Po przybyciu do opuszczonej kolonii, postanowiłem odpocząć w jednej z ruin. Porosła jest od strony wejścia zielskiem i krzakami, tak że prawie jej nie widać; a z drugiej strony, pomiędzy dwiema całymi jeszcze ścianami można się dostać do wnętrza. Sądziłem, że wyśpię się tam trochę i koń mój również odpocznie, a po południu pojedę dalej, aby przed nocą dostać się w puszcze. Zaledwie jednak usnąłem, zbudziło mnie nagle dwóch mężczyzn, rozmawiających ze sobą po hiszpańsku tuż przed ruiną. Wyjrzałem ostrożnie przez otwór w ścianie i zauważyłem, że jednym z rozmawiających był stary, chudy i kościsty człek, należący do rasy białej, a drugim młody Indianin. Niedaleko od nich na ziemi siedziała stara Indianka.

Mężczyźni ci prowadzili ze sobą następującą rozmowę:

- Podczas ostatniej nocy wydałem się umyślnie z obozu w nadziei, że spotkam kogo z waszych w pobliżu. Niestety, nadaremnie szukałem. Ciebie spotkałem pierwszego.
- A ja od wczoraj byłem na waszym tropie, ale bałem się zbliżyć
- odrzekł Indianin.

- Co chciałeś uczynić?
- Chciałem was wyminąć i zawiadomić swoich o wszystkim.
- Ach, rozumiem! Chcesz zapewne skierować ich przeciw nam?
- No, tak, ale nie przeciw panu.

- Dziękuję ci za ten wyjątek. Daleko stąd znajdują się twoi ludzie?
- Dziś wieczorem odszukam ich na pewno.
- Możesz ich tu sprowadzić?
- Owszem, jeżeli tylko myśli pan poważnie.
- Wasi dowódcy znają mnie dobrze i nie obawiają się. Nieraz miewałem z nimi do czynienia i teraz również chciałbym zawrzeć korzystny dla was interes. Słyszałeś przecież, że jestem waszym przyjacielem i że nieraz napędzałem wam w ręce wcale niezłą zdobycz.
- O tym wiem, sennor.
- A umiesz milczeć?
- Umieję, sennor. Milczenie jest największą cnotą...
- Otóż ja wam dostarczam ludzi pod tym warunkiem, że to, co mają przy sobie, a mianowicie, zegarki i tym podobne, należą do mnie, reszta do was. Podoba ci się ten warunek?
- Owszem.
- Czy twoi zgodzą się na to i teraz?
- Jeżeli tak było zawsze, to dlaczego by mieli obecnie sprzeciwiać się temu?
- Powiedz im więc, że mam dwudziestu mężczyzn, pięć kobiet i dwanaścioro dzieci; że wydam to stadko chętnie, ale zabiorę pieniądze i kosztowności, wam pozostawiając wszystko inne, no i okup za dzieci.
- Powiem to naczelnikowi! A więc ja zabiorę pieniądze, a wy broń, proch, odzież, konie, woły, wozy i okup. Ale bez mordów!
- O, nie, sennor! Tych dwudziestu mężczyzn musi zginąć, bo w jakiż sposób zdobędziemy łup? Będą się przecież bronili.
- W tym już moja głowa. Znasz zapewne wyspę piaszczystą, gdzie się wylegają aligatory? Otóż tam zwabimy wszystkich, a ograbiwszy ich do szczętu, zostawimy na pastwę potworom. W ten sposób unikniemy rozlewu krwi, gdyż wyręczą nas w tym aligatory... Rozumiesz? No, a teraz spiesz do swoich i przedstaw im moje warunki.
- Dobrze, sennor, ale najpierw muszę pana ostrzec, abyś był ostrożny, gdyż może dziś jeszcze

nadciągną tu inni biali, którzy tutaj, obok starych siedzib, spodziewają się znaleźć sendadora.

- Może mnie?

- Tak, pana. Cudzoziemiec wyraźnie mi to powiedział.

- Cóż to za jeden?

- Europejczyk. Sprytny i odważny... Ci, którzy mu towarzyszą,

21 opowiadali mi o nim niestworzone rzeczy. Podobno wie wszystko, wszystko umie i co zaplanuje, to realizuje bez trudu.

- To ciekawe!... Ale czego on chce ode mnie?

- Chce wynająć pana za przewodnika, ale nie wiem, dokąd.

- Z kimże podróżuje?

- Jedzie z nim jakiś kapitan okrętowy ze sternikiem, brat Jaguak...

- Jaguar? Tego bym nie bardzo rad spotkać! Co zamierzają?

- Dowie się pan od nich samych. Są jeszcze z nimi yerbaterowie, których przewodnik nazywa się Mauricio Monteso...

- Ach, tego znam! Zaraz... zaraz... Czy ów cudzoziemiec umie po hiszpańsku?

- Jak rodowity Hiszpan.

- Wspominali może o Peru, o kipu, lub o Inkasach?

- Nie.

- Nie mówili przypadkiem o ukrytych skarbach?

- Nie.

- No, to jeszcze nieźle! Czy ów Europejczyk zna język Indian?

- Nie wiem. Słyszałem tylko, że przez dłuższy czas bawił wśród Indian.

- Hm! Teraz już wiem, co ich do mnie sprowadza. Czemu szukają mnie właśnie tutaj? -

- Chcieli się wybrać do Goya, ale usłyszeli ode mnie w Palmar, że tu pana zastanę i zboczyli z drogi.

- Kiedyż mniej więcej mogą się tu pojawić?
- Niebawem, może za kilka godzin. Prowadzi ich znakomity znawca puszczy, mój wuj, Gomarra.
- Ze szczepu Aripones?
- Nie. Należy do innego szczepu, ale ożeniony był z siostrą mej matki.
- Czemuż nie jechałeś z nimi razem?
- Bo Europejczyk ma zamiar ostrzec przed nami ekspedycję.
- Czy wie cokolwiek o waszych zamiarach względem białych?
- Owszem, mniej więcej wie.
- Czy i o tym, że ja jestem z wami w porozumieniu?
- Nie, on właśnie chce pana ostrzec.
- Znakomicie! Niech ostrzega, ale wątpię, czy zdąży na czas. ~
- Ja się jednak obawiam, że tylko co go nie widać...
- Cóż więc robić? Musimy się spieszyć, ile tylko sił. Najlepiej

22 byłoby, żebyż wam wydał całą ekspedycję, a potem mogę się z nim zobaczyć i powiedzieć, że uciekłem szczęśliwie.

- Ba, ale czy damy sobie radę z białymi?
- Naturalnie. Zwabię przede wszystkim mężczyzn na wspomnianą wyspę, a następnie zabiorę wozy z kobietami, dziećmi oraz mieniem i zawiozę w miejsce, gdzie stoi krzyż z napisem „Jezus Chrystus na Puszczy”. Tam około północy napadniecie na karawanę i zabierzecie ją zupełnie swobodnie. Niech was wówczas ten cudzoziemiec szuka do sądnego dnia. Tak samo nie będzie miał nawet pojęcia, gdzie się podzieli mężczyźni, bo skąd by mu nawet na myśl przyszło, że ich wprowadziłem w pułapkę, z której sam diabeł ich nie wydobędzie... No, ale szkoda nam czasu, Gomezie! Jedź szybko do swoich i spraw się mądrze. Około północy będę z karawaną w pobliżu krzyża!
- Oto wszystko, co słyszałem - kończył Pena. - Indianin odjechał ze swoją matką, a ja czekałem jeszcze chwilę, dopóki sendador się nie oddalił i wyruszyłem naprzeciw was. Podczas tego opowiadania jechaliśmy obok Peny, słuchając jego ciekawych nowin. Najbardziej zdziwiony był nimi Monteso, który dotychczas uważał sendadora za człowieka uczciwego.

- Czy wierzy pan sam w to, co pan opowiada? - rzekł do Peny.
- Owszem sennor.
- A jeżeli ja w to nie uwierzę?
- Ha, nie odbiorę sobie życia z rozpaczy. Proszę jednak liczyć się ze słowami i nie obrażać mnie.
- Przepraszam, sennor. Sendador jest moim przyjacielem...
- To bardzo smutne, że się pan do tego przyznaje. Skończmy już z tym! Okaze się zresztą wkrótce, czy jest on wart pańskiej przyjaźni. Mam nadzieję, że mu panowie udzielicie pomocy przeciw temu łotrowi?
- Ależ owszem, z największą chęcią - zawołali moi towarzysze.

A ja spytałem: - Co pan zrobił po odejściu sendadora?

- Przede wszystkim postanowiłem uczynić wszystko, aby przeszkodzić łotrowi w wykonaniu haniebnego planu. Ale co było począć? Ostrzec tych ludzi? Trudno żeby mi uwierzyli, skoro mnie nie znają. Sendador kazałby mnie uwięzić tłumacząc członkom wyprawy, że dybię na ich życie.
- Przyznaję panu słusność.

- Wołałem więc - ciągnął dalej - udać się na spotkanie ludzi dążących z Palmar i prosić ich o pomoc.
- I poszczyściło się panu. Znalazł pan nas i teraz musimy wziąć się do dzieła wspólnie. Czy jednak nie jest za późno?
- Przypuszczam, że wszystko jeszcze da się zrobić. W najgorszym razie mężczyźni są już na wyspie i należałoby ich stamtąd wydobyć, bo grozi im pożarcie przez aligatory.
- A wie pan, gdzie się znajduje ta wyspa?
- Niestety, nie wiem. Ale sądzę, że trafimy, trzymając się śladów.
- Nawet, gdy zmrok zapadnie? A może przynajmniej wie pan, gdzie stoi ów krzyż?
- I tego nie wiem, sennor.
- Ja za to wiem - wtrącił żywo Gomarra. - Stoi on niedaleko Pozo Sixto. Jestem pewny, że trafię tam nawet w nocy.
- To bardzo dobrze. Musimy się spieszyć, aby załatwić się z tym za dnia.

Puściliśmy się bezzwłocznie w cwał, bo konie, jakby odczuwając potrzebę pośpiechu, rwały jak wicher. Mieliśmy przeczucie, że zbliża się jakieś poważne niebezpieczeństwo. A ponieważ w takim położeniu najchętniej się milczy, więc nikt z nas nie wyrzekł ani słowa. Wreszcie Pena podniósł rękę i wskazując przed siebie, rzekł: - Widzicie te kępy drzew? Tam właśnie znajdują się opuszczone osady. Będziemy zaraz na miejscu.

Rzeczywiście stanęliśmy niebawem u ruin opuszczonych domów. Opodal ujrzeliśmy nagle już ślady uprawnego pola. Widok tych miejsc wywarł na nas niezwykle przygnębiające wrażenie. Pustka! Smutna pustka, jak na starym cmentarzystku! ‘

Nie spotkaliśmy tutaj nikogo z ekspedycji i tylko z niektórych znaków wywnioskowałem, że zatrzymywali się tu nie na długo, chociaż woły były wyprzęgane dla nakarmienia. Następnie opuścili Pozo de Sixto, udając się w różnych kierunkach, o czym wyraźnie mówiły ślady. Jeden z nich prowadził na prawo ku północy, przy czym widoczne było, że ludzie ci nie jechali, lecz szli pieszo; drugi zaś trop ciągnął się w dotychczasowym kierunku, zakreślał łuk wokół opuszczonej kolonii, a potem szedł prosto ku zachodowi. Po obejrzeniu śladów przekonałem się, że były to ślady wozów, zaprzężonych w woły, konie zaś pędzono luzem. Poganiacze szli obok 24 wozów, reszta zaś kompanii - kobiety i dzieci - znajdowała się zapewne na wozach, bo śladów ich nie odkryłem.

- Stąd sendador prowadził karawanę do krzyża - zauważył Pena.

- Ciekawa rzecz, o ile nas wyprzedził?

- O pół godziny - odrzekłem. - Można to na pewno poznać po śladach poganiaczy; wszak nie podniosła się jeszcze przydeptana trawa. Zobaczymy teraz inne tropy.

Obejrzawszy je dokładnie, przekonałem się, że te ślady pozostawione zostały przynajmniej przed trzema godzinami. W jednym miejscu ślady jednego z poganiaczy oddzieliły się, ale wnet zbiegały się na nowo z innymi. Towarzysze moi nie zwracali na to uwagi; tylko ja starałem się zbadać wszystkie znaki szczegółowo.

- Cóż pan tak patrzy w trawę, jak sroka w kość? - zapytał mnie Turnerstick.

- Czytam, kapitanie. Bo powłoka ziemská to taka sama księga, jak te, które wychodzą spod prasy drukarskiej. Niech no pan tylko popatrzy tutaj! Żdźbła trawy już się podniosły, ale wierzchołki ich jeszcze zwisają. Czy pozna pan, w którą stronę?

- Ku północy. Cóż stąd?

- A to, że ludzie szli tędy w kierunku północnym. Teraz zaś niech się pan przypatrzy tym innym śladom: wierzchołki źdźbeł zwisają w stronę przeciwną, nieprawdaż?

- No, tak.

- Ale o wiele niżej niż tamte. Cóż stąd wnosić należy?

- Cóżby innego, jak nie to, że się jeszcze nie całkiem podniosły.

- Bardzo trafna odpowiedź, sir! Ale moje wnioski idą o wiele dalej.

Te pojedyncze ślady są świeższe od tamtych zbiorowych, a więc pozostawił je ktoś o wiele później, dążąc prawdopodobnie z powrotem w naszą stronę, podczas gdy tamci szli ku północy. Sądzę więc, że mamy tu do czynienia z tropem sendadora, który zaprowadził podstępnie dwudziestu mężczyzn na wyspę, a następnie wrócił sam jeden. Kto wie, co się teraz dzieje z tymi ludźmi!

Kapitan wzruszył ramionami, a brat Hilario zauważył: - Żyją jeszcze z pewnością, ale grozi im wielkie niebezpieczeństwo. Jeżeli nikt im nie przyjdzie z pomocą, to wyginą na wyspie. Przepłynąć do brzegu nie mogą, bo zjedzą ich aligatory.

- Hm... - mruknął Monteso. - Mimo wszystko nie mam jeszcze

25 powodu brać poważnie tych domysłów. Sendador jest moim przyjacielem; i nie wierzę w to, aby się dopuścił tak haniebnego czynu.

- Nie poznał się pan na nim. A zresztą po co tu dyskutować i sprzeczać się, skoro najbliższa przyszłość najlepiej to wszystko wyjaśni? Śpieszmy raczej na miejsce, bo wkrótce może być za późno. Ostatnie słowa były zresztą bezprzedmiotowe, bo i tak pędziliśmy, co koń wyskoczy. Było oczywiste, że owa okropna wyspa znajdowała się niezbyt daleko, gdyż inaczej sendador nie byłby stamtąd tak prędko wrócił.

Istotnie, minął zaledwie kwadrans, gdy na horyzoncie zamajaczył ciemny rąbek, a podążywszy dalej, spostrzegliśmy, że były to zarośla, w których sterczały tu i ówdzie wierzchołki drzew. Równocześnie trawa stawała się coraz bardziej soczysta i bujniejsza, co wskazywało, że niedaleko jest woda.

Znaleźliśmy się nareszcie wśród krzaków. W miejscu, gdzie tropy wdierały się w ich głąb, spostrzegliśmy, że krzaki otaczały potężny wał bambusów, poza którym znajdowało się jezioro. Nie wiedzieliśmy oczywiście, czy leżało ono odosobnione wśród łąd, czy też stanowiło tylko odnogę Rio Salado. Jezioro to nie było głębokie, jak świadczyły o tym aligatory, których znajdowało się tu co niemiara. Leżały daleko od brzegu w namule, wychylając tylko łby ponad powierzchnię wody. Potwory te zapewne przez długie czasy żyły tu spokojnie i nikt im nie przeszkadzał, skoro tyle się ich namnożyło.

Naprzeciw nas w dość poważnej odległości wystawał z wody piaszczysty łąd, prawie zupełnie pozbawiony drzew i roślinności. Była to właśnie wyspa, do której trzeba było dostać się za wszelką cenę. Na szczęście tuż u brzegu znajdowała się spora tratwa, sklecona naprędce z trzciny i bambusów i to niedawno. Opodal było widać miejsce, w którym te bambusy wycięto. Na tratwie leżały jeszcze żerdzie bambusowe, pełniące zapewne rolę wiosel.

Wyjąłem lornetkę i zobaczyłem poruszające się na wyspie ludzkie postacie.

- Cóż tam pan widzi? - zapytał mnie brat Hilario.

- Wyspę, a na niej ludzi.

- Chwała Bogu! Może jeszcze nie za późno. Tratwa gotowa i tylko wsiąść, aby jak najprędzej przepłynąć na wyspę z pomocą dla nieszczęśliwych.

Zsiadł z konia i zbliżył się do tratwy, a za nim uczynili to samo inni.

- Zaczekajcie, sennores! - rzekłem. - Najpierw trzeba zabez-pieczyc konie. Najlepiej będzie, gdy je zaprowadzimy opodal na step i przywiążemy na lassach, by się pały.

Po wyprowadzeniu koni wróciliśmy do tratwy. Poszczególne jej pola powiązane były wtkami roślin pnących.

Zaledwie weszliśmy na tratwę, opadła nas niezliczona ilość aligato-rów. Takiego mrowia potworów dotychczas nie widziałem i trudno mi opisać wrażenie, jakie na mnie sprawiły.

Aligatory zamknęły nam formalnie drogę, cisnąc się zwartymi szeregami do tratwy i kłapiąc paszczami. Można się było pozbyć natrętów jedynie z pomocą kul, które z początku wywarły niewielki skutek, dopiero uciekanie kilkunastu sztuk przerzedziło nieco mrowie. Potwory bowiem rzuciły się na cielska zabitych, z niesłychaną żarłocznością rozrywając je na strzępy.

- Nie pojmuję, w jaki sposób ludzie ci mogli się przeprawić na wyspę nie posiadając broni - zauważył brat Hilario.

- Zwierzęta wówczas były jeszcze prawdopodobnie rozproszone

- odrzekłem. - Dopiero na widok tratwy i poruszenia spokojnej wody zebrały się tu hurmą wietrząc żer. Zdaje mi się jednak, że można by także obronić się przed nimi drągiem bambusowym, gdyż nawet tak opancerzona bestia musi odczuć uderzenie, zwłaszcza w okolicy oczu. Mając obecnie przed sobą wolniejszą przestrzeń, chwyciliśmy żerdzie i co sił powiosłowaliśmy, kierując się na głębszą wodę. Aligatory nie cisnęły się już tak ku tratwie, lecz płynęły za nią w pewnym oddaleniu - nie groziło nam więc żadne niebezpieczeństwo. Zastanawiało mnie, czym właściwie żywić się mogły te potwory. Jeżeli bowiem były tu kiedyś w wodzie ryby lub inne stworzenia, to zapewne dawno zostały przez te żarłoki wytepięne. Być może jednak, że pożerały one słabsze osobniki własnego gatunku. Wiosłowaliśmy z całym wysiłkiem, więc tratwa posuwała się dość szybko i niebawem zbliżyliśmy się do wyspy na tyle, żeby ujrzeć na niej grupę ni~eszczęśnych osadników. Nie wołali o pomoc, przypuszczając prawdopodobnie, że należymy do ich wrogów i widać było, że z nożami w rękach przygotowują się do walki. Gdy dobijaliśmy do brzegu, jeden z nich krzyknął po hiszpańsku: - Stać! Nie pozwolimy wam wylądować, dopóki się nie dowiemy, co za jedni jesteście i czego tu chcecie. Chciałem odpowiedzieć, lecz wyprzedził mnie w tym brat Hilario, 27 wołając: - Od kiedy to uważacie mnie za swego wroga, sennor Harrico?

Nazwany przez brata Hilario człowiek był z Buenos Aires, na dźwięk głosu zakonnika spojrzął na niego ze zdziwieniem i odrzekł: - Chwała Bogu! Brat Jaguar! Jesteśmy ocaleni! Towarzysze! Ci ludzie przybyli nam z pomocą!

Gdy dobiliśmy do brzegu, wyciągnęliśmy tratwę, aby nie spłynęła, po czym sennor Harrico przedstawił nas swoim towarzyszom. Wśród nich było dwóch znajomych Turnersticka z Północnej Ameryki; można sobie wyobrazić, jak serdecznie się witali.

- Ależ, sennor - zapytał brat Hilario swego znajomego z Buenos Aires - co was przywiodło aż w te strony?
- Chcieliśmy zobaczyć Nuestro Sennor Jesu Cristo de la floresta.
- Toż to wcale nie tutaj!
- Wiemy, ale cóż z tego, kiedy spostrzegliśmy to za późno.

Sendador jest łotrem! Tak mu ufaliśmy, a on oszukał nas haniebnie! Miał nawet tyle czelności, że sam się do tego przyznał. Ale co wy robicie w tych okolicach?

- Przybywamy wam właśnie z pomocą.
- A skąd wiecie, że jesteśmy w niebezpieczeństwie?

Pytanie to wymagało, rzecz prosta, dłuższego wyjaśnienia, więc brat Hilario opowiedział o wszystkim. Obecni przerywali mu ustawicznie wykrzyknikami oburzenia na sendadora, zwłaszcza gdy się dowiedzieli o sprzedaży kobiet i dzieci Indianom. Brat Hilario pocieszał ich:

- Bądźcie spokojni! Dotychczas jeszcze nic złego wam się nie stało i mamy nadzieję, że całkowicie odwrócimy od was niebezpieczeństwo.
- A napad na tabor?
- Odbędzie się dopiero dziś około północy, mamy więc dość czasu przeszkodzić temu.
- No, to chwała Bogu! Pomówimy o tym jeszcze w wolniejszej chwili. Teraz zaś powiedzcie nam tylko, gdzie jest w tej chwili sendador?
- Razem z karawaną.
- A więc w opuszczonych osadach?
- Nie, w drodze do krzyża, o którym wspominaliście.
- Nasze kobiety i dzieci są więc w jego mocy, a my tu nic na to poradzić nie możemy...

- Na razie tak. Ale nie obawiajcie się! Nic się waszym rodzinom

28 złego nie stanie. Proszę nam powiedzieć, w jaki sposób ten łotr zwabił was tutaj?

- Okłamał nas, że tu właśnie znajduje się krzyż, przedstawiając rzecz tak, że nie podobna było nie uwierzyć. Mówił mianowicie, że pewien Inkas, został chrześcijaninem i przybył w te okolice ze swoimi towarzyszami, ale został napadnięty przez Indian. Chwilowym schronieniem była ta wyspa, na której bronili się tak długo, aż wszyscy zginęli bohaterską śmiercią, przy czym ostatni, zanim go śmierć zmogła, zdążył ułożyć trupy swych towarzyszy w kształt krzyża.

- I uwierzyliście w te brednie?

- Oczywiście. Mówił tak przekonywająco... Powiedział na przykład, że kości tych męczenników do dziś dnia leżą nienaruszone w tym samym miejscu, jak też różne kosztowne rzeczy i pieniądze, jakie mieli wówczas ze sobą i nikt ich tknąć nie śmie.

- Bardzo sprytnie ułożona bajka dla zwabienia was tutaj. Wobec tego jednak, że was namówił do pozostawienia broni i zabrania ze sobą jedynie rzeczy potrzebnych do budowy tratwy, czyż nie zrodziło się w was żadne podejrzenie?

- Niestety, nie przyszło nam do głowy, że to zdrada.

- A jak daliście sobie radę z aligatorami?

- Bestie nie od razu zwróciły uwagę na tratwę; przedtem trzymały się z daleka.

- W jaki sposób sendador wy dostał się stąd, zostawiając was na śmierć pewną?

- Kazał nam wyjść na brzeg, a kiedy już wszyscy opuścili tratwę, odbił szybko i zniknął. Chcieliśmy rzucić się za nim w wodę, ale w tej chwili nadpłynęła gromada aligatorów, wobec czego zmuszeni byliśmy pozostać tutaj bezczynnie. Sendador tymczasem, oddalając się, zapowiedział bezczelnie, że przeznaczył nas na żer aligatorów, a nasze kobiety, dzieci i całe mienie wyda Indianom. Wobec tak nagłego zwrotu w jego postępowaniu, sądziliśmy, że sobie z nas zażartował. Obiegliśmy więc wyspę w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów owej wymordowanej gromadki chrześcijan, ale nie natrafiliśmy na nic, co by potwierdzało słowa sendadora i dopiero wówczas doszliśmy do wniosku, że zostaliśmy tu w podstępny sposób zwabieni na pewną zgubę. Obmyślaliśmy właśnie, w jaki sposób się stąd wydostać, gdy niebo zesłało was na ratunek. Oby Bóg pozwolił nam odwdzińczyć się godnie za pomoc!

- O tym potem, przyjaciele; teraz trzeba wracać co prędzej na ląd, wsiadajcie na tratwę.

W kilka minut wszyscy znaleźliśmy się na tratwie. Część chwyciła za żerdzie, część uklękła po bokach tratwy z karabinami gotowymi do strzału, na wypadek, gdyby aligatory były bardzo natarczywe. Tratwa, obciążona sporą gromadką ludzi, zagłębiła się znacznie i oczywiście zwabione jej ruchem aligatory pociągnęły tuż za nią całą ławą. Ale szybko odstraszyły je nasze strzały i potwory oddaliły się. Na razie obawiałem się, czy przypadkiem Indianie nie wypłatali nam figla i nie zabrali pozostawionych bez dozoru koni. Na szczęście jednak obawy moje okazały się płonne. Postanowiliśmy naradzić się, co czynić dalej .

Dwudziestu osadników oswobodzonych przez nas z pułapki doma-gało się, abyśmy natychmiast przedsięwzięli kroki w celu uratowania ich rodzin. Moim zdaniem należało postępować rozważnie, nie gorączkując się zbytnio, aby sprawy nie popsuć. Oczywiście należało przede wszystkim pokrzyżować plany sendadora. Gdybyśmy go dopędzili jeszcze przed napadem, sprawa byłaby o wiele łatwiejsza, niż później, gdy wypadnie zmierzyć się z bandą Indian. Ruszyliśmy w drogę. Ponieważ mieliśmy tylko dziesięć koni, więc urządziliśmy się w taki sposób, że na przemian dziesięciu jechało, a dwudziestu szło pieszo i co pewien czas zarządzałem zmianę kawalerii. Wędrowanie pieszo wśród wysokiej trawy i zarośli nie należało do rzeczy łatwych i zbyt przyjemnych, ale nie było innej rady. Zresztą od czasu do czasu teren zmieniał się w dogodny i maszerowało się doskonale.

Szedłem obok Peny i rozmawialiśmy na temat naszych podróży po Meksyku. Pena opowiedział mi o swoich wyprawach. Był emigrantem europejskim; przyjechał do Ameryki w nadziei wzbogacenia się i istotnie szczęście mu sprzyjało, gdyż natrafił w Północnych Kordylifierach na żyłę złota, której jednak nie eksploatował, lecz odsprzedał, wzbogacając się niemal w jednej chwili. Opowiadał mi o przeróżnych przygodach jakie przechodził w licznych podróżach. Ja opowiedziałem mu o swoich, doznanych w ciągu krótkiego mego pobytu w krajach Ameryki Południowej i na tej pogawędce czas zbiegł nam tak szybko, że nie zwróciliśmy uwagi na początek zmierzchu. Nagle Pena zatrzymał się i rzekł z ukontentowaniem: Patrz pan!

Droga do krzyża! Nie myliłem się.

- Co? Jaka droga? - zapytałem. - Toż to wygląda na suche koryto rzeki.
- I tak jest w istocie. W porze deszczowej spada z gór olbrzymia masa wody, która nie może się pomieścić w Rio Salado i szuka sobie ujścia w nadrzecznych zagłębieniach gruntu, tworząc rozliczne ramiona i odnogi. Potem woda z tych wyżłobień odpływa i wysychają one zupełnie. Otóż to zagłębienie, w którym się teraz znajdujemy, prowadzi aż do krzyża.
- Czy można tędy przejechać wozem?
- Na pewno. Jest to zresztą jedyna droga do krzyża.
- A nie spotkamy się, jadąc tędy z sendadorem?
- On jeszcze znajduje się poza nami.
- To się dobrze składa. Czy daleko stąd jeszcze na miejsce?
- Będziemy tam za trzy kwadranse.
- Chciałbym dobrze rozpatrzeć się wśród okolicy, co jest konieczne na wypadek, gdyby przyszło do walki. Pierwszą rzeczą w takich okolicznościach, aby się nie narazić na przegraną, jest poznanie terenu.
- Znam doskonale te strony i mogę dać panu pewne wskazówki.

Zdaje mi się, że tu kiedyś przed laty stał klasztor, a może zamek, jak o tym świadczą pozostałe szczątki murów. Odkryłem nawet wejście do obszernych podziemi.

- W takim razie mury te wzniesli biali, gdyż Indianie nie stawiają przecież zamków. Czy ruiny owe znajdują się na równinie?
- Nie, na wyniosłym wzgórzu, okrążonym przez wyschłe koryto rzeki, na którego brzegach rosną drzewa i krzaki. Powyżej ruin, na samym szczycie wzgórza, stoi „krzyż puszczy”.
- Czy droga ta prowadzi aż do samych ruin?
- Nie.
- A więc sendador, zanim podąży na wzgórze, musi zatrzymać się gdzieś w pobliżu dla połączenia się z bandą Indian, którzy będą go zapewne oczekiwali w ukryciu. Przecież oni nie wiedzą jeszcze, czy sendadorowi udało się wyprowadzić w pole, a właściwie na tę wyspę, tych

dwudziestu ludzi z karawany osadników.

- Ma pan słusność i jestem pewny, że Indianie ukryli się w podziemiach ruin. A ponieważ leżą one w bók od drogi, więc ta dzika banda czuje się zupełnie bezpieczna w swym schronieniu i być może nawet nie ustawiła straży.

- Jaki jest rozkład tych podziemi?

- Obejmują one dosyć obszerną przestrzeń, która może pomieścić ze dwustu ludzi. Wejście do podziemi jest tylko jedno i to nie bardzo wygodne, bo schody są już w znacznej części zrujnowane. Sklepienie zachowało się jeszcze prawie w całości i są w nim tylko dwa wyłomy. Sądzę jednak, że przez te wyłomy nikt z dołu nie mógłby się wydostać na zewnątrz.

- Byłaby to dla nas bardzo dogodna okoliczność, gdyby Indianie ukryli się w tej właśnie jaskini. Może to zresztą stała ich kryjówka i mają tam jakieś sprzęty. Zetknięcie się z nimi w otwartym polu byłoby dla nas mniej korzystne ze względu na zatrute strzały... Zresztą wolałbym uniknąć rozlewu krwi.

Wyschłe wgłębienie, którym posuwaliśmy się od przeszło godziny, stanowiło istotnie drogę dosyć wygodną. Wkrótce Pena oznajmił nam, że wzgórze z ruinami znajduje się o pięćset kroków, więc zatrzymaliśmy się i towarzysze nasi schowali się pod drzewami, a ja z Peną poszliśmy zbadać teren, oczywiście zachowując wielką ostrożność i stągając jak najciszej, co zresztą nie było trudne, gdyż w łożysku rzeczonym nie było kamieni.

Noc była cicha i zdawało się, że słyszemy własne oddechy. Posuwając się naprzód, myślałem tylko o tym, że lada chwila z ukrycia może wylecieć bezgłośna strzała, niosąc mi na swym ostrzu śmierć, jak piorun niemal szybko. A można było się tego spodziewać, jeżeli Indianie rozstawili czaty. Na szczęście zaniedbali tego, bo bez żadnych przeszkód dotarliśmy aż do stóp wzgórza, a następnie zaczęliśmy się wspinać na czworakach wśród krzaków i zarośli na jego zbocze. Wkrótce dostrzegliśmy przed sobą polankę, a dalej leżące w gruzach stare mury klasztoru.

- Z której strony znajduje się wejście do podziemi? - zapytałem szeptem towarzysza.

- Tu zaraz na prawo.

- Czy wśród ruin są jakieś dziedzińce?

- Kilka, ale dostępny jest tylko pierwszy; inne zawałone są usypiskami.

- Więc można się dostać do podziemi tędy?

- Tak. Prosto i na prawo.

- Chodźmy zatem... ale ostrożnie!

Chwycił mnie za rękę i chyłkiem podążyliśmy naprzód. Niebawem rozpoznaliśmy miejsce, w którym ongi była brama. Jeżeli Indianie rozstawili wśród ruin czaty, to tu właśnie należało kogoś oczekiwać. Okazało się jednak, że nie byli na tyle przezorni i nie spotkaliśmy tu żywej duszy.

Przedostawszy się przez wyłom, znaleźliśmy się w obszernym dziedzińcu, który dokoła otaczały zwaliska. Wprost nas widać było wśród nich jaśniejącą smugę, jakby ukrytego gdzieś w głębi światła i poczuliśmy woń pieczonego mięsa.

- Tam właśnie jest wejście do podziemi - objaśnił mnie Pena, wskazując w kierunku jasnej smugi. - Indianie zajęci są praw-dopodobnie przyrządzaniem wieczerzy.
- W którym miejscu znajdują się otwory w sklepieniu, o których pan poprzednio wspominał?
- Jeden jest po prawej, a drugi po lewej stronie.
- Pójdziemy tam; może nam się uda zajrzeć do środka.

Podsunęliśmy się aż do samego wejścia, ale i tu nie było nikogo. Zajrzałem w głąb i zobaczyłem oświetlony od rozpalonego w pod-ziemiach ogniska głęboki loch, prowadzący do środka i zavalony gruzem. Nie można jednak było tędy dostać się do wnętrza podziemia bo gruz, usuwający się spod nóg, zdradziłby nas natychmiast. Po- stanowiliśmy tedy dostać się do jednego z otworów w sklepieniu. Popełziliśmy więc z niesłychaną ostrożnością, jak węże, ku owemu otworowi i zajrzeliśmy do środka. Niestety jednak dym, wydostający się otworem, nie pozwolił nam nic dostrzec i tylko z głosów wywnios-kowałem, że w podziemiu było bardzo wielu ludzi.

- Co teraz? - zapytał Pena, gdyśmy się cofnęli.
- Wróć pan do naszych towarzyszy i każ im ukryć dobrze konie, a następnie przybyć tutaj.
- A co pan będzie robił tymczasem?
- Stanę u wejścia.
- Panie, nie radzę się narażać! To ogromnie niebezpieczne!
- Bynajmniej. Czerwonoskórzy siedzą spokojnie, jak myszy w no-rze.
- Ba, ale gdyby który z nich wylazł?
- W takim razie przywitam go szcztukiem w nos, od którego uspokoi się na chwilę.
- A jeżeli wyleżą wszyscy?
- Wszyscy od razu wyjść tędy nie mogą, bo wejście jest zbyt wąskie

33 i zmieści się w nim tylko dwóch ludzi naraz. W takim wypadku utrzymałbym ich w szachu lufami swych rewolwerów.

- No, dobrze. Przybędziemy tu szybko.

- Nie potrzebujecie nawet zachowywać wielkiej ostrożności, bo w pobliżu nie ma nikogo. Sprawcie się szybko, aby być tu jak najprędzej. Czekam.

Odszedł, a ja usiadłem tuż u wejścia z silnym postanowieniem niewypuszczenia z podziemia nikogo, gdyby się kto chciał z niego wydostać. W głębi słychać było pomieszane głosy, zlewające się w jeden gwar, tak, że nic nie można było zrozumieć. Zresztą nie znałem narzecza tego szczepu, więc nawet nie usiłowałem podsłuchać rozmów i zwracałem uwagę tylko na to, czy nie doleczą mnie jakie szmery od wyjścia. Jakoż w niespełna dziesięć minut posłyszałem staczające się kamyki: ktoś począł wdrapywać się do góry. Ponieważ miejsce to było oświetlone od płonącego wewnątrz ogniska, więc postać wychodzącego-go mogłem widzieć dokładnie. Był nim Gomez. Jednym rzutem oka stwierdziłem, że miał przy sobie tylko nóż. Zaczaiłem się pod murem i gdy Gomez, wdrapawszy się na wierzch, począł nadśłuchiwać, a następnie zamierzał wrócić do wnętrza, szepnąłem:

- Gomez!

- Kto to? - zapytał.

- Sendador.

- Już? Sprawiliście się tak prędko? Gdzie znajdują się kobiety i dzieci?

- U dołu na wozach.

- A więc stało się istotnie tak, jak...

- Urwał zdanie, gdyż zbliżyłem się do niego na taką odległość, iż mógł poznać, że to nie sendador.

- Któż to?... - szepnął tylko i zamierzał zawrócić do nory,, gdy nagle chwyciłem go prawą ręką za gardło, by nie mógł krzyczeć, lewą zaś wyjąłem mu nóż zza pasa.

Gomez był dosyć słaby, więc nie dziw, że w moich silnych rękach ugiął się do ziemi, ja zaś, nie tracąc czasu, przyłożyłem mu nóż do piersi i zagroziłem: - Jedno głośniejsze słowo, a zginiesz!

- Będę milll... - wykrztusił z trudnością, bo mu tchu brakowało.

- No dobrze. Mogę więc pozwolić ci na odetchnięcie, ale ostrze-gam raz jeszcze, że nie żartuję! Proszę dać ręce w tył!

Indianin posłuchał bez wahania, a gdy się nachyliłem nad nim, by związać mu ręce, szepnął:

- Sennor! Ach, to sennor!...
- Powiedziałem ci przecież, że przybędę tutaj.
- Tak, tak... Skoro pan tu jest, to wszystko na nic! Jesteśmy zgubieni!
- Co rozumiesz pod słowem „wszystko”?
- Coś, o czym ~an dowiedzieć się nie powinien.
- Słusznie, ale gdybym tak na przykład wiedział już o tym „wszystkim”?
- To niemożliwe!...

Pociągnąłem go za sobą wstecz w miejsce, skąd można było mieć na oku wejście do podziemia, związałem mu nogi i usiadłem koło niego.

- Dlaczego pan się wziął na mnie? - zapytał po chwili. - Co pan chce ze mną uczynić?
- Będzie to zależało od tego, jak się względem nas zachowasz.
- Więc nie jest pan tu sam?
- Jeżeli rad będziesz zobaczyć się z moimi towarzyszami, to uczynię ci tę przyjemność. Ale poza tym nie mam już dla ciebie żadnych względów. Nie licz już na naszą przyjaźń.
- Cóżem wam złego uczynił?
- Po pierwsze zbiegłeś od nas...
- Musiałem, sennor.
- Musiałeś? Z jakiego powodu?,
- To moja tajemnica.
- Którą jednak znam doskonale. Powiedziałem ci przecież w Pal-mar, że postaram się przeszkodzić waszym knowaniom. Zwabiliście podstępnie na wyspę dwudziestu ludzi, by tam zginęli straszną śmiercią, a teraz zamierzacie zabrać do niewoli kobiety i dzieci.

- Kto to powiedział?

- Sam to powiedziałaś do sendadora.

- Nieprawda!

- Proszę nie zaprzeczać, bo wykręty nic ci nie pomogą. Słyszano każde twoje słowo. Domyślasz się zapewne, wybraliśmy się natychmiast z Palmar w celu udaremnienia waszych planów. Wspomniałaś sam zresztą o tym wobec sendadora!

- Jak to? Więc i to nawet jest panu wiadome!

- Jak widzisz. Oczywiście postaraliśmy się najpierw o wyratowa-

35 nie owych dwudziestu, co nam się udało tym lepiej, że sendador był tak głupi, że zostawił u brzegu tratwę... No, i koniec końców jesteśmy tutaj, aby wam przeszkodzić w projektowanym napadzie na bezbronne kobiety i dzieci.

W tej chwili dały się słyszeć od zbocza góry liczne kroki.

- Otóż doczekałaś się - rzekłem. - Idą już moi towarzysze, których byłeś ciekawy.

Istotnie byli to moi towarzysze. Dowiedziawszy się, kogo złowiłem, domagali się by go wychłostać, zwłaszcza ci, których wydobyliśmy z wyspy, bo chcieli się zemścić w ten sposób. Udało mi się jednak, choć nie bez trudu, powstrzymać ich zapędy i wytłumaczyć, że lepiej będzie, gdy postąpimy z jeńcami łagodnie, niżbyśmy mieli się narażać na zemstę całego szczepu.

- Ba! A co uczynimy z tymi ludźmi, których mamy już niemal w naszym ręku? - zapytał jeden, wskazując w kierunku podziemia.

- Zobaczy pan. Ja uratowałem wam życie i mam teraz prawo do pokierowania wszystkim tak, jak mi się podoba. Zawrzemy z In-dianami pokój, który przede wszystkim jest pożądanym dla was. Po krótkiej naradzie zgodzili się na to. Wówczas rozwiązałem Gomeza i rzekłem mu:

- Proszę mnie posłuchać i wziąć co powiem, pod rozwagę.

Żadnemu z was nic złego się nie stanie, ale pod warunkiem... Tu Gomez odetchnął głęboko, wyprostował się i zapytał: - Pod jakim warunkiem?

- Udasz się zaraz do swoich ludzi. Ilu ich tam jest?

- Sześćdziesięciu.

- Powiesz im, że jest nas tutaj trzydziestu, dobrze uzbrojonych i że w razie, gdyby ktokolwiek chciał się wydobyć z podziemia bez naszego zezwolenia, zaczniemy strzelać. Jutro rano będziecie mogli oddalić się spokojnie, dokąd się wam spodoba. Ale najpierw musicie zawrzeć pokój z tymi ludźmi, którzy przybyli tu na osiedlenie. Czy powiesz to swoim?

- Powiem, ale musi pan przyrzec, że dotrzyma pan słowa.

- Ja nigdy nie kłamię. Gomez! Proszę odejść. A jeżeli będę czegoś potrzebował, to zawołam.

Gomez oddalił się skwapliwie, widocznie rad, że udało mu się tak łatwo wydostać z matni. Niektórzy z osadników sarkali na moją łagodność i dopiero brat Hilario uspokoił ich ostatecznie.

Dwóch z nas pozostało na straży przy koniach, a reszta ulokowała się obok wejścia do podziemia. Ja zaś ze sternikiem wróciłem do wyłomu w murach, by czekać tam na sendadora. Na towarzysza wybrałem sobie Larsena, bo mógł być wielce pożyteczny w razie zmierzenia się z sendadorem. Ukryci w ruinach oczekiwaliśmy niezbyt długo. Po upływie paru minut usłyszeliśmy w pobliżu wzgórza głośnie skrzypie-nie wozów i głosy kóbiety oraz poganiaczy. Krzatali się zapewne w celu rozłożenia obozu, gdyż wkrótce zapłonęło u stóp wzgórza wielkie ognisko.

- A więc niebawem można się spodziewać i sendadora - zauważył sternik. - Cieszę się, że będę miał sposobność pokazania swej siły.

- Tylko niechże mu pan żeber nie połamie, gdyż wiadomo panu, że go potrzebujemy. A teraz cicho!

Po niedługim czasie usłyszeliśmy kroki, a po chwili ukazała się obok ruin wysmukła i chuda postać sendadora. Nie zadawał sobie trudu z zachowywaniem ostrożności, gdyż czuł się tutaj zapewne bezpieczny; przy tym musiał znać dokładnie miejsce, bo zbliżył się wprost do wyłomu w ruinach.

Wstałem nagle z miejsca i stanąłem przed nim.

- Carramba! - zaklął, cofając się krok wstecz. - Po kiego licha, Gomez tak nagle wyłazisz spod ziemi? To może nawet najodważniej-szego wyprowadzić z równowagi. Są twoi ludzie?

Wziął mnie za Gomeza, gdyż w mroku na tle szarego muru ruin nie mógł mnie poznać.

Na to pytanie, naśladując Indianina, odpowiedziałem na pół szep-tem: - Są tam, sennor! - i wskazałem w kierunku podziemi.

- Idę więc, by wydać odpowiednie rozkazy. Wszystko udało się znakomicie. Mężczyźni z ekspedycji są już na wyspie i wnet pożrą ich aligatory, kobiety zaś nie domyślają się niczego, bo wmówiłem w nie, że ich mężowie udali się naprzód. Będziecie mieli znakomitą zdobycz i spodziewam się, że to ocenicie.

- Owszem, ocenimy i to zaraz.

Zdanie to wypowiedziałem już własnym głosem, a zagadnięty, nie poznawszy mnie jeszcze widocznie, rzekł gniewnie: - Cóż to znowu za żart, Gomez? - Po czym, wpatrując mi się w twarz,

zapytał: - Któryż to z was?

- To jestem ja, sennor Sabuco!

- Kto taki?

- Nie Indianin; lecz biały.

W tej chwili Larsen stanął tuż poza nim, gotów na każde moje skinienie.

- Mówić mi natychmiast, z kim mam do czynienia, bo inaczej...

- Proszę schować nóż - odrzekłem. - Oczekuję pana tutaj w uczciwych zamiarach.

- Przede wszystkim mam ukłony dla pana od dwudziestu ludzi, których pan wydał na śmierć głodową na odludnej wyspie. Ludzie ci znajdują się tutaj i mają zamiar podziękować panu za dobre względem nich zamiary.

- Niechże cię diabli porwą! - zawarczał sendador, szybkim ruchem wyciągnąwszy nóż zza pasa.
- Masz tu nagrodę za tę miłą dla mnie nowinę - wrzasnął i wymierzył cios nożem... w powietrze, gdyż Larsen chwycił go z tyłu i uniósł do góry.

Sendador ze ściśniętych żyłastymi rękami piersi nie mógł wydać nawet jęku i tylko nogami, jak w konwulsjach, począł rzucać w powietrze.

- Co mam uczynić z tym padłem? - spytał mnie Larsen.

- Zwiążemy go i zaniesiemy do tamtych.

- Po co wiązać? Ja go i bez tego dostawię na miejsce. Z moich objęć się nie~wydostanie.

Zgodziłem się na to. Odebrałem sendadorowi karabin, nóż i rewolwer, a Larsen postawiwszy draba na ziemi, chwycił go za kark i rozkazał:

- Marsz naprzód! A jeśli pan będzie się sprzeciwiał, ukrećę panu głowę, jak pisklęciu!

Groźba ta bynajmniej nie wyglądała na żarty. Sternik trzymał draba tak silnie, że mógł go poprowadzić bez żadnego oporu aż na miejsce, gdzie znajdowali się nasi. Kiedy znaleźliśmy się wśród nich, Harrico krzyknął: - Dajcie mi tu tego gałgana, niech się z nim rozprawię!

- Zaraz, zaraz - odrzekłem. - Przede wszystkim trzeba go skępować i rozpalić ogień. Niech

widzi, z kim ma do czynienia. Nie zwlekając, towarzysze moi skrzepowali jeńca tak, że nie mógł się nawet poruszyć, a inni nazbierali suchych gałęzi i rozpalili ognisko. Gdy płomień buchnął, mogłem przypatrzeć się twarzy sendadora. Ostre jej, nieregularne rysy zaznaczył wyraz jakby zdziwienia, nie zaś poczucia jakiegokolwiek winy. Spoglądał czas jakiś po wszystkich ponuro, a wreszcie przemówił:

- Ależ, panowie, nie pojmuję dlaczego obchodzicie się ze mną, jak ze zbrodniarzem! Ja przecież nic nie jestem winien. To jakaś przykra pomyłka!

I na swoje usprawiedliwienie począł zmyślać najrozmaitsze kłamstwa, a nawet powołał się na Montesa, który jednak, przekonawszy się już dowodnie o wartości moralnej tego człowieka, rzekł: - Proszę się nie powoływać na mnie, bo ja wcale nie myślę stawać w obronie przewrotnego człowieka.

- Jak to? I pan? I pan przeciwko mnie? Więc wszyscy już uwzięli się na mnie?

- Proszę nie udawać niewinnego! Znane nam są pańskie sprawy i mamy w rękach dowody. Przykro mi, że swego przyjaciela muszę uważać za mordercę, ale, niestety, na to nie ma żadnej rady. Pod-słuchano pańską rozmowę z Gomezem.

Drab należał do najzatatwardzialszych grzeszników, wyzuty z uczciwości i sumienia, a przy tym zachowywał się bezczelnie, szamocząc się i wymyślając. Wreszcie było już tego dosyć i zabrał głos Pena:

- Słuchaj no, drabie! Tym, który cię podsłuchał, jestem ja! Jeżeli tedy wypierasz się winy, to zadajesz mi kłam, co oczywiście jest dla mnie obrazą, której nie zniosę!

- Cóż jesteś za jeden, że śmiesz przemawiać przez „ty” do mnie?

- Nazywam się Pena de Cascarillero... Sądzę jednak, że poznasz łatwiej tę oto osobę duchowną
- i wskazał na braciszka.

- Brat Jaguar! - mruknął sendador, spojrzawszy z ukosa na mnicha.

- Tak jest. Człowiek ten nie da sobie w kaszę dmuchać... Wreszcie jeszcze jedną osobę ci przedstawię, której nazwisko również nie jest ci obce. Wspomniałeś je nawet przed Gomezem...

Skrepowany zwrócił teraz swój wzrok na mnie i po krótkiej chwili zapytał: = Cudzoziemiec?

- Tak. Nie łudź się, jakobyś mógł podejść go i oszukać w czymkol-wiek. Ale, ale! Jest tu jeszcze jeden człowiek, który koniecznie chciał cię poznać. Znasz go? - dodał, wskazując Gomarę.

- Nie mam przyjemności - odrzekł sendador.

- Mniejsza o to. Ale ja muszę rozmówić się z panem - ozwał się Gomarra.

- Proszę zaczekać - wtrąciłem.

- Nie! Niech wie, z kim ma do czynienia.
- Zaszkozi pan całej sprawie...
- Zaszkożę? - przerwał mi. - Nie, panie! Muszę oznajmić temu potworowi, co czuję dla niego i czego się ma spodziewać ode mnie.
- A zwróciwszy się do sendadora, rzekł: - A więc przypominasz pan sobie, żeś mnie kiedyś widział?
- To możliwe.
- Na przykład w Pampa de Salinas... Znasz pan , tamte okolice i wiesz zapewne, że popełniono tam swojego czasu ohydłą zbrodnię.
- Co mnie to może obchodzić? - mruknął zagadnięty z widoczną niechęcią.
- Owszem, powinno to pana obchodzić, gdyż właśnie pan jesteś owym mordercą, a zamordowany był moim bratem.
- Ja? Pański brat? Przyśniło się panu... Nie znam ani pana, ani pańskiego brata!
- Niech pan sobie przypomni... Chciał pan zakopać w ziemi kipu i widział to mój brat...
- Skąd pan wie o tym?
- Słyszysz pan, że wiem i to powinno panu wystarczyć. Kipu znajdowało się w butelce... Zamordowałeś człowieka, który pana podpatrzył przy zakopywaniu butelki, a potem ukryłeś to gdzie indziej i często później tam zaglądałeś...
- Nic o tym nie wiem...
- To zaprzeczenie jest bezczelnością! Brat mój przed śmiercią powiedział mi wszystko. Czatowałem później na pana przez długie czasy, niestety nadaremnie. No, ale nareszcie, dzięki Bogu, mam pana w swoich rękach i pomszczę śmierć brata...

Sendador udał obrażonego tymi zarzutami i począł uniewinniać się innym już sposobem:

- Myli się pan. To musiał być ktoś inny, nie ja!
- Wcale się nie mylę i proszę nawet nie zadawać sobie trudu z wykrętami. Raczej byś pan się

pomodlił i poprosił o pociechę religijną brata Hilaria, bo zbliża się twój koniec. Przysięgłem bowiem, że zastrzelę mordercę za pierwszym spotkaniem, a że spotkałem go właśnie, więc teraz pozostaje mi tylko dotrzymać przysięgi. I z tą groźbą odwrócił się od niego, jakby mu ból sprawiało samo patrzeć na zbrodniarza.

Gomarra gadatliwością swoją popsuł mi niebacznie wszystkie plany.

Sendador nie powinien dowiedzieć się, że między nami jest ktoś, kto pragnie pomścić na nim śmierć drogiej sobie osoby, bo z chwilą gdy się o tym dowiedział, nie mógł nas już prowadzić do Słonego Jeziora. A przyznam się, że byłem bardzo ciekaw zobaczyć kipu i rysunki, dotyczące skarbów.

- Przeczy pan wszystkiemu z niesłychanym uporem - ozwał się. - Ale, niestety, na wszystko mamy niezbite dowody, i wykluczone jest, ażeby pan mógł wyłgać się w jakikolwiek sposób.
- Czego znów pan chce ode mnie? - odparł, obrzucając mnie lekceważącym spojrzeniem. - Nie znam pana. Jest pan zresztą tutaj zupełnie obcy...
- No tak. Ale znana mi jest dokładnie pańska osoba.
- To szczególne!
- Przede wszystkim powiem panu, że było bardzo wielką głupotą z pańskiej strony wypierać się porozumienia z Indianami. Otwarte przyznanie się nie pogorszyłoby pańskiego położenia.
- Ja nigdy nie kłamię.
- Ba, ale Gomez wyznał nam wszystko!
- Gomez? W jaki sposób?
- Otóż już przez to samo zapytanie zdradził się pan w zupełności.

Gomez oczywiście czekał tutaj na pana, ponieważ przybyliśmy tu wcześniej, udało się nam pochwycić go i wymusić na nim zeznania.

- Schwytałicie go? - krzyknął przerażony, rzucając się jak ryba wyjęta z wody.
- Tak jest.
- A gdzie są Indianie?
- No, nareszcie podniósł pan przyłbicę. Pytasz o Indian i przez to przyznajesz się do wszystkiego, czemu przedtem zaprzeczałeś.
- Niech pan sobie myśli, co mu się podoba. Ja bym rad wiedzieć, gdzie są Indianie?
- Niech się pan uspokoi. Siedzą spokojnie w podziemiach. Mamy ich w pułapce. Gomez

również znajduje się między nimi.

- I przyznał się do wszystkiego?

- Był rozsądniejszy niż pan, gdy spostrzegł, że kłamstwo na nic się nie przyda i powiedział prawdę. Byłby nałożył głowę, a tak nie tylko jemu, ale i wszystkim Indianom, którzy tu siedzą, postanowiłem darować życie.

- Taak? To ich pan ułaskawia, a mnie nie? Jest to sprawiedliwe?

- Owszem, zupełnie sprawiedliwe. Indianie w gruncie rzeczy mają słuszość, jeżeli bronią swej ziemi. Ale że pan, człowiek rasy białej, sprzysięgasz się przeciw współtowarzyszom, to już jest zbrodnią nie do darowania i gdyby pan nie miał żadnej innej winy na sumieniu, tylko tę jedną, wystarczy już ona najzupełniej, aby pana ukarać śmiercią.

- Jakież to mają być zbrodnie, te inne? - zapytał drwiąco.

- Widocznie wedle pańskiego zdania, jestem największym łotrem na świecie?

- Tak jest w istocie.

- Czy mogę spytać, co pan wie o tym?

- Może pan. Ja natomiast rad bym się dowiedzieć, gdzie został pogrzebany stary mnich, któremu pan odebrał kipu i rysunki? Zapytany szarpnął się tak silnie, że mimo więzów usiadł i patrząc na mnie obłąkanymi oczyma, zapytał:

- O jakim mnichu pan mówi?

- O tym, którego pan zamordował, by zdobyć na nim wspomniane przedmioty.

- Znowu morderstwo, o którym nie mam najmniejszego pojęcia.

Na te słowa zbliżył się do sendadora jeden z tych, których zwabił na wyspę, i zgromił go:

- Milcz, łotrze! Najstosowniejszym dla ciebie wymiarem sprawiedliwości będzie stryczek. Przekonamy się tylko, czy nie stała się jaka krzywda naszym kobietom. Jeżeli je skrzywdziłeś, biada ci, zbrodniarzu!

- Otóż to! - wtrącił drugi. - Trzeba zobaczyć, co się tam dzieje z kobietami i dziećmi. Łotr musi zginąć, tak czy owak. Na te słowa ruszyli wszyscy do obozowiska. Pomimo, że zwróciłem im uwagę, iż trzeba strzec sendadora oraz wejścia do podziemia, udało mi się zatrzymać przy sobie jedynie yerbaterów. Mówiąc nawiasem, dla strzeżenia podziemia wystarczyliśmy najzupełniej, a nawet rad byłem, że ci, co chcieli ukarać sendadora śmiercią, oddalili się. Miałem nadzieję, że tymczasem ochłoną z pragnienia zemsty, a było to dla mnie pożądane, bo uśmiercenie tego łotra żadnej nam korzyści przynieść nie mogło, tylko szkodę. Liczyłem na to, że będzie nam pomocny w podróży, a przy tym, ściśle biorąc, w niczym przeciwko nam nie zawinił. Tego samego zdania był widocznie i Monteso, który szepnął do mnie tak, aby sendador nie słyszał jego słów:

- Dobrze, że sobie poszli. Jak pan sądzi: czy można dopuścić, aby powiesili sendadora?
- Ja osobiście jestem przeciwny temu.
- I ja również, jak i moi towarzysze. Idzie nam przecież o rysunki i o kipu.
- Ba, ale czy nam się uda przeszkodzić tym ludziom w wykonaniu zemsty?
- Obawiam się, że będzie to bardzo trudne.
- Jedynym wyjściem dla nas byłaby chytrność, gdyż protesty nasze ani prośby nie pomogą. Sądzę zatem, że dobrze będzie, gdy mu ułatwimy ucieczkę.
- Niezła myśl. Ale co potem?
- Potem będzie oczekiwał na nas w umówionym miejscu. Przypuszczam, że dotrzyma słowa.
- Powinien! Przecież jemu zależy na panu, bo się spodziewa, że pan odcyfruje jego dokumenty, dotyczące skarbów. Może ja bym z nim pogadał?
- Dobrze.

Sendador podczas naszej rozmowy nasłuchiwał w kierunku pod-ziemi, jakby wyczekując stamtąd pomocy, co zresztą było zupełnie usprawiedliwione. Yerbatero podszedł do niego i rzekł: - Bardzo mi przykro, sennor Sabuco, że najniespodziewaniej dla mnie okazałeś się zbrodniarzem. Może jednak skruszy się pan i wyzna dobrowolnie całą prawdę.

- Czego pan chce ode mnie? Mnie jeszcze bardziej przykro, że stary mój przyjaciel wierzy podobnym bredniom.
- Otóż ja, jako stary pański przyjaciel, twierdzę, że nic pan nie zyska na wykrętach i kłamstwie; przeciwnie, szczerść mogłaby panu wiele pomóc.

Sendador spojrział na nas badawczo, po czym zapytał: - Od tamtych nie spodziewam się niczego dobrego... Co do was jednak, sądzę, że bylibyście zdolni udzielić mi pomocy.

- Owszern, ale musi się pan przyznać.
- I co wam z tego przyjdzie?

- Bardzo wiele, bo mógłby pan przez to pozyskać nasze zaufanie.
- Cóż mi pomoże wasze zaufanie?
- Przecież wiadomo panu, że przybyliśmy umyślnie tutaj, aby pana odszukać. 44
- We wrogich zamiarach... Dziękuję.
- Bynajmniej. Ja sam, spotkawszy tego cudzoziemca w Mon-tevideo, prosiłem go, by mi pomógł w odszukaniu skarbów.
- Czyż on rozumie się na rysunkach?
- Owszem, może nawet potrafi odcyfrować kipu.
- Jakie kipu? Skąd pan wie o tym?
- Proszę sobie przypomnieć, ale szybko, bo lada chwila powrócą tu pańscy wrogowie. Byliśmy długie lata przyjaciółmi i obecnie przybyłem tu jako pański przyjaciel, nie zaś wróg. Chce pan być szczery czy nie?
- Po co mam się śpieszyć? Jestem wprawdzie związany, ale mimo to nie boję się niczego i nikogo.
- Przecież tamci ludzie chcą panu odebrać życie...
- Rozmyślą się. Nie boję się ich wcale. Skoro jednak ofiaruje mi pan pomoc, byłbym głupi, gdybym z niej nie skorzystał, tym bardziej, że znalazł się wreszcie człowiek, jakiego poszukiwałem przez całe lata. Sądząc z tego, co wiem o nim od Gomeza, jest to człowiek wcale niezwykły.
- A więc przyznaje się pan, że mówiliście o mnie z Gomezem?
- wmieszałem się do rozmowy.
- Niby tak.
- I stwierdza pan tym samym wszystko inne.
- O, za pozwoleniem! Zresztą obojętne mi jest czy pan mnie uważasz za winnego, czy niewinnego. Podoba mi się pan i dlatego będę _szczery. Czy byłby pan skłonny przedsięwziąć podróż w góry nawet wówczas, gdyby się pan niezbitnie przekonał o mojej winie?
- Wszak nie mogę być pańskim sędzią.
- Mądre, bardzo mądre słowa!

- Tylko proszę, nie tłumacz pan sobie tego niewłaściwie. Nie jest dla mnie obojętne, z kim mam do czynienia: ze zbrodniarzem, czy też z człowiekiem uczciwym. Za przewinienie kara pana nie minie, o tym nie wątpię, bo chociażbyś uszedł zemsty owych dwudziestu ludzi, pozostaje jeszcze Gomarra.

- Sądzę, że nie zabierze go pan ze sobą.

- No, nie. Ale on z pewnością podąży za nami i będzie pana prześladował.

- O to nie ma obawy. Już ja znajdę sposób zatarcia śladów za sobą.

Czy jednak on zna miejsce, w którym ukryta jest butelka ze sznurkami?

- Owszem, wie o nim dokładnie. A rysunki owe ma pan może przy sobie?
- O, nie, sennor. Takich rzeczy nie nosi się ze sobą. Ukryłem je w dobrym miejscu i mam nadzieję, że będę mógł zaspokoić pańską ciekawość, tylko... obecnie idzie o to, czy pan naprawdę chce dopomóc mi w ucieczce i nie ma względem mnie jakichś ukrytych planów. Chociaż... nie sądź pan, abym był wobec was zupełnie bezsilny...
- Jeżeli pana zapewniam, że nic złego panu nie uczynię, to powinno wystarczyć.
- No, dobrze! Najlepiej wypuśćcie mnie natychmiast.
- Tak otwarcie ze względu na tamtych ludzi i na Gomarę postępować nie możemy. Rozluźnię panu tylko rzemienie na rękach, a potem poddam tamtym ludziom myśl, aby zaprowadzili pana do swego obozu. Zgodzą się na to, przy czym rozwiążą panu nogi i poprowadzą. A wówczas...
- Wspaniale! Proszę więc rozluźnić mi więzy.
- Ba, ale jeszcze jeden warunek. Gdzie pana odnajdziemy?
- Jutro rano jedźcie z powrotem tym samym wężozem, którym przybyliście tutaj, a ja was spostrzegę i przyłączę się.
- Proszę tylko nie wyprowadzić nas w pole, sennor Sabuco.
- Co też pan mówi? Przecież w moim własnym interesie leży odczytanie dokumentów, które posiadam.
- Dobrze. Rozluźnię więc panu rzemienie, ale nawet potem, gdy już pan ucieknie, rzemienie muszą zostać na rękach, aby w razie pojmania pana nie domyślili się, że panu dopomogliśmy w ucieczce.
- Zastosuję się do tego.
- Ale co pan zrobi bez broni i konia?
- Na razie nie są mi potrzebne, a później znajdzie się wszystko.

Proszę się zbytnio o mnie nie troszczyć.

- Przyrzeka więc pan, że nie przedsięwzięcie przeciw nam nic wrogiego?

- Przyrzekam. Zresztą zaszkodziłbym tym chyba najwięcej same-mu sobie.

Rozwiązałem rzemień na jego rękach, on zaś rzekł: - Dziękuję, sennor, i tuszę sobie, że uczynił pan to bez jakichś ukrytych zamiarów. Ponieważ zaś nie znałem pana dotychczas, rad bym bodaj cokolwiek usłyszeć...

- Dowie się pan później.

- Mamy przecież dość czasu zanim ci osadnicy wrócą tutaj.
- Proszę się zwrócić do Montesa; on panu powie.

Yerbatero począł mu opowiadać nasze przygody, lecz nie dokończył, gdyż wkrótce wrócili osadnicy i natarczywie poczęli się domagać, abym zezwolił na ukaranie sendadora przez powieszenie. Oczywiście sprzeciwiłem się temu, zarówno jak i brat Hilario oraz yerbaterowie. Turnerstick i Larsen zrzekli się udziału w tej sprawie. Rozumie się, że wobec takiego rozdwojenia powstały gwałtowne sprzeczki, więc poradziłem, aby utworzono coś w rodzaju sądu, mianowicie, aby jedna i druga strona wydelegowała mówców, tj. oskarżycieli i obrońców, a następnie, aby przez głosowanie ogólne postanowiono, jak ostatecznie w tej sprawie postąpić. Gomarra jakby odgadł moje życzenie i postawił wniosek, aby sendadora zaprowadzono do obozu i tam w obecności kobiet niechby się odbył formalny sąd.

- Tak, ale przecież kilku z was musi tu zostać - rzekłem - gdyż musimy dopilnować, aby nam Indianie nie uciekli. Może więc będzie dobrze, gdy ja zostanę tutaj z yerbaterami, a wy odprowadzicie sendadora do obozu. Ale pamiętajcie, że nas siedmiu sprzeciwia się zasądzeniu go na śmierć.
- A któż będzie przemawiał w imieniu waszej partii? - zapytał Gomarra.
- Brat Hilario.
- Dobrze, więc chodźmy! - odrzekł i pochylił się nad jeńcem, by mu rozwiązać nogi, po czym obejrzał rzemienie na rękach i na szczęście nie zauważył, że są rozluźnione.

Wzięli go następnie między siebie i poprowadzili ze wzgórza w stronę obozowiska - ich zdaniem na śmierć, moim zaś na wolność. Po chwili rozległy się w ciemności krzyki i wołania: „Łapaj, trzymaj”, a po zboczu wzgórza potoczyły się z łoskotem kamienie i zaszleściły krzaki. Zgiełk powstał nie do opisanego.

- Umknął - zauważył Monteso.
- No, gdyby nie umiał wykorzystać tak świetnej sposobności wart byłby batów.

Wkrótce nadbiegł Gomarra, a za nim brat Hilario.

- Łotr umknął, sennor! - krzyknął pierwszy, zziębnięty i do najwyższego stopnia wzburzony. 47

- Taak? A wy, wy... jakżeście mogli do tego dopuścić! Jak to było?

W którą stronę uciekł?

- Skąd możemy wiedzieć? Przecież ciemno, choć oko wykol.

- Można było słyszeć jego kroki,

- Gdzie tam! W takim zgiełku?...

- Po cóż więc czyniliście zgiełk!

- No, tak. Ale przyzna pan, że to oburzające! Trudno w takim wypadku zachować spokój... Uciekł,.. i wszystko już przepadło!

Pobiegł znów na dół, a brat Hilario usiadł koło nas i rzekł po chwili:

- Może i lepiej, że uciekł. Nie mamy przecież prawa wymierzać mu kary, której zresztą prędzej czy później nie ujdzie.

- A tymczasem - dodałem - zaprowadzi nas w góry do Jeziora Słonego. Czy brat zgadza się na to?

- Najzupełniej. Może uda nam się wydobyć dokumenty zrabowane zakonnikom... Ale nie pojmuję, dlaczego Indianie tak cicho siedzą w swej norze. Przecież to niemożliwe, aby nie usłyszeli zgiełku... Jeden tylko wystawił na chwilę głowę i bezwarunkowo musiał zobaczyć sendadora. ‘

- Czemuż mi brat o tym nie powiedział?

- Bałem się, aby pan nie strzelił do biedaka.

- Ależ, nie byłoby racji! Strzelałbym jedynie w takim wypadku, gdyby życiu naszemu zagrażało niebezpieczeństwo, Mniejsza zresztą o to.

- Przypuszczam jednak, że Indianie znają rozkład ruin lepiej niż on, a może nawet umyślnie ukryli to drugie wyjście nikomu go nie wskazując.

- To bardzo możliwe i musimy zobaczyć przez otwór w sklepieniu, co się tam dzieje. Zdaje mi się, że dym tędy wcale już nie wychodzi. Chodźmy. Jeżeli Indianie istotnie uszli, to dla nas wcale niedobrze!

Mogą nas w każdej chwili zasypać zatrutymi strzałami. Otwór w sklepieniu znajdował się w odległości sześćdziesięciu kroków od naszego ogniska, Podeszliśmy cichaczem do owego wylotu i zajrzeliśmy w głąb. Wewnątrz podziemia było zupełnie ciemno i cicho. Nakazałem braciszкови, by się położył za złomami kamieni i nie ruszył się do mego powrotu, sam zaś poczołgałem się wzdłuż murów dalej, nasłuchując i rozglądając się. Na razie nic podejrzanego nie zauważyłem i dopiero po dłuższym wyczekiwaniu usłyszałem szepty jakiegoś, a następnie doszedł mych uszu jakby stuk lasek, 48 Czyżby nabijano rury do wyrzucania zatrutych strzał? - pomyślałem. Nie zważając jednak na niebezpieczeństwo, poczołgałem się dalej i spostrzegłem sporą liczbę ludzi, zбитych w gromadkę i rozmawiających szeptem ze sobą. Byli to niewątpliwie Indianie, ale czym byli zajęci, nie mogłem dojrzeć z powodu ciemności. Na razie zresztą wystarczyła mi pewność, że Indianie wyszli z kryjówki i widocznie naradzali się, w jaki sposób urządzić napad na nas i na obozowisko. Rzecz prosta - nie było nic pilniejszego, jak zawrócić do swoich, by ich zawiadomić, na co się zanosi.

Ledwie zawróciłem w kierunku miejsca, gdzie pozostał brat Hilario, o uszy obił się wyraźniejszy jakiś szmer. To trzy osoby oddzieliły się od gromady i podążały w kierunku naszego ognia. Wyprzedziłem ich co prędzej i połączyłem się z bratem Hilario. Ponieważ światło z naszego ogniska dochodziło aż tutaj, z łatwością rozpoznałem wśród tych trzech ludzi, co się odłączyli od Indian, Gomeza.

- Dwaj inni są zapewne naczelnikami - szepnął brat Hilario.

- Było to dla nas bardzo pomyślne, bo po schwytaniu ich, mielibyśmy w ręku ważnych zakładników - odpowiedziałem szep-tem.

- Rzucimy się więc na nich?

- Tak, ale ostrożnie. Braciszek niech weźmie w swą opiekę Gomeza, a ja tych dwóch jego towarzyszy.

- Poczołgaliśmy się na czworakach ku idącym i teraz dopiero stwierdziłem, jak byliśmy nieostrożni, zakładając ognisko na tak odkrytym miejscu; dzięki niemu bowiem mogliśmy być widziani jak na dłoni i co do jednego wystrzelani zatrutymi strzałami. Brat Hilario umiał pełzać i czaić się jak jaguar, pod którego mianem był znany, więc trzej Indianie nie dosłyszeli najmniejszego szmeru, choć zbliżyliśmy się do nich na odległość zaledwie kilku kroków. Wyciągnąłem przed siebie ręce jak zwierz drapieżny pazury i jednym skokiem wpadłszy pomiędzy nich, chwyciłem za gardło jedną ręką jednego, drugą drugiego, a brat Hilario równocześnie rzucił się na Gomeza. Napad był tak nagły, że Indianie nie mogli sobie nawet zdać sprawy, co się z nimi stało. Zauważyłem, że ręce i nogi drżą im konwulsyjnie.

- Teraz naprzód, do naszych! - szepnąłem bratu Hilario i po-pchnąłem obu jeńców przed siebie. Brat Hilario prowadził Gomeza. Zatrzymaliśmy się nie przy ogniu, lecz znacznie dalej. Natychmiast 49 ~ ~r; bli się do nas yerbaterowie, a widząc, że prowadzimy ze sobą trzech ludzi, pytali:

- Co się stało? Co to za jedni?

- Nie pytajcie teraz o nic! Lepiej przynieście tutaj od ogniska nasze rzeczy.

- Po co?

- Bo już tam dłużej przebywać nie możemy. Indianie mogą nas wystrzelać co do jednego. Wyszli już z podziemia. Pochowajcie się w cieniu drzew i baczcie pilnie, aby odeprzeć napad. Siedem karabi-nów może ich powstrzyma. Ja tymczasem rozmówię się z Gomezem. Powiązaliśmy jeńców rzemieniami, po czym yerbaterowie przykucnęli rzędem, jak tyralierzy, z karabinami do strzału. Dwaj Indianie ciągle jeszcze byli jak nieprzytomni, a tylko Gomez otrząsnął się już z przerażenia.

- Cicho! - rzekłem. - Leżeć spokojnie i odpowiadać na moje pytania. Znasz mnie już i wiesz, że ci krzywdy nie uczynię. Mów tylko prawdę. W jaki sposób wydobyliście się z podziemia?

- Przez ukrytą szczelinę.

- Ach, tak? Chcieliście napaść na nas?

- Rozumie się. Wymogłem tylko na swych ludziach przyrzeczenie, że nikogo nie zabiją.

- Jak to? Jeżeli nie mieliście zamiaru pozabijać nas, to po co planowaliście napad?

- Ażeby uwolnić sendadora.

- Spóźniliście się. Sendador już sam umknął.

- Co? Nie mogę w to uwierzyć... bo skoro pan go strzegł...

- Sam ułatwiłem mu ucieczkę, bo osadnicy chcieli go zamordować.

Proszę tylko o zachowanie tego co mówię w tajemnicy... Cyt! Słyszysz pan głosy poniżej? To moi towarzysze poszukują go w lesie.

- A jeśli go złowią?...

- Wątpię w to bardzo. Widzisz więc chociażby z tego, że nie mam względem was wrogich zamiarów.

- Po cóż w takim razie wzięliście nas do niewoli?

- Bo się domyśliłem, że chcecie na nas napaść, a naszym zamiarem przecież było rozstać się w przyjaźni. Kto są ci dwaj?

- To są naczelnicy plemienia.
- Nie wyglądają na to.
- Nasz szczep jest bardzo ubogi sennor; nie mamy majątku, więc

50 nie stać nas na stroje. Jeden z nich jest dowódcą wojennym, drugi naczelnikiem w czasie pokoju, ja zaś piastuję urząd pośredni.

- No dobrze. Ci dwaj zostaną tutaj jako zakładnicy, dla zapewnienia, że do chwili naszego odjazdu ludzie wasi nic złego przeciw nam nie przedsięwzją.
- Sennor, z naszej przyczyny i włos wam z głowy nie spadnie.
- To znaczy: nikomu z nas wszystkich znajdujących się tutaj ludzi białych?
- Tak właśnie rzecz rozumiem.
- Jesteś więc wolny. Możesz powrócić do swoich i oznajmić moje żądania.

Decyzja ta ucieszyła widocznie Gomeza. Mimo to zapytał, podnosząc się z wolna: - Czy naprawdę mogę odejść?

- Tak, Gomezie.
- Przekonuję się więc powtórnie, że jesteś pan naszym przyjacielem i że nie jesteś taki, jak tutejsi biali. W pańskim kraju są zapewne tylko sami dobrzy ludzie?
- Nie brak ich nigdzie, a więc i tutaj.
- Ale ja takich dotychczas nie spotkałem. Ludzie moi, dowiedziawszy się ode mnie wielu rzeczy o panu, radzi by go jutro zobaczyć.
- To dla mnie może być niebezpieczne.
- Pojawimy się tu pojedynczo i bez żadnej broni. Zresztą, gdyby i tak pan im nie dowierzał, to możemy dać jeszcze kilku zakładników.
- No, dobrze; zobaczymy. A teraz powiedz w moim imieniu tym dwóm naczelnikom, że nic im u nas nie grozi i że będą traktowani życzliwie, po przyjacielsku. Nie mogę im tego sam powiedzieć, bo nie znam waszego narzecza.

Gomez natychmiast powtórzył moje słowa, ja zaś dodałem:

- Zejdziemy stąd w dół obozu, by tam przenocować, więc musimy się rozstać. Wiesz teraz, o co mi chodzi, więc proszę się do tego zastosować, a wszystko będzie dobrze. Dobranoc Gomezie!

- Dobranoc! Sądzę, że będziecie z nas zadowoleni.

To rzekłszy, odszedł, my zaś zabraliśmy jeńców między siebie i ruszyliśmy do obozu.

Być może, że ufność moja względem Indian nie była usprawiedliwiona. W głębi duszy jednak miałem silne przeświadczenie, że są względem nas szczerzy i nie uczynią przeciw nam wrogich kroków. Planowanego tak niedawno i spodziewanego łupu tak czy owak wyrzec się już musieli, a w obecnych okolicznościach lepiej było dla nich porozumieć się z nami, niż przysparzać sobie wrogów. Na dole w obozowisku były tylko kobiety z dziećmi i parobcy; reszta osadników rozbiegła się po okolicy w poszukiwaniu zbiega. Kobietom było już wiadome, w jakim niebezpieczeństwie znajdowali się ich mężowie i że ocalenie xnnie jedynie mieli do zawdzięczenia, więc też powitały mnie z wdzięcznością. Natomiast na obu jeńców spoglądano w obozie wcale nieżyczliwie i dopiero gdy opowiedziałem, w jakim celu przywiodłem ich tutaj, uspokojono się nieco.

Po jakimś czasie poczęli pojedynczo wracać do obozu mężczyźni, którzy się wyprawili na poszukiwanie sendadora. Przedostatnim był Pena, ostatnim zaś Gomarra. Obaj ogromnie wzburzeni ucieczką sendadora, postanowili sobie pomimo wszystko dostać go w swe ręce. Szczególnie Gomarra nie posiadał się z wściekłości.

- Mieliśmy go w swej mocy! - syczał przez zaciśnięte zęby.

- Trzeba było tylko wyciągnąć rękę, a zbrodnia byłaby pomszczona.

Niestety, sprawiedliwa pomsta minęła go... a winien temu jedynie pan - dodał, zwracając się ku mnie.

- Ja? - wzruszyłem ramionami zdziwiony. - A to jakim sposobem?

- No, no! Proszę się nie wypierać! Pan należy do tych ludzi, co to bez racji usiłują innym robić dobrze i nie chcą krzywdzić nawet najgorszych zbrodniarzy. Gdybym to ja był go schwytał, uśmiercił-bym łotra natychmiast, podczas gdy pan obszedł się z nim jak z jaką dostojną osobą. A rezultatem tego głupstwa jest oczywiście ucieczka zbrodniarza...

- Nie mogę słów pańskich brać serio, gdyż jest pan wzburzony

- odrzekłem - tylko zastrzegam się przeciw nazywaniu głupstwem mego postępowania. Jeżeli uważa mnie pan za człowieka głupiego, to mogę udzielić panu rady, byś sobie wyszukał

mądrzejszego towarzysza i wykonawcy swoich zamiarów, albo też proszę sobie radzić bez mojej pomocy. Proszę nie krępować się moją osobą.

Widziałem, że na te słowa jeszcze większy gniew go ogarnął, lecz się zmitygował i mruczając coś pod nosem usiadł przy ogniu. Usposobienie osadników względem mnie jeszcze z tego powodu pogorszyło się znacznie, że z pojmanymi Indianami postępowałem łagodnie. Ale żaden z niezadowolonych nie wystąpił z głośną wymówką. Opowiadali tylko, co im się zdarzyło podczas pościgu za sendadorem. Rezultat był taki, że wielu ponabijało sobie guzów o drzewu i podarło ubranie wśród krzaków.

- Powinien pan być przyłączyć się do nas - rzekł Pena. - Bylibyś-my go może złapali.

- Nie „może”, ale z pewnością.

- Oho! - wtrącił Gomarra, który jeszcze nie mógł opanować swego wzburzenia. - Skoro pan jest tak pewny siebie, to czemuż nie zadał pan sobie trudu?

- Przecież musiał pilnować Indian i nie miał czasu na uganianie się za zbiegiem - odrzekł mu Monteso.

- Tak. A zresztą, gdyby pan udał się z nami w pościg to i wówczas nie byłby nic wskórał wobec tych ciemności.

- Skoro tak, to po co pan go szukał? - zapytałem.

- Bo jestem gorliwy w każdej sprawie. Mogliśmy przecież choćby przypadkowo natknąć się na sendadora. Okoliczności jednak tak się złożyły, że było to niemożliwe, choć pan zarozumiale twierdzi, że byłby go znalazł.

- I byłbym istotnie znalazł, ale kiedy? - tego wcale nie powiedziałem. Przede wszystkim poszukałbym śladów, a po ich znalezieniu mógłbym już łatwo dogonić zbiega.

- Może pan to jeszcze i teraz zrobić.

- O, nie! Zatarliście jego ślady, łażąc po lesie zupełnie niepotrzebnie. W jakież więc sposób mógłbym odróżnić ślady zbiega od waszych? Nie odpowiedział na to i odwrócił się, aby ukryć złość, która trzęsła nim jak febra.

Spożywszy w milczeniu wieczerzę, położyliśmy się spać. Noc minęła zupełnie spokojnie, a równo ze świtem przybył do obozu Gomez z zapytaniem, czy mogą nas odwiedzić Indianie. Zgodziłem się pod warunkiem, że na razie przybędzie najwyżej piętnastu. Osadnicy mieli ze sobą rozmaite drobiazgi i świecidełka, w przewidywaniu, że przy zetknięciu się z Indianami będą mogli zjednać ich sobie owymi błyskotkami. Gdy więc przybyli do obozu czerwono-skórzy wojownicy Gomeza, osadnicy

obdarowali ich hojnie owymi drobiazgami. Indianie nie posiadali się z radości; niespodzianie podarunki usposobiły ich do nas jak najżyczliwiej. Oczywiście po tym wstępie ostrożność była zbyteczna i pozwoliłem przybyć wszystkim naraz; oni zaś na dowód, że są naszymi przyjaciółmi, wrzucili do ognia wszystkie strzały.

To życzliwe dla nas usposobienie czerwonoskórych należało wzmo-cnić i utrwalić, poradziłem więc osadnikom, aby urządzili odpowied-nie przyjęcie.

Osiedleńcy mieli na swych wozach cukier, rum, wódkę i inne smakołyki. Zawieszono nad ogniskiem wielki kocioł i kobiety przy-rządziły grog. Gościnność białych tak ujęła obydwóch naczelników Indian, że zapróponowali osiedleńcom zawarcie świętego przymierza, co też się stało.

Takim więc sposobem udało mi się pogodzić dwóch zaciętych do niedawna wrogów ku wzajemnemu ich dobru. Czerwonoskórzy prze-konali się się, że trwały przyjacielski stosunek z białymi może im wyjść tylko na korzyść, zwłaszcza, jeśli ci zdecydują osiąść tu na zawsze. Biali zaś radzi byli, że nareszcie bez przeszkód będą mogli się zadomowić w tym kraju. Teraz, po zawarciu zgody z tubylcami, odechciało im się nawet ścigać sendadora.

W obozie odbyło się następnie formalne posiedzenie, na którym postanowiono, że Indianie będą szli na rękę osiedleńcom we wszyst-kim, biali zaś mają cofnąć się z tej okolicy, gdyż wcale zamiarem ich nie było wciskać się aż tak daleko, a tylko sendador zaprowadził ich tu mimo ich woli. Teraz podążą do owych opuszczonych dawniej siedzib białych kolonistów i nie będą zabierali dziewiczej ziemi Indianom. Niebawem zwinięto obóz, zaprzężono konie i woły do wozów i cała karawana ruszyła w towarzystwie Indian z powrotem tą samą drogą, którą prowadził ją tu sendador.

Pena i Gomarra, którzy rankiem tego dnia wybrali się na po-szukiwanie śladów sendadora, nie wrócili jeszcze do odjazdu osiedleń-ców. Po odjeździe karawany byli więc przy mnie tylko ci, którzy uznali słusność mego postanowienia względem sendadora.

- Co jednak będzie z Peną i Gomarżą? - troskał się brat Hilario.

- Wszak oni mają stanowczy zamiar towarzyszyć nam i aż wrą chęcią zemsty na zbiegu, pan zaś postanowił go oszczędzać. Jak pogodzić jedno z drugim? Czy nie lepiej powiedzieć im.to otwarcie?

- Nie wiem. Pena jest moim dawnym i dobrym przyjacielem, nie mogę więc ukrywać przed nim tak ważnej sprawy, bo czułby się obrażony. Przeciwnie zaś, gdy się dowie o wszystkim, uspokoi się i przyzna mi słusność. Natomiast Gomarra nie da za wygraną.

- Może byśmy ich tu pozostawili?

- Tego nie uczynię. Szczególnie względem Peny nie zdobyłbym się na ten krok.
- Pojadą więc z nami. Ale co w takim razie będzie, gdy sendador przyłączy się do nas po drodze? Toż Gomarra rzuci się na niego niechybnie.

Niekoniecznie. Sendador nie jest głupi i nie przyłączy się do nas otwarcie. Przypuszczam, że da on tylko znak o sobie, następnie zaś postawi swoje warunki, a dowiedziawszy się o Gomarze, urządzi się odpowiednio do tego. Być może nawet, będzie się domagał, byśmy odpędzili Gomarę od siebie, czego znowu nie będziemy mogli uczynić, bo wówczas odpędzony ścigałby nas potajemnie i starałby się zastrzelić sendadora z zasadzki; ten zaś, zmuszony mieć się ciągle na baczności, może w końcu uśmiercić Gomarę. Paść może w takich okolicznościach jeden albo drugi, a to byłoby nam wcale nie na rękę. Sądzę więc, że będzie najlepiej, jeśli Gomarra pojedzie z nami i będziemy go mieli ciągle na oku. Z tego też względu byłbym za tym, aby im obydwóm powiedzieć całą prawdę.

- W takim razie niech pan będzie przygotowany na gorzkie wymówki z ich strony.
- Nie boję się wymówek i mam nadzieję, że rzecz da się załatwić korzystnie.

W tej chwili wrócił Pena. Miał minę wcale nie zadowoloną.

Zwróciwszy się do mnie rzekł:

- Miał pan słuszość. Głupio zrobiliśmy, uganiając się pomiędzy krzakami w nocy za sendadorem. Teraz sam diabeł w śladach się nie zorientuje.
- Tego można się było spodziewać.
- Ja również wiedziałem o tym z góry. Ale przecież bodaj dla formy musiałem coś robić, a nie siedzieć z założonymi rękoma - odrzekł, spoglądając z wyrzutem na obecnych. - Wyglądacie tak, jakby to było dla was obojętne, że drab zbiegł bezpiecznie.
- O, nie jest to dla nas obojętne. Ale mamy pewne powody, dla których nie chce się nam ściagać sendadora.
- Proszę! To mnie zaciekawia!
- Po pierwsze, brak nam czasu. Aby odnaleźć ślady sendadora, a właściwie rozróżnić je wśród naszych śladów, na to trzeba co najmniej całego dnia, bo należałoby badać każdą niemal piędź ziemi i to w bardzo znacznym promieniu od obozu. Gdyby jednak udało się nam

55 w końcu wpaść na tropy zbiega, to i wówczas nic by to jeszcze nie znaczyło, bo taki znakomity myśliwy, jak sendador, umie je niezawodnie zatrzeć za sobą po mistrzowsku i znaleźlibyśmy się niebawem zupełnie bezbronni.

- Ma pan słuszność.
- A druga rzecz, to że jesteśmy pewni, że się spotkamy z sendadorem.
- O! - krzyknął zdziwiony. - Gdzie?
- Nawet niezbyt daleko stąd, bo w tym wąwozie, nieco poniżej.

Sam nam to powiedział.

- Jak to? Sam powiedział?...
- No, tak! Przynależ nam, że się z nami spotka.

Pena aż usta otworzył ze zdumienia i po chwili rzekł: - Proszę nie robić ze mnie wariata, sennor!

- Wcale nie mam tego zamiaru. Ułatwiłem mu sam ucieczkę w tym celu, by się potem do nas przyłączył.
- I ja mam w to uwierzyć?
- Niech pan usiądzie; powiem panu, o co mi chodzi.

Zaledwie jednak zacząłem mówić, podniósł się i począł na mnie patrzeć ze zdumieniem, po czym usiadł znowu i słuchał z otwartymi ustami. Przypuszczałem, że gdy skończę, wybuchnie gniewem. Jednakże zachował się spokojnie i zapytał tylko:

- Czy wszyscy obecni z tym się zgodzili?
- Wszyscy.
- Ha, skoro tak, to i mnie nic innego nie pozostaje. Ale czy pan wie, że ja pana dotychczas uważałem za bardzo mądrego człowieka?

- Tylko dotychczas?

- Tak, sennor. Od tej chwili zmieniłem swe przekonanie o panu.

Popełnił pan ogromny błąd, puszczając łotra tak lekkomyślnie.

- Być może. I jeżeli istotnie był to błąd z mej strony, to mam nadzieję, że uda mi się go jeszcze naprawić.

- Tak, tak! To był błąd. A może pan naprawdę wierzy w to, że Sabuco sam się nam nawinie przed oczy?

- Wierzę. On nas poprowadzi do Słonego Jeziora w Pampa de.

Salinas.

- Może pana, . ale nie nas. Przecież dowiedzieliśmy się o jego zbrodniach i jego staraniem teraz będzie usunąć nas wszystkich z tego

świata, a pozostawić przy życiu jedynie pana, bo mu jesteś potrzebny do odcyfrowania dokumentów.

- Przyszłość pokaże najlepiej, kto ma rację. Tymczasem stało się i już się nie odstanie.

- Ha, skoro tak, nie będę się już sprzeczał, nie chcąc poróżnić się z panem. Ale czy z~odzi się na to Gomarra, to wielkie pytanie. Na tym skończyła się nasza rozmowa, z której wywnioskowałem, że Pena nie uczyni nic przeciw mej woli. Wkrótce też powrócił Gomarra, . chmurny i zły. Rzucił gniewnie karabin na ziemię i rzekł:

- Wszystko na nic! Chodziłem naokoło, szukałem... daremnie.

Chyba sobie życie odbiorę z rozpacz, że byłem tak nieostrożny

i pozwoliłem łotrowi uciec. Pan - jednak zwrócił się do mnie

- umiesz dokładnie odczytywać ślady i gdybyś tylko zechciał, moglibyśmy go odszukać. I nie pojmuję, dlaczego pan jest tak obojętny dla całej sprawy.

- Bo mam co innego do roboty - odrzekłem. - A zresztą będę go poszukiwał, lecz nie dzisiaj i

nie tutaj.

Brat Hilario, sądząc że Gomarra wobec niego, jako osoby duchow-nej, będzie miał więcej respektu, zabrał głos i objaśnił go w krótkich słowach o wszystkim co zaszło, uzasadniając przyczyny naszego postępowania. Gomarra, słuchając słów zakonnika, stał nieruchomy jak posąg. Lecz było to nad jego siły. Oczy nabiegły mu krwią, chwilami bladł, a gdy brat Hilario skończył, stała się rzecz przez nas wszystkich oczekiwana. Indianin wybuchnął niepohamowanym gniewem.

- Poza moimi plecami uknuście zdradę! Mnichu! Ja cię zamor-duję! Ja... ja... Nie myśl, że dla sukni duchownej pohamuję swoją rozpacz! Winienes, że sendador zbiegł, a więc mam prawo teraz żądać krwi twojej!

I przy tych słowach, chwyciwszy swój karabin wycelował do zakonnika.

Siedziałem obok na ziemi z wyciągniętymi przed siebie nogami. W tej chwili podciągnąłem je pod siebie, by być gotowym do skoku. Po tym bowiem zapalczywym Indianinie można się było spodziewać rzeczy najostateczniejszych.

Brat Hilario chciał odpowiedzieć, ale uprzedziłem go: - Ja jeden jestem tu winien, nikt więcej i biorę za to na siebie wyłączną odpowiedzialność.

Gomarze uderzyła krew do głowy. Skoczył ku mnie gwałtownie, 57 a skierowawszy lufę prosto w moją pierś, krzyknął: - Ty więc, psie jeden, puściłeś mordercę mego brata? Idź więc do piekła! I przy tych słowach pociągnął za cyngiel karabinu... Na taką jednak furię i jej następstwa byłem przygotowany i każdy ruch Indianina miałem na oku. W chwili strzału błyskawicznym ruchem rzuciłem się całym ciałem w bok i kula zaryła się w ziemi, w miejscu gdzie przed sekundą siedziałem. Tym pewniej atoli osiągnęła cel moja pięść. Od jej ciosu Indianin runął na ziemię jak kłoda, bez znaku życia.

Żaden z moich towarzyszy nie spodziewał się tak nagłej napaści ze strony Gomarry. Toteż obskoczyli mnie wszyscy, zasypując pytania-mi, czy nie jestem raniony, ale widząc na ziemi znak, wryty przez kulę, uspokoili się. Rozciągniętemu na ziemi napastnikowi zabrano karabin i nóż i pozostawiono go w spokoju. .

Po upływie długiej chwili otworzył oczy, rozejrzał się wokół i przyłożywszy rękę do bolącej głowy, zerwał się nagle krzycząc: - Ty jeszcze żyjesz, nędzniku? Więc chybiłem? Poczekaj!... I schylił się, by podjąć karabin. Ale Pena, który siedział najbliżej niego, przeszkodził mu w tym, ja zaś chwyciłem napastnika jedną ręką za kołnierz, a drugą za pas i rzuciłem go na ziemię, następnie klękawszy mu na piersi, zagroziłem:

- Uspokój się szaleńcze, i zapamiętaj to sobie, że jeżeli krew popłynąć musi, to nie moja!

Towarzysze chcieli go zwięzać, lecz nie zgodziłem się na to. Powyjmowałem mu tylko naboje z kieszeni, a następnie, podniósłszy go jednym dźwignięciem na równe nogi, rzekłem: - Godziłeś na moje życie, wobec czego nie mogę patrzeć więcej na ciebie. Między nami wszystko skończone. Nóż i karabin otrzymasz na powrót, ale naboji nie wydam ci za żadną cenę. Jeśli bowiem przysłaby ci jeszcze do głowy wariacka myśl strzelania, to strzelaj powietrzem! Gomarra przez dłuższą chwilę z braku tchu i ze strachu nie mógł wyrzec słowa. Później dopiero, przekonawszy się, że nie mam zamiaru mścić się na nim za porwanie się na mnie, odzyskał równowagę umysłu i zapytał: - Czym w takim razie będę się żywił? Przecież bez naboji nic nie upoluję...

- Możesz puścić się za karawaną... Dopędzisz ją niebawem; tam ci sprzedadzą prochu i ołowiu. Tymczasem my oddalimy się stąd tak

58 daleko, że choćbyś miał jeszcze ochotę strzelać, nic nam to już nie zaszkodzi.

Wziął podany karabin i nóż, a następnie zwrócił się do mnie z takim wyrazem w oczach, jakby chciał o coś prosić, ale się wstrzymał i pdszedł, nie wyrzekłsz~ do nikogo ani słowa.

- Nie ma go co żłować - ozwał się po dłuższym ogólnym milczeniu Pena. - Skoro nie może opanować swego gwałtownego temperamentu, nie podobna go ścierpieć wśród nas, ludzi poważnych i rozsądnych.

- Nie troszcz się pan. On tu niebawem wróci - odrzekł brat Hilario.

- I ja jestem tego zdania - odrzekłem. - Gomarra wróci i będzie błagał o przebaczenie.

- I przebaczy mu pan?

- Przebaczę.

- Ja bym jednak radził nie brać go ze sobą. Ten człowiek będzie się starał wszystkimi siłami dokonać zamierzonego morderstwa.

- Właśnie dlatego przyjmę go, bo lepiej mieć wroga zawsze na oku, niż obawiać się ustawicznie, że lada chwila wysunie się nagle z ukrycia. Jeżeli będziemy na niego dobrze uważali, to niemożliwe, aby mu się udał zamach.

Przyznano słuszność mojemu rozumowaniu i czekaliśmy jeszcze z godzinę, ale Gomarra nie wrócił, a zatem, nie tracąc więcej czasu, postanowiliśmy ruszyć w dalszą drogę. Konie nasze pasły się opodal, przywiązane na lassach. Kiedy się tam udaliśmy, aby je osiodłać, znaleźliśmy siedzącego wśród nich, na ziemi Gomarre, który snadź oczekiwał naszego przybycia. Spozstrzegłszy mnie, zerwał się z ziemi i począł błagać: - Sennor! Ja wiem, że postąpiłem podle. Teraz jednak żałuję swego czynu i błagam o przyjęcie mnie na powrót.

- Aby znowu życie moje było w niebezpieczeństwie?...
- Ja nie chciałem tak źle...
- Aha! Więc to nie był żart? Patrzcie! Strzelał do mnie z odległości zaledwie trzech kroków i powiada, że to był żart!
- No, tak... ale człowiek w gniewie zapomina, co robi...
- Trzeba umieć panować nad sobą! Co pan sobie właściwie myśli?

Za kogo pan mnie ma? Nie jesteś moim sługą, ani ja nie jestem pańskim zwierzchnikiem. Nic nas nie łączy i może pan sobie pójść, gdzie mu się podoba.

Widząc, że się nie dam uprosić, zwrócił się teraz z błaganiem do mych towarzyszy:

- Przysięgam, że palcem nawet przeciw żadnemu z was nie ruszę i będę się starał wynagrodzić przykrość, jaką wyrządziłem waszemu dowódcy.
- Skoro pan tak bardzo nalega - rzekłem - to mogę się zgodzić, ale pod warunkiem, że nie porwie się pan na sendadora. Może pan być pewny, że nawet najmniejsze wykroczenie przeciw mej woli nie ujdzie panu teraz na sucho. Biada panu, gdybyś się pokusił raz jeszcze uczynić coś podobnego, jak przed chwilą.
- Jak to? Czyż sendador nie będzie ukarany?
- Bynajmniej, Gomarro! Nie mam zamiaru przeszkadzać w wyko-naniu sprawiedliwości. Ale musimy go oszczędzać, dopóki nie za-prowadzi nas do Pampa de Salinas.
- Nie będzie go pan wtedy ochraniał?
- Wcale nie mam zamiaru stawać w obronie zbrodniarza.
- Ha, skoro tak!...

Z twarzy Gomarry można było wnosić, że słowa jego nie są bynajmniej szczerze i że żywi w sobie podstępna jakąś myśl. By jednak myśl tę ukryć jeszcze lepiej, rzekł z dobrze zamaskowanym udaniem:

- Dobrze. Przysięgam, że odłożę swą zemstę aż do tego czasu, kiedy sendador nie będzie panu potrzebny. Czy wobec tego weźmie mnie pan ze sobą?
- Spróbuję raz jeszcze.
- Dziękuję. Sądzę, że odda mi pan teraz naboje?

Już miałem to uczynić, gdy wtem odezwał się brat Hilario: - No, no! nie tak prędko! Stracił pan u nas zaufanie i wiele jeszcze czasu upłynie, zanim je pan odzyska. Otrzyma pan amunicję wówczas, gdy się przekonamy, że istotnie jest pan w stanie dotrzymać złożonej obietnicy.

Myśli tej przyklasnęli wszyscy towarzysze, a Gomarra spojrział na nich ponuro, jakby z wyrazem groźby, co nie uszło mojej uwagi, pomimo, że inni tego nie spostrzegli.

- Dobrze, bracie Jaguarze! - odrzekłem. - Jeśli się okaże, że Gomarra zasługuje na nasze zaufanie, nie omieszkać zwrócić mu amunicji.

Na tym się skończyło. Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy wyschląym korytem w dół.

Jechałem obok brata Hilaria na samym przedzie, bacząc pilnie na ziemię, czy nie zauważę śladów sendadora, lecz daremnie. Po dwu godzinach zauważyłem, że wskutek zakrętu koryta nałożyliśmy znacz-nie drogi. Sendador, jako dobrze obeznany z okolicą, prawdopodobnie wyminął zakręt na przełaj, a więc i śladów w tym miejscu być nie mogło.

- Mnie się zdaje - rzekłem do brata Hilaria - że napotkamy na ślady sendadora dopiero w tym miejscu, gdzie koryto przybiera znowu główny kierunek naszej drogi. Teraz szkoda trudu dla szukania śladów. Lepiej zwracajmy uwagę na Gomarzę, bo mu nie dowierzam.

- Sądzi pan, że ten furiat gotów powtórzyć napad?

- Nie na mnie. Ale gdyby spotkał sendadora, ręczę, że natychmiast rzuciłby się na niego, by go zamordować. Wnioskuje to ze spojrzenia, jakim nas obdarzył, gdyśmy mu nie chcieli oddać naboju. Trzeba mieć na niego baczne oko.

Postanowiliśmy nie spoczywać dopóty, aż napotkamy ślady sendadora, lub gdy nas noc zaskoczy i dlatego też długi czas jechaliśmy nie popasając. Wreszcie natrafiliśmy na pożądaną trop i to właśnie tam, gdzie się tego spodziewałem, to jest w miejscu, gdzie kierunek koryta zbiegał się z kierunkiem naszej podróży. Tu już należało zwrócić baczna uwagę na obie strony wąwozu, bo było możliwe, że sendador czaił się gdzieś, jak to nam wyraźnie przyrzekł. Niestety, zamiast niego, zauważyliśmy po prawej stronie przybitą do drzewa kartkę. Zsiadliś-my z koni, zaciekawieni, co zawiera ta osobliwa korespondencja. Monteso zdjął ją z drzewa i przyniósł do mnie. Kartka zawierała następujące słowa: „Jeszcze dwa dni drogi za moimi śladami, ciągle na zachód”.

Spojrzeliliśmy po sobie zdziwieni, gdyż była to dla nas wielka niespodzianka. Dlaczego sendador pojechał naprzód sam, nie oczekując na nas tutaj? Widocznie miał ku temu ważny jakiś powód.

- Nie dowierza nam - zauważył brat Hilario.

- Ja sądzę inaczej - odrzekłem. - Gdyby sendador miał nam nie dowierzać teraz, to równie musiałby nam nie dowierzać po dwóch dniach. Jestem pewny, że kierował się tu innymi powodami.

- Ale jakimi?

- Gdybyż to wiedzieć! Zobaczymy, czy zostawił za sobą wyraźny rop.

Zsiadłem z konia i udałem się pod drzewo, na którego pniu przybita była kartka. Tu już kończył się

drzewostan, a za niedużym pasem krzaków otwierał się szeroki pampas. Tam właśnie biegł trop sendadora, a więc wytyczna linia naszej dalszej drogi. Nie troszcząc się już o ślady, począłem przypatrywać się miejscu na pniu platana, w którym zatknięta była kartka. Ku memu wielkiemu zdziwieniu spostrzegłem, że w pniu znajdował się ślad noża i to dosyć dużego, o klindze szerokości około ośmiu centymetrów. A więc musiał to być cuchillo, nóż dosyć okazały, którego sendador nie mógł ukryć przy sobie, gdyśmy go rewidowali, a tylko zaopatrzył się weń po ucieczce. Ale od kogo go mógł otrzymać? - oto pytanie, które ogromnie mnie zaniepokoiło.

Towarzysze moi byli również bardzo tym wydarzeniem zainteresowani. Należało zbadać rzecz dokładnie i w tym celu kazałem towarzyszom zaczekać pod platanem. Z bratem Hilario i Peną podążyłem z powrotem, w kierunku śladów sendadora. Znalazłem się w miejscu, gdzie spostrzegliśmy pierwsze jego tropy, zboczyliśmy stąd na prerię i pędząc kłusem dojechaliśmy wreszcie do jakiegoś lasu, skąd przybył sendador. Tu widniały już ślady dwóch ludzi: jedne sendadora, prowadziły przez prerię do koryta rzecznej, drugie szły wzdłuż brzegu lasu na zachód. Po bliższym rozpatrzeniu poznałem, że były to ślady Indianina.

- Wolałbym, żeby to był biały - zauważył Pena.

- Dlaczego? - spytał brat Hilario. - Przecież sendador mógł spotkać Indianina przypadkowo i od niego kupić ów nóż.

- Jest to zupełnie możliwe. Ale jeżeli w Gran Chaco znajduje się gdzieś jednak Indianin, to w pobliżu niezawodnie musi ich być więcej. Indianin zresztą nie wyzbywa się za byle co noża, który jest nieodzowne w puszczy potrzebny. Jeżeli więc dał go sendadorowi, to widocznie tylko pod wpływem obietnicy sutego łupu i to od nas. Sendador zresztą nie miał przy sobie nic, za co mógłby być wyłudzić nóż od czerwono-skórego.

- Że też pan zaraz przypuszcza rzeczy najgorsze! - przerwał mi brat Hilario.

- Lepiej jest przypuszczać coś złego i ustrzec się, niż łudzić się dobrym i potem gorzko to odpokutować. Jeżeli sendador ma wśród Indian przyjaciół, to nie odda się nam w ręce bez należytej opieki i sądzę, że nie on sam jest gdzieś przed nami, ale w otoczeniu znacznej liczby ludzi. Na kartce napisał, że spotkamy go po dwóch dniach drogi;

62 nic też nie byłoby dziwnego, gdyby właśnie w tym miejscu obozowali Indianie.

- Czyż w takim razie człowiek, którego ślady mamy przed sobą, znajdowałby się aż tak daleko od swoich?

- A dlaczegożby nie? Czerwonoskórzy mogą przecież mieć rozmaite cele i któż może wiedzieć o ich zamiarach i przedsięwzięciach. Może planują coś i wysłali jednego ze swoich naprzód. Pomijając to jednak, rzecz da się wytłumaczyć w inny jeszcze sposób.

- Jestem bardzo ciekawy.

- Sendador wie dobrze, jak nam zależy na tym, by się dostać do Pampa de Salinas i dlatego czuje się wobec nas najzupełniej bezpieczny. Co innego jednak musi czuć względem tych ludzi, których zwabił na wyspę, a którzy mają powód do ścigania go i wywarcia na nim swej zemsty. Z tej więc przyczyny, jak przypuszczam, musiał uciekać stąd jak najdalej. Osadnicy mogli go ścigać aż do miejsca, gdzie przybita była kartka; stąd jednak wypadło im koniecznie zawrócić, bo nie mogliby przecież wybierać się w step na kilka dni, pozostawiając kobiety i dzieci w puszczy bez żadnej opieki. Dlatego więc sendador nie oczekiwał nas tutaj, lecz poszedł. Im dalej, tym dla niego bezpieczniej. Po dwu dniach spotkamy się z nim i wówczas może być pewny, że ani jeden z owych dwudziestu z nami nie będzie. Oto, jak myślał sendador.

- Hm! - odmruknął Pena. - Nie chce mi się jakoś z tym pogodzić. A co pan na to? - zwrócił się do mnie.

- Nie wiem nic. Wywody zarówno jednego, jak drugiego, mogą być trafne, ale który z nich jest zupełnie dobry, nie można odgadnąć. Okaże to najlepiej najbliższa przyszłość. Sendador wie dobrze, że nie jesteśmy jego przyjaciółmi, a przynajmniej, że znajdują się wśród nas i jego śmiertelni wrogowie. Można więc stąd wnosić, że zastawi na nas pułapkę i dlatego musimy zachować wielką ostrożność.

- I nie szkoda to - odrzekł Pena z wyrzutem - że go puściliśmy?

Teraz nie będziemy mieli ani chwili spokoju i kto wie, co nas jeszcze spotka.

- Nie ma już nad czym się rozwodzić. Wracajmy lepiej, bo szkoda czasu - odrzekłem.

Słońce już zaszło i mrok zapadał coraz gęstszy, ale konie instynktownie wyczuwały powrotną drogę. Bez żadnego przypadku natrafiliśmy na wąwóz i znaleźliśmy się wreszcie wśród oczekujących nas towarzyszy.

Dotychczas nie mieli oni odwagi rozłożyć ogniska, lecz gdy się od nas dowiedzieli, że na razie, przynajmniej dzisiaj, nic nam nie grozi, ubierali suchych gałęzi, rozpalili ogień i przyrządzili wieczerzę. Po jej spożyciu udaliśmy się na spoczynek, oczywiście nie zaniedbując ustawienia straży. Konie przywiązano na stepie do palików. Wczesnym rankiem ruszyliśmy dalej za śladami sendadora. Z uwagi na to jednak, że trzeba było trzymać się jego śladów, mogliśmy odbywać podróż tylko we dnie, ~on zaś jechał prawdopodobnie bez względu na porę, wypoczywając po parę godzin we dnie czy w nocy, według upodobania. Aczkolwiek więc znajdował się przed nami nie dalej jak o trzy godziny drogi, co było widoczne ze śladów, nie mogliśmy go dogonić.

Od koryta rzeki począwszy, jechaliśmy prawie ciągle przez otwarty pampas - najbliższego jednak dnia natknęliśmy się na bór, dziewiczy wprawdzie, ale tego rodzaju, że się było można przedrzeć. Gęste, nieprzebyte lasy zowią się „monte impenetrabile”. Ten, przez który jechaliśmy obecnie, robił wrażenie dzikiego, zapuszczonego parku, urozmaiconego gęsto niedużymi polanami.

Na jednej z takich polan już pod sam wieczór, zatrzymaliśmy się na nocleg.

- Dlaczego tu właśnie wybrał pan miejsce na spoczynek? - zapytał mnie Pena. - Przecież ślady prowadzą dalej i jeżeli mamy spotkać sendadora, to musimy się ich wciąż trzymać.

- Nie. Musimy pozostać tutaj. Skończyliśmy właśnie już drugi dzień drogi i jestem pewien, że sendador znajduje się w pobliżu. Tam, przed nami, najdalej o kwadrans drogi, majaczy zwarty las, mocno dołem podszyty, jak to spostrzegłem przez lornetkę. Założę się, że sendador kryje się w tym lesie.

- Czym pan uzasadnia to przypuszczenie?

- I o to pyta pan, który z początku tak niedowierzał sendadoro-wi?... Niech się pan zastanowi nad tym, co by było, gdyby on miał Indian przy sobie...

- No, nie zobaczyliby nas, gdybyśmy nie rozpalali ogniska.

- Tak pan sądzi?... W jakiż jednak sposób znajdzie nas sendador wśród ciemności? Nie, panie! Musimy właśnie rozpaść ogień, aby nie dać mu do zrozumienia, że go o cokolwiek podejrzewamy. A właśnie to miejsce, gdzie teraz jesteśmy, nadaje się znakomicie do okoliczności. Teren jest tu dostatecznie otwarty i jeżeli rozstawimy straż w pokaźnym oddaleniu, wówczas Indianie nie mogą nas okrążyć tak blisko, żeby ich strzały były dla nas niebezpieczne. W zwartym zaś lesie przeciwnie, mogą podejść tuż za nasze plecy.

Stosunek między mną a Peną począł się coraz bardziej oziębiać od chwili, gdy się przyznałem, że sendador mnie jedynie zawdzięcza swą wolność. Od tej chwili Pena szukał ciągle okazji do

sprzeczkę ze mną i dlatego to oponował i teraz. Jednak inni towarzysze byli po mojej stronie, więc projekt mój zrealizowano. Poziadaliśmy z koni i rozłożyliśmy ognisko, by upiec mięso ze zwierzyny upolowanej w ciągu dnia. W pobliżu nie brakło też wody dla koni i soczystej trawy. Po stwierdzeniu, że ślady sendadora prowadzą dalej w prostym kierunku ku lasowi, rozstawiłem strażę w odległości jakichś czterystu kroków ze wszystkich czterech stron. Ludzie, do tego przeznaczeni, mieli się ukryć za krzakami, aby ich nie dostrzeżono, a w razie napadu obowiązkiem ich było natychmiast zaalarmować obozujących. Byłem pewny, że o tej porze nic nam jeszcze nie grozi, położyłem się spać i kazałem się zbudzić o północy.

Gdy mnie zbudzono o wskazanej porze, Pena zwrócił się do mnie z wymówką: - No i nie było nikogo! Sendador przepadł, jak kamień wrzucony do wody, dzięki pańskiej wspaniałomyślności.

- Może pan być pewny, że on się tu pojawi - odrzekłem.
- Ale jako nieprzyjaciel... Dziękuję.
- I to jest możliwe. Idę właśnie na posterunek od strony lasu.

Odchodząc zauważyłem, że Pena i Gomarra szeptali coś po cichu między sobą. Ten ostatni zaczynał coraz bardziej budzić we mnie podejrzenie. Przez całe dwa dni nie odzywał się do nikogo, a na wspomnienie sendadora najwidoczniej wrzał gniewem i nienawiścią, co można było łatwo zauważyć. Byłem pewny, że skoro sendador się pojawi, będzie źle.

- Leż człeku godzinami, czekaj i czekaj, a tu ani żywej duszy!
- odezwał się sternik, gdy go przyszedłem złuzować z posterunku.
- Żeby chociaż przyszła tu owa czereda Indian, to przynajmniej miałbym sposobność do jakiegoś ruchu, jakiejś roboty.
- No, no! Niech pan nie wywołuje wilka z lasu - odrzekłem.
- Kto wie, co się tu jeszcze stać może do rana.
- A cóż by więcej ponadto, że teraz z przyjemnością chrapnę sobie jeszcze z parę godzin. Dobranoc!

Odszedł, gderząc coś pod nosem, a ja zająłem jego miejsce na 65 posterunku. Minęła jedna godzina, potem druga, spokój nocy nie został niczym zamącony. Przede mną rozpościerała się głęboka ciemność, którą rozświetlał zaledwie odrobinę cieniutki sierp księżyca. Ognisko w obozie słabło coraz bardziej.

Nagle wśród ciszy dobiegł mnie jakiś szmer. Przyłożyłem ucho do ziemi i posłyszałem przytłumione

kroki, wyraźniejsze z każdą chwilą, a potem ujrzałem pochyloną postać, skradającą się ostrożnie od strony lasu wprost ku mnie. Był to sendador. Okoliczność, że przez przybycie swoje od tej strony w określonym przez siebie czasie dotrzymywał danej nam obietnicy, kazała się domyślać jego pokojowych zamiarów. Gdyby bowiem knuł coś złego, zjawiłby się niespodzianie innymi drogami, z zasadzki. Aby się przekonać, czy jest tylko sam, nie pokazałem mu się i dopiero gdy mnie minął, wstałem i poszedłem za nim, nie tłumiąc kroków, by mnie zauważył. Jakoż obejrzał się, przystanął i zapytał po cichu: - Kto idzie?

Przystąpiłem bliżej i rzekłem: - Spodziewam się, że mnie pan pozna, sennor Sabuco!

- Ach, to pan! W jaki sposób znalazł się pan poza mną?

- Pełniłem straż i spostrzegłem pana, przepuściłem, aby się przekonać, czy przybywa pan tu sam.

- Któż by mógł być ze mną?

- Przyjaciele.

- Ach tak! Rozstawiliście więc czaty?

- Oczywiście. Czynimy to zawsze z przyzwyczajenia, nawet wów-czas, gdy nam nic grozić nie może.

- No, tutaj zbyt duża była ostrożność. Dotrzymuję swych przyrzeczeń. Kto jest z panem? Czy tylko yerbaterowie?

- Tak, są i oni, a oprócz nich obaj mary~narze, brat Hilario, Pena i Gomarra.

- Tego mógł pan zgubić po drodze!

- Mnie się zdaje, że może się pan go nie obawiać. Przyrzekł mi uroczyście zaniechać na razie przeciw panu wszelkich wrogich kroków.

- A więc tylko na razie? Znaczy to, że przy najbliższej sposobności gotów jest porwać się na mnie.

- Dopóki ja jestem z panem, zabezpieczenie pańskiej osoby należy do mego obowiązku. 66

- Wierzę panu na słowo i przekonam się sam wkrótce, co sądzić o tamtych. Czy wiedzą, w jaki sposób zbiegłem?

- Powiedziałem im wszystko.

- Bardzo źle pan postąpił - dla siebie samego.

- Wiem o tym. Gomarra w napadzie szału strzelił do mnie.

- I zranił pana?

- Na szczęście nie. Zaraz też dałem mu taką nauczkę, że mu się odechce na przyszłość nastawać na mnie.

- A więc groziła panu śmierć! No, no! Ale jeżeli pan odcyfrujesz moje dokumenty, to będziesz ze mnie zadowolony. A... a... kartkę moją znaleźliście?

- Owszem.

- Cóż na to wszystko inni?

- Nie radzili z początku zapuszczać się w okolicę za pańskimi śladami, ze względu na mogące grozić nam niebezpieczeństwo.

- Od kogo?

- Jak to „od kogo”? A nóż by pan dotrzymywał słowa jedynie w tym celu, aby się uwolnić od niebezpiecznych wrogów?

- W jakim sposobie mógłbym to uczynić? Broń moją przecież zatrzymaliście.

- Ba, ale pan mimo to jesteś uzbrojony. Na przykład ten nóż za pasem... Skąd go pan dostał?

Sendador zaniemówił w pierwszej chwili; widocznie pytanie to zaskoczyło go niespodzianie. Po chwili jednak rzekł:

- No, tak, mam nóż; pożyczyłem go sobie u Indianina, którego spotkałem przypadkowo...

- Ten Indianin znajduje się jeszcze teraz niedaleko pana. I nie tylko, ale znaczniejsza ich liczba...

Znowu mruknął coś niewyraźnie, niezdecydowany nieco, po czym dodał głośno: - Tak, panie. Natknąłem się przypadkowo na pewien szczep Indian, zaprzyjaźniony ze mną i ten mi towarzyszy. Jeżeli pan i pańscy towarzysze zachowacie się względem nich przyjaźnie, to i oni obejdą się z wami po przyjacielsku; w przeciwnym razie biada wam!

- Dużo ich jest?

- Dowie się pan dopiero wówczas, gdy się przekonam, że jestem wśród was bezpieczny.

- Dobrze. Nie nalegam i mam nadzieję, że będzie pan postępował

- O! - zaśmiał się półgłosem. - Co się tyczy uczciwości, to... to ja bym raczej powiedział, że kieruję się więcej roztropnością. Popełniłem wielki błąd i spostrzegłem się za późno. Gomez opowiedział mi... Ale czy on jest z wami?

- Nie, został u swoich.

- No, tak. Otóż Gomez opowiedział mi wiele rzeczy o panu, z czego wnoszę, że jest pan niezwykle przebiegły, a ponieważ najdrobniejszy szczegół uwagi pańskiej nie uchodzi, więc nie da się pan w żadnym razie podejść lub oszukać. Czy na przykład zastanawiał się pan, jak przymocowałem do drzewa kartkę?

- Oczywiście zauważyłem to i wywnioskowałem, że miał pan wielki nóż, który ktoś panu dał.

- I co potem?

- Potem wróciłem za pańskimi śladami i wpadłem istotnie na trop tego „kogoś”, a właściwie, wnosząc ze śladów, Indianina, który zapewne poszedł następnie do swoich towarzyszy, by ich sprowadzić do pana.

- I dlatego postawił pan tutaj strażę! Widać niezupełnie mi dowierzacie...

- Istotnie. Okazuje pan szlachetną pewność siebie i jeżeli wyjaśni się powód tej otwartości, nie przyniesie to panu żadnej szkody. Skoro bowiem posługuje się pan teraz rozsądkiem, to niewątpliwie i w przy-szłości nie zechce pan użyć żadnego podstępu. Gdybym jednak spostrzegł, że zamierza pan względem mnie lub któregokolwiek z moich towarzyszy coś złego, wówczas nie będę pana oszczędzał. Wie pan zatem wszystko. A teraz proszę ze mną do ogniska. Sendador zbliżył się do naszej gromadki z głową podniesioną i rzekł do mych towarzyszy z wyrazem pewnej dumy: - Oto jestem. Widzicie, że słowa dotrzymuję... i spodziewam się tego samego po was. W obopólnym naszym interesie powinniśmy zawrzeć ugodę aż do ukończenia sprawy w Pampa de Salinas, po czym każdy może postępować wedle własnej woli. Zgadzacie się na to?

- Zgadza się - odpowiedzieli wszyscy, z wyjątkiem Gomarry, który milczał, patrząc na sendadora jak bazyliszek. Ten zaś mówił dalej: - Przypuszczaliście, że mam do dyspozycji Indian i nie myliliście się. Przyznaję się do tego i zresztą zaznaczałem 68 to już poprzednio, że nie jestem wobec was bezsilny.

- Jakiż to szczep? - zapytał brat Hilario.

- Zobaczycie.

- Jak to? Czyżby mieli nam towarzyszyć?

- Przypuszczam; że podążą za mną aż do Pampa de Salinas,, potem, gdy skończy się czas

zawieszenia broni, będę miał ochronę.

- A czy towarzystwo to będzie dla nas pożądane, o to pan wcale nie pyta...

- O, nikt z was nie będzie zmuszony stykać się z tymi czerwono-skórymi. Ja powędruję z nimi osobno, a wy znowu osobno i nawzajem nie będziemy sobie przeszkadzać.

- Nie będzie więc pan z nami?...

- Od czasu do czasu mogę się z wami widywać dla omówienia kierunku podróży. Zresztą nie będziemy zbyt daleko od siebie i w razie potrzeby podążę na wasze usługi.

Gomarra przy tych słowach sendadora zasłonił sobie twarz ręką, udając kaszel, co zwróciło moją uwagę, gdyż miałem go ustawicznie na oku.

- A przecież to nie było umówione - ozwał się Pena. - Pan powinien zostać z nami sam bez Indian.

- Jeżeli o to koniecznie chodzi... niech będzie, zostanę, ale pod warunkiem, że oddacie mi moją broń.

- Owszem, oddam ją panu - rzekłem - ale musi pan przyrzec, że nie będzie użyta przeciw żadnemu z naszej gromadki.

- Użyję jej jedynie przeciwko temu, kto się na mnie porwie.

- Zgadzam się.

- Ale ja się nie zgadzam! - krzyknął Pena.

- Milczeć! - odrzekł mu surowo brat Hilario. - Po co pan utrudnia nam sprawę? Jeżeli sendadora nie uważamy już za swego jeńca, to tym samym nie mamy żadnego prawa zatrzymywać jego własności.

- Ale ja go za jeńca nie uważam i nie ścierpię, żeby kto działał na własną rękę bez porozumienia się ze mną! - krzyknął Pena.

- Ma pan zapewne mnie na myśli? - zapytałem.

- Tak jest, pana.

- Aha! No, to ja panu oświadczam, że jest mi zupełnie obojętne zdanie pańskie w tej kwestii. 69

Mówiąc to, pochyliłem się, by podjąć karabin i wręczyć go sendadorowi, gdy wtem Gomarra

krzyknął:

- Jak to? Chce mu pan oddać karabin i pozwolić jeszcze na to, by go Indianie bronili? Ja z nim sprawę natychmiast załatwię! To mówiąc, Gomarra dopadł do sendadora i pchnął go nożem, trailając jednak nie w pierś, bo napadnięty się usunął, lecz w ramię. Napastnik, widząc, że źle trafił, zmierzył się do ponownego ciosu, ale w tej chwili uderzyłem go kolbą karabinu w głowę, tak że runął na ziemię jak kłoda.

- A więc sprawa tak stoi! - krzyknął wzburzony sendador, przytrzymując ręką skaleczone miejsce dla zatamowania krwi. - Wo-bec tego nie mam tu co robić i odchodzę... Ale nie na długo; zobaczymy się jeszcze... kłamcy i łotry!... Zawrócił szybko i odszedł nie zważając na moje nawoływania.

- Ja go złapię, albo zastrzelę! - krzyknął Pena i chwyciwszy karabin, pobiegł za sendadorem.

_ Brat Hilario chciał również podążyć za nim, ale go powstrzymałem:

- Zostań, bracie! Ci dwaj powariowali i teraz będziemy musieli odpowiadać za ich głupotę. Sendador miał dotychczas względem nas pokojowe zamiary, ale teraz może się to zmienić.

- Czy pan się dostatecznie przekonał, że on nie knuje nic złego?

- zapytał Monteso.

- Owszem, przekonałem się. Był wobec mnie zupełnie otwarty i przyznał się, że ma w pobliżu całą bandę Indian. Teraz mogą nam oni wyrządzić niepowetowane szkody . y

- Boże! - krzyknął brat Hilario, pochyliwszy się nad Gomarrą.

- On nie żyje.

- Mniejsza o to. Ostrzegałem go przecież. Wszak znajdujemy się nie w salonie i nie w stołecznym mieście europejskim, ale w Gran Chaco. Czy czaszka pęknięta?

- Nie.

- No, to nic mu nie będzie. Proszę rozstawić znowu ludzi na straży, a ja tymczasem pójdę na zwiady. Sendadora należy oczekiwać lada chwila z powrotem...

Schyliwszy się prawie do ziemi, pomknąłem w kierunku lasu. Nasłuchując co kilkanaście kroków, doszedłem wreszcie tak daleko, że należało już stąd cofnąć się stanowczo.

I istotnie, wyteżyłem jeszcze raz słuch, na próżno, miałem zawrócić 70 ku swoim, gdy nagle... za mną

w oddali wszczął się piekielny zgiełk. Wyjąłem zza pasa rewolwer, pobiegłem szybko w tym kierunku i po chwili, ku swemu wielkiemu przerażeniu, stwierdziłem, że zgiełk szedł właśnie od miejsca gdzie obozowaliśmy. Mrowie czerwonoskórych opadło moich towarzyszy i toczyła się zawzięta walka. Kilku już obezwładniono, inni bronili się jeszcze resztkami sił, a wśród nich brat Hilario i sternik Larsen. Indianie nie mieli żadnej broni, i szło im z tymi dwoma zuchami ciężko. Poza obrębem walki stał sendador i wydawał głośno rozkazy w nieznanym mi języku. Strzelać w tę kupę byłoby niebezpiecznie, gdyż kula moja mogła ubić kogoś z naszych. Porwany zapalem, widząc, że napastnicy nie posługują się bronią, wetknąłem rewolwer za pas i rzuciwszy się w wir walki, w to mianowicie miejsce, gdzie stał Hilario, osaczony przez Indian, począłem z całej siły walić na lewo i na prawo i szybko znalazłem się w zamkniętym kole napastników. Napastnicy padali przede mną lawą na ziemię, spostrzegłem jednak wkrótce, że wysiłki moje są daremne. Po chwili zakonnik został ostatecznie pokonany i kilkunastu Indian otoczyło go, wiążąc mu ręce i nogi. Larsen zaś bronił się jeszcze czas jakiś, ale niestety i ten wobec liczebnej przewagi przeciwników ostatecznie musiał się poddać.

Teraz dopiero spostrzegłem, jak wielkie uczyniłem głupstwo, rzucając się w wir walki. Gdybym pozostał na uboczu, mógłbym przynajmniej ratować w jakikolwiek sposób swych towarzyszy, co przy mej pomysłowości, być może, udałoby się w końcu. Poczuję do siebie samego żal za swą nieoględność, próbowałem teraz przebić się przez zgraję, sięgnąłem więc do pasa po rewolwer lub nóż... niestety, nie było już ani jednego, ani drugiego; najwidoczniej podczas szamotania zostałem pozbawiony broni. W podobny zapewne sposób zabrano też broń moim towarzyszom, gdyż żaden z napastników nie został raniony, ani zabity.

- Poddać się! - wrzeszczał z ubocza sendador. - Zareczam, że nic się panu złego nie stanie. Opór jest zupełnie zbyteczny. Uznając smutną prawdę ostatnich słów sendadora, opuściłem ramiona, które skrępowano mi natychmiast.

Sendador kazał mi zawiązać oczy, a następnie wzięto mnie na ręce i uniesiono. Ażeby mieć pojęcie o odległości, liczyłem kroki tych, którzy mnie nieśli, doliczyłem do półtora tysiąca i dałem spokój. Upłynęło od chwili zabrania mnie kilka godzin, gdy usłyszałem 71 tętent kopyt końskich i druga banda Indian przyłączyła się do nas.

- Przyrzekłem panu - ozwał się sendador - że nie uczynię mu krzywdy i dotrzymam słowa, ale pod warunkiem, że nie będzie pan usiłował umknąć, bo w przeciwnym razie zgładzę pana ze świata bez żadnego skrupułu.

- Gdzie są moi przyjaciele? -.spytałem.

- W miejscu najzupełniej bezpiecznym.

- Żyją więc?

- No, ja uważam za najbezpieczniejsze to miejsce, z którego nigdy się już nie wraca...

- To podłość!
- Niech się pan nie zapomina! Jest pan w mojej mocy.
- Wszystko mi jedno. Jeśli pan mnie nie zamorduje, bądź pewny z mej strony srogiej pomsty.
- Ech! - zaśmiał się. - Już ja się postaram o to, by nie doznać tej pomsty. A teraz musimy udać się w dalszą drogę. Każę pana posadzić na konia, ale ostrzegam, że najmniejszy opór będzie pana drogo kosztował.
- Proszę mi zdjąć zasłonę z oczu.
- Ohoi Nie jestem tak naiwny. Nie powinien pan wiedzieć, przez jaką okolicę pojedziemy.

Uwolniono mi na chwilę nogi, bym mógł wsiąść na konia, po czym przymocowano mnie do siodła tak, że byłem zupełnie bezwładny i ruszyliśmy.

Już po kilku krokach poczułem, że nie siedzę na swym gniadoszu, którego zapewne wziął dla siebie sam sendador. Bezskutecznie usiło-wałem zorientować się w kierunku drogi, z różnych szczegółów wywnioskowałem, że jechaliśmy przez las, a następnie przez prerię, po czym brnęliśmy przez piaski. Gdy słońce wzeszło i poczęło mnie grzać z tyłu, wiedziałem, że jedziemy w kierunku zachodnim. W jakimś lesie stanęliśmy na krótki odpoczynek i sendador kazał mi dać sztukę mięsa oraz trochę wody, co mi nieszczerólnie smakowało. Następnie długi czas jechaliśmy przez okolicę otwartą; słońce już nie grzało, domyśliłem się, że zasłoniły je chmury, bo powietrze znacznie się oziębiło.

Gniewało mnie to, że nie mogłem dowiedzieć się, ilu ludzi miał do rozporządzenia sendador. Wiedziałem tylko, że część ich jechała, część zaś szła pieszo. Droga w takich warunkach dłużyła mi się okropnie.

Wreszcie stanęliśmy w jakimś lesie, gdzie odwiązano mnie od siodła, zszedłem z konia i zaprowadzono pod niegrube drzewo, do którego zostałem silnie przykrępowany, a następnie zdjęto mi przepaskę z oczu, tak że wreszcie mogłem rozejrzeć się w otoczeniu. Niedaleko mnie znajdowała się niewielka polanka, pośrodku której ze dwudziestu Indian krzątało się, rozpalając ogniska. Wśród nich zauważyłem sendadora, który w niezrozumiałym dla mnie języku prowadził z nimi żywą rozmowę. Indianie odziani byli bardzo łącho, niektórzy mieli tylko nędzne łachmany na biodrach. Uzbrojenie ich składało się z noży, łuków i rurek do wydmuchiwania strzał. Sendador usadowił się niedaleko mnie, a obok niego leżały na ziemi moje karabiny i rewolwery.

- Może się to panu nie podoba - rzekł, spostrzegając, że wzrok mój spoczął na tych przedmiotach - ale muszę panu oświadczyć, że te rzeczy zabrałem dla siebie.

- Na co się one panu przydadzą?... Trzeba przecież umieć obchodzić się z tą bronią.

- No, no! Znowu przybiera pan ton wyniosły! Jeśli tak, to i ja zacznę na inną nutę. Za karę nie otrzyma pan dzisiaj wieczery i zostanie w tej pozycji przez całą noc. Widzi pan przecież, że nie wszystko zabraliśmy panu, jak tego domagali się Indianie. Jeżeli jednak będzie pan względem mnie krnąbrny, pozwolę im na wszystko.

- Może pan pozwalać, ale posłuszeństwa niech się pan ode mnie nie spodziewa.

- Doskonale! Widzę, że jest pan dzisiaj w nieszczególnym humorze, więc proponuję, jakie panu miałem dzisiaj uczynić, pozostawię na jutro.

Na tym skończył i nie odezwał się już do mnie więcej. Indianie upiekli mięso i po posiłku pokładli się spać, z wyjątkiem dwóch, którzy mieli obowiązek czuwania. Ułożył się też do snu i sendador, sprawdzając przedtem, czy dobrze jestem skrepowany. Powoli ogień zaczął przygasać, rzucając w ciemności ostatnie słabe blaski i wreszcie zgasł zupełnie. Nie spałem, rozmyślając nad tym, jakby się wydostać z matni, strażnicy moi z początku rozmawiali, aż wreszcie zabrakło im widać tematu, bo uspokoili się i kto wie, czy nawet nie posnęli.

Po chwili posłyszałem za sobą lekki szmer. Z początku myślałem, że 73 to jakieś zwierzę skrada się do obozu. Było to jednak mylne mniemanie, bo oto spoza pnia drzewa szepnął ktoś do mnie:

- Czy pan śpi? To ja, Pena... Przetnę panu więzy, po czym proszę schwycić karabiny, a ja wezmę rewolwery i pobiegnie pan za mną.

- W jakim kierunku? - zapytałem szeptem.

- Za mną, to wystarczy.
- Gdzie są konie?
- Nie wiem.
- Szkoda! ale trudno... Przekonam się tylko, czy strażnicy śpią, czy też czuwają.

Poruszyłem się uxnyślnie dość głośno, ale żaden nie zwrócił na to uwagi. Wówczas Pena podszedł do mnie, poprzecinał mi więzy na rękach i nogach, po czym, nie zwlekając chwycił swoją broń, nacisnąłem kapelusz na uszy i po cichu, jak kot, pomknąłem w krzaki. Niestety, Pena chwycił mnie za rękę i ciągnął mnie tak gwałtownie, że narobiło to szmeru. Zbudzeni z drzemki wartownicy podnieśli krzyk. Ale Pena znał drogę doskonale i nie stropił się alarmem w obozie. Biegłem więc za nim, co tchu starczyło i niebawem znaleźliśmy się na otwartym stepie.

- Ach, gdyby mieć konie!
- Daj pan spokój z końmi! - strofował mnie Pena. - Dobrze, że pan z życiem uchodzi i nie mamy się nad czym zastanawiać, bo każda chwila nam droga.

Po kwadransie zwolniliśmy nieco biegu, bo już tchu nam zabrakło. Indianie, szukający nas w lesie, wrzeszczeli tak głośno, że ich tutaj jeszcze słyszeliśmy.

- Proszę mi powiedzieć, sennor Pena, dokąd dążymy? - zapyta-łem.
- Rozumie się, że na miejsce wypadku.
- Czy zna pan drogę?
- Wybornie, bo posuwałem się ustawicznie za wami. No, nie ma co mówić, ale noc mieliśmy okropną...
- Dzięki panu i Gomarze. Dobrze jeszcze, że pan swój błąd naprawił.
- Sumienie mi nakazywało i cieszę się ogromnie, że mi się to udało.
- Czy pan widział, jak się to wszystko stało?
- Owszem. W czasie gdy skradałem się chyłkiem do lasu, by podpatrzeć tam sendadora i dać mu kulą w łeb, posłyszałem w obozie

właśnie pana. Skryłem się na uboczu, oczekując, co będzie dalej. Po dłuższej naradzie sendador zabrał pana i dwudziestu ludzi z końmi, a ja, zwracając przede wszystkim uwagę na pana śledziłem was aż do skutku. Nie przyszło mi to zbyt trudno, bo część Indian maszerowała pieszo. Dotarłem do waszego dzisiejszego obozowiska i czekałem w ukryciu tak długo, aż wszyscy posnęli. Jak pan widzi, udało mi się uwolnić pana z opałów.

- O losie innych nic panu nie wiadomo?

- Niestety, nie próbowałem nawet przyjść im z pomocą, gdyż żaden z nich nie mógłby potem wydobyć pana z pazurów tego człowieka. Obecnie zaś być może uda się nam uwolnić resztę towarzyszy.

- Sendador wspominał mi, że już nie żyją. Ale nie wierzę w to, zarówno jak nie przypuszczam, żeby nas ścigał w tej chwili. On myśli, że nie wiem, gdzie się znajduję, bo w ciągu drogi miałem przez cały czas zawiązane oczy. Przypuszczam, że dopiero rano puści się w pościg za nami, i dlatego musimy spieszyć, ile tylko sił nam starczy. Zaprzestaliśmy rozmowy i przyspieszyliśmy kroku, by się jak najbardziej oddalić od obozowiska Indian. Po dwóch godzinach zaczął padać deszcz, który wkrótce przybrał rozmiary ulewy, tak że długi czas szliśmy mając wody pod kostki. Nad ranem deszcz zmniejszył się nieco, lecz po godzinie przerwy znowu lunęło jak z cebra. Dostaliśmy się już do owego lasu, gdzie czekał na nas, sendador z Indianami, a po chwili przybyliśmy na miejsce wypadku. Wszelkie wysiłki w celu odszukania jakichkolwiek śladów po moich towarzyszach spełzyły na niczym, bo deszcz zatarł je zupełnie. Strawiliśmy na daremnych poszukiwaniach dzień cały. W końcu, zmęczeniu i wyczerpani do ostateczności, zmuszeni byliśmy choć nieco odpocząć. Położyliśmy się więc pod krzakiem na mokrej trawie i zasnęliśmy. Wskutek nerwowego podniecenia sen nasz nie trwał długo i już około północy zbudziliśmy się niemal jednocześnie. Po krótkiej naradzie, wobec niemożności natrącenia na ślady naszych towarzyszy postanowiliśmy wrócić na miejsce, gdzie pozostawiliśmy sendadora, licząc na to, że po mojej ucieczce podążył do naszych towarzyszy. Około południa dotarliśmy do owego miejsca, ale dla pewności, na wypadek, gdybyśmy tam jeszcze zastali sendadora i jego Indian, zachowaliśmy przy zbliżaniu się wszelkie środki ostrożności. Nasze 75 obawy jednak okazały się płonne: w obozowisku sendadora nie znaleźliśmy żywej duszy. Nic nie znaleźliśmy, deszcz zatarł wszelkie ślady. Wyczerpani i głodni jak wilki usiedliśmy, by przynajmniej nieco odpocząć.

Zapadał zmierzch.

Przez jakiś czas nie mówiliśmy nic do siebie i tylko Pena z wyrazem beznadziejnego żalu od czasu do czasu spoglądał na mnie. W końcu rzekł:

- Wszystko przepadło! Nie ma ratunku! Co robić?... Co robić?

- Wyspać się - odrzekłem - nabrać przez noc nowych sił, a rano rozpocząć dalsze poszukiwania.

- Po co? Jestem pewny, że towarzysze nasi już nie żyją.
- Tak pan sądzi? Ja jednak nie uwierzę w to, aż zobaczę ich zwłoki.

Przecież sendador nie miał powodu, by zabić na przykład brata Hilaria, kapitana lub sternika. Co najwyżej mógł się zemścić na Gomarze. Gdyby zaś targnął się na życie yerbaterów... ale to przypuszczenie również nie ma sensu, bo cóż mu oni zawinili? Musiałby być chyba najbardziej krwiożerczym łotrem na ziemi.

- Taki też jest w istocie i dlatego wolałbym nie ścigać go już dalej, lecz szukać drogi do domu.
- Więc tak mało obchodzą pana przyjaciele i towarzysze? Nie chce ich pan pomścić?
- Ba! Gdyby to było możliwe! Ale straciliśmy przecież ślady...
- Znajdziemy je jeszcze po drodze do Pampa de Salinas.
- Tak pan sądzi? A po co by tam szedł? Przecież pan mu umknął, wobec tego któż mu odcyfruje kipu?
- Ale ja znam miejsce, gdzie te przedmioty są ukryte, on zaś wie o tym i pomyśli sobie, że ostatecznie tam podążę, by zabrać ukryte skarby. Byłby więc skończonym głupcem, gdyby nie starał się mnie wyprzedzić w drodze do Słonego Jeziora.
- Może pan ma słuszość, ale wolałbym ruszyć z powrotem.
- No, no! Tak niedawno jeszcze pałał pan śmiertelną nienawiścią do sendadora! Skądże ta nagła zmiana? Nie! Nie wolno opuszczać rąk bezradnie! Pójdziemy ku Andom i bylebyśmy tylko spotkali ludzi, a nie wątpię, że uda nam się odszukać zaginionych. Nie traćmy nadziei!

ROZDZIAŁ II

STARY DESIERTO

Rankiem trzeciego dnia po rozbiciu naszej gromadki podążaliśmy z Peną, słowa do siebie nie mówiąc, w kierunku Andów. Nigdy jeszcze w życiu nie czułem się tak przygnębiony, jak właśnie w tej chwili. Przyzwyczajony do odbywania podróży na koniu, musiałem teraz brnąć ostatkiem sił przez wysoką trawę i zarośla. Towarzysze przepadli nie wiadomo gdzie. Pozbawiony byłem przy tym wszystkich swych rzeczy z wyjątkiem broni, do której ledwie trochę miałem amunicji, bo główny zapas mieścił się w torbie u siodła i wraz z koniem znalazł się w rękach sendadora. Pena również nie rozporządzał wielkimi zapasami.

Wędrowaliśmy przez najbliższe okolice Gran Chaco. Część tej krainy, już w granicach Argentyny, należy do strefy podzwrotnikowej i pokryta jest niezwykle bujną roślinnością. Obficie nawodniona, szczególnie trudna jest do przebycia w porze deszczowej, -gdy wskutek wylewów rzek znaczne obszary stoją pod wodą. Wokół tych zalanych podczas powodzi obszarów skupiają się nieprzebyte lasy, nazywane z hiszpańska monte impenetrabile. Lasy te nie składają się z samych drzew, lecz zarosłe są zbitą gęstwą ciernistych mimoz, leguminoz i lian. Indianie w tych dziewiczych puszczech umieją wynajdować sobie łatwiejsze, ukryte przed okiem przejścia, jakby niewidzialne korytarze; Europejczyk jednak staje tu bezradny. Po-środku zaś tych puszczy dziewiczych rozrzucone są wielkie obszary stepowe o bujnej roślinności, bądź też wydmy piaszczyste, pozbawione wody i zieleni, z wyjątkiem kaktusów, tu i ówdzie urozmaicających pustynię. Piaszczyste te obszary nazywają tu travesias. Stale wiejące w tej krainie wiatry południowe przesuwały piaski z miejsca na miejsce i usypują pagórki, zwane medianos. Wydmy te są dla podróżnych równie niebezpieczne, jak podobne do nich wydmy w niektórych okolicach Sahary. Znany podróżnik Adolf Wrede w czasie 'swojej podróży naukowej w i 843 r. zauważył nad Bahr el Safy, w pustyni el Ahgaf, że piasek, naniesiony przez wiatry między skały, był tak miękki i lekki, że można było w nim z łatwością utonąć, jak w wodzie. Arabowie opowiadają podróżnym, że okolica Bahr el Safy bierze swoją nazwę od króla, który przybył z wojskiem do Hadhramaut z Beled es Saba Wadian i we wspomnianym miejscu utonął ze swą armią. Miejsca takie nazywają w Ameryce Południowej uadales.

Przed południem wspomnianego dnia weszliśmy na rozległy step, którego trawa sięgała nam wyżej pasa, co ogromnie utrudniało pochód. Pena, zarzuciwszy karabin na plecy, szedł przodem i torował drogę. Po godzinie jednak męczącej wędrówki przez to morze trawy stanął, odetchnął głęboko i odezwał się:

- No, a teraz niech pan idzie na przedzie, bo ja już nie mogę!

A założę się, że gdy się szczęśliwie wydostaniemy z tej strasznej sawanny, będziemy mieli jeszcze

gorszą drogę do przebycia. Będzie to albo pustynia, albo nieprzebyte gęstwiny mimozowe.

- Nie będzie tak źle - odrzekłem. - Proszę spojrzeć przed siebie.

Na horyzoncie widać wyraźnie szarą smugę. Jestem pewny, że to nie niskie mimozy, lecz las wysokopienny.

Pena popatrzył we wskazanym kierunku i odetchnął.

- Tak, ma pan słuszość - rzekł. - Może też nareszcie trafi się jakaś zwierzyna. Głodny jestem, jak pies bezdomny.

- I ze mną nie jest lepiej. Gotów byłbym zjeść choćby papugę.

- Połamałby pan sobie zęby na niej. Próbowałem już raz tego mięsa i zapamiętam na całe życie.

- A może zdarzy się coś lepszego... Ruszajmy prędzej, przyjacielu!

Po godzinnym marszu widać było już dokładnie, że mamy przed sobą las i to bezpośrednio wyrastający ze stepu, nie poprzedzony zaroślami.

Przyspieszyłem kroku, gdy wtem zwrócił moją uwagę pewien szczegół. Zatrzymałem się tak nagle, że Pena zapytał mnie zdziwiony:

- Co się stało? Czemu pan się schylił? Czy pana coś ukąsiło?

- Proszę spojrzeć - rzekłem - ścieżka...

- Istotnie - rzekł po chwili. - Wielka szkoda, że nie przybyliśmy tu wcześniej. Byłoby coś jeść. 78

- Jak to?

- Przecież to jelenie szły tędy - odpowiedział, oblizując wargi mimo woli.

- A jeżeli to są ślady czerwonoskórych?...

- Cóż znowu! Przecież ślady ludzkie byłyby o wiele szersze.

Zresztą nie badał ich pan jeszcze dokładnie...

- Proszę je obejrzeć dokładnie...

Zaledwie się pochyliliśmy ku ziemi, gdy Pena zawołał: - Istotnie, to ślady ludzkie. Co za szczęście, że nareszcie trafimy na ludzi!

- Niechże pan tak nie krzyczy! - przerwałem mu - bo nie wiadomo jeszcze, czy możemy się cieszyć z tego odkrycia...

- Tak pan sądzi? - zapytał, już nieco ciszej. - No, zobaczymy.

Niewielu zresztą ich było... może dziesięciu...

- Proszę powiedzieć... dajmy na to... czterdziestu, pięćdziesięciu, to będzie zbliżone do prawdy... No i proszę dodać, że szli tędy zaledwie przed dwiema godzinami.

- Skądże pan wie o tym?

- Muszę zobaczyć jeszcze, jakiej barwy byli ci ludzie. Za chwilę i to panu powiem.

- Nie wierzę, sennor.

- Zobaczymy.

Poszedłem kawałek za tropem, podniosłem kilka zerwanych źdźbeł trawy, wróciłem do towarzysza i wyjaśniłem:

- Źdźbła te mówią, że mamy do czynienia z Indianami.

- Z Indianami? Poznaje to pan po źdźbłach?

- Proszę, czy wie pan, jaka jest różnica pod względem obuwia między białymi, którzy trudnią się tutaj zbieraniem kory, a Indianami z Gran Chaco?

- Oczywiście, biali noszą zawsze obuwie, a Indianie chodzą stale boso.

Otóż ludzie, którzy szli tędy, byli boso, gdyż źdźbła zostały zerwane palcami nóg...

- Tak? Czyż nie mogły być zerwane butami?

- Mogły, ale w takim razie nie byłyby spłaszczone. Proszę popatrzeć na to źdźbło na przykład. Jest całkiem płaskie i skrzycone w łuk, co każe się domyślać, że znalazło się między palcami, spłaszczyło się, urwało i skrzywiło w jedną stronę. Jest to najlepszy dowód, że

79 ludzie, idący tędy, nie mieli na nogach obuwia, a więc zaliczyć ich muszę do Indian.

- Ja bym nigdy nie doszedł do takiego wniosku... Ale jak pan obliczył ilość ludzi i czas?

- Rzecz prosta i łatwa. Gdyby szło tędy tylko dziesięciu ludzi boso, to ścieżka nie byłaby aż tak wyraźna. Co do czasu, to wnioskuje o nim z tego, w jakim stopniu zwiędłe są zerwane źdźbła trawy. Oczywiście na minuty obliczyć się to nie da, ale w przybliżeniu mogę śmiało obstawać przy dwóch godzinach.

- Ale w jakim zamiarze Indianie ciągnęli tędy, tego pan stanowczo nie może wiedzieć.

- I to wiem, sennor Pena. Ludzie ci nie nieśli żadnego ciężaru; stąd wniosek, że szli nie w zamiarach handlowych, a więc chyba musi to być jakaś wycieczka wojenna.

- Zdziwiał mnie pan... Cóż więc uczynimy wobec tego? Ominie-my ich, czy też nie?

- Przeciwnie, zajmiemy się nimi. Jeżeli bowiem ciągną w zamiarach jakiegoś rabunku, to nie może to być dla nas obojętne i należałoby przeszkodzić zbrodni. Musimy spotkać się z tymi ludźmi koniecznie.

- Ba, ale w takim razie musimy zmienić kierunek naszej drogi.

Dążymy przecież na północny zachód, oni zaś szli prosto na zachód.

- W tym miejscu tropy prowadzą istotnie ku zachodowi, ale zapewne wiadomo panu o tym, że w Gran Chaco nie można po-dróżować po linii prostej. Czerwonoskórzy muszą znać okolice dokładnie, a więc omijają przeszkody i dlatego często zbaczają. Najlepiej będzie podążyć ich śladami, bo może uda nam się dowiedzieć, dokąd dążą i jakie mają zamiary. Gdybyśmy zaś szli naprzód swoją drogą, nie troszcząc się o nich, moglibyśmy właśnie zetknąć się z nimi niespodziewanie, a spotkanie to byłoby prawdopodobnie nieprzyjemne. Zresztą, idąc ich śladami, będziemy mieli utartą ścieżkę.

- No, tak. Ale mimo wszystko czuję się przygnębiony, nieszczęśliwy i... głodny.

- No, no! Nie rozpaczać, Pena! Zdaje mi się, że ja mam więcej powodów do zwątpienia, a jednak ani na chwilę nie tracę otuchy; przeciwnie, prze mnie naprzód jakaś niewidzialna siła i nęci w oddali promyk nadziei. Nie mogę zresztą opuścić rąk, gdy towarzysze moi przepadli nie wiadomo gdzie i może grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Ratować ich trzeba choćby ostatkiem sił!

Gdy uszliśmy spory szmat drogi śladami Indian, Pena przystanął nagle i rzekł:

- Przepraszam... zdaje mi się, że nie zrozumiałem dobrze ostatnich słów pańskich. Czyżby naprawdę towarzysze nasi mogli jeszcze żyć?

- Na pewno żyją.

Na te słowa Pena wybałuszył oczy, przytknął palec do czoła i rzekł:

- Uważałem pana za człowieka niezwykle mądrego i roztropnego, a tu nagle zaczyna pan takie niedorzeczności... Szkoda, wielka szkoda!

- Powiedziałem panu już przedtem, że dopóty nie uwierzę w czyjąś śmierć, dopóki nie ujrzę zwłok, lub wiarygodnego świadectwa śmierci.

- Ależ to się samo przez się rozumie, że oni już nie żyją. Aby przekonać się o tym najlepiej uczynimy, zaczynając poszukiwania na nowo.

- W tym właśnie celu idziemy przez te bezdroża.

- Jak to? Chce pan wlec się na koniec świata za tymi Indianami?

Nie! To naprawdę śmieszne! Co do mnie, nie mam ani ochoty, ani obowiązku towarzyszyć panu.

- No, pójdzie pan przecież dalej, skoro zawędrowaliśmy aż tutaj

- prosilem. - Może nareszcie będzie z tego pożytek.

Pena spojrział na mnie, wzruszył ramionami i rad nierad powłókł się za mną z pomrukiem niezadowolenia. Udobruchał się jednak nieco, gdy wyszliśmy z lasu i zobaczyliśmy nagle skręt ścieżki w naszym kierunku, co pozwalało domyślać się, że Indianie omijali tu jakąś przeszkodę nie do przebycia.

Po pewnym czasie zagłęбилиśmy się znowu w las, na szczęście rzadki, a więc nie wymagający wielkich wysiłków. Tu zdarzyło się coś, co w zupełności wróciło humor memu towarzyszowi. Oto spostrzegliśmy wiewiórkę, za którą pędziły jakieś dwa większe zwierzątka. A tak były zacierzwione pogonią, że nic sobie z naszej obecności nie robiły.

- No, mamy wreszcie dwa concho monas - odezwał się Pena uradowany - będzie wyborna pieczeń!

Daliśmy ognia jednocześnie. Pena celował do jednego, ja do drugiego i nie chybiliśmy.

- No, przynajmniej nie zginiemy z głodu - odezwał się Pena z zadowoleniem. - Niech pan weźmie swoją zdobycz i chodźmy dalej. Może upatrzymy jakieś miejsce do rozłożenia ognia. Poszliśmy i po upływie pewnego czasu wyszliśmy z lasu i stanęliśmy na brzegu rozległej sawanny, przez którą tropy szły dalej. Ucieszyło mnie to bardzo, gdyż mogłem teraz ujrzeć Indian z pewnej odległości, więc przyglądając się dalej śladom, zakomunikowałem tę wiadomość Penie. Odpowiedział mi na to jakimś pomrukiem. Zdziwiony, obróciłem się ku niemu i... wybuchnąłem głośnym śmiechem. Biedaczysko miał usta pełne surowego mięsa i zawzięcie pracował szczękami, starając się je pogryźć.

- Dlaczego się pan śmieje? - wybełkotał. - Lepiej by pan zrobił, wykroiwszy sobie również porcyjkę. Znakomite!

- Dziękuję! Wolę poczekać, aż będzie ogień.

Niebawem spostrzeżliśmy przed sobą na horyzoncie ciemną smugę lasu. Biorąc pod uwagę, że Indianie mogli rozłożyć się obozem przed nim, zboczyliśmy w step i przez bujną trawę przedarliśmy się z niemałym trudem aż do linii, na której przypuszczalnie mogli obozować.

Las nie był tu zbyt gęsty, a pomiędzy drzewami rosły krzaki, dzięki czemu mogliśmy niepostrzeżenie zbliżyć się do śladów. Posuwając się ostrożnie w tę stronę, usłyszeliśmy nareszcie ludzkie głosy.

- Są! - szepnął Pena. - Co teraz robić? Czekać aż pójdą, czy też zbliżyć się do nich?

- Lepiej będzie, gdy podsuniemy się aż pod samo obozowisko, bo może uda nam się dowiedzieć, co to za ludzie. Proszę iść ostrożnie za mną, ale w takiej odległości, żeby nas dzieliły od siebie co najmniej dwa pnie drzewa.

Udało się nam szczęśliwie dostać do miejsca, skąd mogliśmy dokładnie obserwować Indian. Siedzieli przy ognisku, piekąc mięso, zatknięte na długich patykach.

- Czyż to nie ironia? - szepnął Pena. - Ja, człowiek cywilizowany, musiałem się zadowolić kawałkiem surowego mięsa, ci dzicy natomiast sporządzają sobie pieczenie... ‘

- Głupstwo! Wolałbym wiedzieć, do jakiego szczepu należą.

- Ba! W jakiż sposób dowiedzieć się o tym?
- Sądzę, że pan, jako znawca Gran Chaco, potrafi bez trudu...
- Za wiele pan ode mnie wymaga. Skąd ja to mam wiedzieć? ~'o ubraniu? A cóż oni mają na sobie? Ledwie do połowy są okryci jakimiś szmatami. Co innego w Północnej Ameryce. Tamtejsi Indianie przynajmniej przestrzegają charakterystyki w stroju. A tu co?
- Ma pan słuszność. Ale przecież może by się dało poznać ich po mowie? Cicho! Słuchajmy! 82

Indianie byli widocznie w bardzo dobrym humorze, gdyż rozmawiali ze sobą swobodnie i wesoło, chociaż niezbyt głośno. Czasem tylko odezwał się któryś głośniejszym głosem, wyrażając niezadowolenie, że mu się mięso zanadto przypaliło.

Pena przez jakiś czas wytrzymał słuch, wreszcie odezwał się do mnie szeptem:

- No, nareszcie wiem... To Mbocovisowie.
- Zna pan ten szczep?
- Właściwie nie można ich nazywać szczepem. Jest to raczej lud, który się rozpada na liczne grupy. Sześć lat temu bawiłem u nich parę miesięcy, gdyż na ich obszarze znajdują się liczne drzewa chinowe. Słownik tych Indian jest bardzo skąpy i dzięki temu nauczyłem się wkrótce ich języka na tyle, że mogłem ich od biedy zrozumieć.
- Podobno są to najbardziej wojowniczo usposobieni Indianie?
- Istotnie, ale na szczęście nie są liczni i plemię ich zanika z każdym rokiem właśnie z powodu tego, że wielu ich ginie w ciągłych utarczkach z innymi plemionami.
- Słyszałem, że szczególnie nienawidzą szczepu Tobas.
- Tak, tak. Ci ostatni są łagodni, spokojni i dla białych dosyć życzliwi. Niektórzy nawet osiedlili się na stałe i uprawiają rolę, o ile oczywiście można to nazwać uprawą. Napadnięci jednak, bronią się jak lwy. Budzą ponadto podziw wspaniałą budową ciała, podczas gdy na przykład Mbocovisowie są skąłowaciami i w ogóle zwyrodniali. Oni...

Tu przerwał, a po chwili rzekł:

- Któż to ku nim idzie?

Istotnie z przeciwnej strony zbliżyli się w tej chwili dwaj mężczyźni i usiedli przy ognisku. Jeden z nich był Indianinem. Ubrany był nie lepiej od swoich towarzyszy; ale na głowie miał odznakę z piór i trzymał w ręku jakąś strzelbinę, podczas gdy reszta nie miała broni palnej, a tylko noże, lance i rury do wydmuchiwania strzał. Drugim był biały niskiego wzrostu, barczysty, z czarnym, obfitym zarostem. I ten miał strzelbę, a zza szarfy, którą był owinięty zamiast pasa, wyglądały dwa noże i dwa pistolety.-

- Czy zna pan może tego białego? - zapytałem.

- Nie. Ale Indianin nie jest mi obcy; widziałem go raz w Paso de los Torros, a potem znowu w Cardovo. Nazywa się Venenoso i jest naczelnikiem Mbocovisów.

- Nie słyszałem dotąd podobnego nazwiska. Venenoso znaczy „trujący”.
- Tak też jest w istocie. Gdyby pan przebywał dłużej w dorzeczu Rio Salado, dowiedziałbyś się o nim niejednej rzeczy. Jest to śmiertelny wróg białych i dziwię się nawet, że w jego towarzystwie znajduje się ktoś z naszej rasy. Venenoso jest krwiożerczy jak pantera i nigdy nie usiedzi spokojnie, ciągle wszczyna zatargi i walki. Jest jednak tak chytry, że niczego dowieść mu nie można, chociaż o zbrodniach jego wiadomo wszystkim.
- Czy przynajmniej waleczny?
- Ależ! Niech pan nie ocenia tutejszych Indian podług skali północnoamerykańskich Apaczów. Tutejsi Indianie potrafią rabować i mordować, ale przed niebezpieczeństwem umykają w popłochu, jak barany. Obrzydliwa natura!

Czerwonoskórzy po posiłku zabrali swoje manatki i ruszyli w dalszą drogę. Naczelnik i biały szli na samym przodzie. Aby się upewnić, czy nie zamierzają powrócić tu jeszcze, podążyłem za nimi. Jednak oddalili się, nawet się nie oglądając. Wróciłem do Peny. Zastałem go już nie w krzakach mimozowych, lecz przy pozostawionym przez Indian ogniu. W tak krótkim czasie zdołał już zdjąć skórę z coati i wetknął kawał mięsa w ogień.

- I czerwoni mogą się na coś przydać - mówił do mnie. - Nawet ogniska nie zgasili i my, dzięki temu, nie potrzebujemy się trudzić zbieraniem suchych gałęzi.
- Rzeczywiście... Nie wie pan jednak na pewno, czy nie wrócą tu jeszcze, a siada pan najspokojniej przy ich ogniu...
- Ech, co mi tam! Skoro człek głodny, to... to... Niech no pan pójdzie za moim przykładem!
- Teraz mogę to uczynić, bo się przekonałem, że odeszli zupełnie.

Ale... spieszmy się, przyjacielu; musimy dziś wieczorem koniecznie podsunąć się pod ich legowisko, a może dowiemy się czego o ich zamiarach.

- Więc wieczorem nie będziemy mieli ognia! Niechże pan tak mówi od razu, bo w takim razie upiekę całego zwierza. Zjedliśmy z niezwykłym apetytem pieczeń, zabraliśmy resztki mięsa do sakiew i po upływie niespełna godziny podążyliśmy dalej śladami dzikich, wchodząc niebawem znowu w las. Ciągnął się on przez trzy godziny, a kto wie, jak byśmy w nim szli, gdyby nie Indianie, którzy 84 bezwiednie utorowali nam drogę wśród gąszczów i zarośli. Nieraz w ciągu

tej drogi zbliżaliśmy się do nich tak, że słyhać było ich głosy i musieliśmy zatrzymać się, zanim się nieco oddalą. W ten sposób znaleźliśmy się w końcu na obszernej równinie, pozbawionej zupełnie roślinności i wody. Ta ostatnia okoliczność była dla nas dosyć przykra, gdyż po sutym posiłku mieliśmy silne pragnienie.

Przypuszczałem, że Pena znów będzie narzekał na los i okoliczności. Jednak ze zdziwieniem zauważyłem, że coś go żywo zainteresowało i zapomniał o pragnieniu zupełnie.

- Co panu jest? - spytałem.

- Ależ tak, tak... nie myślę się... Tu właśnie grono poszukiwaczy kory „carapa”, wśród których byłem i ja, zostało napadnięte podczas odpoczynku przez Indian. Wprawdzie poturbowaliśmy ich, co się zowie, ale też i naszych było dosyć rannych, jeden zaś nawet padł trupem od zatrutej strzały. Na północnym brzegu jeziora pochowaliś-my go i usypaliśmy mogiłę z głazów i kamieni. Widać ją jeszcze; proszę spojrzeć!

- Zatem nieobca jest panu ta okolica?

- Oczywiście, choć to już lata całe upłynęły od tego czasu.

Ponieważ jednak lasów tutaj nikt nie wycina, więc okolica nie zmienia wyglądu i zorientować się bardzo łatwo. Tu, na lewo, za rzeką, powinna być Isla de Taboada, a dalej droga do Santiago. Myśmy przybyli wówczas w te strony od Rio Vermejo, przed sobą na wprost mamy laguny de Carapa.

- Czy nazwa ta ma coś wspólnego z drzewem, dostarczającym tłuszczu „carapa”?

- Tak jest. Drzewo to jest bardzo pożyteczne. Kora i liście stanowią znakomite lekarstwo przeciw febrze, a z owoców, wielkości kurzego jajka, wyrabia się tłuszcz i oliwę „lolicuna”. Podobno po tamtej stronie lagun rosną całe gaje tych drzew.

- Czy był pan tam?

- Nie, gdyż lasy te zamieszkuje potężne plemię indiańskie Tobas, które strzeże ich jak świętości. O ich naczelniku chodzą ciekawe wieści. Podobno wywodzi się on jeszcze od plemienia Inkasów, a mimo to przedstawia czysty typ Europejczyka. Jemu też należy zawdzięczać, że Indianie z tego szczepu nie są wrogo usposobieni względem białych i przyjęli nawet pewne urządzenia cywilizacyjne. Przypuszczam, że Mbocovisowie na nich właśnie się wyprawili.

- Pięćdziesięciu ośmiu ludzi miałoby się wyprawić na cały szczep?

- Być może, że mają zamiar tylko okraść ich potajemnie.

- Jak to? Przecież między nimi znajduje się także biały...

- Cóż to szkodzi? Są ludzie, którzy utrzymują, że Indianie właśnie od białych nauczyli się kraść i rabować i ja zgadzam się z tym twierdzeniem w zupełności. Proszę wziąć pod uwagę choćby takiego sendadora. Człowiek ten ma na sumieniu więcej niż dziesięciu naczelników szczepowych. Ale szkoda czasu; chodźmy dalej. Miało się już ku wieczorowi, gdy przebyliśmy pustynię. Nie od razu jednak trafiliśmy na bujniejszą roślinność. Z początku widać było tu i ówdzie rzadką trawę, potem coraz większe jej kępy, aż wreszcie weszliśmy na taką samą prerię, jaką już nieraz poprzednio przebywali-śmy. Dotarliśmy wreszcie do lasu i zatrzymaliśmy się tu aż do nocy, by nie natknąć się na Indian, którzy wyczerpani długą wędrówką przez pustynię, rozłożyli się zapewne na jego skraju na nocleg. Przypuszczenia moje wkrótce ziściły się. Na krawędzi lasu błysnął niebawem płomień wielkiego ogniska.

Znając już miejsce, w którym zatrzymali się Indianie, okrążyliśmy ich znacznie i podeszliśmy do nich z boku. Spożywali właśnie wieczerzę i popijali ją wodą, którą przynosili w kapeluszach z pobliskiego strumyka, po czym zaczęli sobie słać legowiska i układać się do snu. Naczelnik plemienia i ów nieznamy biały usiedli nieco na uboczu i rozmawiali żywo ze sobą.

- Musimy ich podsłuchać - szepnąłem do Peny.

I popęzliśmy w pobliże siedzących.

Ponieważ nie znałem ich dialektu, poleciłem Penie, by się zbliżył do nich i posłuchał, o czym rozmawiają. Pena chętnie podjął się tej ryzykownej misji i jak wąż poczołgał się niemal za plecy rozmawiają-cych. Przez trzy kwadransy czekałem, jak na szpilkach, zanim Pena wycofał się z niebezpiecznego miejsca. Przyczołgawszy się do mnie, szepnął:

- Chodźmy. Dowiedziałem się cośkolwiek i sądzę, że to nam wystarczy.

- No? - mruknąłem, gdyśmy już byli w bezpiecznym miejscu.

- Mów pan, bo jestem niezmiernie ciekawy.

- Nie, sennor; na dłuższą rozmowę nie mamy czasu. Chodźmy co

86 prędzej, a może nam się uda uratować wielu ludzi, wśród nich zaś jakiegoś Europejczyka. Teraz ja będę przewodnikiem, bo znam okolicę.

I poprowadził mnie łukiem przez prerię, a następnie brzegiem lasu, gdzie trawa była niska i ślady musiały się do rana zatrzeć. Wreszcie po półtoragodzinnym przedzieraniu się przez krzaki dostaliśmy się na zupełnie wolną przestrzeń.

- Teraz opowiem panu, o co chodzi - ozwał się Pena. - Czerwoni pójdą rano prosto przez las, więc, aby nie spostrzegli naszych śladów, poprowadziłem pana okólną drogą.
- A czy pan wiedział, że tutaj jest ta wolna przestrzeń?
- Dowiedziałem się o tym ze słów tego białego draba, który proponował wodzowi Indian dwa szlaki: jeden dalszy, ten mianowicie, którym teraz idziemy i drugi, bliższy lecz uciążliwszy, w prostym kierunku. Wódz zgodził się na ten ostatni i dlatego nam pozostała ta droga, którą obecnie idziemy.
- Dowiedział się pan, kto jest ten biały?
- Niestety, nie.
- A jak go nazywał wódz?
- Powtarzał jakieś nazwisko, ale nie przypuszczam” aby ono należało do owego białego draba. Słyszałem je zresztą po raz pierwszy.
- Jakież to nazwisko?
- El Yerno.
- Ciekawe! - odrzekłem. - To znaczy „zięć”~.
- Ba, ale prawdopodobnie to tylko czerwonoskórzy tak go nazywa-ją, a właściwą jego nazwisko musi brzmieć inaczej. Indianie bowiem zawsze nazywają ludzi po swojemu, wedle jakiejś specjalnej ich właściwości, którą odróżniają się od innych.
- Jeżeli tak, to słowo „zięć” nie jest dla nich bez znaczenia. Można stąd wnosić na przykład, że teść tego człowieka jest ważną osobistością dla Mbocovisów.
- A może biały ów jest zięciem któregoś z nich?...
- Nie zdaje mi się, bo nie przywiązywaliby do tej okoliczności zbytnej wagi.
- Mniejsza zresztą o to. Najważniejsze jest to, co zamierzają. Otóż, chcą napaść na plemię Tobas w Laguna de Carapa. Biały twierdzi, że naczelnik Tobasów, wywodzący się jeszcze z dynastii Inka, posiada ogromne skarby. Biały ten był osobiście u Tobasów dla szpiegowania

87 ich i zna doskonale okolicę. Obecnie Tobasowie wybrali się na wojnę z Chiriguanosami, pozostawiając w swych osadach zaledwie kilku wojowników oraz kobiety i dzieci. Yerno więc twierdzi, że napadając zniemacka na starców i kobiety, zdoła wymusić na nich wiadomość o miejscu zamieszkania naczelnika, który nazywa się Desierto.

- Ach, to ten, o którym pan wspominał?

- Tak jest. Yerno utrzymuje, że nie jest on wcale potomkiem Inkasów i że przybył tu z Europy. Desierto wybiera się co roku do Santiago i załatwia tam swoje interesy i sprawunki. Tam Yerno spotkał się z nim pewnego razu i z rozmowy wywnioskował, że to Europejczyk.

- To bardzo możliwe. Zdarzało się już nieraz, że przybysze europejscy byli naczelnikami szczepów indiańskich. Jeśli tak jest w tym wypadku, to należy ostrzec go przed niebezpieczeństwem. I ja tak myślę.

- Skoro idzie o białego, to obowiązkiem naszym jest przyjść mu z pomocą. Pytanie tylko, czy znajdziemy drogę?

- Owszem, znajdziemy, dzięki „zięciowi”, który opisał ją dość dokładnie w rozmowie z wodzem.

- A o sobie nie wspominał nic?

- Ani słowa.

- A o teściu?

- O teściu? Ach prawda!... Teraz dopiero sobie przypominam...

„Trujący” pytał go, gdzie się teraz obraca jego teść, a on odpowiedział, że wybrał się na wschód, gdzie ma na widoku znakomity łup.

- Czy nie wspominał, kiedy wróci ów teść?

- Owszem. Ma przybyć lada dzień, ale nie wiadomo, kiedy; zależeć to będzie od przebiegu sprawy z jakimiś białymi, którzy żeglowali na Paranie:

- Co? - krzyknąłem uradowany. - I mówi mi pan o tym dopiero teraz? Toż to niewątpliwie... no kto?... Proszę zgadnąć...

- Nie mam pojęcia.

- Ów teść był nie tylko na Paranie, ale może nawet trochę dalej, na jej dopływie...

- Może sendador? - zapytał zdziwiony Pena, przystając nagle.

- Ależ nie inaczej, przyjacielu!

- Nie! Myli się pan stanowczo. Przyszło to panu do głowy jedynie dlatego, że w ostatnich czasach ciągle mieliśmy do czynienia z tym opryszkiem.

- Moje przypuszczenia nie są bez pewnych podstaw. Wiadomo przecież panu, że sendador ma w Chaco tajemnicze mieszkanie i że zawarł przymierze z Indianami?

- No, tak.

- A dalej, jako sławny przewodnik przez Andy, skrzył głowy wielu podróżnym i że wreszcie, jak to pan sam mówi, skierował teraz swoje szpony przeciw jakimś białym na Paranie...

- Caracho!... Teraz zaczyna mi się wyjaśniać cała sprawa. No, no!

Ja bym nigdy nie wpadł na podobną myśl. Powiada pan tedy, że owym teściem jest sendador. Ale przecież nie wiadomo, czy miał córkę...

- Miał, czy nie miał, wszystko jedno. Dostyc, że jestem pewny tego, co mówię i mam nawet pewien plan na najbliższą przyszłość. Mbocovi-sowie chcą napaść Tobiasów, aby dostać w ręce ich wodza razem z jego skarbami. My jednak odwrócimy tę rzecz: napadniemy na nich i złowimy sendadora.

- Znakomicie, sennor. Czuję teraz, mimo ogromnego wyczerpania, jakby jakieś nowe siły weszły we mnie. Śpieszmy więc. Do rana zajdziemy do Laguna de Carapa.

I natychmiast ruszyliśmy zdwojonym krokiem dalej, usposobieni jak najlepiej, pomimo uciążliwej drogi przez las i krzaki, a następnie przez obszerną piaszczystą równinę. Piasek był tu miękki, więc grzęźliśmy w nim po kostki, ale mimo to nie ustawaliśmy w drodze ani na chwilę. Pena umiał znakomicie się orientować podług gwiazd, za co go też pochwaliłem.

- A widzi pan, że ze mnie nie taki żak, jak się to panu wydawało.

Wszak dobrze się stało, że zboczyliśmy z głównego kierunku, bo przynajmniej Indianie nie zauważą naszych śladów. A teraz zażądam od pana czegoś, czego by pan się nigdy po mnie nie spodziewał.

- No! Słucham.

- Poproszę o zdjęcie obuwia!

- Ach, domyślam się! Jesteśmy zapewne na linii, którą iść będą jutro rano Mbocovisowie...

- Tak, panie. Gdy pójdziemy boso, wezmą nasze ślady za ślady Indian - odrzekł triumfująco Pena.

- A jednak dobry znawca śladów i w takim wypadku nie dałby się wprowadzić w błąd - odrzekłem. - Pomiedzy stopą Indianina a stopą białego jest wyraźna różnica. Biali mają zazwyczaj stopy odchylone z przodu na zewnątrz, czerwonoskórzy zaś mają je zwróco-

89 ne palcami do wnętrza. Ponadto stopy ich pod spodem nie są wygięte w środku, jak u białych, lecz równe, stąd też i ślady zatrzymują tę charakterystyczną formę. Nie posądzam jednak naszych przeciwników o takie zdolności orientowania się wedle kształtu śladów; wystarczy im trop: boso czy w butach.

Ściągnęliśmy obuwie i szliśmy dalej boso po miłym piasku, który jednak bądź co bądź dla wydelikacowanych nóg naszych nie bardzo był łatwy do przebrnięcia. Nie zważaliśmy jednak na to, nie troszcząc się o lekkie zatarcia. Na krótko zatrzymaliśmy się dla spożycia resztki zapasów mięsa i brnęliśmy bez wypoczynku do samego rana. Wyszliśmy wreszcie na twardy gliniasty teren, pokryty dosyć bujną roślinnością, co wskazywało, że w pobliżu musi być woda, włożyliśmy obuwie i podążyliśmy dalej.

- Jesteśmy niemal u celu naszej wędrówki - zauważył Pena

- i być może, że spotkamy się wnet z tutejszymi Indianami.

- Zna pan ich narzecze?

- A pan?

- Ani słowa.

- Więc udało mi się przecież w czymś pana prześcignąć. W tym narzeczu potraiię rozmówić się doskonale.

Zdwoiliśmy naszą uwagę, bo przecinały się tu w różnych kierunkach liczne ślady, co wskazywało, że w tym ustroniu możemy się natknąć na ludzi. Nadzieje nasze jednak okazały się płonne, bo nie spotkaliśmy żywej duszy. ‘

Z pewnej odległości doszedł nas plusk wody, podążyliśmy w jego kierunku i stanęliśmy na brzegu rozległego jeziora, którego drugi brzeg ginął gdzieś w oddali.

- Co to ma znaczyć? - spytałem. - Ani ludzi, ani mieszkań!

- Trzeba iść za śladami.

- Ba, ale na co się to przyda, skoro śladów tych jest aż tyle i w tak rozbieżnych kierunkach? Chodźmy lepiej dalej, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa chaty znajdują się gdzieś nad tym jeziorem i musimy się w końcu natknąć na nie.

Daremne jednak były nasze poszukiwania nad jeziorem; spodziewanej osady nie znaleźliśmy. Jednak wkrótce uderzył nasze ucho huk wystrzału i krzyk zranionego ptaka.

- A to co? - zawołał Pena. - Strzał? W której stronie?

- Zdaje mi się, że po lewej, choć w lesie odgłos często myli.

Zwróciliśmy się w tę stronę i niebawem naszym oczom przedstawił się bardzo ciekawy widok. Przed nami wznosił się olbrzymi, wysoki na kilkanaście metrów blok skalny o pionowych prawie zboczach.

- Kamień? - zdziwił się Pena. - W Gran Chaco nigdzie nie ma kamieni.
- Istotnie i mnie to zadziwia... Niemożliwe aby taki olbrzym był blokiem eratycznym, przyniesionym tu z Andów przez lodowce. A jednak nie należy on do miejscowych tworów geologicznych.
- Czy to granit, czy wapień?
- Nie wiem. Przecież zakrywają go zupełnie mchy i porosty, więc dopiero po ich usunięciu moglibyśmy to zbadać. Obejdźmy blok, a może z innej strony znajdziemy jakieś nagie miejsce.
- To dziwne, że w pobliżu tej skały nie ma ani jednego śladu! Co pan o tym sądzi?

Ruszyliśmy w przeciwnych kierunkach, aby obejść i zbadać skałę, jak też w nadziei, że znajdziemy jakieś ślady.

Skała stanowiła olbrzymi blok, długości i szerokości co najmniej po czterdzieści metrów, a ściany jej były tak prostopadłe, że nikt nie mógłby się wdrapać na jej wierzchołek. Obok rosły wysokie drzewa. Obszedłem skałę do połowy i spotkałem się z Peną, idącym z przeciwnej strony. - Ani śladu człowieka - rzekł, rozkładając ręce. Rozglądając się jeszcze wokół, chciałem coś odrzec, gdy nagle spostrzegłem dwa tropy ludzkie, wiodące z głębi lasu i kończące się pod jednym z rozłożystych drzew. - Otóż właśnie, że są ślady dwóch ludzi - rzekłem.

- Hm! I to Indian - odparł, przyglądając się śladom. - Szli do drzewa, ale nie widać, żeby wracali. Gdzież by się podziiali? Może siedzą na drzewie?

I przy tych słowach spojrział w górę. Ale gałęzie drzew były tak rzadkie, że nie mógłby się tam nikt ukryć.

- Z wszelką pewnością ludzie ci włązili na drzewo, gdyż na ziemi są znaki wpierających się palców, a nawet oberwali przy wdrapywaniu się gałąź. Ponieważ nie widać ich wśród gałęzi, więc niezawodnie siedzą gdzie indziej, a mianowicie... w skale.

- Przecież nie ma w niej żadnego otworu.

- Tak, stąd go nie widać, ale... proszę popatrzeć na korę tego pnia; jest starta, co świadczy, że ludzie włązili na to drzewo niejeden raz.

Również ten konar, zwisający tuż nad samą skałą, jest odarty z kory.

Zobaczmy!

Zarzuciwszy karabin na plecy, zacząłem wdrapywać się na drzewo.

Pena jednak chwycił mnie za rękę, wołając:

- Na miłość boską! Co pan robi? To niebezpieczne!... Licho wie, co tam może być w tej skale...

- Ja wiem także - odrzekłem. - Mamy przed sobą ni mniej, ni więcej, tylko tajemniczą rezydencję naczelnika Indian Desierto. Ci dwaj ludzie, których ślady widzieliśmy, są zapewne jego służącymi.

- Może lepiej zawołać?

- Bezwarunkowo nie, bo zaalarmowalibyśmy tym niepotrzebnie Indian, mieszkających z wszelką pewnością gdzieś niedaleko, którzy mogliby nam przeszkodzić w widzeniu się z naczelnikiem. Wolę zatem odnaleźć go sam, bez niczyjej pomocy. A pan, jeśli się boi, niech zostanie sobie na dole.

- Ja miałbym się bać? Za kogoż to pan mnie uważa? Chciałem tylko rozważyć dobrze przedsięwzięcie, a że pan chce koniecznie wleźć lwu w paszczę, to i mnie nic innego do czynienia nie pozostaje. Drzewo było wysokie, a konar jego, sterczący poziomo nad skałą, znajdował się na wysokości jakichś piętnastu metrów. Wdrapałem się na nie bez trudu, a za mną wlaźł Pena. Rozejrzałem się wśród gałęzi i teraz dopiero spostrzegłem grubą linę, ukreconą z łyka, a umocowaną na drzewie tak, aby mogła służyć jako poręcz dla tych, którzy zmuszeni byli chodzić po tym konarze.

- Widzi pan - rzekłem, zwracając się do Peny - że jesteśmy na drodze do bardzo ważnego odkrycia. Kto wie, jak wspaniałe może być wnętrze tej olbrzymiej skały...

- Ba! Ale jak się tam dostać? Nie widać przecież i z tej strony żadnego otworu.

- Musi on jednak być gdzieś, skoro ludzie tędy przechodzą.

Trzeba tylko dobrze się rozejrzeć.

Przeszedłem po konarze, trzymając się jedną ręką liny i zbliżyłem się do skały, która była tak samo pokryta roślinnością, jak u dołu. Tylko w jednym miejscu uwagę moją zwrócił pęk roślin dziwnie

splątanych. Szarpnąłem za ten płot i zdawało mi się, że gdzieś w głębi zajęczał dzwonek, a w parę sekund później otworzyły się ukryte w zieleni drzwi, jakby podwoje tajemniczego Sezamu i ukazał się w nich Indianin.

Drzwi te były zbite z desek, z zewnątrz tak oplecione roślinami, że trudno je było rozróżnić wśród ściany bloku.

Indianin ubrany był w płócienne spodnie i taką samą kamizelkę.

Przy sobie broni żadnej nie miał.

Zobaczył nas i stanął wystraszony, z otwartymi szeroko ustami oraz wytrzeszczonymi oczyma. Widoczne zdziwienie obok przestachu malowało się w jego twarzy.

Zrozumiałe, że zdziwienie i przestach Indianina były najzupełniej usprawiedliwione, bo nagłe ukazanie się dwóch obcych ludzi i to w dodatku białych, w miejscu tak starannie ukrytym i strzeżonym, musiało być dla niego niezwykle niespodzianką.

Pena, chcąc od razu złagodzić jego przestach, przemówił do niego kilkoma niezrozumiałymi dla mnie słowami, ale nie otrzymał na nie żadnej odpowiedzi. Indianin stał w milczeniu, jak skamieniały, wobec czego odsunąłem go na bok i wszedłem do wnętrza, a za mną podążył Pena.

W chwili jednak, gdyśmy się znaleźli wewnątrz tajemniczego przybytku, Indianin odzyskał mowę i zaczął krzyczeć, a głos jego rozchodził się po długim podziemnym korytarzu, w którym się znaleźliśmy, tak doniośle, że miałem ochotę albo zatkać sobie uszy, albo jemu gardło.

- Chodźmy prędzej - naglił Pena - bo niebezpiecznie byłoby, gdybyśmy się w tym wąskim korytarzu spotkali z większą liczbą Indian.

Przyspieszyliśmy kroku i niebawem weszliśmy do małej izdebki. U samego progu stanąłem, jakbym nagle w słup granitowy się zamienił.

Ściany izdebki były pomalowane na czarno, a na tym tle widniały namalowane białą farbą czaszki ludzkie. - Po lewej stronie pod ścianą stał klęcznik, a na nim widniała trupia czaszka, krucyiiks oraz lampka olejna. Po prawej stronie w kącie mieścił się nędzny barłóg, usłany z grubej i ostrej rogoży. Naprzeciw znajdowały się drzwi. Gdy się znaleźliśmy na progu izdebki, w drzwiach stanął wysoki, chudy jak kościotrup, mężczyzna, patrząc na nas wzrokiem, którego nigdy nie zapomnę. Głowę miał wyłysiałą do ostatniego włoska, oczy wpadnięte tak głęboko, że je było ledwo widać, policzki wklęsłe, a nos wydłużony. Długa, po sam pas sięgająca, biała jak mleko broda dodawała mu jakiejś tajemniczej powagi i zarazem grozy.

Podniósł rękę do góry i był w tej chwili podobny do anioła śmierci, nieubłaganego w swej stanowczości i potędze.

- Zuchwalcy! - rzekł po hiszpańsku. - Ważyliście się wtargnąć do tego zakątka, a nie wiecie, że za śmiałość tę odpowiecie waszymi głowami!
- Nie wiemy,, ani też nie mamy ochoty w to uwierzyć - odparłem spokojnie.
- Kto was przyprowadził tu do Laguna de Carapa?
- Nikt. Sami znaleźliśmy drogę.
- A kto wam wskazał moją kryjówkę?
- Nikt.
- Jednakże musiał was ktoś poinformować, gdyż inaczej nie byłibyście tu trafili.
- Myli się pan. Nie spotkaliśmy nikogo i nie mówiliśmy z nikim.
- To niemożliwe jednak, abyście sami wpadli na trop, prowadzący aż tu przez drzewo.
- Owszem, znaleźliśmy ślad dwu ludzi i po tych śladach trafiliśmy aż tutaj.
- Jesteście niezwykle zuchwałymi i niewątpliwie złymi ludźmi, bo przybywacie tu, nie pytając o pozwolenie. A przecież nikomu z obcych nie wolno wiedzieć, że mieszkam w tej skale. Wiedźcie jednak, że kto wtargnie tu podstępem lub przemocą, ten już stąd żywy nie wychodzi. Tak być musi i tego wymaga moja tajemnica.

Mówił to z taką powagą i pewnością siebie, że kto inny mógł uwierzyć, że jest beznadziejnie zgubiony. Ja jednak odrzekłem mu najspokojniej:

- Nie przypuszczam, aby pan mógł wykonać swą groźbę, choćby z tego powodu, że mamy poza sobą otwarte drzwi.
- O! Gdyby nawet udało się wam uciec, to jeszcze i wtedy nie byłoby dla was ratunku, bo dam znak, a zlecą się tu w jednej chwili moi wojownicy i rozniosą was na strzępy.
- Ba! Ale wojowników nie ma obecnie w osadzie, bo poszli na wyprawę.

- A! Wiesz o tym?

- Wiem.

- Jesteście więc szpiegami, skoro nasze sprawy tak bardzo was interesują i nie myliłem się już na pierwszy rzut oka. Tak, moi

94 wojownicy poszli. Ale jest ich jeszcze dosyć w domu, by was pochwycić.

- Mamy karabiny; będziemy się bronili...

- Mówię wam jednak, że się stąd wcale już nie wydostaniecie.

Popatrzcie no tylko za siebie...

Pociągnął za sznurek, zwisający przy drzwiach i w tej chwili drzwi zatrzasnęły się za nami. Widocznie był tu jakiś mechanizm, o którym nie mieliśmy pojęcia.

- A więc tak - rzekł, uśmiechając się chytrze - jesteście moimi więźniami! Proszę złożyć broń!

- Czyżby pan przypuszczał, że usłuchamy? Zapewniam pana, że dwóch silnych mężczyzn nie tak łatwo zmusić do poddania się.

- Ja zaś oświadczam wam, że nie jestem sam, o czym się zaraz przekonacie.

Odstąpił na bok, abyśmy mogli zobaczyć dwóch Indian, stojących w drugiej izbie; trzymali oni w pogotowiu rurki do wydmuchiwania zatrutych strzał; w jednym z nich poznałem tego samego, który nam otwierał.

Stać tak naprzeciw ludzi, mogących potraktować nas w każdej chwili śmiercią nie należało do przyjemności. Jednak nie straciłem pewności siebie i odrzekłem.

- Jeżeli to cała pańska załoga, to źle stoją pańskie sprawy. Jeden z tych obrońców zdębiał przed chwilą na sam widok obcych ludzi. A przypuszczam, że i drugi nie jest większym bohaterem!...

- Przeląkł się, bo wziął was w pierwszej chwili za upiory. Obecnie wie już, że jesteście nie upiorami, lecz złymi ludźmi i nie ma powodu do lęku. Posłuchajcie mnie, radzę, złóżcie broń dobrowolnie!...

- A może by lepiej było, abyś pan nas posłuchał. Przecież pan nie wie, po co tu przyszliśmy.

- Nie jestem ciekawy. Uważam was za włóczęgów i przestępców I i to mi wystarcza.
- My jednak przychodzimy tu w zamiarach przyjaznych...

- Znam się na nikczemności białych włóczęgów, którzy kręcą się po Gran Chaco, by szczać Indian jednych przeciw drugim i wyciągać stąd dla siebie korzyści. Nienawidzę białych i nie chcę ich znać, a jeśli który z nich tu wtargnie, ginie natychmiast... Śmierć białym! Oto moje hasło.

- Myli się pan jednak co do nas, bo przybyliśmy, by wyświadczyć panu ważną przysługę.
- Proszę nie kłamać! - odrzekł gniewnie. - Wykrętami rozdrażnicie mnie jeszcze bardziej, a sobie nic nie pomożecie.
- Mówię prawdę: chcę pana ostrzec.
- Ostrzec? - zaśmiał się ironicznie. - Ależ to zbyteczna fatyga.

Nie chcę żadnych przysług od ludzi waszej rasy i dam sobie radę sam, bez niczyjej pomocy.

- Tak pan jest pewny swego bezpieczeństwa?
- Zupełnie. I jeżeli macie zamiar mnie ostrzegać, to najlepiej byście zrobili, ostrzegając mnie nie przed kim innym, lecz przed sobą samymi.
- A jednak istotnie grozi panu niebezpieczeństwo ze strony szczepu Mbocovisów, którzy nadciągają tu zbrojnie i zamierzają na was napaść.
- To bajka!
- To nie bajka, lecz prawda i ręczę za to słowem honoru.
- Ludzie waszej rasy nie posiadają honoru, a więc nie powinni szafować tym słowem.
- Pan nas obraża - odciąłem się. - Przyjmuje nas pan niezbyt życzliwie, ale to można wybaczyć, gdyż i my weszliśmy tutaj, nie pytając o pozwolenie. Jednakże dosyć już tych słów obelżywych! I mówiąc to, postąpiłem dwa kroki naprzód, a Pena obok mnie.

Stary machnął ręką lekceważąco i rzekł:

- Radzę wam, abyście nie byli natarczywi, bo tak będzie, jak ja zechcę i jak ja zrobię. Skąd wiecie, że Mbocovisowie chcą na nas napaść?
- Podśluchaliśmy ich.
- Nie wierzę w to, aby pan miał tyle odwagi i śmiał zbliżyć się do nich - odrzekł, oglądając mnie od stóp do głów.

- Ja zaś nie mogę uwierzyć, abyś pan był owym sławnym człowiekiem, którego zważ Desierto...
- Owszem, jestem nim.
- Jeśli tak, to ostrzegam pana, bo właśnie o panu mówili Mbocovi-sowie.
- Po Mbocovisach można się tego spodziewać. Ale nie mogę wam za waszą przysługę odpłacić się wdzięcznością, tak samo, jak nie może być wdzięczną kura lisowi za to, że ją ostrzega przed tchórzem...

- Sennor! Proszę nareszcie liczyć się ze słowami! - rzekłem z groźbą w głosie.

- Wiem dobrze co mówię. Być może, że poszedłbym na waszą przynętę, gdybym nie miał doświadczenia. Już raz zastawiono na mnie podobną pułapkę, powtórnie więc podejść się nie dam.

- Skądże to panu przyszło - rzekłem - że śmiesz ubliżać nieznanemu człowiekowi dlatego jedynie, że jakiś łotr pana oszukał? Czy pan rozurnie, że takie postępowanie jest wysoce niesprawiedliwe? Czyż zresztą nie byłoby mądrzej i roztropniej wybadać tych, którzy pana ostrzegają, zanim się ich posądzi o łajdactwo?

- To zbyteczne. Widzę was tutaj i to mi wystarcza, abym osądził, co zacz jesteście.

- Do stu diabłów! - wyrwał się Pena. - Dziwnie pan traktuje tę sprawę.

- Ale zupełnie słusznie - odrzekł stary. - Znam ludzi i nigdy się nie mylę w sądach o nich. Powtarzam wam jeszcze raz, że jesteście moimi więźniami i macie zaraz złożyć broń.

‘ - Ani mi się śni! - odburknął Pena stanowczo.

- A pan? - rzekł do mnie z groźbą w spojrzeniu stary Desierto.

- I ja również jej nie złożę - odpowiedziałem, urażony do ostateczności pychą, surowością i obraźliwym tonem mowy starego dziwaka.

- Ha! Sami sobie krzywdę uczynicie - rzekł, a zwróciwszy się do stojących w głębi Indian, skinął: - Chodźcie tu! Drągałe postąpili ku nam i skierowali na nas śmiertelne rury.

- No i cóż? - zapytał stary szyderczo.

Sytuacja nasza nie należała do bezpiecznych. Jeden ruch tych drabów, a w parę sekund byłoby po nas. Trupie czaszki w tej osobliwej pustelni nie były bez znaczenia.

- A oto zatruty nóż - mówił dalej Desierto, błyskając nam przed oczyma sztyletem. - Starczy lekkie zadraśnięcie... i śmierć! Cóż pan na to?

- Co ja na to? - odrzekłem, bacząc ustawicznie na obu Indian.

- Ja powiem panu, że nóż pański może być niebezpieczniejszy dla pana, niż dla nas.

- To dowodzi, że pan zwariował - rzekł Desierto.
- Przeciwnie, jestem przy zdrowych zmysłach, jak i pan.

- Wobec tego oświadczam, że liczę do trzech i jeżeli w tym czasie nie złożycie broni, ja złożę ciała wasze u moich stóp...

- Proszę liczyć... nie przeszkadzam.

Stary popatrzył na mnie jak na wariata, po czym cofnął się parę kroków.

- Ha! Jeśli pan chce... - i dał znak Indianom.

W tej chwili jednak z błyskawiczną szybkością skoczyłem na drabów, nie przygotowanych na to i wyrwałem im rury, które rzuciłem na ziemię. W następnej chwili chwyciłem jednego za bary i rzuciłem go w stronę Peny ze słowami:

- Zrób pan z nim porządek!

Drugiego czerwonoskórego prawie jednocześnie uderzeniem w skroń powaliłem na ziemię i w następnym oka mgnieniu skierowa-łem się do starego, który oniemiał ze zdziwienia. Zabiegłem go z boku i uderzyłem w prawe ramię tak, że nóż z brzękiem uderzył w sufit i spadł po drugiej stronie izby. Następnie chwyciłem starego oburącz za gardło i powaliwszy go na ziemię zwróciłem się do Peny, który kolanami przydusił pokonanego przeze mnie Indianina.

- No, jakże tam?

- Trzymam go dobrze - odrzekł.

- Musimy teraz wszystkich trzech związać... byle tylko było czym.

- Mam jakiś sznurek w kieszeni.

Wyciągnął kawał powroza, związał swego przeciwnika, ściągnął z niego jakąś szmatę i podarł na długie pasy. Pasami tymi skrępowaliś-my pokonanych.

- No, a teraz jesteśmy panami sytuacji - rzekłem, odetchnąwszy z ulgą.

- Istotnie jest to dla mnie niespodzianką. Ani nie marzyłem, aby nam tak dobrze poszło...

- Jak to? Przecież pan nie chciał się poddać...

- No, tak. Nie chodziło mi tylko o potargowanie się ze starym; w gruncie rzeczy nie myślałem o poddaniu się. Cóż teraz uczynimy?

- Musimy przetrząsnąć dobrze te zakamarki, by się przekonać, czy tu kogoś jeszcze nie ma. A przede wszystkim zobaczymy jak się rzecz ma z tym zatrzaskiem. Czy potrafimy go otworzyć? Proszę potrzymać światło!

Spróbowałem drzwi, prowadzących na zewnątrz: nie otwierały się.

- Jesteśmy w potrzasku! - rzekł Pena. - Nie wydostaniemy się stąd...

- Nie obawiam się. Gdybyśmy nawet nie odkryli tajemnicy mechanizmu, to i tak, mając Desierta w rękach, dowiemy się, czego będzie potrzeba. Niech no pan podniesie światło bardziej do góry. Pena przyświecał, ja zaś obejrzałem ścianę i zauważyłem dwa druty.

Pociągnąłem za jeden z nich - bez skutku; pociągnąłem za drugi

- i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Zatrzasnąłem je z powrotem, gdyż nie było czasu na badanie mechanizmu, natomiast zająłem się jeńcami. Indianin, obezwładniony przez Penę, był zupełnie przytomny i patrzył na nas trwożnie wielkimi oczyma, towarzysz zaś jego leżał jak martwy; również starzec nie dawał znaku życia.

Po upewnieniu się, że żaden z nich nie wydobędzie się z więzów, weszliśmy do drugiej izby. Była większa niż pierwsza. Na środku stał stół, a naokoło niego krzesła. Na ścianach wisiała broń wszelkiego rodzaju, jak: noże, strzały, pistolety, a wśród nich dwa rewolwery, strzały, łuki, tarcze i rury do wydmuchiwania strzał. Trzecia izba była jeszcze większa. Wyglądała jak sala posiedzeń, gdyż na środku stał niezwyklej wielkości stół, a przy nim dużo krzeseł. Stół ten oczywiście zbito na miejscu w izbie, gdyż przez drzwi nie zdołano by w całości go wnieść. Stała też tutaj szafa prymitywnej roboty i biurko z przyborami do pisania.

Idąc dalej, trafiliśmy na kuchnię pełną garnków, kociołków i innych naczyń, nawet takich, które nie służą do gotowania posiłku, jak na przykład: tygle, butelki, szklanki, kubki i inne, jakie można widzieć w pracowni człowieka zajmującego się chemią.

- Czyżby stary był aptekarzem? - zagadnął Pena.

- Być może, a przynajmniej waży jakieś leki swojego pomysłu.

- Czy pana to nie zastanawia, że powietrze w tej dziurze jest znakomite? Widocznie stary postarał się o należytą wentylację.

- Widzi pan przecież otwór w powale.

- No, no! Musiało sporo pracy kosztować urządzenie takiego mieszkania w skale...

- Jeżeli to w ogóle jest jednolita skała. Setki ludzi musiało nad tym pracować i to nie w ciągu jednego roku. Zdaje mi się, że ta skała... Słuchaj - zapukałem w tynkową ścianę. - Ta ściana wydaje głos, jakby była z drzewa i gliny. Chodźmy jednak dalej. Drzwi w tym dziwnym mieszkaniu były z desek heblowanych, 99 zaopatrzone w zawiasy i posiadały nawet dobre klamki, co w tej puszczy wydawało mi się istotnie godne podziwu. W następnej izbie stała wielka szafa z półkami, na których widniały rozmaite flaszki i słoje z etykietami w języku łacińskim. Była to najwidoczniej apteka. W jednym kącie na mocnym stole stała okuta żelazem szafa z trzema zamkami. Próbowałem ją poruszyć z miejsca, lecz nie posunęła się ani o włos. Jak się przekonałem, była przy-śrubowana do podstawy.

- Zdaje mi się, że „zięć” właśnie na ten przedmiot ma największy apetyt - rzekł Pena.
- Prawdopodobnie - odrzekłem. - To jest istotnie kasa, która zapewne mieści w sobie nie lada sumę. Słyszał pan, że Desierto co roku jeździ do Santiago...
- Za co jednak mógłby brać pieniądze?
- Któż może wiedzieć?... Nie nasza to zresztą rzecz zastanawiać się nad cudzymi interesami.

Następnie weszliśmy do wielkiej izby, a raczej składu, wypełnionego aż do sufitu tobołami i belami. Pomiedzy nimi znajdowały się dwa wąskie przejścia w poprzek i wzdłuż.

- Kora chinowa - rzekłem, obejrzawszy jedną z paczek.
- Hm! - mruknął Pena. - Czyżby stary był moim kolegą po fachu? To ciekawe! Znajdujący się tu zapas wart jest tysiące...
- Nic dziwnego, że uzbierano takie jej mnóstwo. Przecież w te lasy nikt obcy się nie zapuszcza; rąk do roboty nie brak wśród Indian.
- Słuszna uwaga. Najtrudniej jest przetransportować towar do Rio Salado, ale stamtąd już wygodną drogą, na statku lub tratwie można go dostawić na targ. W szafce, którą widzieliśmy, jest zapewne spora suma za te produkty.

Poszliśmy dalej, a Pena nie miał słów podziwu dla tajemniczej kryjówki starego dziwaka.

- Czyżby naprawdę - mówił - ten blok skalny był tak wielki, że oprócz tamtych są tu jeszcze inne pomieszczenia? Zaczyna mnie to coraz bardziej zaciekawiać. Nigdy bym nie pomyślał, że zwykła z pozoru bryła granitu kryje w sobie taką zagadkę.
- Również i ja jestem zdumiony tym wszystkim - rzekłem.

Desierto, bądź co bądź, musiał być niezwykłym człowiekiem, który także gdzie indziej mógł odegrać niepospolitą rolę. Zaciekało mnie pytanie, jakie losy zapędziły go w tę odludną puszcę.

W następnej izbie znajdowało się około pięćdziesięciu siodeł.

Wisiały one na ścianach obok rozmaitych narzędzi i drobiazgów.

- Więc stary ma konie - zauważył Pena.

- Pewnie, bo chyba siodeł tych nie wkłada na Indian.

- Nie przypuszczałem, że tu, w Gran Chaco, zobaczę siodła... i to u Indian...

- Indianie ci jednak są niemal stałymi mieszkańcami tych stron; dlaczegoż by nie mogli mieć koni? Przypuszczam, że pod wpływem Desierta ucywilizowali się, przynajmniej do pewnego stopnia. Ale... Ale... niech pan spojrzy! - zauważyłem zdumiony. - Jakież schody... Weszliśmy po nich i po uchyleniu niedomkniętych drzwiczek, znaleźliśmy się na wolnej przestrzeni. Drzwiczki te nie otwierały się do góry, jak to bywa w niektórych piwnicach domowych, lecz stały pionowo, a ponad nimi zbudowany był daszek, podobnie jak na okręcie.

ł

4f

Znaleźliśmy się na zewnątrz tajemniczego mieszkania Desierta i rozejrzeliśmy się wokół. Nie było stąd widać ani lasu, ani też skał, tylko najzwyczajniejszy mur, wysoki co najmniej na 10 metrów. Nie to jednak wprawiło nas w najwyższe zdumienie, lecz zupełnie inna okoliczność. Oto przed nami roztaczał się wspaniale urządzone... ogród z grządkami i klombami, jak w jakimś pałacu florenckim lub mediolańskim. Wśród grządek sterczały tu i ówdzie krzewy róż. W głębi pod murem widniała nieduża szopa, opodal zaś altana. Przeszliśmy chodnikami, utrzymanymi bardzo starannie, do owej szopy. Były w niej narzędzia, nic z ogrodnictwem nie mające wspólnego. Pena objaśnił mnie, że są to przyrządy, którymi posługują się poszukiwacze kory.

Kiedy zwróciliśmy się ku altanie, Pena przystanął nagle, rozłożył ręce i odezwał się ze zdumieniem:

- No proszę! To naprawdę przechodzi wszelkie wyobrażenie.

W samym środku Gran Chaco natrafić na grządki najszlachetniejszych warzyw i kwiatów... Nikt by w to nie uwierzył.

- Istotnie. Nawet owo mieszkanie w skale mniej dziwi niż ten ogród. Stary jest z wyglądu ascetą i niewielką zdaje się przywiązywać wagę do rzeczy doczesnych. Jakże więc wytłumaczyć sobie ten przepych w ogrodzie? Te kwiaty, ta romantyczna altana! No, no! A tam, co za widok wspaniały!

W otaczającym ogród murze znajdowały się prostokątne otwory, 101 zasłonięte z zewnątrz zielenią, ale tak, że można było przez nie widzieć rozległą okolicę.

- To ciekawe! - dziwi się Pena. - Nawet okna na świat szeroki porobił stary. Ale z czego zbudowane są te ściany? Przecież w Gran Chaco nie ma kamieni.

- Jest natomiast glina, z której mógł wypalać cegły. Przecież przechodziliśmy nawet przez teren gliniasty.

- Czyżby uczył tej roboty swoich Indian?

- Niezawodnie. Ale musiało to być nie dziś, ani wczoraj, ale już dosyć dawno, bo mury są suche i porośnięte. Ale oto druga altanka. Chodźmy; może stamtąd zobaczymy jezioro!

Druga altanka była tak gęsto opleciona roślinami szerokolistnymi, że ledwie ją można było z daleka rozróżnić wśród zieleni. Zbliżając się ku niej, nie spodziewałem się, że mi na chwilę zabraknie oddechu w piersiach. Bo oto nagle posłyszeliśmy ni mniej, ni więcej, tylko dźwięczny głos kobiety:

- No, wuju, posłałeś? Traiłam przecież ptaka dobrze i nie powinien przepaść.

Głos brzmiał dźwięcznie jak dzwonek, a słowa powyższe wypowiedziane były po hiszpańsku.

Stanęliśmy, patrząc na siebie zdumieni tą nową niespodzianką, aż po chwili szepnął Pena:

- Do licha!... Jakaś sennora!

- Albo sennorita. Strzeż pan swego serca!

- Proszę się o mnie nie obawiać... Ale tu, tu, że się znajduje!...

Naprawdę nie mogę wyjść z podziwu!

- Tak, to ciekawe! Ale dowiemy się zaraz...

- Jak to? Chcesz pan się jej pokazać?
- No, a jak mam postąpić? Przecież słyszała nasze głosy.
- Eee! - odrzekł Pena skrobiąc się w głowę. - Wolałbym wrócić.

Nie wyglądamy na takich, którzy by umieli kłaniać się damie... Na te słowa omal nie parsknąłem śmiechem. Oto Pena, mężczyzna dzielny i nieustraszony w dzikiej puszczy i wobec wroga, poczuł lęk przed... kobietą.

- Bo proszę sobie wyobrazić - dodał - przed nami kobieta, niezawodnie dystygowana, a my z wyglądu niczym włóczęgi...
- Przypuszczam jednak, że i ta sennorita nie jest tak ubrana, jak do

102 salonu, bo po pierwsze, przebywa w Gran Chaco, po wtóre, styka się z Indianami, a po trzecie, nie boi się prochu.

- Skąd pan to wie?
- Przecież niedawno słyszeliśmy wystrzał. To ona strzelała do ptaka i nie chybiła, jak to wynika z jej własnych słów.
- No, skoro tak, to sennora, która umie strzelać, nie będzie się gniewała, że nie jesteśmy we frakach. Idź więc pan naprzód, a ja pójdę za panem.
- Wuju! Czemu nie odpowiadasz? - zabrzmiał znowu dźwięczny głosik w altanie.
- Bo go tu nie ma - odrzekłem, zbliżając się.

Na ławeczce siedziało urocze dziewczę, które na nasz widok zerwało się przestraszone. Pena, schowany dotychczas za moimi plecami, wysunął się teraz i rzekł do dziewczęcia uspakajająco: - Proszę się nie bać, sennorita! My pani nic złego nie zrobimy!... Dziewczyna, pół Indianka, jak zauważyłem, stała u wejścia do altany, jedną ręką opierając się o odrzwia, a drugą trzymając n~piersi. Była ubrana w długą suknię płócienną, sięgającą do ziemi, z szerokimi rękawami, jak u szlafroka. Dwa krucze warkocze zwisały jej poniżej kolan. Twarz miała śniadą, pięknie zaokrągloną, bez śladu jakichkolwiek cech rasy indiańskiej, jak na przykład wystające kości policzkowe. Pod względem urody w zupełności dorównywała pierwszej lepszej piękności europejskiej.

To, że się nas przelękała, nie było dziwne. Żyła przecież w puszczy, odcięta od świata, widząc tylko Indian. A tu nagle pojawiają się dwaj biali i to o wyglądzie, mogącym obudzić poważne podejrzenia! Tuż obok niej stał oparty o ścianę altany karabin. Dziewczyna, mierząc nas od stóp do głów,

zapłonęła żywym rumieńcem i chwyciw-szy karabin, lufę jego skierowała prosto ku nam ze słowami na-brzmiałymi gniewem i groźbą:

- Coście za jedni? Czego tu chcecie?

- Przede wszystkim niech piękna sennorita raczy łaskawie odłożyć karabin - odrzekłem. - Nie jesteśmy wrogami pani.

- Czy widzieliście się z moim wujem?

- Oczywiście.

- Spodziewam się - rzekła, odkładając karabin - że z nim rozmawialiście, gdyż inaczej nie byłoby was tutaj. Czemu jednak on nie przyszedł z wami?

- Przyjdzie zaraz. Został, aby przygotować coś na nasze przyjęcie.
- A czemuście nie pozostawili broni na dole?
- Bo chcemy pozostać tu trochę dłużej. Jeżeli jednak sprawia to pani przykrość, możemy karabiny nasze odłożyć na stronę.
- Co? - zaśmiała się. - Sądzi pan, że się boję broni, jak wasze kobiety? O, nie! Proszę jednak siadać.

Postawiliśmy karabiny pod ścianą i weszliśmy do altanki, w której mogło się pomieścić co najmniej sześć osób.

- Mój wuj musi mieć do panów ogromne zaufanie, skoro dopuścił was do poznania swoich tajemnic-rzekła, gdyśmy usiedli naprzeciw niej. - Do tego tylko jeden jedyny człowiek miał prawo tu wchodzić.
- Zasepiła się, a ja zapytałem:
- To był zły człowiek?
- Pan wie o tym? - przerwała żywo.
- Nie, ale tylko pytam...
- A może pan go zna? Może pan wie coś o nim? Gdzie on jest obecnie?

Znowu przy tych słowach trysnęły jej z oczu iskry.

- Proszę się uspokoić, sennorita! Nie znarn go i nigdy go nie widziałem.
- A dlaczego pan o niego pyta?
- Bo przecież pani pierwsza wspomniała o nim...
- Skąd jednak myśl, że to człowiek zły?
- Wywnioskowałem to z twarzy pani.

- Jak to? Wyczytał pan z mojej twarzy? Być może... nie pomylił się pan. Jest krzywoprzysiężcą i dlatego go nienawidzę... Mówiąc to, zacisnęła ręce i zagryzła usta.

Rozmawialiśmy zaledwie parę minut, a już poznałem tajemnicę jej serca. Zdradzić się z nią mogło tak prędko jedynie dziecię natury, jakim było to dziewczę.

W altanie były dwa otwory, przez które roztaczał się widok na jezioro. - Z tej strony powinien przybyć - rzekła, wskazując jezioro.

- Ale do dziś dnia go nie widać... - I dodała: - Och, jak jak go nienawidzę! ...

Nastąpiła chwila milczenia, mówiąc nawiasem, bardzo dla nas przy-kra, bo nie chcieliśmy, mimo wszystko, wdzierać się w tajemnice dziewczęcia.

- Może bym go mniej nienawidziła, gdyby nie był... biały. Bo biali wszyscy są... kłamcami i łotrami.
- Mnie się zdaje, że przez usta pani przemawia gorycz i zniechęcenie. Fakt, że pani wyrządził przykrość jeden biały, to jeszcze nie dowodzi, że miliony ich są takie jak on.
- Poznałam wielu w San Antonio... Wszyscy jednacy...
- Przebywała tam pani przez dłuższy czas?
- Tak. Byłam na pensji. Wuj chciał, abym otrzymała wykształcenie i stała się damą światową.
- I jest nią pani...
- O, nie! Nie jestem i być nie chcę! - zaprzeczyła żywo. - Nie chcę znać ludzi cywilizowanych, bo to obłudnicy. W oczy prawią grzeczności, a poza plecami obgadują się nawzajem, jakby byli dla siebie śmiertelnymi wrogami. Poznałam się na otaczających mnie ludziach, na ich fałszu i dlatego uciekłam.
- Uciekła pani sama?
- Tak. Prosiłam, by mnie uwolniono od komedii, zwanych stosunkami towarzyskimi, ale nie otrzymałam pozwolenia, więc uciekłam od nich potajemnie. Jestem zresztą władczynią plemienia i nie mogę znieść, żeby mi ktoś rozkazywał. Zaopatrzyłam się w karabin i nóż, dosiadłam konia i puściłam się przez puszcę do domu.
- I znalazła sennorita drogę? Czymże się pani żywiła przez tyle dni?
- W puszczy jest przecież dość zwierzyny, a strzelać potrafię doskonale. Ot, przed chwilą ubiłam jednym celnym strzałem ptaka. Nie pojmuję tylko, dlaczego wuj mi go nie przynosi, choć przyrzekł, że odszuka go w zaroślach.
- Czy wuj wychowywał panią od dziecka? - zapytałam, chcąc się dowiedzieć, jaki jest między nimi stosunek.
- O, nie. Poznałam go dopiero wówczas, gdy przybył do nas.
- A więc nie jest naprawdę krewnym pani?
- Nie, ale kocha mnie ogromnie i dlatego nazywam go wujem...

- Czy długo jest tutaj?
- Od jedenastu lat. Gdy tu przybył, liczyłam sześć lat.
- Skądże wuj pani pochodzi?
- Z Europy.
- A z jakiej narodowości?

- Nie mogę powiedzieć, bo mi tego surowo zakazał.
- Dlaczego utrzymujecie to w tajemnicy?
- Nienawidzi swoich rodaków, bo chcieli go uśmiercić.
- A kto jest naczelnikiem plemienia Tobasków?
- Plemię nasze rozpada się na liczne szczepy, każdy zaś ma swego naczelnika. Ja jestem władczynią wszystkich szczepów.
- Więc ten, kto się z panią ożeni, będzie rządził plemieniem?
- Ja za mąż nie wyjdę. Ten, którego kochałam, przepadł bez wieści...
- Czymże był ów wybraniec sennority?
- Był to cascarillero.
- Może jeszcze wróci?...
- O, nie wróci!
- Więc to człowiek bez honoru i sumienia? Kiedyż stąd odjechał?
- Już dosyć dawno. Poznałam go przypadkiem. Mianowicie wuj znalazł go w lesie zranionego i przyprowadził tu, by go wyleczyć. Polubił go bardzo i pozwolił mu tu zamieszkać. Chodziliśmy razem na poszukiwanie złotego piasku i kory. Gdy raz wypadło odstawić zbiory, człowiek ten został kierownikiem ekspedycji. Miał sprzedać wszystko w Santa Fe i wrócić z pieniędzmi. Nie wrócił jednak. Towar sprzedał, pieniądze zabrał i przepadł. Wuj, nie mogąc się go doczekać, wysłał jednego z wojowników na zwiady do Santa Fe i ten dowiedział się, że towar sprzedano za gotówkę.
- Może go obrabowano i zmuszono do milczenia? Na świecie jest wielu złych ludzi. Przecież droga do Santa Fe prowadzi przez terytoria plemion wrogo dla was usposobionych. Może go uwięzili i trzymają do dziś dnia?
- Więc sądzi pan, że nie wolno mi go potępiać? - zapytała drżącym głosem, z widocznym zamyśleniem spoglądając na jezioro.
- Ja w ogóle uważam, że można kogoś uznać za złodzieja i zdrajcę dopiero wówczas, gdy się ma przeciw niemu niezbita dowody winy.

- Wdzięczna panu jestem za te słowa - rzekła. - Są one dla mnie pewną pociechą. - Po czym dodała: - Ale miał tu przyjść wuj i nie ma go tak długo. Przecież powinien zająć się gośćmi. Obejrzałem od niechcienia stojący tuż obok karabin dziewczyny. Nie był naładowany i to mnie uspokoiło. Po tej młodej lwicy można było wszystkiego się spodziewać.

- On nie może przyjść - odrzekłem, stawiając karabin na po-przednim miejscu.
- Dlaczego?
- Popełnił względem nas bardzo wielki błąd i...
- Co pan mówi?
- Sądzę, że pani będzie rozsądniejsza od niego. Wasi wojownicy poszli przeciw wrogom, a domy wasze pozostały bez opieki, niepraw-daż?
- Zostali niektórzy.
- Ale jest ich niewiele i gdyby na was napadnięto, nie dalibyście sobie rady.
- Nie jest tak źle z nami... Od czegoż są kobiety?
- Czy tak? Pierwszy raz słyszę coś podobnego.
- Bo też w walce nie biorą udziału kobiety żadnego plemienia, tylko nasze. Wuj tak je wyćwiczył, że, moim zdaniem, mogą w po-trzebie zastąpić mężczyzn.
- Czy nawet przeciw Mbocovisom?
- Oczywiście. Niechby się tylko pojawili tutaj. Mbocovisów nienawidzę najbardziej, gdyż to oni przecież zranili tego, który... miał być moim mężem.
- Więc powinna pani być im wdzięczna, gdyż właśnie dzięki temu poznała pani tego człowieka. Muszę pani oświadczyć, że nie mówię o nich bez powodu, bo wkrótce nadciągną tutaj by was napaść.
- Co? Skąd pan wie o tym?
- Znaleźliśmy się przypadkowo w pobliżu nich i podsłuchaliśmy ich naradę.

Dziewczyna na te słowa wstała, jej oczy zapłonęły gniewem i rzekła głosem stanowczym:

- Musicie mi wszystko powtórzyć co do słowa, abym wiedziała, co zarządzić.

Z prawdziwym zdumieniem patrzyłem na tę dziewczynę, która zamiast bojaźni, posiadała tyle hartu i

odwagi, że na pierwszą wiadomość o niebezpieczeństwie pomyślała przede wszystkim o zarządzeniu obrony.

Opowiedziałem jej treść podsłuchanej w obozie Mbocovisów rozmowy i następnie naszą wędrówkę aż do chwili, gdy stanęliśmy w otwartych drzwiach tajemniczego schroniska.

Nie przerwała mi i dopiero teraz krzyknęła z przerażeniem:

- I wyście się na to odważyli?

- Jak pani widzi.

I opowiedziałem jej całe zajście ze wszystkimi szczegółami. Słuchała spokojnie, gdy jednak wspomniałem, że wszyscy trzej leżą związani, krzyknęła:

- Ale żyją?

- Żyją i nic im z naszej strony nie grozi.

- Jak widzę, przybyliście tu jako nasi przyjaciele i sądzę, że pozostaniecie nimi nadal.

- Owszem, ale pod warunkiem, że nikt już nie będzie nas tu obrażał.

- Przyrzekam to panu.

- Ba! Ale co będzie, jeżeli wuj zechce porwać się na nas na nowo?

- Pomówię z nim i nie wątpię, że mnie usłucha.

- Chodźmy więc.

- Chodźmy. Albo... może lepiej będzie, gdy ja sama uwolnię go z więzów. Jest to człowiek bardzo dumny i lepiej, jeśli na razie nie będzie pana widział, gdy mu rozetnę więzy, to nie odczuje tak upokorzenia...

- Czy jednak señnorita nie za wiele od nas wymaga?... A jeśli nad naszą głową zawiśnie jakieś nieprzewidziane niebezpieczeństwo?

- Nie. Ręczę za to słowem, że możecie się tutaj czuć pod moją opieką zupełnie bezpiecznie. Czy zapewnienie to wystarcza panu?

- Najzupełniej. Może pani iść.

Pobiegła ku tajemniczej skale, a Pena, patrząc za nią rzekł: - Dziel-na dziewczyna!... Jak pan sądzi, co będzie z nami?

- Nic! Przyprowdzi tu Desierta i każe mu nas przeprosić.

- Co przyjdzie staremu z wielką trudnością.

- Bo to wcale nie należy do przyjemności zostać w ten sposób upokorzonym, zwłaszcza dla takiego jak on, dumnego i nieugiętego człowieka.

Po upływie pół godziny młoda Indianka wróciła, prowadząc starego, w którego twarzy widać było raczej zakłopotanie niż przygnębienie.

- Przyprowadziłam mego wuja - rzekła. - Obiecał wam przebaczyć...

Śmieszne mi się wydało to „przebaczenie”, ale nie okazałem tego po sobie. Dlaczego zresztą nie miałem pozostawić staruszka w mniemaniu, że właściwie nie jemu, lecz nam stała się krzywda. Niechże ma tę przyjemność - pomyślałem sobie.

Stary skłonił lekko głowę i rzekł: -Unica objaśniła mnie, jak rzeczy stoją i dochodzę do wniosku, że gdybyście się byli inaczej zachowali, nie byłbym dla was tak bezwzględny.

Objaśnienie to nie było właściwie niczym innym, jak tylko dyp-lomatycznym wybiegiem dla zmiany frontu, bo przecież Unica nie dowiedziała się od nas więcej, niż on. Pomimo, że wybieg ten był rażąco naiwny, ułatwiłem mu sytuację, mówiąc:

- Wtargnęliśmy do pańskiego mieszkania, nie pytając o pozwolenie; więc nic dziwnego, że wzbudziliśmy słuszny gniew pański. Obecnie za nasz postępek przepraszamy pana najserdeczniej.
- Bardzo mnie to cieszy, że postanowiliście naprawić swój błąd.

Teraz chodzi tylko o to, czy istotnie można wam zaufać.

- Cóż mamy uczynić, aby pan nam uwierzył? Chyba, że pan zaczeka, aż nasze opowiadanie potwierdzą wypadki. Jeśli pan nie uwierzy, Mbocovisowie wpadną tu z nienacką i...
- O, ja do tego nie dopuszczę!
- A więc biada Mbocovisom, którzy są już prawdopodobnie niedaleko stąd!
- Czy zrobili panu co złego?
- Nie.
- Dlaczegoż więc uważa ich pan za swoich wrogów?
- Właściwie nie są oni dla mnie usposobieni wrogo, ale stoją po waszej stronie, więc muszę ich uważać za swoich nieprzyjaciół.
- Ale nie macie w tym własnego interesu?...

Te słowa wskazywały, że jeszcze ciągle nas podejrzewa, więc odrzekłem: - Każdy uczciwy człowiek powinien stanąć w obronie zagrożonych. A Mbocovisowie, jak się dowiedzieliśmy, mają zamiar napaść na was w celach rabunku.

- Ha! Skoro tak... Rad bym jednak wiedzieć, kto jesteście, kto poznał moją tajemnicę...

- Nazywam się Pena - rzekł na to mój towarzysz - pochodzę z Porto Allegro i zajmuję się zbieraniem kory.

Na słowa Peny, że jest zbieraczem, na twarzy starca odbiło się zaniepokojenie. Widocznie obeszło go to mocno, że Pena jest jego konkurentem. Zapytał też skawpliwie:

- W jakich stronach pan pracuje?

- Wszędzie.

- Czy i w Gran Chaco?

- Owszem.
- I chciałby pan tu zacząć robotę?
- Być może, jeżeli znajdę dobrych towarzyszy.
- W takim razie muszę pana ostrzec przed Indianami, którzy nie oszczędzają białych, wchodzących im w drogę.
- Indianie są przecież w całej Ameryce i nigdy ich nie pytałem, czy mi pozwolą zbierać korę, bo im nic do tego. Czy zresztą wyrządzą mi jako zbieracz kory jakąkolwiek krzywdę? Wszak tego produktu wystarczy i dla nich.
- Ba, a gdyby nie zechcieli podzielić pańskich zapatrywań?
- Wówczas..., cóż, mam doskonały karabin... i potrafiłbym się bronić. Zdaje mi się, że czerwonoskórzy z Gran Chaco nie są niebezpieczniejsi od swoich współbraci z innych okolic Ameryki Południowej.

Starzec, widząc, że Pena na każdy jego argument ma gotową odpowiedź, zwrócił się do mnie: - A pan także cascarillero?

- Nie. Jestem turystą z Europy - odrzekłem i wymieniłem mu swoje nazwisko.
- Ja też pochodzę z Europy - odpowiedział. - Jestem Duń-czykiem. Po nieszczęśliwej wojnie Danii z Prusami musiałem uchodzić z ojczyzny przed prześladowaniami pruskimi. Nie mówmy jednak o tym, bo czas nam zastanowić się, co przedsięwziąć dla odparcia grożącej nam napaści. Aby jednak nie radzić „na sucho”, chciałbym zgotować wam przyjęcie, jakiego zapewne nie spodziewaliście się w Gran Chaco. Proszę siadać!

Na znak, dany przez Desierta, Unica pobiegła do drugiej altanki, a stary poszedł na dół. Niebawem wrócili oboje: ona z małym stoliczkiem ogrodowym, on zaś z koszem butelek wina i pudełkiem cygar.

- Proszę - ozwał się uśmiechnięty. - Wino wprawdzie nie tutejsze, ale znakomite; za to cygara są mego własnego wyrobu.
- Uprawia sennor tytoń?

- I to najlepsze gatunki. Jeżeli pan zostanie u nas dłużej, to przekona się pan, do czego doprowadziła Indian moja wiedza i moje starania. Ludzie ci pod moją ręką zmienili się w krótkim stosunkowo czasie nie do poznania. Nie są to już ci dawni, zacofani i niezdolni do życia cywilizowanego barbarzyńcy. Ale musiałem w to włożyć sporo pracy. Ludzi dzikich trzeba umieć cywilizować. Nie nożem i strzelbą

111 zaszczepiać im kulturę, lecz przy pomocy szczerego słowa i dobrego przykładu, a nade wszystko życzliwości. Proszę, niech panowie zapalą - dodał, napełniając szklanki winem.

- Słyszałem, że Tobasowie są bardzo pojętni i zdolni.

- Jak wszyscy inni Indianie. Dać tylko ich współpracownikom dobrych nauczycieli, a wszyscy osiągną to samo. Niedawno zaczęliśmy tu uprawiać winorośl, a na jednej z wysp jeziornych sadzimy kartofle i warzywa. Grunt nadaje się do tego wybornie, mam więc nadzieję, że przy pilnej pracy rolnictwo i ogrodnictwo zakwitnie u nas w całej pełni. Zresztą dobrym przykładem pracy rnoich Indian są choćby te cygara, których gatunku nie powstydzilibym się nawet wobec najwybredniej-szych znawców.

Wyrzekł to z pewną dumą, a po chwili dodał:

- Ale proszę mi opowiedzieć, co się dzieje z nieprzyjaciółmi, o których wspominaliście.

Na tę interpelację Pena opowiedział prawie dosłownie wszystko, co słyszał. Desierto wysłuchał go z wielkim zajęciem i rzekł w końcu:

- Więc tak zwany „zięć” był tutaj na wywiadach, skoro wie o nas tak dokładnie. Musi to być człowiek bardzo niebezpieczny, skoro mu się udało podejść nas pomimo naszej czujności.

- Czy nie domyśla się pan, kto by to mógł być? - zapytałem.

- Nie. A pan?

- Hm! Znam pewnego słynnego przewodnika po Andach...

- I ja słyszałem o nim wiele, ale nie widziałem go nigdy. Wiem tylko, że jest to skończony łotr.

- Na jakiej podstawie pan to mówi?

- W całej Ameryce Południowej wiadomo, że człowiek ten jest złym duchem Indian, bo podjudza jednych przeciw drugim, aby następnie w mętnej wodzie łowić ryby. Podszczuwa ich również przeciw białym, a Mbocovisowie należą do jego najwierniejszych przyjaciół. Jestem

pewny, że to on układa im plany napadów na wszystkie strony. Nie brak mu też sprzymierzeńców i wśród innych plemion indiańskich, które, idąc za jego podszeptem, dopuszczają się rzeczy najgorszych. Czy pan zna bliżej tego opryszka?

- Niestety, tak. I można o nim powiedzieć bardzo wiele, ale w tej chwili nie ma na to czasu, bo przede wszystkim musimy obmyślić plan obrony. Powiem tylko, że wedle moich domysłów ów „Yerno” jest właśnie jego zięciem.

- Do licha! Rad bym, aby się pan nie mylił.

- Dlaczego?

- Gdyż wówczas udałby się nam wyśmienity połów. Jeżeli bowiem dostanę w ręce „zięcia”, wyśpiewa mi on wszystko, a przede wszystkim objaśni, gdzie znajduje się stałe mieszkanie teścia. Skoro się tego dowiem, wówczas unieszkodliwię go raz na zawsze.

- Ale jak pan dostanie „zięcia”?

- Już ja go potrafię wydobyć spośród Mbocovisów.

- Byłoby to bardzo dla nas pożądane i dlatego obaj z towarzyszem chętnie pomożemy panu. Bo i my... Ale o tym później... Główna rzecz, aby schwycić „zięcia”.

- Bardzo mnie to cieszy, że ofiarowujecie mi swą pomoc, gdyż mam zaledwie trzydziestu wojowników, którzy jednak są znakomicie uzbrojeni: posiadają doskonałe karabiny, a na sprawności i odwadze również im nie zbywa.

- Trzydziestu! Hm!... Nieprzyjaciel liczy tylko pięćdziesięciu ośmiu ludzi, bez „zięcia” oczywiście. Wypada wprawdzie w ten sposób dwóch na jednego po naszej stronie, ale to nie powinno przerażać, jeżeli zważymy, że jesteśmy stroną zaczepioną i że znamy lepiej teren, niż nieprzyjaciel. Sądzę jednak, że dobrze byłoby, gdybyśmy zamiast oczekiwać zaczepki, wyszli naprzeciw i przyjęli ich tak, jak na to zasługują. Albo możemy wybrać coś pośredniego: znajdziemy odpowiednie miejsce i będziemy ich tam oczekiwali. Może pan zechce rozejrzeć się ze mną w terenie, bo jestem tu obcy. Czy posiadłości wasze są skupione?

O, nie! Właśnie, że są bardzo rozległe i rozrzucone.

- Cóż więc robić, skoro nie wiemy, w którym miejscu pojawi się nieprzyjaciel? Całej osady waszej nie można obstawić tak szczupłą garstką ludzi.

- O, ja wiem, gdzie oni się pojawiają, albo gdzie pojawić się muszą i tak przy zakładaniu tej osady urządziłem wszystko, aby zabezpieczyć swoich ludzi w razie napadu. Teren ku temu jest tu znakomity. Mianowicie po obu stronach zabudowań ciągnie się fosa, którą mogę napełniać wodą z jeziora. Równoległe do fosy wznosi się wysoki, sztuczny wał ochronny. Gdy otworzę śluzy, w przeciągu godziny całą wieś obleje woda.

- No, a ten punkt, o którym pan wspominał?

- Jest to wąska grobla na kanale, przez którą nieprzyjaciel musi przejść, jeżeli zechce dostać się do osady.
- Czy jednak nieprzyjaciel nie potrafi przedostać się przez kanał w bród? Przecież Indianie umieją pływać.
- O, na to się nie odważą z obawy przed aligatorami. Wprawdzie nie ma ich tam ani śladu, ale Mbocovisowie nie odważą się wleźć do wody, której nie znają; tego nie zrobi żaden Indianin.
- A łodzie?
- Skądże je wezmą, skoro ja swoje pościągam?
- Jeszcze jedno. Mając w pobliżu tyle materiału, mogą bardzo łatwo sporządzić sobie tratwę.
- To mi wcale na myśl nie przyszło.
- Mniejsza jednak o to. Ja jestem zdania, żeby działać podstępem, aniżeli bronią i zabrać Mbocovisów do niewoli, gdyż w takim jedynie razie moglibyśmy dostać „zięcia” żywcem.
- Ma pan słuszność...
- Na koniec musimy wziąć pod uwagę jeszcze jedną okoliczność.

Yerno był tutaj i zapewne obejrzał dokładnie teren, a więc wie, że wieś w normalnych warunkach nie jest oblana wodą. Skoro teraz spostrzeże wodę w fosie, co o tym pomyśli?

Starzec nic na to nie odrzekł, a ja ciągnąłem dalej:

- Domyśli się zaraz, rzecz prosta, że ktoś zdradził jego zamiary i czmychnie stąd czym prędzej, aby następnie sprowadzić na nas całą chmarę wrogów.
- Zupełnie słusznie - potwierdził Desierto. - Trzeba jakoś inaczej zacząć, jeśli chcemy dostać do rąk „zięcia”. Ale jak, oto pytanie.
- Tak, jak to ja obmyśliłem. Wybierzemy się mianowicie na-przeciw Mbocovisów i napadniemy na nich znienacka w miejscu, gdzie się zaczaili.
- Czy znane jest panu to miejsce?
- Zna je dokładnie mój towarzysz.

Tu Pena opisał szczegółowo owo miejsce, a Desierto uradowany potwierdził:

- Tak. Rosną tam na wilgotnym terenie wysokie drzewa. Jeżeli Mbocovisowie istotnie tam obozują, byłoby to dla nas bardzo dogod-ne.
- Ale musimy postępować bardzo przezornie, bo nieprzyjaciel jest od nas o połowę silniejszy.
114
- Więc nie pozostaje nam nic innego, tylko osaczyć ich wokół i po prostu wystrzelać.
- A jakże pan ich osaczy, mając do rozporządzenia tylko trzydzies-toma ludźmi?
- Są dziewczęta, które umieją wybornie strzelać...
- Walka kobiet przeciw mężczyznom... To przecież zabawne!

Bardzo zabawne!...

- A więc niech będzie tak: otoczmy ich i zaczekamy do rana, a potem...
- A potem oni, mając doskonale ukrycie w krzakach, będą strzelać do nas zupełnie bezkarnie i mogą nas wymordować co do jednego. Stary na te słowa zerwał się, wybiegł z altanki, przeszedł się kilkakrotnie ścieżką tam i z powrotem i wreszcie odezwał się:
- Tak źle i tak niedobrze... Cóż począć? Niechże pan radzi, jak ma być nareszcie!...
- Nie moja wina, że nie posiada pan zdolności wojennych - od-parłem. - Tu trzeba dobrze obmyślić cały plan, a przede wszystkim brać pod uwagę, że „zięcia” musimy wziąć żywcem do niewok. Mój plan polega na obezwładnieniu tych ludzi bez rozlewu krwi. Da się to zrobić podstępem.
- To niemożliwe.
- Proszę mnie zapoznać z terenem, a może da się coś obmyślić.

- Owszem, pokażę panu całą osadę, ale wątpię czy pan znajdzie odpowiednie warunki do wykonania swego planu.

Po wypiciu wina i zapaleniu cygar, wyszliśmy z ogrodu tą samą drogą, jaką się tu dostaliśmy. Unico prowadziła nas, a stary szedł ostatni. Gdy przez pokój trupich czaszek wyszliśmy na wierzchołek skały, spostrzegłem, że Desierto miał na głowie kapelusz, którego przedtem nie widziałem. Prawdopodobnie więc była we wnętrzu skały jeszcze jakaś salka, której podczas przeglądu tajemniczej kryjówki nie zauważyłem.

Podążyliśmy na brzeg jeziora w to samo miejsce, gdzie już przedtem byłem z Peną i szliśmy dalej na lewo, nad samą wodą (aż do brzegu przypierał zwarty las), do zakrętu. Tu oczom naszym przedstawił się niezwykle widok. Wśród dosyć obszernej zatoki spostrzegliśmy zaroś-niętą drzewami sporą wysepkę, a poza nią cały szereg mniejszych. Droga, którą szliśmy, była bardzo wąska i tworzyła rodzaj grobli. Po 115 lewej ręce grunt opadał znacznie w dół, a dalej ciągnęła się ściana zwartego lasu.

- To właśnie jest ów wał, o którym panu mówiłem - objaśniał starzec. - Później zobaczy pan to dokładniej.

Po przejściu paru kroków, zobaczyliśmy obszerną, prawie bez-drzewną równinę, na której wznosiły się liczne chaty rozmaitej wielkości. Była to osada indiańska. Przy domach uwijali się mieszkańcy wsi i słychać było odgłos bębna.

- Dlaczego bębnią? - spytałem.

- Widocznie Unica chce oznajmić swym ludziom o grożącym im niebezpieczeństwie i wydać rozkazy. A może i dla pana obmyśli jakąś paradę... Teraz przedostaniemy się na wyspę, którą musi pan obejrzeć. U brzegu kołysały się na falach liczne łodzie, większe i mniejsze.

Wsiedliśmy do jednej z nich i niebawem przybiliśmy do brzegu wysepki. Obszar jej był niewielki; można ją było obejść w przeciągu pół godziny. Brzegi miała obramowane wysokopiennymi drzewami, a po-za nimi widniały starannie uprawione grządki i zagony. Po przeciwnej stronie od miejsca naszego lądowania wśród rozłożystych drzew wznosił się nieduży budynek, pokryty trzciną, na którego szczycie widniał... krzyż, a nad drzwiami napis: „Soli Deo gloria”.

- To nasz kościół - rzekł stary.

- Macie może i księdza?

- Niestety, nie stać nas na to. Ale ludzie moi gromadzą się tu co niedzielę, a ja im czytam i objaśniam ustępy z Pisma Świętego i wspólnie modlimy się tutaj. Cóż robić! Wszechmocny i to przyjmie nam za dobre, bo ocenia szczerą chęć, które nieraz mogą wystarczyć za czyn.

Udaliśmy się następnie na drugą wyspę.

- Chów bydła - mówił starzec, pokazując nam pasące się tutaj swoje stada - jest w Gran Chaco bardzo utrudniony ze względu na plagę moskitów. Pomimo to przezwyciężyliśmy jakoś trudności i ma-my teraz wielki pożytek ze zwierząt, zwłaszcza, że mieszkamy w okolicach odległych od ruchu handlowego i stałych siedzib ludzkich. Po zwiedzeniu tych dwóch wysepek wróciliśmy do wsi. Tu jakiś malec, spostrzegłszy nas, począł umykać na łeb na szyję i drzeć się na całe gardło.

- Co mu się stało? - zapytałem starego. - Przestraszył się nas?

- O, nie! To Unica wysłała go, by dał jej znać o naszym powrocie.

Chodźmy!

Pierwsze domki we wsi stały w dwu rzędach, tworząc szeroką ulicę. Zbudowane były z drzewa lub z cegiel i pokryte trzcina. Wokół każdego z nich urządzone były ładny ogródek.

Na razie nie spotkaliśmy w osadzie nikogo i dopiero, gdy weszliśmy na obszerny czworokątny plac pośrodku wsi (coś w rodzaju rynku), ujrzeliśmy kobiety i dzieci, zbite w gromadę. Wszystko bowiem, co żyło we wsi, zbiegło się przed chwilą tutaj, nie wyłączając staruszków. Zauważyłem, że ludzie ci ustawieni byli w dwa zastępy: jeden, złożony z rośliwych i tęgich mężczyzn w liczbie trzydziestu, a drugi z kobiet, o wiele liczniejszy. „Amazonki” te uzbrojone były w łuki i rurki do strzał. Na froncie tego oddziału stała Unica, jak generał przed wojskiem. Gdy się zbliżyliśmy, rozległ się jej głos, i obydwie grupy z niesłychaną sprawnością „sprezentowały broń”. Po mustrze pokazał nam Desierto fosę ciągnącą się dookoła osady. Obejrzelśmy spusty, za pomocą których fosę można było nawodnić w jednej chwili i wróciliśmy na plac zborny, gdzie znaleźliśmy zastawiony wielki stół, zbity z prostych, nieheblowanych desek, a na nim stosy mięsiwa i doskonale przyrządzonych jarzyn oraz owoców. Zaproszeni przez starego, zasiedliśmy na zydlach. Noży i widelców nie było, bo każdy z nas miał własny swój nóż za pasem, a widelce można było doskonale zastąpić palcami.

„Uprzejmiała” nam obiad orkiestra, złożona z bębnow i jakichś nieznanymi mi instrumentów. Na szczęście apetyt, który mi niezwykle dopisywał, uczynił mnie głuchym, a poza tym od grona „artystów” zasłaniał nas cisnący się prawie do samego stołu tłum mieszkańców wioski.

Jakkolwiek poddani Unicy wiedzieli już, że grozi im napad wrogiego plemienia, nie było słycać lamentów lub narzekań; przeciwnie, panował zupełny spokój. Naprawdę, tylko Indianie mogą się poszczycić podobną obojętnością w obliczu groźnego niebezpieczeństwa. Inaczej aniżeli oni zachowywał się Desierto. Znać było, że pochodzi z innej rasy i że ma... nerwy, których wrażliwość jest prawdziwym przekleństwem rasy białej. Zauważyłem, że Desierto niecierpliwiał się, nie jadł prawie nic i wreszcie oświadczył, że czas, abyśmy odbyli naradę wojenną. Wobec tego mieszkańcy osady usunęli się natychmiast, a Desierto rzekł do mnie:

- Widział pan już wszystko, co może być przydatne dla zorientowania się w naszej niebezpiecznej sytuacji. Mam nadzieję, że pan znajdzie sposób ratunku.

- Owszem - odrzekłem. - Nieprzyjaciele wpadną nam w ręce bez jednego wystrzału i bez rozlewu krwi.

- Ależ, panie! Ja bardzo cenię pańskie słowa, ale... wybaczy pan.. czy nie jest pan zbyt pewny siebie?

- Zaręczam panu, że mój plan musi się udać. Trzeba tylko, aby pan się nań zgodził.
- Ja? - zapytał. - Zrozumiałe, że jestem gotów na wszystko.
- Nawet gdyby to było trudne i niebezpieczne zadanie?
- W tym kraju nie brak przecież niebezpieczeństw na każdym kroku. Przypuszczam zresztą, że pan nie wyśle mnie samego nigdzie, a w takim razie z góry zgadzam się na wszystko. Cóż więc mamy robić? Proszę wyjaśnić nam to dokładnie.
- Otóż trzeba tylko, aby pan się udał ze swoimi ludźmi na wyspę kościelną i zaczął się tam na brzegu pod drzewami, a ja dostawię wam nieprzyjaciół... na raty, po kilku. Pena będzie mi pomagał, a wy tylko będziecie odbierać transporty... i nic więcej.

Stary popatrzył na mnie jak na wariata i wzruszywszy ramionami, rzekł:

- Jak to? Mbocovisowie daliby się tak łatwo wciągnąć w pułapkę?

I dlaczego pułapka ta ma być właśnie na wyspie, a nie tutaj?

- Po prostu dlatego, że na wyspę muszą się przeprowiać po kilku, więc może się ich na raz dostać tam tylu, ilu zmieści jedna łódka. A z garstką przecież łatwiej dać sobie radę, niż z całym oddziałem.
- Ale kto ich zmusi do przeprowienia się na wyspę, gdzie nie mają czego szukać?
- Powiem im, że pan się tam ukrywa. Ponieważ zaś głównym ich zamiarem jest wyszukać pana i zabrać jego skaby, więc...
- Jak to? Pan chce z nimi mówić?
- Oczywiście, jeżeli chcemy schwytać „zięcia”, a nie mieć na sumieniu śmierci wielu ludzi. Bo gdyby ich oczekiwać tutaj, we wsi dojdzie do zbrojnego starcia i krew poleje się po obu stronach.
- Nic a nic nie rozumiem. Co pan chce zrobić?
- Proszę posłuchać. Powiem im, gdy tu nadejdą, że właśnie przed chwilą wrócił z pola bitwy posłaniec z oznajmieniem o strasznej klęsce waszego plemienia... że wszyscy wasi zginęli, a zwycięzcy Chiriguano-

118 sowie ciągną teraz na wasze siedziby, wobec czego skryliście się na wyspę. My obaj z Peną

jesteśmy cascarillerosami, którzy zablądzieli. Zostaliśmy schwytani przez was i obrabowani ze wszystkiego. Groziła nam nawet śmierć, ale skutek waszej klęski rzeczy wzięły inny obrót. Puściliście nas wolno, ale nie oddaliście zabranych rzeczy, więc chcemy się zemścić za wyrządzoną nam krzywdę.

- A!... Zaczynam pojmować... Pan chce opowiedzieć tę bajkę naszym nieprzyjaciołom?

- Tak jest. A wy oczywiście musicie zastosować się do tego, to znaczy opuścić wieś i przenieść się na wyspę. Bo Mbocovisowie zechcą się chyba przekonać na własne oczy o prawdziwości mego opowiadania i udadzą się do wsi. Jestem pewny, że „zięć” sam wybierze się tam na zwiady.

- Hm! Dobrze to może wszystko, ale kłopotliwe...

- To trudno! Jeżeli chcemy mieć dobry rezultat, to trzeba ponieść trochę trudu. Co do mnie, to gotów jestem przebrać się w łachman jaki nędzny, aby nam tym łatwiej uwierzono, że zostaliśmy przez was skrzywdzeni.

- Teraz zaczynam pojmować, o co chodzi - mruknął stary.

- Plan znakomity, ale... bardzo niebezpieczny. Więc pan chce udać się do nich i poprowadzić ich przeciw nam?

- Nie inaczej. Tu u brzegu trzeba zostawić jedną łódź, która może unieść sześć osób. Mbocovisowie będą musieli przeprować się w dzie-sięciu partiach, a ja będę im służył za przewoźnika.

- Ba! A jeśli pierwsi schwytani jeńcy zaczną krzyzczeć i tamci na przeciwnym brzegu zorientują się, że to zdrada?

- Bardzo słuszna uwaga... Może by więc zwabić ich w miejsce pewniejsze, na przykład do kościółka...

- Cóż dalej? Szczegóły planu omówimy później. Teraz idzie głównie o to, aby mieszkańcy jak najprędzej opuścili wieś i przenieśli się razem ze swoim mieniem na wysepki. Ponadto chciałbym jeszcze obejrzeć kościółek, a potem wybiorę się z Peną na spotkanie Mbocovisów. Wszak pójdzie pan ze mną? - zwróciłem się do towarzysza.

- Z panem choćby do piekła...

- Cieszy mnie to i pochlebia mi ogromnie. Przyda mi się pan bardzo, gdyż zna pan język Mbocovisów, którego je w ogóle nie rozumiem. Jednakże zwracam panu uwagę, że nie wolno panu zdradzić się ze znajomością ich języka, bo może znajduje się wśród nich ktoś, kto

tłumacza, będziemy mówili po hiszpańsku.

- Tak! Trzeba, abyście byli bardzo ostrożni i przezorni - wtrącił Desierto. - Ja uczynię wszystko, co mogę, aby się naszym udało schwytać tych, którzy przybędą na wyspę. Musimy tam zaraz popłynąć aby na miejscu omówić szczegóły planu.

Stary wydał polecenie, aby mieszkańcy osady zabrali całe swoje mienie i przeprawili się na wyspę, po czym udaliśmy się na wyspę kościelną, w celu obmyślenia na miejscu planu obrony. W kościółku, o ile można go było tak nazwać, były dwa rzędy prostych ław, spoczywających na palikach wbitych w ziemię. Przed ławami stał podwyższony nieco stół, a za nim stołek. To było całe urządzenie domu Bożego, w którym Indianie krzepili nauką Chrystusową swoje proste dusze i modlili się.

Drzwi świątyni nie miały zamków. W bocznych jej ścianach były otwory bez szyb z drewnianymi okiennicami.

Rozejrzałem się w tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że trudno było wymarzyć lepsze miejsce dla wykonania mego planu.

Desierto prawdopodobnie zauważył moje zadowolenie, gdyż zapytał:

- No i cóż? Widzę że pan jest dobrej ~myśli?

- Tak. I postaram się, aby Mbocovisowie dostali się tutaj, jak do potrzasku.

- W jaki sposób zamierza pan to uczynić?

- Postaram się każdą grupkę, która tu wyląduje, skierować do kościółka, tłumacząc, że muszą się tam ukryć przed wami, zanim nie wylądują inni. Tymczasem dziesięciu najcięższych waszych wojowników ukryje się za ławkami w kościółku, ażeby rzucić się na przybyszów i po obezwładnieniu, zakneblować im usta, by krzykiem nie zdradzili swego położenia. W ten sposób stopniowo wszyscy wpadną w nasze ręce bez jednego wystrzału. Prawdopodobnie Pena i ja będziemy obecni podczas przyjęcia pierwszej partii tych chciwych na cudze mienie głupców, a więc nich ludzie wasi, przeznaczeni do ich schwytania, uważają na moje skinienia. Proszę wybrać do tej czynności takich, którzy umieją trochę po hiszpańsku.

- Mam tylko dwóch, znających język hiszpański. - Ale dlaczego pan przeznacza do tej roboty tylko dziesięciu, skoro jest do rozporządzenia trzydziestu?

- Bo po pierwsze dziesięciu wystarczy najzupełniej, a po wtóre

120 tamci nie zmieściliby się w ciasnym kościółku. Zresztą przypuszczam, że „zięć”, zanim coś przedsięwzię, zechce się przekonać, ilu was jest. Dlatego też trzeba będzie rozpałcić ognisko, przy którym zasiądzie reszta waszych wojowników, aby „zięć” mógł ich z daleka policzyć, przy czym

muszą się tak zachowywać, jakby nie zwracali uwagi na to, co się dzieje obok kościółka. Musimy zaraz wybrać miejsce, w którym pan rozłoży ogień. - Chodźmy.

Po opuszczeniu kościółka, udaliśmy się ku środkowi wyspy i tam wyszukałem miejsce dogodne dla rozłożenia obozu. Desierto nie oponował przeciw moim zarządzeniom, ale z jego ponurego spojrzenia wywnioskowałem, że nie jest z nich zadowolony.

Spostrzegł to również Pena i zapytał go:

- Pan wymyślił może lepszy sposób pokonania Mbocovisów?

- Nie, Ale plan pańskiego towarzysza wydaje się zanadto zawisty i... niebezpieczny dla tych, którzy się ukryją w kościółku.

- Ba! Trzeba też wybrać na wykonawców takich ludzi, którzy potrafią skutecznie wykonać zadanie. Przecież napad Mbocovisów skierowany jest przeciw wam jedynie i wy powinniście dołożyć wszelkich starań, by go odeprzeć bez szkody. Nas mogłoby to wcale nie obchodzić, a jednak ofiarowaliśmy wam swą pomoc i to w roli najbardziej niebezpiecznej.

- Słusznie i skoro o tym pomyślę, aż mnie mrowie przechodzi...

- No, no! Damy sobie radę - wtrąciłem. - Proszę myśleć raczej o sobie, a przede wszystkim postarać się, aby moje zarządzenia były ściśle wykonane. Jestem pewny, że „zięć” już w tej chwili znajduje się w drodze do Laguna de Carapa, jako wywiadowca. Nie mamy więc zbyt dużo czasu do namysłu i trzeba, aby pan natychmiast wybrał ludzi do wykonania mego planu. Niech się zaraz udadzą do kościółka, my zaś tymczasem przebierzemy się w łachmany, by Mbocovisowie mieli naoczny dowód, jak srogo obeszlście się z nami.

- Może by dobrze było, abym wziął na siebie brudną koszulę Indianina? - zapytał mnie Pena. ;

- Nie zaszkodziłoby. Im nędzniej będziemy ubrani, tym łatwiej uwierzą w nasze opowiadanie. Oczywiście wybierzemy się bez broni. W razie czego pożyczymy sobie od któregoś z Indian noża do obrony.

A zresztą może wystarczą nam pięści...

W tej chwili właśnie mieszkańcy wsi wnosili do łodzi i na tratwy

121

ZZT

‘~zat;qoZ iui?d łon~zo~ -

‘e.xolzaf in~o~azaq

n~ ~~~.z ł~zi’~sn~ I ...i~aln~ołza sl~~f xsaf uxi?,I, ialaz.zxed ‘..~~upaf~ -

:ł~aza

Ilin~iła od ‘~falło~o od ~Is ł~Izaafzoa i alui’~ai;d n~ n.zon~xo op łld~xs~fza~

. . yf nuz uzał~ppo

‘I~xauaoł ~en~oqoads ł~iaiła I ~in~i:~aia ł~fq i’uua~ az ałi? ‘cuałld~xsn

‘aaz~8xs ł~az.x - .iouuas ‘nzao ~po~zS -

‘nzilqod n~

salzp~ Ilin~qa fax n~ alusi’ł~ xsaf atu ~iza ‘aln~ ox~ ~i’upaf~ - ~ ‘~fpeln~z eu ~~i;zazsnd ualzp
~fłelq m~Is ~fz~n~po alu zalaaz.x~ - LI~iZ” ai~StA~~z~~ - I” . . .

‘Ox~2iSaQ łBx~dS - ~~~ZJLqOZ uBd aOLłJ aiAAi~SLłA~1 oóOx -

‘~ixoxsl fan~~iz faupi’z

uzał~izen~n~z alu n~o~exd zaoado zaal ‘~alło~o ~epi’q u.łał~za~Z -

‘fafolu po i?zsdal

~ł~q ‘ołi:zi’~o ~Is xsj vfon~s aTsatu~iz.xd tuz az ‘ł~fzapi;in~so ox.iaisaQ

oa su ‘~Is ulał~n~zapo - s~xau.zoł i’łpsdazzd IuI az ‘i’po~izS -

‘~iatłło~o od ~Is ~iuzszłazafazoz.i;z.xo~zn~ az i npoa~o

op ~łn~iła eu azazsaf ~iuzssłzs~in~ zauołs ulapołłai;z uz~iuz~s paz.x~

‘i’uozaaldzaqez faldafli;u t;ł~iq nx oq ‘~x.xąisaQ

aan~of~i.zx n~ ~imslłi;n~oiłtas uoag ‘alupods zal~~x I ~lnzso~ ~uexi;łod

~ał~~q~~ ~Ia~.x9x~ z ‘u~.iqn sed~z ~fuza~uz az.xouzo~~m łi’pi’ssod ~f.ii;xS

‘~~aqaz.id ~Is ~iq~ ‘i;x.xąisaQ ~iqlzpais fauli;~s

op ~is ~iuzsiłi:pn i npi;di;u si?zapod ~i’ n~~imoi~osz ~Is ~Ism ~nf ‘I~~ozi;~sn~

aa~Indaaza~in~ ul;Ipuł z nuxapzi’~ ~uzsiłi’p ‘nui;łd ntuatn~otuo o~

‘~~~xsm ~ozazs i;ło~op ~f a~ten~ałqo

‘nn~o.z ~peso o~aa~fi’ł~~o op ulaulnzs z eł~u~.xi’xn~ i;pon~ tu~iza od

‘~iznłs ox.ii;n~xo zi’~zoa o~af t;u xaum i ~souzsnłs luz łeuz~fzad ox.iąisaQ

‘siul;~zsalm auozazsndo alasłł

~izaatdzaqi;z az ‘auoln~łłpaln~i?.zdsn at_ uladnz atzp~q ‘aln~osoul;n~I.xlił~ ~u~~Ia uzi’ n~
mtaazad zI ‘~alzpalmop si;u po ~Is ~Isuz ain~osieoaoqy~ az ‘~i;upaf o~ax
aaqo~~’ ołin~zxspazad n~x~zaod z ox ~is lizi ~i’,I, -

. ~ ~ ~n~o~iuxsi;deu

aluaz.itapod ~fqołłzpnqzn~ ox az ‘łln~ouz ui’d zai_oaza~ ~oa od ox ~1 -

‘nłeue~ ~ixsnds ox.ien~xo ~iqi; ‘ulalep~zi;z ‘isn~ op ~fds~in~ z ~izsn~iao.z~

‘aiusłpuł ał~~fn~z ~i’f ‘Iuqossz x~qz tł~iq atu aaoxx n~ ‘alualm aton~s

^Zi

~eu~on~ozaq

~iqeł~iq ezseu erpauzo~ ~ipaxn~ z~ip~ ‘~zo~Todatuez atu uz~ix o~ ~fqe ‘~ipeis

auze.z~in~ ~ił~fq aczp~ ‘ruzarz od ~rs ~iuzstłen~~i.rledzoa aru zax rue ‘nmaz.rp

n~ aiuj~ium ~rs ~fulsiłep~ł~o ar~ r~no~zoa f zseu ~azs~iłsn aieuo~sop

ł~oux o~a~ox~ł .z T ~ain~ołza ~izatuuzalQx ~is ł~ia~n ul~i.rox~ eu ‘en~az.xp

po mo~o.r~ nxsarzprmp oło~o rasoł~alpo n~ n~azaq op ~fuzsrłrqoQ

v~lxau.roł

~iuzeuz az 'azn~ aru oq '~soł~alpo ~sx eu ~fuzsił~azaxsop o~ az '~xzsa.xz

ezazsnd~izad at~ vuzaardzaq atuładrrz ~Is alnza faruzaoprme~ -

~arqais ~soun~ad o~at aruuz rn~izQ -

~in~ouzzo.z (azseu~ euanłsod qaar~

waz.zxsods o~ ~uzazou.r larmxeł ur~ix az 'psptm łełs~iu.rod ai~ iaatdnł~

ox ~7 ~uaerz~le~ m~rs ł~i.r~s ouza~ aZ - ł~łaz~ - ued epeTn~a~ -

~aa~.r łez~rn~z ruz ~iqe 'o~ uzalżso.xd

-od t rmox.rąrsaQ ~xau~oł uzalepp~ 'zaeuz ox oa 'znI uralełzpar~ nz~le~ pQ~s~ ł~łruz r aru
eu ~is łedeapn~ aiud~xseu e 'uzeu n~ ł~iz,rxed t uzan~azap pod łsxs ~łrn~ua zaza~ wn~ouz o~
uzal~fzaeqoz atseza ur~fu~ad od ale 'ua~upompeu iłso~ez q~ł~ m łf;u3oa ~rs o~q~izs z ~uozxs
o~af n~ ~is ~fuzsrle~o.raTx ~fpar~ 'seu ł~azzxsodS yzpoł fazseu aaqon~ en~oqaez ouza~ ~rs
~sI '~emom.zasqoez ~iq '~xauaoł zaz.rd uxał~iz,rxed z aapoł m uraleza-I . w~fzen~nez seu
łersnuz '~iuxsrł~u~iłdo ~I ~fp~ olazdoQ ~eds~in~ seu ełełarzpaz,xd oq 'ixn~of~f.zx tanns az
aazaxsop seu ł~our ar~ wu.xa~ ~fuzsrłatzptm ~jrn~rła pazad arzp~ 'uraxotzat peu nas,faruz
nuxax n~ ouen~ołsormod r z~poł op szu ouozpesn~ uzaxo~ n~ou xlez~in~z aruuz s 'eue.req ~ef
~ua~ ołen~od~a~s uerpuł rłao~ap 'saorzal nBaz.zq eu ~rs ~iursrłzaleuz ~ipaix

~urez.raruzez

oa 'aaxox~od u.rr małetzpatn~od azpoap od e 'łop eu o~q~izs ~iursrizsaZ

vqos az pe.zqez ~zso.zd az~eł ~xxaruo'I 'pezf;rn~z seu ~iqe 'atualuzaz.z

oqje ~fzoan~od en~p q~zrn~ ~zso.rd ał~l 'oa od 'nued ~zaeumłx~in~ azpo.xp

o~ nuleu z łpazsod ued ~iqe 'eqaz~,L '~ern~r;qo aru ~is ~zsoa~ -

'ox~ątsaQ ~is ł~urlaez - ~łen~ot.remz ued ~fz~ ter -

'rureu z Zarun~o.x ~rs epn ue~ - :ex.xątsaQ

op ~is uzałiaoan~z ux~iza o~ - ysouzaTło~ło ~x ~exs~izao~~in~ ~iqolezaleu

oq 'łop eu tazp~ad oa ~iuzzp(aZ - wał~łaza - ou~a~ aumadsz oZ, -

właozzal peu ern~oxts po.xsod ~aaf~zal 'e~arn~ołza uxał

--az.rxsop atuxoxst r x~und ~ua~ zazrd ~usze~sn~ eu eł~zs uxałraoamZ Jeden z czerwonoskórych przywiązał naszą łódź do pnia, po czym wyniesiono nas na brzeg, a stary, rozwiązując mi nogi, rzekł głośno:

- No! Umykajcie stąd co prędzej, aby po was nawet śladu nie zostało. Bo powiadam wam, jeśli raz jeszcze wasza stopa zabrudzi ziemię naszego stepu i złapiemy was, to nieszczęsna będzie dla was ta godzina! Precz, gałgany!

Po tych słowach, uderzywszy mnie wiosłem, odszedł do łodzi i razem ze swoimi czerwonoskórymi powiosłował z powrotem. Ja zaś zacisnąłem pięści i pogroziłem za nim, a następnie zabrałem się do oswobodzenia z więzów przyjaciela. W parę minut byliśmy wolni i rozcieraliśmy sobie członki, jakby nam istotnie od więzów zeszywniały, po czym rzekłem po cichu do Peny:

- Zbliźmy się teraz do drzewa, na którym siedzi ten drab, ale tak jakbyśmy nie dostrzegli jego śladów.

A głośno dodałem:

- No, nareszcie diabli go wzięli!... A byłem pewny, że nas wrzuci do wody aligatorom na pożarcie. Mielibyśmy miłą kąpiel, bo tych bestii jest pełno w lagunach!

- Ja też się dziwię, że stary łotr tego nie uczynił. Musi to być nie lada głupiec.

- Albo i nie głupiec. Ja przypuszczam, że chciałby jeszcze spotkać się z nami i dlatego nas oszczędził.

- Niech by mi raz jeszcze nawinął się na oczy, a odpłaciłbym mu za wszystko kulą w łeb.

- No, niech ci się nie zdaje, że tylko ty masz prawo do zemsty. Nie spocznię prędzej, aż jego i wszystkich jego ludożerców nie wystrzelam co do nogi. Zabrali nam łotry broń, ubranie, pieniądze i puścili gołych, jak tureccy święci, na step. I co teraz robić? Ani czym upolować zwierzyny, ani w ogóle nic do jedzenia... Niechże ich piekło pochłonie!

- O, tak! Ale musimy co prędzej umykać stąd, bo nuż by mu żal się zrobiło, że nas puścił i zachciałoby mu się ściagać nas na nowo...

- Ale dokąd iść?

- Dokądkolwiek, gdzie są ludzie, którzy mogliby nam dopomóc w nieszczęściu. Nad Rio Salado jest dosyć osad.

Zamyśliłem się na chwilę, a Pena zapytał:

- Cóżes się tak zasępił? Może masz jaki inny sposób?
- Mam, przyjacielu - odrzekłem, udając radość. - Nie pój-

124 dziemy nad Rio Salado, bo to za daleko i zginęlibyśmy w drodze z głodu. Wydaje mi się choćby na przykład do Chiriguanosów.

- Znakomita myśl! Że też mnie to nie przyszło do głowy... Toż to jedyny dla nas ratunek!
- A widzisz, że umiem się od biedy wykręcić! Odnajdziemy Chiriguanosów, przyłączymy się do nich i napadniemy na tych łotrów. W ten sposób tylko możemy odebrać nasze mienie i przy sposobności nawet coś jeszcze zarobić.
- Doskonalei - zawołał Pena triumfująco. - Gdyby stary wie-dział, że podsłuchaliśmy jego rozmowę z tą dziewczyną, nie byłby nas wypuścił z życiem. Teraz wiemy przynajmniej, gdzie szukać jego pieniędzy, które zabierzemy sobie, a Chiriguanosom damy byle co. Ten pies, patrząc, jak będziemy rozbijali jego skrzynie, będzie zgrzytał zębami i rzucał się bezsilnie. Wówczas zwiążemy go i rzucimy aligatorom na pożarcie.
- Tak, ale czy Chiriguanosowie zechcą nas przyjąć?
- Ręczę, że przyjmą nas z największą chęcią. Ja ich znam. Ale nie traćmy czasu i puśćmy się bezzwłocznie w drogę, żeby się z nimi nie rozminąć... Przypuszczam, że stary nie wyśle za nami nikogo i nie będzie nas śledził. Ma przecież teraz głowę zajętą czymś innym. Więc dalej w drogę!

Poszliśmy wzdłuż brzegu, nie troszcząc się wcale o człowieka, który jak bazyliśzek, siedział na drzewie. swoje mienie, w które nie byli zbyt zasobni, jak zwykle Indianie. Wróciwszy z wyspy do wsi, zażądałem, aby otwarto spusty kanału.

- A to po co? Przecież pan mówił, że to wzbudziłoby podejrzenie napastników...
- Tak mi się to z początku przedstawiło. Wobec tego jednak, że Mbocovisowie mają się od nas dowiedzieć, iż przeciw wam ciągną Chiriguanosowie, będzie zupełnie usprawiedliwione, że zabezpieczy-liście opuszczone mieszkania.

Desierto przyznał mi słuszność i wnet na jego rozkaz otwarto śluzy, po czym woda wtargnęła z szumem do okalającego osadę rowu, oblewając ją dokoła szeroką wstęgą.

Po omówieniu planu, daliśmy każdemu z Indian wyczerpujące wskazówki, jak mają się zachowywać podczas napadu i udaliśmy się do skalnej siedziby Desierta, aby się przebrać.

Stary posiadał w komorze znaczny zapas ubrań, z których wybrałem połataną koszulę i także spodnie. Broń schowaliśmy w kryjówce Desierta, bo tu była najlepiej zabezpieczona.

Przed samym zachodem słońca wyszliśmy jeszcze na chwilę do ogrodu i ze wzgórza rozejrzeliśmy się po okolicy.

- Szkoda, że mi przepadła lornetka - odezwałem się, na co Desierto oświadczył, że mi przyniesie swoją. Jak się okazało, była lepsza od mojej.
- Zacząłem badać okolicę, lecz oprócz ptaków nie zauważyłem żadnej żywej istoty.
- Kogo właściwie chce pan zobaczyć? - spytał Desierto.
- Oczywiście „zięcia”!
- Przecież nie odważy się w biały dzień puszczać na zwiady.
- A jednak kto wie, czy nie jest właśnie w tej chwili gdzieś w pobliżu.
- Szkoda oczu, sennor - rzekł starzec.

Ustałem, ale że Penna był ciekawy i chciał spróbować lornetki, oddałem mu ją.

Przystąpił do otworu w parkanie i rozjrzał się po okolicy. Pa chwili rzekł:

- A jednak... patrzcie! Tam jest jakiś człowiek!... I wskazał ręką ku brzegowi jeziora.
- Pozwól pan! Zobaczę.

Zwróciłem szkła na wskazany przez Penę punkt i istotnie dostrzegłem człowieka, leżącego pośród sitowia nad jeziorem.

- To zapewne Yerno - rzekłem. - Zejdźmy co prędzej na dół, bo należałoby wykorzystać tę okoliczność. - Po czym zwróciłem się do Desierta: - Pan uda się również z nami.

- Ja? Czy pan zwariował? - zachnął się Desierto.

- Proszę się nie obawiać. Trzeba, aby pan poszedł z nami. Po drodze wytłumaczę panu, po co. Ale proszę wziąć dwa powrozy albo rzemienie, aby nas związać. Lornetkę także proszę zabrać ze sobą. Zeszliśmy szybko na dół, a po drodze powiedziałem im pokrótce, co zamierzam.

Kiedy znaleźliśmy się na brzegu jeziora, dwóch Indian skrupowało Penę jak barana, a mnie związali nogi. Potem wsadzono nas do łódki i powiosłowano ku temu miejscu nad jeziorem, gdzie przed chwilą widzieliśmy Yerna. Nie mógł nas dostrzec ze swej kryjówki, bo przedzielała nas wyspa. Dopiero gdy ją opłynęliśmy, musiał nas zauważyć.

Leżałem w łódce i patrzyłem przez lornetkę, by zaobserwować, jak się Yerno zachowa wobec naszej łodzi.

Spostrzegł nas, kiedy kierowaliśmy się w jego stronę i szybko się cofnął w głąb zarośli nadwodnych, ale po pewnym czasie zobaczyłem go znowu. Przez chwilę stał pod drzewem i patrzył ku nam, a następnie wdrapał się na nie i znikł wśród gałęzi.

Wiedziałem już, co to znaczy. Oddałem lornetkę Desiertowi i po-prosiłem go, aby mi związał ręce.

- Powiada pan - rzekł - że Yerno skrył się w gałęziach? A to głupiec! Nie pomyślał widać, że tym łatwiej możemy go spostrzec. Niech posłucha naszej rozmowy.

- Dziwi mnie jego pewność siebie.

- Najwidoczniej czuje się zupełnie bezpieczny. Nie przypuszcza zresztą, że go dostrzegliśmy na taką odległość, bo nie wie, że mamy lornetkę.

Dobiliśmy do brzegu w odległości około dwudziestu kroków od drzewa, na którym ukrył się tajemniczy człowiek i z którego mógł doskonale usłyszeć naszą rozmowę. Nie oglądaliśmy się umyślnie ku drzewu, ani też nie rozpatrywaliśmy się po ziemi, gdzie były wyraźne ślady, aby go tym nie zaniepokoić, gdyż wtedy komedia nasza byłaby bezowocna.

Jeden z czerwonoskórych przywiązał naszą łódź do pnia, po czym wyniesiono nas na brzeg, a stary, rozwiązując mi nogi, rzekł głośno:

- No! Umykajcie stąd co prędzej, aby po was nawet śladu nie zostało. Bo powiadam wam, jeśli raz jeszcze wasza stopa zabrudzi ziemię naszego stepu i złapiemy was, to nieszczęsna będzie dla was ta godzina! Precz, gałgany!

Po tych słowach, uderzywszy mnie wiosłem, odszedł do łodzi i razem ze swoimi czerwonoskórymi powiosłował z powrotem. Ja zaś zacisnąłem pięści i pogroziłem za nim, a następnie zabrałem się do oswobodzenia z więzów przyjaciela. W parę minut byliśmy wolni i rozcieraliśmy sobie członki, jakby nam istotnie od więzów zeszywniały, po czym rzekłem po cichu do Peny:

- Zbliźmy się teraz do drzewa, na którym siedzi ten drab, ale tak jakbyśmy nie dostrzegli jego śladów.

A głośno dodałem:

- No, nareszcie diabli go wzięli!... A byłem pewny, że nas wrzuci do wody aligatorom na pożarcie. Mielibyśmy miłą kąpiel, bo tych bestii jest pełno w lagunach!

- Ja też się dziwię, że stary łotr tego nie uczynił. Musi to być nie lada głupiec.

- Albo i nie głupiec. Ja przypuszczam, że chciałby jeszcze spotkać się z nami i dlatego nas oszczędził.

- Niech by mi raz jeszcze nawinął się na oczy, a odpłaciłbym mu za wszystko kulą w łeb.

- No, niech ci się nie zdaje, że tylko ty masz prawo do zemsty. Nie spocznę prędzej, aż jego i wszystkich jego ludożerców nie wystrzelam co do nogi. Zabrali nam łotry broń, ubranie, pieniądze i puścili gołych, jak tureccy święci, na step. I co teraz robić? Ani czym upolować zwierzy, ani w ogóle nic do j edzenia... Niechże ich piekło pochłonie!

- O, tak! Ale musimy co prędzej umykać stąd, bo nuż by mu żal się zrobiło, że nas puścił i zachciałoby mu się ścigać nas na nowo...

- Ale dokąd iść?

- Dokądkolwiek, gdzie są ludzie, którzy mogliby nam dopomóc w nieszczęściu. Nad Rio Salado

jest dosyć osad.

Zamyśliłem się na chwilę, a Pena zapytał:

- Cóżes się tak zasepił? Może masz jaki inny sposób?
- Mam, przyjacielu - odrzekłem, udając radość. - Nie pój-

124 dziemy nad Rio Salado, bo to za daleko i zginęlibyśmy w drodze z głodu. Wydaje mi się choćby na przykład do Chiriguanosów.

- Znakomita myśl! Że też mnie to nie przyszło do głowy... Toż to jedyny dla nas ratunek!
- A widzisz, że umiem się od biedy wykręcić! Odnajdziemy Chiriguanosów, przyłączymy się do nich i napadniemy na tych łotrów. W ten sposób tylko możemy odebrać nasze mienie i przy sposobności nawet coś jeszcze zarobić.
- Doskonale! - zawołał Pena triumfująco. - Gdyby stary wie-dział, że podsłuchaliśmy jego rozmowę z tą dziewczyną, nie byłby nas wypuścił z życiem. Teraz wiemy przynajmniej, gdzie szukać jego pieniędzy, które zabierzemy sobie, a Chiriguanosom damy byle co. Ten pies, patrząc, jak będziemy rozbijali jego skrzynie, będzie zgrzytał zębami i rzucał się bezsilnie. Wówczas zwiążemy go i rzucimy aligatorom na pożarcie.
- Tak, ale czy Chiriguanosowie zechcą nas przyjąć?
- Ręczę, że przyjmą nas z największą chęcią. Ja ich znam. Ale nie traćmy czasu i puśćmy się bezzwłocznie w drogę, żeby się z nimi nie rozminąć... Przypuszczam, że stary nie wyśle za nami nikogo i nie będzie nas śledził. Ma przecież teraz głowę zajętą czymś innym. Więc dalej w drogę!

Poszliśmy wzdłuż brzegu, nie troszcząc się wcale o człowieka, który jak bazyliiszek, siedział na drzewie.

ROZDZIAŁ III

NAD LAGUNA DE CARAPA

- Jak się panu zdaje? - zapytał mnie Pena po cichu. - Pójdzie za nami czy nie? Bo ja nie przypuszczam.

- Ja zaś przeciwnie, jestem pewny, że już idzie za nami.

- Cóż mu powiemy, gdyby istotnie przyszedł? Czy powiemy mu swoje nazwiska?

- O, nie! Z początku będziemy udawali wielce ostrożnych. Trzeba bowiem pamiętać, że wśród Mbocovisów może znaleźć się jakiś człowiek, który sobie pana przypomni, tym bardziej, gdy usłyszy pańskie nazwisko. Ale... słyszy pan? Ktoś biegnie za nami... Nie oglądaj się pan! Przyspieszmy kroku; niech mu się zdaje, że chcemy mu umknąć. To on niezawodnie...

Nie myliłem się. Po chwili zawołał ktoś za nami:

- Stój!

Udaliśmy, że nie słyszemy i biegliśmy dalej, on zaś krzyczał, co miał sił:

- Sennores! Zatrzymajcie się! Chciałbym z wami pomówić, a nie mogę was dogonić... Pędzicie jak wiatr!

Na te słowa zatrzymaliśmy się udając mocno wystraszonych. Był to istotnie „zięć” we własnej osobie.

- Co pan za jeden? - zapytałem udając zdziwienie. - Czego pan chce od nas?

- Powiem wam zaraz, tylko zaczekajcie. Chcę się dowiedzieć, kto panowie jesteście.

- Cóż pana to obchodzi?

- I bardzo nawet obchodzi - odparł, patrząc nam badawczo w oczy, a zauważywszy, że zachowujemy się względem niego nieufnie

126 dodał: - Przede wszystkim nie obawiajcie się, bo nie jestem waszym wrogiem; przeciwnie, rad bym wam dopomóc.

- Oto! Każdy opryszek mówi tak samo. Ale ja nie mam ochoty do zawierania znajomości z byle kim. Należy pan zapewne do tych łotrów, którzy nas obrabowali.

- Ależ na pewno nie. Ja nie tylko, że do nich nie należę, ale jestem ich wrogiem...

- Co nas to obchodzi?... Chodź przyjacielu - dodałem, zwracając się do Peny.

I mieliśmy ruszyć dalej, gdy Yerno chwycił mnie za ramię, mówiąc:

- Panowie! Dajcie sobie wreszcie wytłumaczyć, że nie jestem dla was niebezpieczny. Bo cóż bym wam mógł zrobić, jeden na was dwóch? Zaręczam, że jestem wam życzliwy.

- Bardzo to ładnie, ale nie myślimy korzystać z pomocy nie-znajomych.

- Czyżbym istotnie wyglądał na opryszka, że mi tak niedowierza-cie?

- Nie, ale gdyby nawet tak było, to nie należymy do ludzi bojaźliwych. Pytasz nas pan o nazwiska, a nie mówisz, kim jesteś sam.

- Ależ owszem, powiem wam. Nazywam się... nazywam się Diego Arbolo.

Powiedział to w taki sposób, że od razu było widać, iż wymyślił sobie nazwisko na poczekaniu. Wyraz „arbolo” znaczy po hiszpańsku drzewo, więc Yerno niezbyt wysilił dowcip, by nas okłamać i ukryć swoje właściwe nazwisko.

- Arbolo? No, dobrze. A czym się pan trudni?

- Jestem cascarillero.

- Hm! Teraz rozumiem. Jest pan towarzyszem starego pustel-nika?...

- Nie towarzyszem, lecz jego wrogiem i konkurentem! Z pewnością nikt mu tak źle nie życzy, jak ja.

- Tak? No, to mogę panu powiedzieć, że i my nie mamy powodu życzyć mu dobrze.

- Wobec tego jesteśmy przyjaciółmi.

- Oto! Zbyt śmiało narzuca nam pan się z przyjaźnią. Co do nas, nie mamy ochoty zadawać się z nikim w tej przeklętej puszczy. Spróbowaliśmy tego już raz i dosyć. Dwa razy oszukać się nie damy i radzimy panu, byś szedł sobie swoją drogą, a nam dał spokój!

Przy tych słowach chwyciłem towarzysza za rękaw, by go pociągnąć za sobą, gdy Yerno, snadź zniecierpliwiony naszym uporem, zawołał:

- Dajcie sobie przynajmniej powiedzieć, że chcę wam dopomóc.

Jestem wrogiem starego Desierta i jego bandy, tak samo, jak i wy, i jeżeli chcecie pomścić się na nim, to może wam się to udać jedynie z moją pomocą.

- A skąd pan wie, że chcemy się zemścić na nim?

- O, wiem wszystko.

- No, proszę. Jak pan umie odgadywać myśli ludzkie!...

- Podśluchałem was, gdy rozmawialiście ze sobą po odejściu starego. Siedziałem wówczas na pobliskim drzewie.

- Do licha! A co pan tam robił?

- Chciałem się dowiedzieć, co słyhać w Laguna de Carapa, bo mam zamiar napaść na tę czerwoną zgraję.

- Napaść? - powtórzyłem zdziwiony. - Pan?... Sam jeden?

- O, mam dość ludzi do rozporządzenia!

- Jak to? - zapytałem, oglądając się trwożnie. - Któż tu jeszcze jest?

- Proszę się nie obawiać - odparł z tajemniczym uśmiechem.

- Ci, o których mówię, nie są tak blisko. Ale gdyby nawet byli tutaj, nic wam z ich strony nie grozi; przeciwnie, przyjęliby was z otwartymi ramionami.

- Któż to są ci ludzie?

- Nie odpowiedziałbym panu, gdyby nie to, że znam treść waszej narady. Wiem dobrze, że macie słuszny powód do zemsty nad starym Desiertem i dlatego powiem wam otwarcie, że jestem obecnie dowódcą Mbocovisów, którzy znajdują się niezbyt daleko stąd.

- Mbocovisowie? Toż to śmiertelni wrogowie Tobasów.

- Tak, więc sędzę, że nie ma sensu udawać się po pomoc do Chiriguanosów przeciw swym krzywdzicielom.
- Chce pan zapewne powiedzieć, że pańscy Indianie byliby skłonni pomóc nam? A ilu ich jest?
- Pięćdziesiąt osiem głów.
- I pan sądzi, że to wystarczy, aby zwyciężyć całe plemię Toba-sów? I że my w to uwierzimy?
- Właściwie ma pan słuszność powątpiewając w powodzenie napadu na Desierta z taką garstką ludzi. Ale dzięki temu, że Tobasów nie ma w domu, moglibyśmy wieś opanować bardzo łatwo.

- Że Tobasowie poszli przeciw Chiriguanosom, to prawda. Ale musi pan liczyć się z tym, że mogą lada chwila wrócić, a wtedy co?
- Gdyby zaszła taka okoliczność, możemy przeczekać gdzieś w ukryciu, zanim nie przybędzie nam pomoc.
- A więc prócz tych pięćdziesięciu ośmiu, macie tu więcej ludzi?
- .O, jest ich dosyć i znajdują się nie dalej, jak o trzy dni drogi za nami. Słyszałem jednak od was, że Tobasowie zostali pobici przez Chiriguanosów i że poszli teraz szukać odwetu?
- Tak jest istotnie. I zapewne są już niedaleko... może pojawią się tu jutro.
- Ach, tak? Więc musimy się śpieszyć. Chodźcie! Omówimy szczegóły po drodze.
- Nie odpowiedziałem na to nic, tylko spojrzałem pytająco na Penę, a ten rzekł:
- Przypuszczam, że pan nie zamierza nas oszukać. Chcieliśmy I wprawdzie przyłączyć się do Chiriguanosów i razem z nimi napaść na I siedziby Tobasów. Ale ponieważ Mbocovisowie są bliżej, bylibyśmy ‘ skłonni usłuchać pańskiej rady, ale pod warunkiem, że pan nam udzieli pewnych wyjaśnień.

- Proszę!

- W jaki sposób pan, będąc białym, mógł zostać dowódcą Indian?

- To nic nadzwyczajnego. Pracowałem wśród nich całe lata jako cascarillero i zawarłem z nimi bliską przyjaźń, zwłaszcza z ich wodzem, zwanym Venenoso. Z jakiego powodu jestem przeciwnikiem Desierta

to nie należy do rzeczy. Mamy ze sobą dawne porachunki i ta k wiadomość wam wystarczy. Mbocovisowie zgodzili się na mój plan, więc napad dojdzie do skutku. No i cóż? Czy jeszcze mi nie dowierzacie?

- Owszem, wierzę - odrzekł Pena. -A ty? - dodał, zwracając się do mnie.

- Hm! Wobec tego, że się wszystko tak dobrze składa, możemy spróbować.

- Doskonale! - rzekł uradowany Yerno. - Chodźcie więc natychmiast ze mną, bo szkoda czasu, a po drodze ułożymy plan całego przedsięwzięcia. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie nam jak z płatka.

- Hm!... - mruknął Pena z zadowoleniem. - Może to i dobrze.

- Ależ to mało powiedzieć „dobrze”, jest wyśmienie. Spotykając

129 mnie tutaj wygraliście wielki los i spodziewam się, że będziecie mi wdzięczni za radę.

- Zrozumiałe, że o tym nie zapomnimy.

Przez dłuższy czas szliśmy w milczeniu, ze względu na uciążliwą, męczącą drogę, i dopiero gdy wyszliśmy na wolny step, zagadnął nas Yerno:

- A teraz, skoro wiecie, jak się nazywam i kto jestem, może nawzajem wymienicie mi swoje nazwiska?

- Nazywam się Escoba - rzekł Pena.
- A ja Tocaró - dodałem. - Jesteśmy obaj yerbaterami.
- W jaki sposób dostaliście się w ręce Desierta? Czy znaliście go przedtem?
- Nie - odparł Pena. - Przyszliśmy tu z gór, gdzie dokonaliśmy odkrycia, które uczyni nas bogaczami.
- Co? - przerwał mu Yerno. - Przecież nie odkryliście terenów z yerbą? Chyba coś ważniejszego?
- Do licha! Niezłe odkrycie!
- Oczywiście. Natrafliliśmy w górach na żyłę złota.
- Zabraliśmy stamtąd trochę kruszcu, ~a resztę przykryliśmy starannie, aby potem wrócić i eksploatować dalej, bo przecież od razu nie można było wziąć wszystkiego ze sobą... Po drodze zaszedliśmy do Tobasów no i...
- Palnęliście wielkie głupstwo.
- Przyznaję, ale niestety, ponieważ. Zdawało się nam, że Desierto nie sięgnie po nasze mienie; wedle opowiadań, zasłyszanych po drodze, miał to być bardzo uczciwy człowiek.
- A to dopiero łatwowierni z was ludzie! No, ale proszę mówić dalej, słucham...
- Tobasowie zabrali nas do swojej osady i stary przyjął nas dosyć gościnnie. Gdy się jednak dowiedział, że mamy przy sobie złoto, kazał nas zrewidować i obrabował doszczętnie. Ściągnięto z nas nawet dość jeszcze przyzwoite ubrania i wtrącono do ciemnicy, gdzie stary chciał nas głodem zmusić do wskazania odkrytych pokładów złota.
- I wskazaliście mu panowie to miejsce?
- Nie byliśmy tak naiwni. Oczywiście, nie wiemy nawet, jak długo siedzieliśmy w więzieniu, bo nie można było odróżnić dnia od nocy. Czasem zachodziła do nas jakaś stara baba. Od niej dowiedzieliśmy się, że Tobasowie ponieśli klęskę w wojnie z Chiriguanosami i że jednemu 130 z Tobasów udało się umknąć z wiadomością o zbliżaniu się nie-przyjaciela. Na wieść o tym stary kazał mieszkańcom osady przenieść się na wyspę i zabrać tam całe swoje mienie.
- Widziałem to - wtrącił Yerno. - Ale dlaczego wypuścił was ze swoich pazurów?
- To zagadka trudna do rozwiązania. Domyślałam się podstępny z jego strony. Wobec tego, że nie chcieliśmy wskazać pokładu złota, być może, że wypuścił nas umyślnie po to, aby wysłać za nami szpiegów i odkryć naszą tajemnicę.

Yerno mimo woli obejrzał się i rzekł:

- Ech, nie sądzę, aby wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa chciał się tą sprawą tak gorliwie zajmować. Czy powiedzieliście mu, skąd przybywacie i dokąd zamierzacie się udać?
- Owszem, powiedzieliśmy.
- Więc być może, że istotnie ma zamiar wysłać szpiegów za wami.

Ale będzie już za późno, bo ja skończę z nimi jeszcze dzisiejszej nocy.

- O, nie możemy się na to zgodzić, sennor Arbolo!
- Dlaczego? Przypuszczam, że nie macie zamiaru bronić Desierta przede mną...
- Bronić go nie zamierzamy, ale żądamy, abyście go nie zamordowali. Wyrządził nam krzywdę, za którą poprzysięgliśmy mu zemstę. Jeżeli więc istotnie wejdziemy z wami w układy, to jedynie pod tym warunkiem, że Desierto będzie do nas należał.
- Owszem, zgodzę się na ten warunek bardzo chętnie, jeżeli nie będziecie żądali niczego więcej.
- Jak to „niczego więcej”?
- A tak, że zadowolicie się skórą starego, a cały łup będzie należał do mnie i do moich Indian.
- Ma pan skromne wymagania!
- A jakże chcieliście? Przecież ja bez was byłbym dziś w nocy napadł na wieś i zabrał wszystko, a wy bez naszej pomocy nie moglibyście wyrzeć zemsty na starym.
- Ba, ale pan nie wie, gdzie Desierto ukrył pieniądze, a my wiemy.
- Czyżby naprawdę posiadał pieniądze? - zapytał Yerno, a oczy błysnęły mu chciwością, jak głodnemu wilkowi.
- O, nawet nie byle jaką sumę. Ale pan jej nie znajdzie.
- Panowie pokażcie mi, gdzie jej szukać. Bo i co wam po pieniądzach, skoro jesteście posiadaczami kopalni złota.

- Hm... - mruknął Pena, zwracając się do mnie. - Cóż ty na to?
- Rób jak chcesz. Zgadzam się z góry z tym, co powiesz.
- Jak to? Mam wskazać temu panu miejsce, gdzie są ukryte pieniądze starego?
- Sądzę, że sennor Arbolo ma rację. Nam nie bardzo zależy na pieniądzach, bo ich będziemy mieli niebawem po uszy. Jeśli do-staniemy starego w swoje ręce, powinno to nam zupełnie wystarczyć.
- Od biedy i ja się na to zgodzę, ale pod warunkiem, że otrzymamy wszystko, co nam Desierto zrabował.
- Ależ ma się rozumieć! - zapewniał Yerno, siląc się na spokój.

Widocznie jego duszę nurtowały daleko sięgające plany.

- A zatem zgoda - rzekł Pena.
- Zgoda. I teraz może pan powiedzieć, gdzie się znajdują pienią-dze.
- Pieniądze Desierta są na wyspie. Mianowicie...
- Przestań! - przerwałem mu nagle. - Nie wolno ci już teraz dawać wskazówek. Sennor Arbolo dowie się o tym dopiero wówczas, gdy stary Desierto będzie w naszych rękach.

Yerno rzucił na mnie złośliwe spojrzenie, ale udałem, że tego nie widzę. Natychmiast jednak, zapanowawszy nad sobą rzekł: - Sennor Tocaro, widzę, że pan mi jeszcze nie całkiem ufa. Dlaczego pan zabrania towarzyszowi mówić o tym?

- Bo nie jestem przyzwyczajony kłaść pieniędzy, dopóki nie mam towaru w garści.
- Zresztą nie ma się o co sprzeczać. Jestem pewny, że pieniądze będą moje jeszcze dzisiejszej nocy. Muszę jednak wyprzedzić Chirigu-anosów i napaść na wieś zanim pojawią się tutaj.
- Jak pan to zamierza uczynić?
- Pomówimy o tym później i mam nadzieję, że gdy zwołam naradę wojenną, nie odmówicie mi panowie swych cennych wskazówek. Znacie panowie rozkład wsi?

- Doskonale.
- Wobec tego jestem z góry pewny powodzenia.
- A gdyby nadeszli Chiriguanosowie i odebrali nam łupy?
- Nie boję się ich. Na razie jest nas wprawdzie mało, ale wnet nadciągnie tu paruset wojowników. Niechby wówczas Chiriguanosowie spróbowali się z nami...
- Kto jest waszym wodzem?

- Drobne oddziały są pod dowództwem kacyków, ale najwyższe dowództwo spoczywa w rękach jednego z najzdolniejszych ludzi w całym Gran Chaco.

- Cóż to za jeden?-zapytałem, domyślając się już z góry, kto nim jest.

- Geronimo Sabuco! - odrzekł i spojrzał na mnie z triumfującą miną, w przypuszczeniu, że mnie to wprowadzi w zachwyty.

Ja jednak, na przekór jego nadziejom, zapytałem zupełnie obojętnie:

- Sabuco? Cóż to znaczy? Tak się nazywa wielu ludzi.

- Ale tylko jeden jedyny człowiek tego nazwiska słynie na całą południową Amerykę. Może się panu obić o uszy wyraz „sendador”?

- Ach, tak! Teraz sobie przypominam. Ma to być znakomity przewodnik. Więc to on prowadzi wasze zastępy? Czemu jednak nie wybrał się z wami naprzód?

- Bo nie miał na razie czasu. Trafił się jakiś niewielki interes w okolicy Nuestro Sennor Jesu - Christo de la floresta virgen. Zna pan tamte strony?

- Byłem tam jeden raz.

- Otóż Mbocovisowie wybrali się na jego spotkanie, zresztą wspomniałem tylko o sendadorze, ażeby pana przekonać, że nasz plan jest wykonalny. Bo gdy Geronimo Sabuco przyłoży rękę do czegoś, wówczas sprawa musi się udać. Ale omówiliśmy już co najważniejsze i teraz musimy się śpieszyć, bo noc się zbliża. Zaczęło się szybko zmierzchać i „zięć” przyśpieszył kroku, my zaś w milczeniu podążaliśmy za nim. Wreszcie Yerno zatrzymał się i wskazał ręką miejsce, w którym znajdowali się czerwonoskórzy.

- Czemu nie palą ogni? - zapytałem.

- Z przeczności. Nie wiadomo przecież, czy w pobliżu nie ma przypadkiem przeciwników. Teraz jednak, skoro się przekonałem, że niebezpieczeństwa nie ma, rozniecę ogień. Zatrzymajcie się tutaj na chwilę.

- Jak to? Chce pan zostawić nas tu samych?

- Muszę, bo boję się, aby Indianie, spostrzegając nas trzech, zbliżających się do ich obozowiska, nie zarzucili nas zatrutymi strzałami w przypuszczeniu, że to nieprzyjaciel. Opowiem im wszystko, czego się dowiedziałem i wrócę po was niebawem.

- Szkoda, że nas nie zabrał do obozu - mruknął Pena po odejściu „zięcia”. - Wiedzielibyśmy przynajmniej, co będą mówili ze sobą.

Być może nawet, że postanowią coś na naszą zgubę, a my nie będziemy mieli o tym pojęcia.

- Oczywiście, że nic dobrego od nich spodziewać się nie można, ale też nic złego nam nie uczynią, aczkolwiek wskutek pańskiej nieuwagi już byłoby po nas...

- Co też pan mówi?

- No, przecież chciałeś pan opisać miejsce, gdzie znajdują się pieniądze starego Desierta...

- Ależ ja nie wspominałem o mieszkaniu w skale.

- Tak, ale tu idzie o co innego. Przecież „zięć” zabrał nas ze sobą jedynie dlatego, że wiemy, gdzie są pieniądze Desierta. Gdyby się od nas tego dowiedział, wówczas byłibyśmy mu zupełnie niepotrzebni i zgładziłby nas niezawodnie.

- Rzeczywiście, ma pan słuszość! Nie wygadam się już z niczym w przyszłości. Najlepiej zresztą będzie, jeśli porozumiewanie się weźmie pan na siebie.

- Dobrze, i proszę pamiętać, że w rozmowie między sobą jesteśmy w dalszym ciągu na „ty”, gdyż daje to dowód ścisłej pomiędzy nami przyjaźni.

- Zastosuję się do tego chętnie. Cóż pan teraz myśli o sendadorze?

Czy przybędzie tu naprawdę?

- Przybędzie.

- A ja nie bardzo w to wierzę. To przecież niemożliwe, aby w takim krótkim czasie odbył drogę do Palmar i należał do wyprawy przeciw Tobasom. ‘

- Istotnie. Kto wie zresztą, jakie zamiary roją się w jego głowie.

- Sądzi pan, że jego spotkanie z tym Indianinem, od którego otrzymał nóż, było przypadkowe?

- Takie jest moje mniemanie. Mbocovisowie wysłali tego człowieka w celu zbadania okolicy i dowiedzenia się, czy sendador przybył. Spotkali się więc przypadkowo, po czym Indianin wrócił do swego oddziału, a sendador, przybiwszy do pnia wiadomą kartkę, wskazał nam w niej drogę przez step, nie zamierzając napadać na nas. Niestety chciało, że Gomarra swoim zachowaniem popsuł nam plany całkowicie.

Długo jeszcze rozmawialiśmy, roztrzásając wszelkie szczegóły na-szych przygód, aż wreszcie spostrzegliśmy zbliżającego się ku nam 134 „zięcia”, który już z daleka dawał znak milczenia i skinął na nas, abyśmy szli za nim.

Plan mój dążył do jednego celu, a mianowicie do schwytania sendadora; dlatego postanowiłem nie cofać się przed niczym i dążyłem do celu przez wszystkie niebezpieczeństwa. Takiego jednak niepokoju, jaki szarpał mymi nerwami w tej chwili, dawno już nie zaznałem. Zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie obozowali Mbocovisowie. Rozmieścili się oni w niedużej kotlinie i w tej chwili otaczali rozniecone przed chwilą ognisko. ~aden się nie ruszył na nasz widok, wytrzeszczali tylko szeroko oczy. W spojrzeniach tych nie było ani życzliwości dla nas, ani też nienawiści i właśnie obojętność czerwonoskórych nic nam dobrego nie wróżyła.

Pena uważnie rozejrzał się wokół, czy przypadkiem nie napotka znajomej twarzy. Widocznie jednak nikt go tu nie znał, bo gdyby się znajomy znalazł, byłby się z tym zdradził mimowolnie.

- Oto są moi Mbocovisowie - rzekł Yerno. - Może chcecie rozmówić się z nimi?
- Nie znam niestety ich języka - łgał Pena.
- Ani ja - dodałem. - I jeżeli mamy się z nimi porozumieć, to prosiłbym pana o pośrednictwo.
- Owszem, z miłą chęcią... Proszę siadać. Może jesteście głodni?
- Dziękujemy na razie za posiłek, a tylko może by pan dał nam jaką broń, bo nie mamy nic przy sobie.

?

- Po co wam broń, skoro znajdujecie się pod ochroną przyjaciół
- A gdyby przyszło do walki z Tobasami?

- Mogę was uwolnić od tego. Do walki wystarczy naszych ludzi zresztą napadniemy na Tobasów tak niespodziewanie, że nie będą mieli czasu na obronę.
- A w razie, gdyby się chcieli poddać dobrowolnie, czy zawrze pan z nimi pokój?
- Stanowczo nie! Wymordujemy wszystkich co do jednego, a wówczas i broń sobie zabierzecie.

Odmowa udzielenia nam broni świadczyła dowodnie, że człowiek ten nie miał względem nas uczciwych zamiarów. Nie przykładałem jednak do tego wagi, będąc pewnym, że tylko wówczas mógłby godzić na nasze życie, gdybyśmy wyjawili miejsce, gdzie schowane są pieniądze Desierta. Jedyne ta okoliczność trzymała draba w szachu, uzależniając go od nas.

I...:

Siedliśmy blisko ognia i znaleźliśmy się w samym środku koła czerwonoskórych. Widocznie Yerno umyślnie zaprosił nas na to miejsce, zabezpieczając się w ten sposób na wszelki wypadek.

- Daruje pan - rzekł - że nie odbędziemy rady wojennej, bo panowie nie znacie narzecza tych Indian, nic byście z niej nie rozumieli. Proszę pana tylko o informacje co do stanowiska, zajętego przez Tobasów. Czy je pan zna?
- Bardzo nawet dokładnie. Desierto był tak nieogłębny, że gdy nas wyciągnięto z lochu i ułożono na ziemi, wydawał wobec nas swym ludziom rozmaite rozkazy.
- Mnie się zdaje, że to jeszcze wcale nie dowodzi jego nieogłębności. On się was nie obawiał, bo spostrzegł, że jesteście potulnymi barankami, niezdolnymi do niczego, a tym bardziej do jakichś kroków nieprzyjacielskich. Wynika to zresztą z tego, że daliście się mu tak łatwo obrabować.
- No, proszę o nas tak źle nie mówić, bo próbowaliśmy obrony.

Niestety, strzelby nasze nie były nabite, a prochu i kapsli nie mieliśmy na wierzchu. Indianie osaczyli nas, związali, no i...

- Ach, tak? - wybuchnął śmiechem. - To z was takie zuchy?

Mnie się zdaje, że choćbyście nawet mieli broń, to nic by wam z niej nie przyszło. Ale mniejsza o to. Powiedzcie mi, czy wieś jest obwarowana? Słowa te wypowiedział w tonie rozkazującym i surowym, co świadczyło, że wcale się z nami nie liczy, uważając nas za swoich jeńców.

- Wieś jest zupełnie wyludniona.
- I nic w niej nie pozostało do zabrania?
- Chyba gołe ściany chat, bo całe swe mienie Tobasowie wywieźli na wyspę.
- I zwierzęta?
- Tak.
- To źle! W jaki sposób można się dostać na wyspę, o której pan mówi?

- To nie będzie trudne. U brzegu znajduje się łódź.

- Czyżby ją zostawił umyślnie w tym celu, aby nieprzyjaciel miał czym przepłynąć na wyspę?

- Przypuszczam, że stary wysłał na zwiady ludzi, i to ich właśnie łódź stoi przy brzegu. Nie mogliby się przecież bez niej dostać na powrót na wyspę.

- Ach tak? Rozumiem. A wie pan, w jaki sposób Indianie rozmieścili się na wyspie?
- O ile mogłem wywnioskować, to na pierwszej wyspie, największej, znajdują się wojownicy, a na dalszych kobiety i dzieci razem z dobytkiem.
- Dobrze. Tych wojowników zgnieciemy od razu. Niestety - do-dał po chwili - nie możemy wszyscy przeprowić się razem, a grupami byłoby niebezpiecznie.
- Bynajmniej. Przecież Chiriguanosowie mieszkają na zachodzie i stamtąd nadciągają, wobec czego Tobasowie obsadzili zachodni brzeg wyspy, a o stronę przeciwną wcale się nie troszczą.
- Co pan mówi? W takim razie moglibyśmy przeprowić się częściowo. Każda partia znajdzie schronienie pod drzewami, skąd będzie widać całą wyspę.
- A mnie się zdaje, że byłoby o wiele lepiej, gdyby się zgromadzili w kościółku, bo na brzegu łatwo dojrzeć większą liczbę ludzi.
- Doskonale! Myśl wcale niezła, byle tylko można było dostać się do wnętrza kościółka.
- Owszem, można się tam dostać, bo budynek wcale nie ma zamknięcia.
- Ha! Trzeba więc będzie z tego skorzystać. A teraz, wiedząc już wszystko co mi było potrzeba, rozmówię się ze swoimi ludźmi. Rzekłszy to, zwrócił się do czerwonoskórych i począł się z nimi naradzać. Słuchali go uważnie, rzucając ku nam od czasu do czasu pełne nieufności spojrzenia. Powiedział im między innymi o nas, że jesteśmy skończone osły i głupcy, co ich bardzo ubawiło. Następnie rozmawiał czas długi z wodzem.

Nic ze słów jego nie rozumiałem, tylko jeden wyraz zastanowił mnie mocno, mianowicie „horno”, którego nie mogłem sobie ze słownika hiszpańskiego przypomnieć.

Widocznie wyraz ten miał jakieś ważniejsze znaczenie, skoro Pena, usłyszawszy go, spojrzął na mnie ukradkiem, ale znacząco i pogrążył się znowu w apatię, jakby go wcale nie obchodziła rozmowa tych dwóch ludzi.

Niebawem skończyli naradę i Yerno zwrócił się do nas: - Ponieważ zachodzi obawa, ażeby nas Chiriguanosowie nie wyprzedzili, musimy wyruszyć w drogę natychmiast, a wy pójdziecie za nami. Na dany znak zerwała się cała zgraja i po zgaszeniu ogniska ruszyła 137 w pochód. Nas wzięto w środek, pomimo, że uważano nas za głupkowatych prostaków, niezdolnych nawet do ucieczki.

- Postanowili nas zamordować - szepnął mi Pena do ucha.

- Kiedy?
- Skoro tylko odkryją miejsce, gdzie znajdują się pieniądze Desierta.
- A co zrobią z żyłą złota, którą odkryliśmy?
- Wymuszą na nas wyznanie tajemnicy za pomocą plag.
- Co znaczy wyraz „horno”?
- Tak nazywa się człowiek, będący u Mbocovisów w niewoli. Mieli zamiar wymusić za niego okup u Desierta, ale zaniechali już tego, bo mają przecież nadzieję obrabować starego doszczętnie.
- Co tam za narada? - wmieszał się Yerno. - O czym to tak po cichu rozmawiacie?
- Bo niebezpieczne byłoby rozmawiać głośno. Mógłby nas jaki szpieg podsłuchać.
- To nie mówcie wcale.

Nie chcąc wzbudzić w nim podejrzenia, rozdzieliliśmy się umyślnie, tak, aby wiedział, że rozmawiać ze sobą nie możemy. Położenie nasze zaczęło się z każdą chwilą pogarszać i miałem chwilę pewnej trwogi, ale się uspokoiłem.

Niebawem znaleźliśmy się w lesie caparowym, a Yerno, niezupełnie widząc ufając moim wskazówkom, wysłał kilku Indian na zwiady. Ludzie ci jednak wrócili wkrótce i nic podejrzanego nie zauważyli, a tylko zameldowali, że wieś obwiedziona jest wodą, co zresztą wydało się „zięciowi” zupełnie usprawiedliwione.

Powoli, z wielką ostrożnością, banda przekradała się aż na miejsce, gdzie była przymocowana łódź. „Zięć”, obejrzawszy ją, szepnął z niezadowoleniem:

- Haniebnie mała! Pomieści sześciu ludzi. Poszukajcie, czy gdzie w pobliżu nie ma drugiej.

Nawet ja i Pena byliśmy szukać, oczywiście - bez skutku. Yerno naradzał się jeszcze chwilę z naczelnikiem, po czym rzekł do nas:

- Umiecie wiosłować?
- Owszem - odrzekłem.
- Ale czy potraicie zręcznie kierować łodzią?

- Będziemy umieli popędzać łódkę tak po mistrzowsku, że nikt nas

138 nie usłyszy - rzekłem, radując się w duszy, że taki obrót sprawy przewidziałem.

- No to dobrze - rzekł. - Popłyniemy najpierw sami na zwiady, aby się przekonać, czy zdołamy się przeprowić. Ale... Co to? - zapytał po chwili. - Rozłożyli ogień na wyspie?

- Być może - odrzekłem, zapuszczając wzrok w głąb wyspy.

- Ale stąd nie bardzo widać, bo krzaki zasłaniają.

- Ależ to skończony głupiec z tego Desierta! Sam zdradza miejsce, gdzie się znajduje. Bierzcie no się obaj do wiosła, a ja i wódz popłyniemy z wami. Tylko pamiętajcie, że trzeba wiosłować bez najmniejszego wysiłku.

Wskoczyłem do łodzi, za mną Pena, po czym weszli do niej obaj przywódcy i położyli się na dnie, snadź z obawy przed strzałami. Gdyby nas uśmiercono, nic, by ich to nie obchodziło. Oczywiście dopłynęliśmy na miejsce szczęśliwie, rzekomo nie zauważeni przez Tobasów. Wysiedliśmy pod drzewami i podążyliśmy wszyscy chyłkiem do kościółka. Tobasowie ukryci byli pod ławkami i Yerno wcale ich nie zauważył.

- Na szczęście, nikogo tu nie ma - szepnął do mnie. - Wy obaj zostaniecie tutaj i oczywiście ja z wami, a wódz wróci na tamten brzeg i będzie przeprowiał ludzi.

Po wyprawieniu wodza z tym poleceniem, rzekł:

- Zdaje się, że tam przy ogniu, są także kobiety. Ciekawy jestem, ilu ich tam jest w ogóle?

- Może by pan chciał podkraść się do ogniska? - zapytałem.

- Owszem, trzeba by podpełznąć jak najbliżej.

- A może bym ja pana zaniósł na miejsce?

- Zwariował pan? Zanieść? To niemożliwe!

- Owszem. Zobacz pan, jak to się robi... O! proszę, w ten sposób!...

Chwyciłem draba obydwoma rękoma za gardło i wciągnąłem do kościółka. Wierzgał trochę nogami i bronił się, aż nie zwałił się na ziemię bez zmysłów.

- Jest tu kto? - spytał półgłosem Pena. - Pokażcie się! To my!
- Jesteśmy - odrzekł ktoś spod ławki łamaną hiszpańszczyzną.
- Prędzej tam! związać łotra i zakneblować mu usta!

Tobasowie skoczyli w okamgnieniu i sprawnie związali jeńca, po czym zaniósł go do ogniska.

- Macie tu na początek „zięcia”! - rzekłem. - Przynoszę go tutaj, bo gdybym go zostawił w kościółku, mógłby w jakiś sposób, na przykład chrząknięciem, ostrzec swoich kompanów.

- Proszę uważać, żeby pana nie spostrzeżono - rzekł Desierto.

- Proszę się schylić... Jakże tam idzie? Byliśmy w wielkiej o was obawie...

- Idzie wybornie. Może by lepiej było, gdybyśmy każdego z pięciu schwytanych przyprowadzili tutaj od razu, bo to najpewniejs~e. Proszę przygotować ludzi do tej roboty.

Wróciłem chyłkiem do kościoła, bo lada chwila powinien tam się pojawić pierwszy transport Mbocovisów. Rzeczywiście niedługo czekaliśmy. Na zapytanie w narzeczu Mbocovisów Pena coś od-powiedział i zapewne wzięto go w mrokach świątyni za Yernę, bo weszli śmiało do środka i tu zostali natychmiast powiązani i odstawieni do obozujących Tobiasów.

Tak samo z następnymi partiami i w przeciągu godziny wszyscy co do jednego Mbocovisowie byli w naszym ręku.

Gdy oznajmiłem staremu, że robota ukończona, omal nie rozplakał się się radości.

- Chwała Bogu, że tak szczęśliwie udało się panu to niebezpieczne przedsięwzięciei -mówił. - Obawiałem się o was nie na żarty. Ale jak urządziliście się od samego początku?

Pena opowiedział mu przebieg wyprawy, a ja dodałem:

- Niech pan jednak nie myśli, że niebezpieczeństwo już minęło, bo właśnie grozi wam jeszcze większe! Dąży tutaj sam sendador na czele kilkuset rabusiów indiańskich. Tak mówił Yerno, którego podsłucha-liśmy.

- Cóż, skoro zesłał nam Pan Bóg tak dzielnych ludzi, jak wy obaj, to nie obawiam się zbytnio tej bandy i mam nadzieję, że się z nią jakoś uporamy. Ale... przede wszystkim muszę wybłagać przebaczenie za to, że nie dowierzałem wam z początku i że was obraziłem.

- Nie ma o czym mówić - przerwałem mu. - Mamy w tej chwili ważniejsze sprawy do załatwienia. Przede wszystkim należy wysłać kilku ludzi na zwiady, by dobrze rozejrzeli się w okolicy, czy nie zbliża się sendador. Ponadto trzeba umieścić jeńców naszych w bezpiecznym miej scu.

- Po co? Przecież jesteśmy tu otoczeni wodą?

- Brak nam jednak ludzi do czuwania nad tymi łotrami, a trzeba

140 pamiętać, że wypadnie nam wyruszyć w drogę przeciw sendadorowi. Nie wiadomo też, w którym miejscu rozstrzygnie się z nim walka. A jeśli sendador zwycięży? Postara się w takim wypadku przede wszystkim o uwolnienie jeńców?

- Słuszna uwaga. Umieścimy jeńców w mojej skale; są tam kryjówki, których panu jeszcze nie pokazywałem.

- Ale jak przetransportować ich tam, skoro jedyną drogą są konary drzewa?

- Postaramy się dokonać tego w prostszy sposób. Urządziłem tam coś w rodzaju żurawia do dźwigania większych ciężarów. Zobacz pan to urządzenie. Czy nie należy przesłuchać jeńców?

- Możemy się z tym wstrzymać. Będzie na to czas, gdy ich umieścimy w bezpiecznym miejscu. Nie mogą wiedzieć, dokąd ich prowadzimy, dlatego trzeba im pozawiazywać oczy, a odjąć kneble, bo teraz już mogą krzyczeć, ile im się podoba; to nic nam nie zaszkodzi, a im nie pomoże.

Desierto wydał odpowiednie rozkazy i poczęto ściągać łodzie z innych wysepek, znalazła się także obszerna tratwa, na której umieszczono jeńców.

Przypatrywałem się temu z daleka wraz z Peną. Uśmiechał się z zadowoleniem, a w końcu zapytał:

- Pójdziemy do jeńców?

- Teraz jeszcze nie. Muszę się wpieryw rozmówić z „zięciem”.

- Jestem ciekaw...

- Idzie o człowieka, który jest u nich w niewoli.

- Czy to Horno?

- Tak! Co pan o nim słyszał?

- Wódz wspomniał tylko tyle, że po obrabowaniu Desierta będzie można zamordować Horna, gdyż wówczas sprawa okupu będzie obojętna.

- Mnie się zdaje, że Desierto byłby skłonny do wypłacenia okupu... Domyślam się, że Horno jest tym młodym człowiekiem, którego zarówno on, jak i Unica, posądzali o kradzież i zdradę.

- Domyśl bardzo prawdopodobny. Ale skąd taki wniosek?

- Rzecz prosta. Napadli go w czasie podróży przez Gran Chaco, obrabowali i wzięli do niewoli, gdyż czerwonoskórzy spodziewali się za niego okupu od Desierta. A wiadomo, że czerwonoskórzy zapuszczają się w dalekie okolice umyślnie w tym celu, aby porwać zamożniej-

141 szych ludzi i wymuszać za nich okup. Być może, że Horno, kiedy znalazł się w ich szponach, poinformował o majątku starego i o tym, że Desierto byłby skłonny zapłacić za niego okup... Kto wie, czy i sendador wskutek tej informacji nie zorganizował wyprawy na Tobasów, by zrabować im wszystko, co mają.

- To jest prawdopodobne i o tym należy pomówić ze starym.

- Sprawa jeszcze nie dojrzała, a jeśli przypuszczenia moje okażą się mylne? Byłoby to nader przykre rozczarowanie. Wolę najpierw wy badać „zięcia”.

- Powie prawdę?

- Zmuszę go do tego, chociażby kijem...

- Co? Pan, przeciwnik kary cielesnej? Powąży się pan odstąpić od zasady?...

- W tym wypadku, będę do tego zmuszony. Nie będę się przecież znęcał nad bezbronnym z zemsty lub złości, lecz użyję tego surowego środka dla jego dobra i dla dobra tych, co niewinnie cierpią przez niego i mogliby cierpieć w przyszłości. Przypomina pan sobie, co mi odpowiedział, gdy go zapytałem, czy daruje życie zwyciężonym, gdyby go prosili o łaskę.

- Tak: odgrażał się, że wszystkich wymorduje.

- Więc nie zaszkodzi, jeśli wygarbujemy mu trochę skórę, gdyby się wzbraniał udzielić nam potrzebnych wskazówek.

- Pan weźmie się do niego?

- Ja? Czyż wśród Tobasów brak tęgich zuchów? No, ale chodźmy stąd, bo gotowi nas tu samych zostawić.

Istotnie niewiele brakowało, żeby nas tu pozostawiono, bo wszystkie łodzie były już zajęte, a o nas wśród wrzawy i zgiełku zapomniano. Z innych wysepek przyplłynęło tu wszystko, co żyło i przy blasku pochodni oglądano z niezwykłym zaciekawieniem jeńców. Nie brako-wało nawet dzieci, które czyniły najwięcej hałasu. Niebawem znaleźliśmy się na lądzie. Tu królowa, ustawivszy już w szeregu swe dzielne „amazonki”, ruszyła na ich czele w stronę tajemniczego „Sezamu”, mając przy boku dobosza, który zawzięcie uderzał pałeczkami w swój instrument. Indianie krzyczeli przy tym tak straszliwie, że obawiałem się o całość swoich uszu. Gdy ten triumfalny pochód zatrzymał się u stóp skały, na rozkaz Desierta spuszczone w dół grubą linę i za pomocą niej poczęto 142 windować

jeńców w górę, jak snopy zboża na wierzch olbrzymiej sterty.

Ja i Pena trzymaliśmy się od tej operacji z daleka, a gdy już była na ukończeniu, weszliśmy po drzewie do wnętrza skały. Wszystkie izby były oświetlone łożowymi świeczkami. Odnaleźliśmy salkę, w której złożone były nasze manatki, zabraliśmy je i podążyliśmy w kierunku wielkiego magazynu. Tu Desierto kazał spod jednej ze ścian usunąć toboły i ukazało się naszym oczom ukryte wejście do obszernego lochu. Tutaj na rozkaz Desierta wrzucono jeńców, kładąc ich pomiędzy beczki, stojące w długich rzędach.

- Sądzi pan, że będą tu bezpieczni?

- W zupełności. Sam sendador stąd ich nie wydobędzie i raczej my jego tu wpakujemy. Wysłałem właśnie dwóch ludzi w okolicę; może się czego o nim dowiedzą. A tymczasem proszę pana, by pan zechciał obmyślić dalszy plan, bo jestem przekonany, że nikt lepiej tego nie potrafi.

- Dziękuję za pochlebne mniemanie o mnie i postaram się uczynić wszystko, co tylko będzie możliwe. W tej chwili jednak jestem znużony i muszę się trochę przespać.

- Mam nadzieję, że opowie nam pan o przebiegu waszej wy-prawy...

- Opowiem jutro. Teraz trzeba odpocząć, bo kto wie, jakie trudy przyniesie nam dzień jutrzejszy.

- Więc idźcie spać... Ale zapytam jeszcze o jedno: co będzie jeżeli sendador pojawi się tu jeszcze nocą?

- Może pan być spokojny. Nie przybędzie tu w nocy. Musi przecież iść śladami Mbocovisów i w tym kierunku trzeba będzie wysłać o świcie kilku ludzi na zwiady.

- A czy nie dobrze byłoby przesłuchać natychmiast jeńców?

- Nie. Szkoda na to czasu. Zresztą musimy wypocząć.

- No, dobrze. Pokażę wam izbę, gdzie możecie się spokojnie przespać.

- Dziękuję pięknie. Wolę jednak spać na świeżym powietrzu.

Wyszedłem z Peną do ogrodu i położyliśmy się w trawie, ale wrzawa będąca wyrazem radości mieszkańców osady, długo nie pozwoliła nam zasnąć. Do wszystkiego można się ostatecznie przyzwyczać, uszy nasze oswoiły się wkrótce z tymi wrzaskami.

Zaledwie upragniony sen skleił nam powieki, dając błogie uczucie 143 odpoczynku, gdy usłyszałem w pobliżu głos kobiety: - gdzie jesteście, señores?

- Do licha! Spać nie dadzą! - mruknął Pena niezadowolony.

- Może panowie weźmiecie bodaj koce? - wołała Unica, zbliżając się ku nam.

W nadziei, że nas nie znajdzie, nie odzywaliśmy się. Znalazła jednak nasze legowisko, więc rzekłem:

- Dziękujemy, sennorito. Ciepło nam tutaj i zbytecznie trudziła się pani...

- Ależ, panowie... doprawdy jest mi bardzo przykro, że nie pomyślano o was. A przecież jesteście bohaterami dnia...

- O, nie zasłużyliśmy na tak pochlebną opinię, sennorito - odparłem, a następnie zapytałem: - Jeżeli pani życzy nam dobrze, to proszę powiedzieć, jak się nazywał ów młody człowiek, który przepadł bez wieści...

- Po co panom ta wiadomość? - zapytała.

- Dowie się pani jutro rano. Muszę jednak dziś dowiedzieć się nazwiska tego niewdzięcznika.

- Nazywa się Horno! - rzekła po chwili i skierowała się ku schodom.

- Niech się pani zatrzyma - rzekłem.

- Po co? Nic więcej nie dowiecie się panowie ode mnie.

- Niczego więcej nie żądam - odparłem - lecz chciałbym pani coś powiedzieć.

- Słucham - odrzekła.

- Sennor Horno jest niewinny!

- Co pan mówi? Przybiegła ku mnie z radością. - Skąd pan wie o tym? Błagam, niech pan powie... wszystko, wszystko...

- Jestem śpiący. Niech pani wystarczy to, że Horno jest już niedaleko i zobaczycie się wkrótce... Dobranoc!

- Pan... pan jest naprawdę niegrzeczny... i to względem kobiety...

- Wiem o tym, że nie jestem zbyt grzeczny; ale to się już nie odmieni. Proszę powiedzieć wujowi, że zupełnie bezpodstawnie potępił tego człowieka. Niech tu nie przychodzi, bo chcemy się przespać. Dobranoc!

- Dobranoc - szepnęła i odeszła, a Pena rozespany mruknął:

- Czy pan jest tak pewny, że pan znajdzie zaginionego?

- Najzupełniej.

- Nie pozostaje mi więc nic innego jak tylko... Co to ja chciałem powiedzieć!... Rad bym... rad bym...

Nie wiedział już jednak, co mówi i co chciał uczynić, a i ja również utraciłem powoli świadomość i obydwaj zapadliśmy w ramiona Morfeusza.

Zbudziłem się jeszcze przed wschodem słońca pokrzepiony snem na świeżym powietrzu. Wstałem, strzepnąłem z siebie rosę. Pena po-słyszał snadź, że już nie śpię i zerwał się również na nogi. Nie przecierając oczu, rzekł:

- Zajmiemy się „zięciem”? A... a... przepraszam... Dzień dobry...

Zapomniałem.

- Dzień dobry! Widzę, że odzyskał pan rześkość... Warto by się jeszcze wykąpać. Chodźmy!

- Któreśdy? Zbudzimy niepotrzebnie starego...

- Bynajmniej. Spuścimy się po linie.

Żuraw, za pomocą którego wciągano wczoraj jeńców, nie był jeszcze uprzątnięty.

- Kąpać się? - rzekł zakłopotany Pena, gdy spuściliśmy się na dół.

A gdyby tak aligatory pożarły nas na śniadanie...

Ja też nie myślę włączyć w wodę. Dość, że się umyję dobrze na brzegu.

Aligatory nie mają skrzydeł, więc nas tutaj nie dosięgną. Po orzeźwiającej kąpieli przeszliśmy się trochę w kierunku po-grążonej w głębokim śnie osady. Tylko z jednej chaty wychylił ktoś głowę przez drzwi, zupełnie tak, jak nasz chłop, gdy się o świcie zerwie i wygląda na świat ciekawie: będzie łało, czy nie będzie? Był to jeden z wojowników, którzy brali udział w obławie na Mbocovisów w kościółku.

Przywołałem go do siebie i poleciłem, by dobrał sobie towarzysza i udał się z nami do rezydencji

Desierta.

W mig postarał się o to i za chwilę znaleźliśmy się u liny, zwisającej z wierzchołka skały.

Na mój rozkaz trzej Indianie wynieśli „zięcia” do ogródka. Był bardzo przygnębiony i widocznie w ciągu nocy nie zmrużył nawet oka, co zresztą było usprawiedliwione.

Zobaczył nas i to ubranych zupełnie inaczej, niż wczoraj, przeląkł się zrazu, czy też zdziwił, ale szybko przybrał apatyczny wyraz.

- Dzień dobry - rzekłem. - Jakże się spało?

- Niech cię licho porwie - odpowiedział.

Na te słowa Pena odpiął od pasa szpicrutę i pogroził:

- Słuchaj, nicponiu! Niech ci się nie zdaje, że masz do czynienia z dzikimi Indianami. Nazywam się Pena! Zapamiętaj to sobie. Oświadczenie to zaniepokoiło go nieco. Mimo to usłyszeliśmy zuchwalszą jeszcze odpowiedź:

- Kpię sobie z ciebie i z twego nazwiska!

- No, no! - wtrąciłem. - Chciał pan przecież napaść Tobasów, obrabować ich, pomordować wszystkich i nas obydwóch uśmiercić...

- Któż to panu powiedział? - przerwał żywo.

- Pan sam. Słyszeliśmy to obaj. Bo niech się panu nie zdaje, że tylko pan jeden zna narzecze Mbocovisów. Myśmy już poprzednio słuchali pańskiej rozmowy z wodzem Venenosem i ostrzeżliśmy Desierta.

W odpowiedzi na to „zięć” gwizdnął lekceważąco.

- Wie również Desierto o zbliżaniu się pańskiego teścia - mówi-łem dalej.

- Mego teścia? Przecież nie jestem żonaty...

- To nic nie szkodzi. Teściem jest sendador. Wezwałem pana przed siebie nie dla pogawędki, lecz dla wyjaśnienia pewnej sprawy. Zna pan młodego człowieka imieniem Horno?

- Nie! - odparł, drgnąwszy mimowolnie.

A przecież mówił pan wczoraj o nim z wodzem!

- To kłamstwo!

- Słyszeliśmy wszystko, co pan mówił do naczelnika. Zamierzaliś-cie początkowo wymusić na starym okup za tego jeńca; w razie jednak zwyciężenia Tobasów byłby pan go zamordował. Proszę udzielić nam dobrowolnie wyjaśnień co do tego człowieka, bo w przeciwnym razie nie cofnę się przed gwałtownym zmuszeniem pana do wyznań.

- Nic nie wiem i nic nie powiem.

- Jak pan chce! Spróbujemy w takim razie kija.
- Tego panu nie wolno!
- Owszem. Wedle prawa, obowiązującego na terytorium Gran Chaco wolno mi wymóc zeznania na zbrodniarzu.
- Nawet gdyby pan skórę zdjąć ze mnie usiłował, nic nie powiem.
- Zobaczymy - odrzekłem i wydałem Indianinowi rozkaz, by przywiązali jeńca do drzewa.
- Ratujcie - zawył „zięć” rozpaczliwym głosem. - Będę mówił prawdę, przysięgam! 146
- Więc gdzie znajduje się sennor Horno?
- Nad Laguna de Bambu na Isleta del Circolo.
- Sam?
- Jest z nim pewien kupiec z Goya, nazwiskiem Parduna, z synem.
- Czy Mbocovisowie mają tam swoje osady?
- Tak, dwie.
- Ilu wojowników znajduje się w tych stronach?
- Stu czterdziestu.
- Czy to daleko stąd?
- Niech go pan już nie męczysz - wmieszał się Pena. - Ja w tamtych stronach byłem i znam dobrze drogę. Teraz mówi szczerą prawdę.
- Więc dobrze - odrzekłem. - Zejdźmy na dół.

Unica zeszła już przedtem, by zająć się posiłkiem dla jeńców i zastaliśmy ją teraz żywiącą drabów w taki sposób, jak to robią dziewczki dworskie z gęsiami przeznaczonymi na tuczenie.

- Szkoda, że nie znam narzecza Mbocovisów - powiedziałem.
- Przesłuchałbym z kolei naczelnika.
- Ja mogę się tego podjąć - rzekł Pena.
- Dobrze. Ale proszę uważać, aby pan nie popełnił jakiegoś błędu.

- Już ja się dobrze wywiążę z zadania.

I zaczął szwargotać z czerwonoskórym wodzem, który z początku wzbraniał się odpowiadać, lecz, zmiarkowawszy wkrótce, że opór na nic się nie zda, zaczął odpowiadać i to nawet szczegółowiej, aniżeli go pytano.

- Przekonałem się, że Yerno jednak kłamał - rzekł Pena. - Wódz powiedział mi wszystko. Sennor Horno jest uwięziony w ruinach koło krzyża De la floresta virgen.

- Niemożliwe - rzekłem.

- Jak to? Czyżby mnie ten drab oszukał?

- Nie ma wątpliwości. W ruinach tych przecież mają swoje nory Ariponesowie.

- Prawda! - odparł, uderzając się w czoło.

- A czy nie domyśla się pan, w jakim celu wódz wymyślił tę bajkę?

- Wie, że stamtąd nadciąga sendador z liczną bandą Mbocovisów i dlatego chciał nas wyprowadzić w tamte strony, abyśmy wpadli w ręce sendadora.

- Do licha!...

- Niech pan powie temu staremu wydze, że się zawiódł w swoich rachubach.
- Powiem mu i to nie bardzo delikatnie!

I zwróciwszy się do Venenosa, zaczął z nim gniewnie rozmawiać.

W tej chwili nadbiegła Unica.

- Skoro więźniowie już nakarmieni, to i na nas byłby już czas
- zagadnęła uprzejmie. - Proszę więc panów na śniadanie.

Udaliśmy się do domu i zasiedliśmy za stołem, na którym dymiła pieczeń i świeże placki kukurydziane. Desierto zajął miejsce obok nas, ale nie jadł, a gdy go zapytałem o przyczynę, odrzekł:

- Jadam tylko raz na dzień. Zwykle poszczę, a nawet często suszę i przez cały dzień nic do ust nie biorę, prócz wody.
- I po cóż to?
- Taką wyznaczyłem sobie karę.
- A ma pan powód ku temu?
- Nie tylko powód, ale i obowiązek. Sądzę zresztą, że to wcale nie za ciężka pokuta. Zbrodnia, ciężąca na moim sumieniu, zasługuje na surowszą karę. Gdy weszliście do mego schroniska, zdziwiło was urządzenie izdebki z trupimi czaszkami. Spostrzegłem to zaraz. Otóż izdebka ta jest moją całą pokutniczą. Tam klęczę całymi godzinami, umartwiając się głodem i żałując za ciężką zbrodnię.
- Może byłoby lepiej, byśmy nie poruszali tej bolesnej zapewne dla pana sprawy?...
- O, przeciwnie. Chciałbym zwierzyć się ze swego smutku. Muszę przede wszystkim powiedzieć wam, kto jestem...
- Jest pan z zawodu aptekarzem.
- Wie pan o tym? - zagadnął ze zdziwieniem.

- Nie trudno było domyślić się tego po urzędzeniu jednej z izb w tej skale.
- Nie podobna... Pan może nie wie... Zamordowałem człowieka z rozmysłem.
- Zapewne w obronie własnej...
- Byłoby to jedyną moją pociechą i usprawiedliwieniem, gdybym mógł wiedzieć na pewno, że obrona własnego życia wymagała spełnienia tego zabójstwa. Opowiem panu tę smutną historię, a może pan rozstrzygnie moje wątpliwości.
- Dajmy raczej spokój tej sprawie. Po co jątrzyć dawne rany?...

- Owszem, pragnę tego... niech bolą... Zasłużyłem... Zna pan zapewne smutne dzieje Szlezwik-Holsztynu?

- Owszem.

- I wie pan, jak Prusacy uciskali tam Duńczyków?

- Słyszałem o tym.

- Więc proszę posłuchać. Jestem Duńczykiem. Byłem aptekarzem w pewnej małej mieścinie Szlezwik-Holsztynu, w której przeważała ludność niemiecka. Burzyło się wszystko we mnie na widok gwałtów i ucisku ze strony prusactwa i nie zawsze kryłem się z uczuciem nienawiści, jaką żywiłem wobec gnębieli mej ojczyzny. W końcu nadeszła wojna i w mojej mieścinie zakwaterowano wojsko, a na mnie, jako najbardziej podejrzanego o „nielojalność”, nałożono największe ciężary. Mój dom zajęli żołnierze, gospodarując w nim jak u siebie. Z wielkim trudem zdołałem wywalczyć dla siebie małą izdebkę. Właściwie potrzebny mi był ten kącik do umieszczenia ciężko chorej żony. Ulokowałem ją tam, radząc sobie jako tako z ciasnotą i niewygodą, gdy pewnego dnia zjawił się u mnie pruski lekarz wojskowy ze służącym i zażądał, bym ustąpił z izdebki. Tłumaczyłem mu moje smutne położenie, prosiłem, błagałem, by się zwrócił gdzie indziej - nic nie pomogło. Zbadał chorą i orzekł, że nic jej nie grozi, że tylko udaje chorobę. Usiłowałem go jeszcze przekonać, że się myli, ale wezwano mnie do apteki. Byłem tam dosyć długo. Gdy wreszcie wszystko załatwiłem i wyszedłem do sieni, by wrócić do mieszkania, o uszy moje obił się cichy jęk na dziedzińcu. Pobiegłem tam... W śniegu, na mrozie leżała moja biedna żona. Zdjąłem z siebie surdut, by ją okryć. Było za późno. Nieszczęśliwa szepnęła jakiś ledwie dosłyszalny wyraz i wyzionęła ducha.

Tu Desierto przerwał opowiadanie. Przeszedłszy się po izbie, jakby dla otrząśnięcia się ze smutnych wspomnień, mówił dalej:

- Na nic się nie przyda, gdybym chciał opisywać panom uczucia, jakie wówczas mną miotaly. Była to rozpacz, granicząca niemal z obłędem, a pełna śmiertelnej nienawiści do butnego żołdactwa pruskiego. Pobiegłem na górę. Lekarz leżał na sofie i palił cygaro. Nie pamiętam, co mu powiedziałem, gdyż ogarnęła mnie taka wściekłość, że nic przed sobą nie widziałem. W oczach migotały mi jakieś wirujące ogniki... Lekarz zerwał się z sofy i uderzył mnie w twarz, a następnie otworzył drzwi, kopnął mnie tak, że spadłem ze schodów. Zawrzało we mnie pragnienie zemsty. Porwałem się z ziemi, wbiegłem na górę,

149 skoczyłem ku łotrowi i chwyciłem go za gardło. Lekarz dobył szabli i zamierzył się na mnie. Gwałtownym ruchem wyrwałem mu broń z ręki i pchnąłem go w brzuch. Nie troszcząc się o niego,

zabrałem pieniądze, jakie były pod ręką, pobiegłem na dziedziniec, zniosłem zwłoki mej żony do sąsiadki z prośbą, by je pochowała, dałem jej na to pieniądze i umknąłem z miasta.

Straszna ta opowieść tak wzburzyła starca, że drżał na całym ciele. Zdawało się, że przeżywa to wszystko po raz wtóry. Nie przerywaliśmy mu ani słowem. Po dłuższej pauzie zaczął dalej:

- Przez trzy dni kryłem się w lesie. Od jakiegoś przechodnia dowiedziałem się, że Prusacy rozpisali za mną listy gończe. Czwartego dnia odważyłem się podejść do kościółka parafialnego, przy którym znajdował się cmentarz. Odnalazłem świeży grób mojej żony i pocałem się modlić. Niestety, i tu byłem ścigany. Prusacy, spodziewając się widocznie, że zajrzę na cmentarz, postawili tam żołnierza na straży, który zobaczywszy mnie strzelił, ale na szczęście chybił. Umknąłem i szybko znalazłem się za granicą. Przyjaciele, widząc moje smutne położenie, zebrali dla mnie fundusik, za który wyjechałem do Ameryki...

- Nie miał pan dzieci, ani krewnych?

- Nie, i to całe szczęście. Ale ów lekarz wojskowy był ojcem czworga dzieci, a ponadto utrzymywał rodziców.

- Skąd pan się o tym dowiedział?

- Z gazet.

- A więc to jest czyn, za który pan teraz pokutuje? Czy nie przyszło panu nigdy na myśl, że nie brak tu okoliczności łagodzących?

- Tak, zapewne. Ale czyn zostaje mimo to czynem.

- Przecież to on dobył broni i groził pańskiemu życiu, a pan stał przed nim z gołymi rękoma.

- Mimo to jednak zabiłem go i straszny obraz konającego człowieka prześladowuje mnie do dziś jak zmora. Słyszę bez ustanku wokoło siebie głosy: „Morderca! Zbrodniarz!” Przez długi czas nie mogłem znaleźć chwili spokoju. Wreszcie zagrzebałem się tutaj, jak prawdziwy pustelnik i żeby choć w części okupić swoją winę, stałem się nauczycielem tego plemienia Indian...

- Hm! - przerwałem. - Widzę z tego wszystkiego, że jest pan niezwykle drażliwy na punkcie sumienia... Ale tym bardziej nie mogę sobie wytłumaczyć zachowania się pańskiego w owej chwili, gdy po raz

150 pierwszy stanęliśmy przed panem. Groził nam pan wówczas śmiercią!

- Była to też tylko groźba, której bym jednak w czyn nie wprowadził. Chciałem was tylko ukarać trwożą za wdarcie się do mej pustelni.

- Przyznaję, że postępowanie pańskie było usprawiedliwione.
- Wracając jednak do mej smutnej historii, dodam, że uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, aby wynagrodzić krzywdę sierotom po zabitym. Zapamiętałem sobie ich nazwiska i miejsce ich pobytu. Pena słuchał z zajęciem opowiadania, nie wtrącając się jednak ani słowem. Teraz nie mógł już wytrzymać i przerywając staremu, zapytał z niepokojem:
- I co? Może posyłał im pan pieniądze?
- Tak.
- I posyła pan jeszcze teraz?
- Oczywiście, muszę się troszczyć o osieroconą rodzinę.
- W jakiż sposób wysyła pan te zapomogi?
- Z Buenos Aires za pośrednictwem banku. Co roku udaję się do Santiago i stamtąd wysyłam przekaz do Buenos Aires.
- Ależ, panie Desierto! Proszę przestać robić te głupstwa!...

Pieniądze jakby w błoto wpadły!

- Nie rozumiem pana...
- Zaraz to wszystko wytłumaczę... Pan nie jest wcale zabójcą i nie ma pan obowiązku dopomagania rodzinie zabitego. Powiedział to tak dobitnie, że stary jak gdyby się przeląkł i przez chwilę nie mógł przemówić słowa. W końcu rzekł:
- Przecież go zabiłem i pozostały po nim sieroty.
- Stało się inaczej. Ten lekarz żyje. Wyleczył się z rany i jest obecnie całkiem zdrowym człowiekiem.
- Czy była o tym wiadomość w gazetach?
- Co tam gazety! Czy był pan później w kraju?
- Nie - odparł Desierto.
- A może dowiadywał się pan później o ową rodzinę?
- I to nie.

- No, no! Doprawdy nie pojmuję, jak pan mógł być tak lekkomyśl-ny! Wysyła pan co roku pieniądze osobom, które nie wiadomo czy w ogóle istnieją na świecie!

- Dzieci lekarza żyją niezawodnie, bo przecież w Europie nie było epidemii, która by wszystkich od razu zabrała. Zresztą w liście

151 gończym, którym mnie ścigano, była najwyraźniejsza wzmianka o dzieciach.

- Tak, zaraz po wypadku, oczywiście! Szkoda jednak, że pan później nie zajrzał do gazet, bo dowiedziałby się pan z nich o wszystkim. Otóż ja znam osobiście owego lekarza. Nazywa się on Henryk Delmann i pochodzi z Berlina.

- Na miłość Boską! - krzyknął stary ze zdumieniem. - Istotnie...

Ów Prusak tak się nazywał.

- Proszę słuchać dalej. Podczas włości po Ameryce Północnej spotkałem w Nowym Jorku młodego człowieka, który nazywał się Wilhelm Delmann i uchodził za lekarza, chociaż nie praktykował. Rozbijał się po restauracjach i rozmaitych spelunkach, jak ostatni hulaka. Otóż pewnego razu, gdy był dobrze podchmielony, wygadał się przede mną z wielu rzeczy. Powiedział mi, że...

- Co? Co? - zerwał się Desierto na te słowa. - Najstarszy syn lekarza nazywał się istotnie Wilhelm.. Co dalej?

- Dalej historia ta jest zupełnie prosta i nie wymaga wielu wyjaśnień. Stary Delmann, raniony przez pana, leżał trzy dni nie-przytomny, ale dzięki troskliwej opiece kolegów nie umarł; widocznie ostrze szabli nie naruszyło ważniejszych organów wewnętrznych. Opuściwszy szeregi, osiadł na jednym z przedmieść berlińskich, a sądy pruskie przestały pana ścigać, zadowolając się konfiskatą pańskiego majątku na rzecz pokrzywdzonego.

W miarę opowiadania Peny, Desierto zaczął wrzeć z gniewu. Wreszcie stracił panowanie nad sobą. Chwyciwszy Penę za ramiona, wstrząsnął nim gwałtownie i zapytał z dzikim wyrazem w oczach:

- Mój panie! Czy tylko nie zmyśliłaś tej bajki? Ja bym... ja...

- Po cóż miałbym kłamać?... Ale niech pan pomyśli, jak miłe zdziwienie ogarnęło panią Delmann, gdy po upływie dwóch lat otrzymała z banku tysiąc dolarów z dopiskiem, że to od zabójcy dla niej i dla dzieci, z miłą obietnicą, że dopóki żyje, będzie rokrocznie posyłał jej większe sumy. Pieniądze te obrócono na kształcenie najstarszego jej syna, Wilhelma, który też

siedział w szkołach, ale się niczego nie nauczył. Później zapewne coś przeszkrobał i uciekł do Ameryki.

- Pan mi daruje - odezwał się Desierto - że mu nie dowierza-łem.. Wszak mógł pan z litości wymyślić tę bajkę, aby mnie pocieszyć i przywrócić mi spokój sumienia. Ale z oczu pańskich czytam, że to co

152 pan mówi, jest prawdą. Nie miałby pan sumienia, okłamywać mnie tak okrutnie Łzy stanęły mu w oczach. Wstydząc się ich widocznie, wyszedł z izby. Wówczas Pena rzekł do mnie:

- A cóż pan na to wszystko?

- Ha! Niezbadane są wyroki i zrządenia Boże! Kto by się spodziewał, że wypadki ułożą się tak dziwnie i niemal niepraw-dopodobnie. Widoczna tu jest ręka Opatrzności... A teraz, trzeba pójść raz jeszcze do wodza, by sprawdzić, czy Yerno nie wyprowadził nas w pole.

- A więc ja znowu mam mówić z tym kłamcą?

- Nie, będzie pan tylko tłumaczem. Powtórz mi pan każde jego słowo, dokładnie, bez zmiany.

- Przyda się to panu na co?

- Naturalnie. Aczkolwiek z samych jego zeznań niewiele sobie obiecuję, ale zwrócę baczniejszą uwagę na jego zachowanie, wyczytam może coś z twarzy i domyślę się czegoś...

Weszliśmy do lochu, gdzie Unica uwijała się między jeńcami, jak siostra miłosierdzia, dając spragnionym pić. Kazałem jej przynieść kilka świec, by przy ich świetle wziąć się do badania. Venenoso był skrępowany, tak samo jak wszyscy inni. Podszedłem ku niemu, rozwiązałem rzemienie, tak aby był zupełnie swobodny, i rzekłem do Peny:

- Teraz niech mu pan powtarza wszystko, co powiem. Jeżeli zaakcentuję silniej jakiś wyraz, niech pan uczyni tak samo. Najpierw niech mu pan powie: Wódz Mbocovisow, który nosi imię Venenoso, znany jest ze swej dzielności i odwagi.

Venenoso, pomimo, że rozwiązałem mu nogi i ręce, nie zmienił pozycji i zdawało się, że ma zamiar nie odpowiadać na moje pytania. Usłyszawszy jednak moje słowa, zwrócił się twarzą do nas, a ja dyktowałem dalej:

- Oprócz tego Venenoso uchodzi za człowieka bogatego.

Słowa te wywarły na nim mocniejsze wrażenie, ale nie odezwał się ani słowem. Ja zaś mówiłem dalej:

- Uważając Venenosa za dzielnego wojownika, uwolniłem go z więzów, aby mu okazać szacunek. Spodziewam się, że skorzysta z tej uprzejmości i stanie przede mną śmiało, jak przystoi człowiekowi godnemu i poważnemu.

Argument ten poskutkował. Naczelnik wstał z ziemi i podszedł do mnie. Unica trzymała świecę tuż obok nas, tak, że mogłem obserwować go bez przeszkody.

- Venenoso jest bardzo bogaty-tłumaczył dalej Pena moje słowa

- a źródłem jego bogactwa jest to, że chwyta białych jak opryszek i wymusza za nich znaczne okupy. Żądza złota zaślepia, ogłusza i przytępia umysł. Oto, dlaczego tak dzielny wojownik dał się podejść i wpadł w naszą zasadzkę.

Venenoso na te słowa obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem, lecz milczał w dalszym ciągu.

- I nie myślę się. Żądza złota odebrała też mowę wodzowi. A może nic nie mówi ze strachu?

- Nie boję się nikogo i nigdy! - wycedził nareszcie.

- Nawet śmierci?

- Każdy człowiek musi umrzeć, więc na cóż przyda się obawa śmierci?

- Chcieliście nas wszystkich wymordować. Powiedział nam to Yerno, jeszcze wówczas, gdy uważał nas za swoich sprzymierzeńców.

- Yerno was okłamał.

- Szkoda! Sądziłem, że wódz Mbocovisów należy do ludzi odważnych. Niestety, przekonuję się, że to nieprawda. Venenoso kłamie ze strachu jak najęty, wobec czego obejdę się z nim, jak z najpospolitszym złoczyńcą. Słyszałem ponadto, że Venenoso nie tylko sam napada na białych, ale także innych szczuje przeciwko nim. To zaś nie jest niczym innym, jak tylko tchórzostwem. Venenoso jest tchórzem i kłamcą...

- Dowiedz mi tego!

- Owszem. Powiedziałaś, że sennor Horno jest uwięziony w rui-nach koło Nuestro Jesu Christo de la floresta virgen...

- I tak jest istotnie...

- Tak nie jest. My wiemy, że go ukrywacie. Chcieliście na razie wymusić na opiekunie Tobasów okup za niego, ale mieliście zamiar, w razie udania się napadu na Desierta i zrabowania całego jego mienia, uśmiercić sennora Horno... Czyż nie tak?

Na te słowa Venenoso spuścił oczy w milczeniu, a ja pytałem dalej:

- Ile żądasz za niego?

Podniósł na mnie wzrok, z którego można było wyczytać cień nadziei. Najwidoczniej pomyślał, że skoro pytam go o cenę, to widocznie nie grozi mu jeszcze niebezpieczeństwo śmierci.

154

- Desierto jest bogaty, a że kocha bardzo sennora Horno, więc może dobrze zapłacić.

- Przyznajesz więc, że sennor Horno jest u was. Ile żądasz?

Oznaczył cenę. Wynosiła pięć tysięcy dolarów. Uśmiechnąłem się i odrzekłem:

- Spodziewałem się, że zażądasz więcej.

- Jesteś więc zadowolony ze skromności moich wymagań?

- Najzupełniej, jeżeli oczywiście przyjdzie między nami do ugody.

- Już się przecież ugodziliśmy.

- Tak, ale niezupełnie. Bo zapominasz, że i ty jesteś również jeńcem, i to nie sam, ale ze swoimi ludźmi, których nie mamy wcale zamiaru zabijać... Wolelibyśmy okup.

- Okup? - krzyknął zdziwiony. - Czy słyszał kto kiedy, żeby za Indian składano okup? Takiego wypadku jeszcze nie było.

- Masz słuszość. I ja też nie ująłem was dla okupu. Skoro jednak ty żądasz okupu za swego jeńca, to nam wolno żądać okupu za ciebie i twoich...

- Ile byś chciał?

- Tyle, ile ty żądasz.

- To znaczy?

- Sennor Horno nie jest wodzem, lecz zwykłym człowiekiem, więc sędzę, że każdy wasz wojownik wart tyle, co on. Zapłacisz więc za każdego ze swoich tyle, ile żadasz za Horno, a za siebie oczywiście dasz dziesięć razy więcej.

- To za wiele! - westchnął Venenoso.

- Sam przecież oznaczyłeś cenę.

- Ależ my nie mamy tyle pieniędzy.

- Za to macie zwierzęta i towary.

- Nie ma o czym mówić...

- Za pozwoleniem! Nie zaprzeczałeś, gdy powiedziałem, że jesteś bardzo bogaty. Stosownie do tego więc stawiam cenę waszego okupu.

- W takim razie nie porozumiemy się. Nie dostaniesz tyle pieniędzy, bo ich nie mamy i ciekaw jestem, co wtedy z nami zrobicie.

- Wystrzelamy was i basta.

- A Horno będzie zamordowany.

- Niekoniecznie. Wiemy, gdzie jest ukryty i wydobędziemy go niezwłocznie. Trzymacie go nad Laguna de Bambu, nieprawdaż?

Patrzyłem mu bystro w oczy, ciekawy wrażenia, jakie wywrą na nim moje słowa. Nie otrzymałem odpowiedzi. Zapytałem:

- Zgadłem? Co?
- Nie!
- Strzeże go tylko czterdziestu ludzi, których bardzo łatwo można podejść i obezwładnić.
- Jeżeli ich pozabijacie, to...

Nie dokończył, miarkując, że za wiele powiedział.

- Mów dalej i
- Już nic nie powiem.
- A ja wiem już wszystko. Chciałeś powiedzieć, że choćbyśmy nawet obezwładnili tych czterdziestu, to Horna nie znajdziemy. Czy nie tak?
- Tak.
- Ale mylisz się. Znajdziemy go, razem z kupcem Parduna z Goyi.

Czerwonoskóry był tak zaskoczony tymi słowami, że zaklął. Po chwili zapytał:

- Cóż ty wiesz o tym kupcu?
- Że znajduje się razem z sennorem na Isleta del Circolo.
- Jesteś jasnowidzącym - rzekł - albo czarownikiem!
- Bynajmniej. Wszystko to powiedział mi Yerno.
- To nieprawda!
- Owszem. Zmusiłem go do wyznania wszystkiego.
- W takim razie Yerno jest skończonym łajdakiem! - krzyknął z wściekłością czerwonoskóry,

zaciskając pięści. - I gdybym go tu dostał! ...

- Ba! Nie wiesz jednak, co on przeszedł, zanim się na wyznanie zdecydował. Powie ci to niezawodnie, gdy się zobaczycie. Ciebie również czeka niejedna nieprzyjemność, jeżeli nie będziesz się za-chowywał rozsądnie.

Tu zwróciłem się do Peny: - Związać go na nowo.

- Nie dam się! Za nic nie dam się związać! - krzyknął czerwono-skóry i rzucił się ku drzwiom.

Byłem jednak przygotowany na to i zdołałem mu podstawić nogę, tak, że runął na ziemię. Przygniotłem go natychmiast, po czym związaliśmy go na nowo.

- Znakomicie! - odezwał się ktoś, stojąc we drzwiach.

Spojrzałem i z trudem poznałem mówiącego. Był to Desierto, 156 ubrany od stóp do głów jak zwykły cascarillero. Za pasem miał pistolety i nóż.

- Nie poznaliście mnie? - zapytał, śmiejąc się. - O, tak!

Zmieniłem się nie tylko zewnątrz, ale i wewnątrz. A teraz chodźmy stąd.

Gdy znaleźliśmy się w ogrodzie, stary przystanął i odezwał się do Peny.

- Niech pan nie oczekuje ode mnie długiej przemowy z wyrazami podziękui, bo słowa, choćby najgorętsze, nie mogą wyrazić tego, co czuję w sercu w tej chwili, i jaka wdzięczność rozpiera moją pierś. Niech panu na razie wystarczy zwykły objaw serdecznych uczuć... Przy tych słowach rzucił mu się na szyję, po czym rzekł do Uniki, która ze zdziwieniem przypatrywała się temu wylewowi uczuć:

- Ciesz się, moja przybrana córko, bo od dziś jestem jakby nowo narodzony. A zawdzięczam to jedynie naszym miłym gościom. Później opowiem ci wszystko dokładnie, bo teraz nie ma na to czasu. Przede wszystkim trzeba Yernę zaprowadzić do reszty więźniów.

- Co pan z nim zamierza zrobić?

- Dla uczczenia tej wielkiej chwili, która dziś mnie spotkała, mógłbym puścić ich na wolność, gdyby nie sprawa z sendadorem. Na razie zabierzmy stąd Yernę.

- Proszę się wstrzymać - rzekłem. - Muszę z nim jeszcze pomówić. Chodźmy!

- „Zięć” sendadora siedział do tej pory pod drzewem, skępowa-ny. Już na pierwsze wejrzenie było widać, że spokorniał jak baranek. Zobaczył już mnie i drgnął, jakby go ciarki przeszły. Patrzył na mnie z niesłychaną trwogą.

- Proszę się nie bać - rzekłem. - Jeśli pan będzie dalej szczery względem mnie, wszystko skończy się jak najlepiej. Proszę mi powiedzieć przede wszystkim, gdzie znajduje się stała kryjówka sendadora?

- Nad Laguna de Bambu.

- Czy był pan kiedy nad Pampa de Salinas?

- Nie byłem. Wiem tylko, że sendador często zapuszcza się w tamte strony.

- Czy on tu przybędzie od strony krzyża De la floresta virgen?

- Tak, ale dnia jego przybycia ściśle oznaczyć niepodobna. Być może, iż nadciągnie tu dziś jeszcze.

- Gdzie mieliście się spotkać?

„Zięć” wahał się chwilę, lecz widząc surowy wyraz mej twarzy, mówił dalej:

- Jeżeli nie zastanie nas w tym miejscu, gdzie obozowaliśmy wczoraj wieczorem, to będzie dla niego znakiem, że napad nam się udał i że wysłamy tam posłańca po niego. Czy pan chce jeszcze czegoś się dowiedzieć?

- Nie.

Yerno odetchnął głęboko. Desierto z Peną odwiązali go i po-prowadzili do lochu, a ja z Unicą udałem się do altany. Zaledwie usiedliśmy, ozwał się w oddali długi przeciągły świst, jakby lokomotywy starego systemu.

- Wracają nasi! - krzyknęła Unica radośnie.

- To ich znak?

- Oczywiście. Wuj sporządził dla mych wojowników wielką piszczałkę. Oddaje nam ona znaczne usługi, bo dzięki niej możemy się porozumiewać na znaczną odległość. Niech pan słucha! Świst powtórzył się po chwili, a równocześnie usłyszeliśmy we wsi nawoływania i okrzyki.

- Czy pani musi wyjść na powitanie zwycięzców?

- Tak, ale...

- Więc proszę! Chodźmy!

Zwycięzcy wracali na koniach, co mnie ogromnie ucieszyło, bo wiedziałem, że już nie będę musiał wlec się przez cały step pieszo, jak włóczęga.

Najstarszy z Indian, głowa wsi, jak mnie poinformowała Unica, zsiadł z konia, zbliżył się do królowej i wygłosił długą przemowę, z której niestety nie rozumiałem ani słowa. W odpowiedzi Unica przemówiła krótko głosem dźwięcznym i donośnym. W mowie tej zapewne była wzmianka i o mnie, gdyż oczy wszystkich często zwracały się w moją stronę.

Po przemówieniach podano nam konie i rozpoczął się triumfalny wjazd Indian w pielesze domowe.

Na czele tłumu szedł wysoki, tęgi mężczyzna, trzymający w obu rękach długą, wydrażoną wewnątrz żerdź bambusową. Była to sławna gwizdawka, przypominająca rozmiarami trąby z łyka, jakie

sporządza-ją Huculi z Karpat Wschodnich. Obok niego postępował doboz z nie milnącym nigdy bębniem, a za nimi reszta „orkiestry” z różnymi 158 instrumentami muzycznymi. Ja jechałem na końcu obok królowej, za nami szeregi wojowników.

Nagle trębacz podniósł do ust swoją żerdź, nadął policzki i gwizdnął z całej siły, a za jego przykładem poszli inni muzycyści, wszczynając taką kakofonię, że słyszeć ją było co najmniej na milę wokół. Wśród tej ogłuszającej wrzawy dotarliśmy na plac zborny pośrodku wsi, gdzie oczekiwał nas już Desierto z Peną.

Wojownicy zsiadli z koni i ustawili się w porządku, czekając, aż dowódca zda raport staremu z przebiegu wyprawy.

- Świetne zwycięstwo! - odezwał się do mnie Desierto po ukończeniu ceremonii. - Chiriguanosowie pobici na głowę. Możemy być spokojni, że co najmniej przez dziesięć lat nas nie zaczepią. Tu widzi pan tylko połowę moich wojowników; reszta pozostała w tyle, zajęta transportem trzód i innych łupów wojennych. Za to, że tak dobrze się spisali, urządzimy dziś wielką ucztę na cześć zwycięzców. W odpowiedzi na to rozległy się ogłuszające okrzyki radości i wesela. Nagle do Desierta przecisnęło się przez tłum kilku ludzi z jakimś sprawozdaniem.

- To moi wywiadowcy - rzekł, zwracając się do mnie Desierto.

- Powrócili z rekonesansu i nie bez rezultatu. Mbocovisowie są już niedaleko.

- Gdzie?

- Zauważono ich w odległości sześciu godzin drogi. Oddział składa się przeważnie z pieszych, tylko część posiada konie.

- Są to z pewnością nasze wierzchowce - rzekłem - i przypuszczam, że je odzyskamy. Szkoda, że wywiadowcy nie zasięgnęli dokładniejszych informacji...

- A cóż by pan jeszcze chciał wiedzieć?

- Czy wśród Mbocovisów są biali.

- Jednego widzieli wywiadowcy.

- Jak wyglądał?

- Wysoki, chudy.

- To na pewno sendador. Mam nadzieję, że tym razem dostanę go w swe ręce.

- Co uczynimy?

- Przede wszystkim musimy się naradzić. Trzeba pamiętać, że jest nas o wiele mniej, niż liczy grupa sendadora, ale za to jesteśmy lepiej uzbrojeni.

- Istotnie, moi Indianie posiadają znakomite karabiny i umieją doskonale strzelać. Czy pan sądzi, że Mbocovisowie rozłożą się obozem tam, gdzie wskazał Yerno?

- To jest prawie pewne.

- I tam na nich napadniemy?

- Tak, i to zaraz o świcie, gdy można dobrze widzieć teren. W nocy by uciekli, a z nimi sendador.

- Skoro tak, to mamy jeszcze dosyć czasu na wyprawienie uczyty.

- O, za pozwoleniem! Nie wolno nam hałasować, bo nie ulega wątpliwości, że Mbocovisowie wysłą przodem swoich wywiadowców, a nie jest wykluczone, że sam sendador wybierze się tu na zwiady. Dlatego musimy się zachowywać spokojnie, aby nieprzyjaciel się nie dowiedział, że wojownicy nasi wrócili już z wyprawy. Ponadto we wsi zostaną tylko ludzie uzbrojeni. Reszta musi jeszcze za dnia wynieść się na wyspę i zabrać ze sobą konie.

- Jak to? Przecież konie będą nam potrzebne do ścigania nie-przyj aciela.

- Sądzę, że nie będziemy potrzebowali go ścigać. Jeżeli mój plan będzie wykonany dokładnie, nikt nam nie ujdzie.

- Nie rozumiem.

- Proszę posłuchać. Zaraz z zapadnięciem zmierzchu wybiorę się na zwiady. Gdy się przekonam, gdzie są Mbocovisowie, wyruszymy przeciw nim, okrążymy ich w odpowiednim oddaleniu, aby ich strzały nas nie trafiły, i będziemy czekać do rana. Atak przypuścimy dopiero o świcie.

- Czy tylko nie przebiją się przez łańcuch naszych ludzi, który będzie przecież dość słaby?

- Mnie się zdaje, że to niemożliwe. Okolimy ich pierścieniem o średnicy co najwyżej tysiąca kroków, przy czym nie ustawimy się pojedynczo, lecz małymi oddziałami, tak, aby wolne miejsca pomiędzy nimi znajdowały się w obrębie kul karabinowych. W razie, gdyby nieprzyjaciel chciał się przebić przez kordon, zmiotlibyśmy go co do nogi, zanim zdołałby dobiec do połowy drogi. Czy amunicji jest pod dostatkiem?

- Aż nadto.

- Doskonale! Najważniejsze, abyśmy mogli okrążyć obóz potaje-mnie. Reszta sama się ułoży.

- Mbocovisowie mają również karabiny i to nawet nie najgorsze, bo odebrali je pańskim

towarzyszom.

- Ale karabinów tych jest niewiele, a zresztą wątpię, czy Indianie umieją obchodzić się z nimi. Niechże więc pan zastosuje się ściśle i bezzwłocznie do moich zarządzeń, a ja tymczasem wybiorę się z Peną w celu zasięgnięcia języka.

Udaliśmy się z Peną po broń, po czym ruszyliśmy w kierunku miejsca, gdzie mieli się ukrywać Mbocovisowie. Z przeczności zdjęliśmy obuwie, aby wywiadowcy Mbocovisów nie domyślili się, z kim mają do czynienia.

- W miejscu, do którego dążyliśmy, nie było jednak żywego ducha, więc nie oglądając się na nic, poszliśmy dalej. Zbyteczne tu już było ukrywanie śladów, gdyż gubiły się one w szlaku, wydeptanym przez oddział znajdujący się u nas w niewoli.

Idąc dalej, spostrzegliśmy nieprzyjaciela mniej więcej na trzy godziny przed zachodem słońca. Trudno nam było policzyć ludzi, gdyż maszerowali sznurem, kryjąc jedni drugich. Na czele jechało kilku jeźdźców; reszta szła pieszo. Przyjrzeliliśmy się im z oddali przez lornetkę Desierta, po czym cofnęliśmy się nieco i ukryliśmy się, czekając cierpliwie przybycia najeźdźców.

Przypuszczenia nasze nie były mylne. Mbocovisowie istotnie za-trzymali się w tym miejscu, gdzie wczoraj obozowali ich towarzysze.

- Doskonale! - zauważył Pena. - Ukryli się tam, gdzie przypuszczaliśmy. Czy teraz wrócimy do wsi?

- Pójdzie pan sam, a ja zostanę tutaj, by śledzić ruchy nie-przyjaciela, który zapewne wyśle swych szpiegów. Niebezpieczeństwa nie ma, ponieważ zapada już zmrok i wytropić mnie w żaden sposób nie mogą. Zresztą wśród ciszy można przyłożyć ucho do ziemi i usłyszeć idącego człowieka co naj~mniej z odległości stu kroków. Zostanę więc, a pan pobiegnie do Desierta, aby bezzwłocznie przybył tu ze swoimi wojownikami.

- Dziękuję. Wolę zostać tutaj, bo lepiej będzie, jeżeli pan pójdzie do wsi i zarządzi, aby wymarsz odbył się w należyтым porządku.

- Ha! Skoro pan koniecznie tego wymaga, godzę się, ale pod warunkiem, że będzie pan dobrze uważał.

- To się rozumie samo przez się.

Włożyłem buty i pobiegłem w kierunku wsi, gdzie z wielką

niecierpliwością oczekiwano mego powrotu. Desierto był na tyle

, ...

Przezorny, że przygotował wszystko do natychmiastowego wymarszu. Prowadzenie ludzi w ciemności przez step, na którym przeważnie nie ma punktów oparcia, jak drzewa lub krzaki, nie należy do rzeczy łatwych. Wskutek jednak ciągłego przebywania w puszczy zmysł orientacyjny wyrabia się w człowieku do tego stopnia, że łatwo jest się trzymać wytkniętego kierunku. Co do mnie - miałem dostateczne doświadczenie, więc przybyłem na wyznaczone miejsce bez krążenia, tak, jakby to było w biały dzień. Namacałem nawet palcami ślady moje i Peny, którego jednak, ku naszemu zdziwieniu, wcale tu nie zastaliś-my.

- Widocznie zauważył kogoś z nieprzyjaciół - rzekł Desierto

- i poszedł za nim. Czy będziemy czekali na niego?

- To niepotrzebne. Zostawimy tylko tutaj jednego wojownika, aby go poinformował, że już tutaj byliśmy. A teraz naprzód! W odległości mniej więcej strzału karabinowego od miejsca, gdzie jak przypuszczałem, obozowali Mbocovisowie, zatrzymaliśmy się i rozsypaliśmy półkolem przez krzaki na przestrzeni około 100 kroków. Wojownicy nasi otrzymali rozkaz strzelania do każdego, kto by chciał wydostać się na zewnątrz półkola. Po rozmieszczeniu oddziałów, naradziłem się jeszcze chwilę z Desiertem nad różnymi sprawami, gdy wtęknęły się słyszeć od strony wsi dwa wystrzały.

- Któż to strzela? - szepnął Desierto - Czyżbyśmy mieli przed sobą puste krzaki? Może Mbocovisowie obeszli nas i napadli na wieś?

-- To niemożliwe - odrzekłem. - Przecież sendador miał czekać tutaj w pobliżu na posłańca, którego miał wysłać do niego Yerno. Być może, że to Pena natknął się na szpiega Mbocovisów i wymienił z nim strzał . y

- Przecież zakazał pan mu strzelać.

- Oczywiście. Ale mógł się znaleźć w takim położeniu, że nie było innej rady. Czekajmy teraz spokojnie na dalsze wypadki. Proszę obejść kordon i powiedzieć ludziom, żeby zwracali uwagę nie tylko na krzaki, ale i na step poza sobą. Do każdego, kto stamtąd przyjdzie, niech strzelają, jeżeli na wezwanie nie zatrzyma się lub nie odpowie.

- Ależ!... Przecież okrzyki i strzały zdradzą naszą obecność.

- Nic nie szkodzi. Jesteśmy przygotowani na odparcie wroga.

Niech tylko spróbują ruszyć na nas.

Desierto poszedł wydać rozkazy, a gdy powrócił, dały się słyszeć od strony wsi czyjeś szybkie kroki. Ktoś biegł w naszym kierunku, nie łez trzęsząc się widocznie o zachowanie ciszy, jakby mu ogromnie zależało na pośpiechu.

- Czyżby Pena? - szepnął stary.

- Stanowczo nie; on by szedł po cichu. Mamy niezawodnie do czynienia ze szpiegiem. Chodźmy. Może nam się uda schwytać go zniemacka.

Pobiegliśmy chyłkiem do zbliżającej się sylwetki. Przygotowałem się, by go pochwycić w ramiona, lecz niestety Desierto zawołał: - Kto tam?

Tamten stanął w miejscu jak wryty w ziemię, po czym szarpnął się nagle w bok i znikł w ciemnościach. Pobiegłem za nim, lecz nie widząc go zatrzymałem się nasłuchując. Niestety na próżno; dookoła panowała absolutna cisza.

Wróciłem do Desierta, który zapytał mnie z niepokojem: - Czy to był sendador?

- Jestem tego pewny. Widocznie chciał sam zobaczyć, co się dzieje we wsi i wybrał się na zwiady.

- Jaka szkoda, że umknął!...

Nagle zabrzmiał głos w szeregach Tobasów:

- Kto idzie? - po czym pytanie to powtórzyli inni i rozległ się huk wystrzałów.

- Oho! - rzekł Desierto. - Przeciwnik pański chce się zapewne przedostać przez nasz kordon i dobrze uczyniliśmy, szeroko rozstawiając naszych wojowników w drobnych oddziałach.

- Obawiam się, że będzie strzelał i może kilku naszych położyć trupem - odrzekłem.

Jakby na potwierdzenie moich słów padł znowu strzał, a po chwili spostrzegłem biegnącego ku nam Penę, który zdyszany krzyczał już z daleka:

- Strzelaliście? Zabiliście może sendadora?

- Skąd pan wie, że to on był? - zapytałem.

- Bo go widziałem na własne oczy, nie dalej jak o trzy kroki od siebie.
- Kto pierwszy strzelał?
- Rozumie się, że ja.
- Tak? I pan jeszcze powiada „rozumie się”, tak jakby pan mądrze postąpił. Przecież prosiłem pana, by pan unikał hałasu.
- Jak to? Przecież zadaniem naszym jest uśmiercić tego draba, jako

163 dowódcę i podżegacza Indian. Gdyby go zabrakło, Mbocovisowie na pewno by stąd uciekli.

- A jednak ten łotrzyk ma szczęście. Przed chwilą znowu strzelano do niego i ręczę, że go nie trafiono.

- Hm! - mruknął Pena. - Strzelano, aby go nie dopuścić do obozu?

- I słusznie.

- A jednak tego rodzaju taktyka niewiele warta, bo będzie do rana kręcił się tu i tam, strzelając na prawo i lewo, podczas gdy mógłby nam wpaść w ręce przez wolne przejście do obozu, jeżeli nie teraz, to za dnia. Z obozu nie ma wyjścia. Czy pan o tym nie pomyślał? Mnie się zdaje, że najrozsądniej byłoby przepuścić go przez kordon...

- Istotnie, słuszna uwaga - rzekłem i natychmiast kazałem wydać odpowiednie rozkazy Indianom na stanowiskach.

Desierto oddalił się natychmiast, a ja, nie mając nic lepszego do roboty, usiadłem na ziemi obok Penny, zły na samego siebie, że palnąłem głupstwo. Było jasne jak słońce, że gdybyśmy nie zatrzymali sendadora, byłby spokojnie udał się przez nasz kordon do swego obozu i...

- Otóż to „i” - pomyślałem. - I następnie próbowałby przełamać ze swoimi nasze szeregi, przy czym nie obesłoby się bez rozlewu krwi. Myśl ta pocieszała mnie nieco, bo jednak mimo wszystko mój błąd miał też dobrą stronę.

Ale za to mogło nam grozić co innego. Sendador kręcił się w ciemności na zewnątrz naszego kordonu i na pewno domyślił się mojej obecności wśród Tobasów, a więc muszę być przygotowany, że będzie usiłował podejść mnie jak pantera i zabić. Tak myśląc nasłuchiwałem bacznie. Po pewnym czasie wydało mi się, jakby gdzieś niedaleko zaszeleściły źdźbła trawy.

- Niech się pan nie porusza - szepnąłem do Peny. - Ktoś się ku nam skrada...

- Może sendador? - odszepnął.

- Nikt inny, tylko on.

Przyłożyłem ucho do ziemi i stwierdziłem z najzupełniejszą pewnością, że ktoś znajduje się w pobliżu i to o parę kroków od nas, ale w której stronie, tego na razie określić nie mogłem.

Chwyciłem Penę za rękę i szepnąłem mu do samego ucha: - Ze-164 rwiemy się nagle i skoczmy parę kroków na prawo... Tu grozi nam niebezpieczeństwo.

To mówiąc, dałem tęgiego susa w bok, gdy wtem Pena krzyknął:

- To ty, psie! Mam cię wreszcie... Aj i

Ostatni wykrzyknik był właściwie jękiem bólu. Widocznie sendador uderzył Penę lub zranił go nożem.

Nie tracąc przytomności krzyknąłem:

- Trzymaj! Biegnę na pomoc!

Lecz odezwanie się było błędem, gdyż w ten sposób ostrzegłem przeciwnika i dałem mu możliwość zorientowania się w ciemności, gdzie jestem.

Zaledwie skoczyłem w stronę Peny, zerwała się z ziemi jakaś ciemna postać. Rzuciłem się na nią. bez namysłu i chwyciłem ją za gardło. Napadnięty szarpnął się gwałtownie i wycharczał z wysiłkiem przez zaciśniętą krtani: - Zadusisz mnie!...

Poznałem głos... Peny!

Równocześnie tuż obok odezwał się drwiący głos sendadora:

- Duś go! Dziś jeszcze możesz, głupcze! Jutro ja cię wezmę za gardło!

W okarngnieniu skierowałem karabin w tę stronę i wystrzeliłem pięć razy z rzędu - niestety... w powietrze!

- A niech to lichy porwie! - zaklął Pena. - Co za fatalna noc...
- Dlaczego pan puścił moją rękę gdy uciekaliśmy?
- Nie byłbym jej puścił, gdybyrn się nie potknął o sendadora.
- A to mamy szczęście!
- Jeszcze jakie! Dobrze, że lotr przeląkł się nie mniej ode mnie, bo byłby mnie na pewno zabił. Chwyciłem go za gardło obiema rękami, ale opryszek dobył noża i chciał mnie przebić. Pański okrzyk go stropił. Puścił mnie i uciekł.
- Co za szkoda, że nie zatrzymał go pan dwie sekundy dłużej...
- Ręka z pokaleczonymi palcami... Tego i pan nie potrafiłby dokonać.
- Czyżby pan istotnie był ranny?

Pena pomacał rękę i odrzekł:

- Na szczęście, palce są jeszcze wszystkie, ale mam ranę na dłoni i krew mi z niej płynie. Czy Desierto wróci? Może ma jaki opatrunek przy sobie?

Nawoływania nasze nie uszły uwagi Desierta. Pośpieszył do nas 165 bezzwłocznie, po czym wyszukaliśmy ustronne miejsce i zabezpieczyliśmy się przed ponowną napaścią sendadora. Tu stary wydobył ze skórzanej torby opatrunki i z całą troskliwością opatrzył ranę Peny. Gdyby sendador spróbował raz jeszcze przedostać się przez kordon, byłoby mu się to łatwo udało, bo nasi ludzie mieli mu nie przeszkadzać, a tylko, gdyby ktoś zauważył, powinien zaraz donieść nam o tym. Jednakże godziny mijały, a o sendadorze nie było słyhu. Około północy ukazał się sierp księżyca, rzucając mdłe światło na okolicę. Wystarczyło to, aby rozejrzeć się w położeniu. Krzaki, w których ukrywał się nieprzyjaciel, były teraz widoczne jak na dłoni. Okoliczność ta bardzo nam sprzyjała, ale nie była pożądana dla przeciwników, bo sendador nie mógł już skradać się ku nam, a Indianom trudniej byłoby przełamać nasze pozycje, aby przedostać się do wsi. Po naszych strzałach wystawili strażę, mniej więcej w połowie między kołem oblężniczym a obozem.

Nasi wojownicy, zobaczyli w świetle księżyca ustawione strażę, zaczęli strzelać i okazało się, że byli dobrymi strzelcami, gdyż padło kilku nieprzyjacielskich wojowników.

Po pewnym czasie spostrzegliśmy, że spoza krzaków wypełzli na czworakach ich towarzysze i zabrali rannych i zabitych do obozu. Oczywiście i nasi przeciwnicy mogli nas widzieć i przekonać się, że są otoczeni ze wszystkich stron. Spodziewaliśmy się, że nas zaatakują, aby wydobyć się z tej matni, ale do tego nie doszło. Po długich godzinach czujnego oczekiwania poczęło się rozwidniać i wreszcie spoza lasu na horyzoncie ukazało się słońce. Spojrzałem w stronę nieprzyjacielskiego obozu przez lornetkę i zauważyłem wśród Mbocovisów ożywioną krzątanicę. Potem zbili się w kupę,

widocznie na naradę, a następnie kilku wojowników zaczęło siodłać konie; jak wiemy, mieli ich tylko kilka w obozie. Po pewnym czasie zauważyłem przez lornetkę, że Mbocovisowie skierowali się ku wschodowi, a więc w stronę od wsi. Zawiadomiłem o tym natychmiast Desierta, ten podał wiadomość dalej i po bardzo krótkim czasie wszyscy nasi wojownicy gotowi byli do działania. Na decydującą chwilę niedługo trzeba było czekać, bo Mbocovisowie wyrwali się nagle z ukrycia jak spłoszone stado gęsi i z dzikimi okrzykami popędzili zwartą masą w kierunku wschodnim. Nasi wszczęli natychmiast ogień karabinowy. Jakkolwiek trwał on zaledwie dwie minuty, jednak wystarczyło to, by wśród Mbocovisów 166 padło bardzo wielu ludzi. Reszta, przerażona rezultatem ataku, cofnęła się natychmiast w krzaki, a Tobasowie podnieśli ogromny krzyk, ożywieni powodzeniem tego pierwszego starcia.

Nie byłem rad z tego, że połało się tyle krwi i dla zapobieżenia dalszemu jej rozlewowi wysłałem natychmiast jednego z Tobasów do nieprzyjacielskiego obozu z wezwaniem do poddania się. Parlamentariusz przywiązał białe płótno do gałęzi i wymachując nią w powietrzu, puścił się ku krzakom. Nim doszedł jednak do pierwszych zarośli, powitano go chmarą zatrutych strzał, nie trafiając jednak na szczęście. Cofnął się bezzwłocznie i przybiegł do nas, oznajmiając, że Mbocovisowie za nic w świecie się nie poddadzą, bo są pewni, że nie zaatakujemy ich wręcz, z obawy przed zatrutymi strzałami, które z bliska mogą nam zadać klęskę.

- Czy mamy im odpowiedzieć, jak na to zasługują? - zapytał Pena, po wysłuchaniu sprawozdania parlamentariusza.

- Zrozumiałe, że nie mamy obowiązku oszczędzać ich, skoro gardzą pokojem. Oni przecież są stroną zaczepną, a my działamy tylko we własnej obronie. Zresztą jeśli postrzelimy jeszcze kilku, uratujemy innych. Teraz wypada nam zacieśnić koło, nie zbliżając się jednak zbytnio ze względu na zatrute strzały, a potem każdego, kto wysunie nos z krzaków, potraktujemy kulą.

Po wydaniu zarządzenia posłałem jeszcze raz parlamentariusza z wezwaniem do kapitulacji, lecz przyjęto go tak samo, wrzaskami i strzałami.

Zgniewał mnie ten nierozumny upór, więc naładowałem swój karabin ciężkiego kalibru i odszedłem spory kawał w tył, aby wybadać dobrze cel przez lornetkę, a następnie wymierzyłem w miejsce, gdzie Mbocovisowie stali w zwartej grupie. Skutek był taki, że w całym obozie powstał alarm, bo nie spodziewano się tam kul z takiej odległości, tym bardziej, że ofiarą ich padł zapewne nie jeden, lecz kilku nieprzyjaciół. Wystrzeliłem drugi raz, po czym w obozie wszczął się nieopisany popłoch.

- No, no! Niezłą broń pan posiada - rzekł Desierto, gdy wróciłem na miejsce. - Dwa strzały tylko, a już Mbocovisowie ze strachu wrzeszczą jak opętani.

- Tym lepiej - odrzekłem. - Niech widzą, że z nami nie ma żartów... Może teraz nareszcie zechcą się poddać...

- I ja tak sądzę... A gdybym teraz ja rozmówił się z nimi?

- Pan? Czyż chciałby pan narażać się na niebezpieczeństwo od zatrutych strzał? A nuż trafi któraś z nich...

- Nie sędzę. Żaden z nich nie odważy się strzelać do mnie... Mam na to sposób. Zobaczy pan zaraz.

I wydobył z torby swoją szatę pustelniczą. Odział się w nią i dodał:

- W tym celu właśnie zabrałem ją ze sobą. W całym Gran Chaco wiedzą, że jestem w tej szacie strasznym człowiekiem; uważają mnie za cudotwórcę albo czarownika. Niechże więc pan nie obawia się o mnie. Wiem, co robię.

- Jeżeli pan jest tak pewny, to sprzeciwiać się nie mogę. Jakie warunki im pan podyktuje?

- A co pan radzi?

- Przede wszystkim łagodność. Z ich strony wiele już krwi popłynęło, a z naszej jedynie Pena jest lekko ranny. Mamy zresztą do czynienia z ludźmi obaląmuconymi.

- Ma pan słuszność - odrzekł. - Nie wiem jednak, co mi powiedzą na moją propozycję, a od tego zależeć będzie moja od-powiedź. Surowy wszakże nie będę, zwłaszcza po wczorajszym dniu, który był dla mnie najpiękniejszym w życiu.

Tobasowie nie zdradzali również obawy o swego opiekuna, i to mnie uspokoiło.

Udał się tedy Desierto w swej pustelniczej szacie w stronę nie-‘ przyjacielskiego obozu i rzeczywiście ze zdumieniem stwierdziłem, że Mbocovisowie nie strzelali do niego, ani też nie słyszałem żadnych groźnych okrzyków, gdy znikł wśród osłaniających ich krzaków. Przez półtorej godziny w wielkim naprężeniu oczekiwaliśmy po-wrotu starca, aż nareszcie pojawił się i to nie sam, lecz w towarzystwie sześciu czerwonoskórych. Jeden z nich miał wygląd wodza, reszta w latach sędziwych tworzyła niejako jego świtę. Desierto odezwał się tymi słowy: - Ma pan tu przed sobą dzielnego wodza Mbocovisów, który rad by porozumieć się osobiście z panem. Jego decyzja zależeć będzie od odpowiedzi, którą z ust pańskich usłyszy.

Usiedliśmy na ziemi - z jednej strony my, z drugiej oni, po czym wódz, ku memu wielkiemu zdziwieniu, zapytał mnie poprawnym językiem hiszpańskim:

- Pan z Europy?

- Tak - odrzekłem.

- Bardzo mnie to cieszy. Słyszałem bowiem, że tam są ludzie rozumni, uczciwi i pobożni... Tymczasem...
- Co masz na myśli? - przerwałem mu, nierad z tego pochlebstwa.
- Człowiek uczciwy nie zabija bliźniego.
- Ale wroga może z czystym sumieniem.
- Człowiek rozumny czyni z wrogów swoich przyjaciół.
- O ile życzą sobie tego.
- To zależy od okoliczności. Ale pan wie zapewne, że człowiek uczciwy nigdy nie kłamie.
- Owszem, wiem o tym.
- I lubuje się w prawdzie.
- Niezawodnie.
- A zatem jestem pewny, że dowiem się od pana wszystkiego, co chciałbym wiedzieć. Czy zna pan Venenosa, wodza Mbocovisów?
- Znam.
- Gdzie on jest obecnie i gdzie są jego ludzie?
- U nas w niewoli.
- Czy jeńcami waszymi są tylko Indianie?
- Jest między nimi jeden biały, którego zapewne znasz lepiej niż my. Nazywa się Yerno i jest „zięciem” sendadora.
- Ilu Indian jest rannych?
- Żaden, gdyż ujęliśmy ich podstępem.
- Co zamierzacie z nimi począć?
- Mieliśmy zamiar darować im wolność, ale że nadciągnęliście tutaj z zamiarem wymordowania całego szczepu Toba, będziemy musieli odpłacić się tą samą miarą.

Wódz spuścił wzrok ku ziemi i po dłuższym milczeniu zapytał:

- Czy zna pan sendadora?
- O, znam tego łotra...
- My go uważamy za człowieka uczciwego i należymy do jego przyjaciół.
- Szkoda, wielka szkoda, że ofiarowaliście przyjaźń takiemu złoczyńcy.
- Mówił nam o tym Desierto, ale trudno nam uwierzyć. Sendador nigdy nas nie okłamał, ani też nic złego nam nie uczynił.
- Tak wam się tylko zdaje. Bo czyż można nazwać uczciwym

169 choćby dzisiejsze jego postępowanie? Opuścił was przecież w naj-krytyczniejszej chwili.

- Musiał, boście go nie puścili. Rad bym jednak wiedzieć, co się z nim stało. Uwięziliście go może?
- Bynajmniej, uciekł - odrzekłem.

W tej chwili pomyślałem sobie, że lepiej może byłoby pozostawić wodza Mbocovisów w niepewności co do losu sendadora, tym bardziej, że człowiek ten wcale mi się nie podobał; twarz miał chytrą i zachowywał się tak, jak gdyby chciał nas wy badać i wyzyskać to na swoją korzyść.

- Uciekł - powtórzył mimo woli.
- Co was skłoniło - zapytałem - do wyprawy na Tobasów? Czy to wasi wrogowie? Czy wyrządzili wam kiedy jakąś krzywdę?
- Nie - odrzekł po namyśle, wiedząc dobrze, że inna odpowiedź pogorszyłaby tylko położenie. - Tobasowie są naszymi przyjaciółmi.
- Czyż godzi się napadać przyjaciół, mordować ich i rabować ich mienie?
- Sendador namówił nas do tego.
- Aha! Sendador! Teraz przyznasz chyba, że znajomość z nim nie może być dla was korzystna. Znasz go bliżej?
- Przebywa wśród nas od czasu do czasu, ale nic szczególniejszego o nim nie wiem. .

- Gdzie znajduje się jego stała kryjówka w Gran Chaco?
- Tego nam nie powiedział. Jego wszędzie pełno.
- Słyszałem, że znajduje się ona właśnie w waszym obszarze.
- Źle pana poinformowano.
- Może... Od jak dawna bawi wśród was sendador?
- Od kilku tygodni.
- A skąd teraz przybyliście?
- Prosto ze swoich wsi.
- On was stamtąd wywołał?
- Tak, panie. Gdyby nie on, siedzielibyśmy w domu.
- To ciekawe! Mówiono mi, że przed kilkoma dniami sendador był w okolicy krzyża De la floresta virgen i że napadł tam na białych.
- To nieprawda. Od kilku tygodni przebywał bez przerwy wśród nas.
- I nie był w ostatnich czasach w Palmar?
- Stanowczo nie.

- Mnie zaś wiadomo, że biali, o których wspomniałem, a na których on napadł, schwytali go i tylko z trudem udało mu się uciec dzięki jednemu z nich, który mu w tym dopomógł. Odwdzięczając się za to, „uczciwy” ten człowiek napadł na nich po raz drugi i zabrał do niewoli wszystkich, oprócz dwóch.

- To jakaś bajka.

- Więc nie wiesz, dokąd sendador powlókł tych jeńców?

- Zapewniam pana, że to jest wierutna bajka.

- A ja słyszałem, że ich zawlókł do Mbocovisów...

- O tym musiałbym wiedzieć przede wszystkim ja, jako wódz całego szczepu. Zresztą myśmy nigdy nie brali białych w niewolę.

Bawiła mnie wyrafinowana bezczelność draba, więc pytałem dalej:

- A nie pochwyciliście też pewnego kupca z Goyi i jego syna?

- Nie.

- Ani też młodego człowieka, który nazywa się Horno?

- Nie słyszałem nawet takiego nazwiska.

- A jednak on jest u was.

- Wspomniał mi o tym Desierto, ale to kłamstwo wierutne.

- „Zięć” sendadora schwycił go i przyprowadził do was.

- Ależ to fałsz wierutny! - oburzył się czerwonoskóry. - Dajcie mi tu człowieka, który rozpuszcza te brednie, a zadławię go jak psa. W tej chwili Desierto mrugnął na mnie, dając mi znak, abym zaprzestał rozmowy na ten temat. Zrozumiałem jego intencję i zacząłem nieco przyjaźniej:

- Wobec tych zaprzeczeń muszę przyznać, że oczerniono was.

- I jeszcze jak! - podchwycił skwapliwie chytry Indianin. - Po-winniście bezzwłocznie ukarać oszczerców; gotów jestem nawet po-móc wam w tym bezinteresownie... Mam dosyć ludzi do

rozpo-rządzenia.

- Dziękujemy za dobre chęci, ale nie rozporządzasz już swoimi ludźmi, przynajmniej obecnie.
- Jak to? Przecież jestem ich wodzem!
- Zapominasz, że w obecnym położeniu nie możesz rozkazywać.
- Mówi pan tak, jakbym był zupełnie bezsilny... Ale pan się myli.

Nic nam nie grozi. Do naszego obozu nie zbliżcie się, bo was powitamy gradem strzał śmiertelnych.

- Nie mamy wcale zamiaru zbliżyć się do was na taką odległość, aby wasze strzały były dla nas groźne. Zdaje mi się zresztą, że miałeś

171 sposobność porównać waszą broń z naszą i przekonać się, kto kogo może się bardziej obawiać. Ponieważ zaś nie lubimy żartować, więc jedynym waszym ratunkiem jest poddanie się.

- A w takim razie co nas czeka z waszej ręki?

Chciałem odrzec na to pytanie, ale uprzedził mnie Desierto:

- Wówczas zawrzemy ze sobą przymierze.
- Naprawdę? - zapytał wódz skwapliwie. - Czy można wam wierzyć?
- Najzupełniej, ale pod warunkiem, że nas nie oszukacie.
- O, to wykluczone! Jestem względem was zupełnie szczery i zgadzam się zawrzeć z wami przymierze. A teraz powtórzę naszą rozmowę towarzyszom i zapytam ich o zdanie.
- Owszem, proszę.

Wódz wdał się w rozmowę ze swoimi, z czego nie rozumiałem ani słowa, ale z ich min wywnioskowałem, że nie uważali swego położenia za beznadziejne.

Po krótkiej naradzie wódz zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Czy macie naprawdę pod dostatkiem prochu i kul?

- Powiedziałem to już, a skoro nie wierzysz, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poprzeć to dowodami. Proszę uważać! Wódz miał na głowie zawój z czerwonej materii. Zdjąłem mu go z głowy, przywiązałem do lufy karabinu jednego z wojowników i kazałem mu podnieść karabin w górę, tak aby materia mogła się rozwinąć na wietrze w kształt chorągiewki. Potem wziąłem sztucer do ręki i rzekłem do wodza:

- Wybiję kulami w tym płacie tyle dziur, ile liczysz palców u obydwu rąk, a wcale nie będę ładował naboju. Baczość! Za-czynam!

Oddaliłem się na sto kroków i dałem dziesięć strzałów do chorągiewki, celując tak, by kule podziurawiły ją w jednej linii z dołu do góry. Zanim wróciłem do gromady, chusta była już w rękach Desierta, który razem z Peną podziwiał celność moich strzałów. Odebrałem mu ją i podałem wodzowi, mówiąc:

- Proszę zobaczyć! To wystarczy, czy też wybić jeszcze dziesięć dziur bez ładowania?

Wódz spojrzał na zawój, potem na mnie i na sztucer systemu Henry'ego, po czym zrobił tak głupią minę, że omal nie wybuchnąłem śmiechem.

- Ależ sennor... - wyjąkał - dziesięć dziur... bez ładowania?...

Jak to może być? Przecie strzelbina pańska ma tylko jedną lufę...

Chyba że w niej diabeł siedzi!...

- Masz więc najoczywistszy dowód naszej potęgi. Nawet patrzeć nie chcesz na tę broń, a cóż dopiero, gdy skieruję jej lufę do waszych ludzi?

- Poczekajcie! - odrzekł. - Rozmówię się raz jeszcze z towarzyszaami.

I zwrócił się do swych ludzi, którzy jeszcze bardziej niż on byli zdziwieni szybkością i celnością moich strzałów. Nieokrzesanym, półdzikim Indianom broń moja tak zaimponowała, że patrzyli na nią z prawdziwą trwogą. Toteż po naradzie wódz rzekł do mnie:

- Przyjmujemy warunki. Poddajemy się, ale z tym zastrzeżeniem, że dotrzymacie umowy w najmniejszym szczególe.

- Przyrzekam to uroczyście - odrzekł Desierto - i dotrzymam wszystkiego, jeżeli tylko w postępowaniu waszym nie spostrzegę chytryści i obłudy.

- Nie powiedziałem dotychczas ani jednego kłamliwego słowa

- odparł wódz. - Czy moi ludzie mogą wyjść z kryjówek?

- Owszem, ale najpierw musicie przysłać tu swoją broń i konie.

- I konie? Przecież one nie są dla was niebezpieczne.

- Słuszna uwaga, ale my od tego nie odstępimy. Jeżeli konie są wasze, to otrzymacie je z powrotem. Teraz idźcie do obozu i przyslijcie wszystko, cośmy powiedzieli, po czym wydamy rozkazy. Wódz, bez słowa, skinął na towarzyszy i odszedł z nimi do obozu.

- Czy on dotrzyma tego co przyrzekł? - zapytałem.

- Przypuszczam - odrzekł Desierto.

- W takim razie ta banda zbójcka zrobi wyśmienity interes, zamiast otrzymać karę za rozbój .

- Nie rozumiem pana!
- Wszak podane przez pana warunki są właściwie nagrodą.
- Tak się tylko zdaje. Wódz kłamał przecież jak z nut i ma zamiar nas oszukać, więc nie będę obowiązany dotrzymać mu słowa. Głupiec, chce nas podejść, a tymczasem sam wpadnie we własne sieci. Wyślę zaraz posłańca do wsi, by oznajmił mieszkańcom o udaniu się wyprawy i powtórzył im moje zarządzenia.

To mówiąc, przywołał swoich ludzi i zaczął ich pouczać, co mają robić. Trwało to tak długo, że tymczasem nadeszli Mbocovisowie, niosąc 173 broń i inne rzeczy, a kilku prowadziło konie, również obciążone różnymi przedmiotami.

Serce zabiło mi żywiej na widok mego drogiego gniadosza, który znajdował się w tym towarzystwie. Byłbym chętnie podbiegł ku niemu, ale się powstrzymałem, chcąc się przekonać, czy szlachetne stworzenie pozna mnie samo.

Gniadosz, gdy mu zdjęto ciężar z grzbietu, rozejrzał się przede wszystkim, czy gdzie w pobliżu nie znajdzie smacznej trawy. Spostrzegł ludzi i mnie wśród nich, stał chwilę bez ruchu, strzygąc uszami, patrzył na mnie to jednym, to drugim okiem, aż wreszcie postąpił kilka kroków ku mnie, jakby chciał się przekonać, czy się nie myli. Wreszcie wstrząsnął sobą i parsknął kilka razy z niesłychanej uciechy. Nie mogłem opierać się dłużej. Objąłem szlachetne stworzenie rękoma za szyję i począłem je głaskać, a gdy rumak przytulił głowę do mojej piersi, nie mogłem się powstrzymać od łez. Przeszukałem po tym powitaniu sakwy u siodła i ku wielkiemu swemu zadowoleniu przekonałem się, że sendador nie tknął niczego. Desierto rozkazał, aby Mbocovisowie ustawili się parami do wymarszu, a tymczasem nasi wojownicy zabrali broń i inne złożone przez jeńców przedmioty i ustawili się w rząd, gotowi do eskortowania pochodu. Ja z Peną przeszukaliśmy jeszcze obozowisko, aby się upewnić, że niczego tam nie ukryto, ale poszukiwania nasze okazały się zbyteczne.

- Jak pan myśli - zwróciłem się do Peny - czy nie należałoby dać wodzowi konia?

- Jak to „dać”? Darować?

- Cóż znowu!... Wcale o tym nie myślałem. Uważam, że dobrze byłoby wsadzić go tylko na konia; niech jedzie do wsi i niech mu się zdaje, że czynimy mu honory.

- Ech! - skrzywił się Pena. - Nie zaszkodzi, gdy drab przebiegnie się trochę. Mało to sami się nabiedowaliśmy idąc pieszo całymi dniami przez puszcę, podczas gdy oni jechali na naszych koniach?

- Nie radzę tego przez jakąś życzliwość dla łotra, lecz z wyrachowania. Gdy go wyróżnimy spośród innych jeńców, będzie pewniejszy siebie i bez zastanowienia pójdzie w zastawione sidła.

- Słuszna myśl - zdecydował Desierto. - Zrobimy mu ten zaszczyt; niech jedzie i niech się cieszy.
Chociaż... chociaż ja jestem niepocieszony, że wśród tej hołoty brakuje... sendadora.

- Być może, że spotkamy go jeszcze i to niedaleko.
- Co też panu przychodzi do głowy?... Niedaleko? Śmiałyby więc tu siedzieć, abyśmy go mogli złapać bez najmniejszego wysiłku?
- Nie taki on głupi, aby się dał złapać. Ale że się kręci w pobliżu, nie ma wątpliwości, gdyż chciałby się przecież dowiedzieć, jaki los spotkał jego sprzymierzeńców.
- Pojedziemy więc wprost do wsi?
- Oczywiście. Dostyc mitręgi. Teraz możemy się zabawić po tak wielkim zwycięstwie.

Dosiadłem swego gniadosza. Pena skoczył na swego, po czym na moje skinienie jeden z Indian podprowadził kacykowi konia, należące-go do Turnersticka.

Zdziwiony spojrział na mnie, później na wierzchowca i zapytał:

- Czego chcecie? Co się stało temu koniowi?
- Proszę wsiąść!
- Ja?... Toż jestem jeńcem...
- Dotychczas nie zdecydowano jeszcze o tym - odrzekłem
- i uważamy cię za naczelnika Mbocovisów, który powinien jechać, skoro są konie. Proszę więc bez skrupułów korzystać z tej dogodności. Wódz wsiadł na konia, zadowolony z naszej grzeczności, a na jego podwładnych wywarło to dobre wrażenie.

Nareszcie pochód nasz gotowy był do wyruszenia do wsi. Na samym przodzie jechał Desierto, Pena, wódz i ja; za nami prowadzono luzem resztę koni, a dalej szli jeńcy pod eskortą Tobasów. Podczas drogi nie spotkaliśmy nikogo i dopiero przy wsi czekali na nas wszyscy jej mieszkańcy, ustawieni w dwa szpalery, wśród których szliśmy aż do grobli, a następnie ku miejscu, przeznaczonemu do przeprawy na wyspę.

Nie było miłe to przyjęcie jeńcom, gdyż szli ze spuszczonej oczyma.

Wkrótce pochód zatrzymał się w miejscu najdogodniejszym do przeprawy na wyspę. Wódz nie mogąc sobie wytłumaczyć, dlaczego stanęliśmy właśnie tutaj, nie gdzie indziej, zapytał:

- Cóż to? Chcecie nas wpędzić do wody?
- Cóż znowu! - odparł Desierto. - Stąd przeprawimy się na wyspę.
- Po co na wyspę? Przecież miał pan nas zaprowadzić do wsi.
- Tak zamierzałem. Ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie,

175 jeśli was umieszczę z dala od tego tłumu, który by wam mógł urągać.

- Istotnie, ma pan słuszność - odrzekł kacyk, uspokojony.
- Dziękuję za troskliwość. Nie spodziewałem się...
- O, przypuszczam, że będziesz z nas najzupełniej zadowolony, tak, jak i my z was. Jako wódz, zostaniesz u mego boku i pomożesz mi przeprawić swoich ludzi na drugi brzeg. Moi towarzysze udadzą się tam pierwsi i zarządzą wszystko, czego trzeba na przyjęcie gości. Wódz nie domyślił się niczego. Przeciwnie, był swobodny i zadowolony, a nawet przemówił do swoich ludzi, widocznie nakazując im spokojne zachowanie się.

Ponieważ u brzegu była przygotowana umyślnie tylko jedna łódka, nie mogliśmy z Peną wziąć więcej niż trzech jeńców. Szósty był przewodnik.

- Po co stary wysłał nas obu naprzód? - spytał mnie Pena po angielsku, gdy byliśmy już na wodzie.
- Zapewne dlatego, że wczoraj okazaliśmy wiele zdolności w przyjmowaniu tego towaru.
- To prawda. Jestem też ciekawy, jakie przygotowania poczyniono w kościółku na przyjęcie tej czeredy?
- Otwarto zapewne drzwi do podziemia... Cóż by ponadto?

Jak przypuszczałem, tak było istotnie. W kościółku zastaliśmy dziesięciu silnych Tobasów, którzy siedzieli na przedostatniej ławce, a ostatnia odsunięta była na bok. W miejscu, gdzie poprzednio stała, zobaczyliśmy otwór prowadzący w głąb lochu i strome kamienne schody.

Pena poprosił uprzejmie trzech Mbocovisów, by się pofatygowali w dół na kwaterę. Spojrzeli na niego zdziwieni, nie ruszając się z miejsca, widać nieprzygotowani na tego rodzaju pomieszczenie. Dopiero gdy Pena przemówił innym tonem, ruszyli ku schodom, ale nie zdążyli zejść sami, gdyż kilku Tobasów, snadź ceniąc pośpiech, rzuciło się na nich i w parę sekund wszyscy trzej Mbocovisowie znaleźli się w podziemiu.

- Dobrze byłoby - rzekł Pena - aby pan został przy drzwiach, a ja będę po kolei dostawiał jedną partię po drugiej, aż zbierzemy tu całą tę hołotę.

Pena odszedł i niebawem przyprowadził pięciu nowych jeńców, których tak samo, jak poprzednich, wpakowano do podziemia bardzo gładko. Robota szła wyśmienicie, bo dziesięciu Tobasów nabrało 176 wkrótce wprawy w ekspediowaniu łotrów do lochu. Wprawdzie mili goście podziemia wszczęli piekielną wrzawę, dobijając się do otworu, ale nie pozwolono im nawet nosa wytknąć na zewnątrz. W ten sposób po czterdziestokrotnej przeprawie wszyscy Mbocovi-sowie znaleźli gościnę w lochu pod kościółkiem. Ostatnim był wódz, który w towarzystwie Peny i Desierta zbliżał się właśnie do kościółka. Spostrzegłem ich i poszedłem naprzeciwko.

Kacyk, rozglądając się zdziwiony po wyspie, pytał:

- Gdzież tu mają być chaty dla moich ludzi? Widzę tylko jeden budynek.

- Wystarczy on dla wszystkich w zupełności - odparł Pena.

- A czy dostali jeść i pić?

- Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że Desierto nie zapomni o nich.

- Niechże pan postara się nakarmić ich - zwrócił się wódz do Desierta. - Są bardzo głodni i pomęczeni. Tam, w tych krzakach, nie było wody, i nie mogliśmy rozniecić ognia.

- Niestety! - odrzekł Desierto, wzruszając ramionami - i tu w tym lochu nie znajdują wody, ani też ognia...

- Co? Jak to? Wrzuciliście moich ludzi do piwnicy? A obiecywał nam pan wygodną kwaterę...

- Rabusie i mordercy nie zasługują na lepsze pomieszczenie...

- rzekł sucho Desierto.

Na te słowa wódz cofnął się w tył o krok i spojrzał na starego przerażonym wzrokiem, a twarz zmieniła mu się nagle, jakby w napa-dzie konwulsji.

- Mordercy? Co to znaczy? - fuknął, rozglądając się po nas.

- Czyż nie jesteście mordercami?

- Przedtem był pan dla mnie uprzejmiejszy... nie mówił pan w ten sposób...

- Przedtem rachunek nasz był inny, a teraz jest inny...
- Ależ, sennor Desierto... nie pojmuję, dlaczego zmienił się pan tak nagle...
- Jestem taki sam, jak przedtem; zmieniły się tylko okoliczności.
- Jakie okoliczności? Co pan mówi?
- Na wolnym stepie nie byłem pewny powodzenia, więc postępowałem z wami łagodnie, aby uniknąć dalszego rozlewu krwi.
- A zatem postępował pan obłudnie... - fuknął czerwonoskóry.
- Żądam niezwłocznego zawarcia przymierza!

- Bardzo chętnie. Ale zapominasz widocznie o moich warunkach.

Czy powiedziałaś szczerą prawdę?

- Pan mnie obraża!

- Bynajmniej. Okłamałeś nas bezczelnie i zamierzałeś oszukać.

Wiesz dobrze, co robił sendador w ostatnich czasach. Byłeś jego współnikiem i zasłużyłeś...

- Kłamstwo! - wrzasnął czerwonoskóry. - Bezczelne kłamstwo!

Uznałem, że powinienem wtrącić się do rozmowy. Położyłem czerwonoskóremu rękę na ramieniu i odezwałem się:

- Słuchaj! Może byś nam powiedział przede wszystkim, skąd pochodzą konie, które znaleźliśmy w waszych rękach?

- Kupiliśmy je... to nasza własność!

- Kłamiesz! Konie te są naszą własnością! Zrabował nam je przed paru dniami sendador. Niech ci się nie zdaje, że nas można wy-prowadzić w pole. Czy twoi ludzie nie powiedzieli ci, że nas znają?

- Nic mi nie mówili - syknął, uchylając się, jakby mu moja ręka cetrnarem ciążyła na ramieniu.

- Ale znasz człowieka, który się nazywa Horno?

- Nie! I jeszcze raz nie!

- I nie wiesz o tym, że jest on więziony nad Łaguna de Bambu?

Widząc moją stanowczość, zmienił się na twarzy, zbladł, drżał na całym ciele i dyszał ciężko. Postanowił jednakże, pomimo wszystko, przeczyć.

- Nie znam takiej miejscowości.

- Nie znasz? Przecież tam znajdują się wasze kobiety i dzieci pod opieką czterdziestu wojowników.

- Sennor, to... to... pomyłka...

- Tym lepiej dla ciebie, bo jeśli nie znasz ani tej miejscowości, ani tych ludzi, to nie będzie cię wcale bolało; że zajmiemy Isleta del Circolo i pomścimy krzywdę Horna.

Łotr, zamiast się upokorzyć, strząsnął moją rękę z ramienia i ryknął:

- Co mnie to wszystko obchodzi? Czego ode mnie chcecie?

Obchodzicie się ze mną jak z parobkiem. Ale nie pozwolę sobie grać na nosie!

A zwróciwszy się do mnie, zawołał:

- Zapominasz, że jestem wodzem ludu Mbocovisów, a ty kto

jesteś? Kto wy jesteście?

I popatrzył na mnie nabiegłymi krwią oczyma.

178

Na te pyszałkowate słowa omal nie parsknąłem śmiechem.

- Kto ja jestem, pytasz? Zaraz się o tym dowiesz! Jestem tym, który chwyci cię za kark i wrzuci tam, gdzie twoje miejsce. Nie mam czasu na słuchanie twoich bezczelnych i głupich wykrętów, a wkrótce wypisze-my ci na skórze naszą legitymację, z której się dowiesz, kto my jesteśmy... Marsz do lochu!

To mówiąc, chwyciłem draba za kark i potrząsnąłem nim jak pustym workiem.

Wnet rzuciło się na niego kitku Tobasów - i zaperzony, rzucający się z wściekłości wódz powędrował do lochu.

Po uporaniu się z drugim oddziałem nieprzyjacielskim, uwolniliśmy wieś Tobasów od niebezpieczeństwa. Nic dziwnego, że Desierto polecił rozpocząć przygotowania do uczty, której

trzeba było zaniechać dnia poprzedniego.

Mimo ogólnych próśb, nie mogłem nawet myśleć o udziale w tym święcie Indian, gdyż musiałem wyruszyć w step, aby szukać śladów sendadora.

- Ha, trudno! - rzekł Pena, gdy mu to wyjaśniłem. - Podążymy więc natychmiast śladami tego draba.

- Mówi pan „podążymy”, a więc zamierza mi pan towarzyszyć.

Będę bardzo zadowolony, byle pan nie zrobił takiego błędu, jak wczoraj. Sendador na pewno kręci się jeszcze po lesie. Moglibyśmy go schwytać, gdyby nam się udało podejść ku niemu całkiem niespodzianie. Ale może będę musiał puścić go jeszcze tym razem.

- Co? Puścić?

- Powiedziałem „puścić go jeszcze tym razem”, to znaczy: nie daję za wygraną, lecz odłożę sprawę na czas późniejszy. Zastanówmy się nad jego obecnym położeniem. Wie on doskonale, co uczyniliśmy z oddziałem Mbocovisów. Osamotniony, ma do wyboru tylko dwie drogi. Mógłby puścić się nad Laguna de Bambu do tych Mbocovisów, którzy strzegą naszych towarzyszy; ale jako człowiek nie w ciemną bity, domyśla się zapewne, że podążymy tam, by ich uwolnić z pazurów jego bandy. Wie również, że mając konie, możemy go wyprzedzić, a więc pójdzie tam na próżno, narażając się na niebezpieczeństwo natknięcia się na nas. Drugim jego celem mogą być góry i Pampa de Salinas.

- Czy odważy się ruszyć w tak daleką podróż sam jeden, bez broni i żywności?

= Sendador podróżuje przeważnie sam, a jeśli mu trzeba towarzyszy, łatwo ich znajdzie po drodze. Jestem pewien, że trop, gdybym go znalazł, nie poprowadzi mnie gdzie indziej, tylko w góry. By odnaleźć ten trop, nie potrzebuję pomocy, więc pan zostanie na razie tutaj, a jutro, skoro świt, wyruszymy w kierunku Laguna de Bambu. Pena, rad nierad, zgodził się na to, ale gdy począłem się przygotowywać do drogi, przystąpiła do mnie Unica i ozwała się prosząco:

- Wybiera się pan na poszukiwanie śladów. Jeśli pan się zgodzi, pójdę z panem. Proszę się nie obawiać, potrafię być ostrożna i nie narażę pana na kłopot.

- Owszem, jeżeli pani ma ochotę, może mi pani towarzyszyć, bo o kłopotach nie ma mowy. Ale proszę zważyć, jak uciążliwe jest moje zadanie. Kto wie, czy nie wypadnie czołgać się wśród krzaków, albo wdrapywać się na drzewo. Jakże pani sobie wtedy poradzi? Dla kobiety nie jest to przecież łatwe.

- O, pan mnie jeszcze nie zna! Przekona się pan, co potrafię.

Wyrosłam przecież w puszczy.

- Ha, jeżeli pani tak nalega, proszę ze mną. Po drodze wyjaśnię pani, na czym polega moja sztuka. Samo szukanie nie wystarczy; główną rzeczą jest myśl. ,

- Myśl? - zapytała zdziwiona.

- Tak. Przede wszystkim przypomnę sobie dokładnie wszystko, co się tu stało i wysunę z tego wnioski co do zamiarów sendadora, a potem dopiero według tego będę szukał śladów. Przypuszczam, że sendador kręcił się po okolicy tak długo, dopóki się nie przekonał, jaki koniec miała sprawa z Mbocovisami. Czekał prawdopodobnie aż do chwili, gdy poprowadziliśmy jeńców do wsi, a chcąc wszystko widzieć dokładnie, musiał ukryć się w krzakach, i to niedaleko drogi. Co potem robił przez noc, jest dla nas obojętne. Ważny jest trop, który pozostawił, cofając się po naszym odejściu. ‘

- I wie pan, gdzie szukać śladów?

- Przekona się pani, że przypuszczenia moje nie są mylne.

Niedaleko od nas znajduje się wąski pas drzew. Tam musimy niechybnie wpaść na jego ślady, gdyż tylko tam mógł szukać kryjówki.

- Rzeczywiście sprawa dosyć zawiła. Ale... niech pan spojrzy, jakiś ślad...

- Przystanęła, wskazując odcisk stopy ludzkiej na piasku.

- Muszę przyznać, że pani posiada zmysł obserwacyjny. To ślad człowieka, ale nie tego, którego szukamy. 180

- Więc to nie jest ślad sendadora?

- Nie przeczę temu stanowczo. Ale ślad ten pochodzi jeszcze z dnia wczorajszego.

- Skąd pan o tym wie?

- W nocy mieliśmy obfitą rosę, która zwilżyła piasek, dlatego stopa wcisnęłaby się łatwiej i brzegi śladu zarysowałyby się ostrzej. Brzegi tego śladu są niewyraźne, bezkształtne, a to świadczy, że powstał on wtedy, kiedy piasek był suchy, jeszcze wczoraj za dnia. Chodźmy dalej, a znajdziemy niebawem inne ślady, te, których szukamy. Nie myliłem się. Po przejściu może czterdziestu kroków, natraflis-my na dosyć wyraźny trop, biegnący w poprzek naszej drogi.

- Otóż mamy, czegośmy szukali - zawołała Unica radośnie, pochylając się ku ziemi. - Ten ślad na pewno wyciśnięto w mokrym piasku.

- Wspaniały ślad! Muszę go odrysować.

- Po co?

- Ażeby później w razie potrzeby mieć pewność, że jest to ślad sendadora. Jest to rzecz bardzo ważna.

Dobyłem z kieszeni jakiś stary list i odrysowałem ślady obu stóp, po czym udaliśmy się za tropem do lasu, a stąd ku wsi. Niebawem spostrzegliśmy miejsce, w którym leżał sendador podczas naszego przemarszu z jeńcami. Przyznać trzeba, że dał dowód wielkiej odwagi, bo był od nas nie dalej niż sto kroków. Tym dokładniej mógł się przekonać o swojej klęsce i co za tym idzie, zrezygnować z pomocy Mbocovisów.

Stąd prowadziły ślady znowu nad jezioro, co oznaczało, że sendador chciał widzieć, jaki koniec czeka jeńców. W kilku miejscach przy-stawał, ale nie na długo, bo pilno mu było co prędzej uciec od nas. Później wyciął z krzaka potężny kij.

- Do czego potrzebował kija? - zdziwiła się Unica.

- O, to dla mnie ważna wskazówka - odrzekłem. - Jeżeli ktoś z Gran Chaco sporządza sobie kij do podpierania się, to znak, że ma przed sobą daleką drogę i że mu się spieszy. Sendador ani się domyśla, że przez to zdradził swoje kroki w kierunku Pampa de Salinas.

- Czy pójdziemy dalej za śladami?

- Nie, bo wiem już wszystko, co mi potrzebne.

- Może byśmy go jeszcze dopędzili?

- Nie. Ślady liczą co najmniej cztery godziny. Nie ma mowy, abyśmy go dopędzili. I tak spotkam go na Pampa de Salinas.

- Ba! Ale skoro sendador pójdzie wprost, a pan zamierza zboczyć do Laguna de Bambu, to kto wie, czy go pan dogoni.

- Tak myślę, bo my pojedziemy konno, a on idzie pieszo.

Wracajmy do domu.

We wsi, na placu między chatami, gdzie zazwyczaj zbierają się wojownicy, rozłożono kilka ognisk, nad którymi piekły się w „płomie-niach olbrzymie połacie mięsa. Kobiety przyrządziły jarzyny i różne smakołyki, a naokoło uwijały się całe gromady dzieci, wrzeszczących w niebogłoso.

Unica odeszła do zajęć gospodarskich, a ja przysiadłem się do gromadki złożonej z Desierta, Peny i kilku najstarszych Indian. Gdy opowiedziałem mu o wyniku moich poszukiwań, Desierto zachmurzył się nagle i rzekł:

- Sendador może nam zrobić niemiłą niespodziankę. Jegó droga ku Pampa de Salinas wiedzie przez obszary Chiriguanosów.

- Cóż to ma do rzeczy?

- O, i dużo nawet! Może zebrać gromadę wojowników i ruszyć na nas. Taki sławny wódz jak on mógłby dodać odwagi naszym pokona-nym wrogom. Mielibyśmy ciężką przeprawę, zwłaszcza, że mamy tylu jeńców pod strażą.

- Mnie się zdaje, że sendador nie zatrzyma się wcale u Chiriguano-sów, lecz podąży prosto w kierunku Pampa de Salinas.

- A jednak ostrożność nigdy nie zawadzi. Ja przecież jadę z panem do Laguna de Bambu.

- Pan? To nie jest potrzebne.

- Owszem. Skoro Horno jęczy w niewoli, powinienem wziąć udział w wyprawie, która go wyswobodzi.

- Skoro 'tak, jestem szczerze rad z tego. Wprawdzie Pena utrzymu-je, że zna drogę, ale sprawi mi to przyjemność, gdy będę mógł tam wybrać się pod pańskim przewodnictwem. Zresztą niezawodnie zna pan okolicę lepiej od niego.

- Oczywiście. Obierzemy kierunek prosty, na przełaj i sądzę, że za trzy dni staniemy na miejscu.
- Co takiego? Nie przypuszczałem, że to tak daleko. Sendador w tym czasie znacznie nas wyprzedzi. 182
- Dogonimy go jednak niechybnie, gdyż on wędruje pieszo, a my podążymy konno.
- A czy nie wiadomo panu, jak daleko stąd do Pampa de Salinas?
- Sądzę, że w linii powietrznej jest z górą tysiąc kilometrów.
- To jednak spory szmat drogi! Ale dlatego nie obawiam się już, aby łotr uxnknął. Jeżeli w linii powietrznej jest przeszło tysiąc kilometrów, to całą drogę, że względu na ukształtowanie terenu można szacować co najmniej na tysiąc pięćset kilometrów. Sendador nie może dotrzeć na miejsce wcześniej, niż za czterdzieści dni, więc możemy być pewni, że na koniach dognamy go, tym bardziej, że nie myślę zatrzymywać się zbyt długo nad Laguna de Bambu.
- Gdy uwolnimy pańskich towarzyszy, pan wróci tutaj z nami?

Nieprawdaż?

- Zaproszenie pańskie naprawdę mi pochwlebia i chętnie bym skorzystał z pańskiej gościnności, gdyby nie to, że ścigam sendadora. Wprost z Laguna de Bambu muszę udać się w kierunku Pampa de Salinas, nie tracąc ani chwili.
- A dokąd pan zamierza udać się z Pampa de Salinas? Może spotkamy się później?...
- To zależy od okoliczności, które trudno przewidzieć. Czy jedziemy przez Tucuman?
- Nie! Tucuman zostaje na boku. Musi pan jechać ponad Rio Sadado przez Salta do Sierra de Cachi, a stamtąd jest już tylko kilka dni drogi do Jeziora Słonego.
- Ja muszę być w Tucuman - rzekł Pena, zwracając się do mnie
- bo mam tam liczne interesy i pieniądze.
- A potem?
- Potem, mając już dosyć włóczęgi po ziemi amerykańskiej, zamierzam wrócić do ojczyzny.
- To się dobrze składa... Gdy złapiemy sendadora i odbierzemy mu kipu, udamy się do Tucuman, aby złożyć te rzeczy w tamtejszym klasztorze.
- Znakomicie! - krzyknął uradowany Desierto. - Gdybym wiedział na pewno, kiedy pan będzie w Tucuman, czekałbym tam na pana.

- Trudno mi określić termin. Wiem tylko, że sendador za czter-dzieści dni stanie u celu, jeżeli nie przyśpieszy swej podróży nabywając sobie po drodze konia. Muszę się spieszyć i bardzo liczyć się z czasem.

Jutro o świcie wybierzemy się do Laguna de Bambu. Ilu ludzi przeznacza pan na tę wyprawę?

- Jest tam tylko czterdziestu Mbocovisów. Wystarczy nam sześć-dziesięciu ludzi?

- O, najzupełniej, zwłaszcza, że pańscy ludzie będą mieli konie i dobrą broń.

- Postaram się i dla was o dobre konie. Wasze nie należą do najlepszych, z wyjątkiem pańskiego gniadosza. Dam wam tyle koni, aby każdy z was miał po dwa: jednego do jazdy, drugiego do dźwigania żywności i innych rzeczy, w które także was zaopatrzę. Pan może nie wie, że w górach jest bardzo zimno i potrzeba ciepłej odzieży, tudzież derek na noc.

- Czy mięso nie utrzyma się tak długo?

- Owszem, dam wam doskonale wędzone szynki i kiełbasę wyrobu moich Indian. Oprócz tego dostaniecie zapas mąki, a może nie pogardzicie i masłem. Wszystko to wam się przyda w tamtych okolicach. Wreszcie do pomocy dam wam kilku ludzi.

- Sennor! Zbytek łaskawości!...

- Bynajmniej. Postaram się o ludzi, którzy mogą wam być naprawdę przydatni i znają hiszpański, abyście mogli porozumieć się z nimi. Przekona się pan, jak się przydadzą, choćby jako tłumacze na wypadek zetknięcia się z Indianami.

- Więc sądzi pan, że będziemy musieli spotkać się z nimi?

- Nie ma wątpliwości. Droga wasza wiedzie najpierw przez obszary Tobasów, a następnie przez kraj Chiriguanosów.

- Czyż ich posiadłości sięgają aż tak daleko?

- Tak jest. Chiriguanosowie mieszkają nie tylko w Gran Chaco, ale i dalej, na stokach Kordylierów. Granica ich osiedli sięga aż do Boliwii. Być może, że spotka pan ich oddziały na Pampa de Salinas, gdzie polują na zwierzęta górskie dla ich wełny i cennych futer.

- Hm! To dla nas wcale nie pocieszające. Wejdziemy zatem pomiędzy dwa wrogie sobie ludy. Coś podobnego zdarzyło mi się już w Ameryce Północnej, gdy się znalazłem pomiędzy Apaczami z jednej strony, a Komanczami z drugiej. Sendador również zetknie się z tymi dwoma szczepami, bo pójdzie tą samą drogą co my.

- Przypuszczam, że sendador ominie Tobasów, bo wie jakby go przyjęli. Natomiast tym skwapliwiej będzie szukał Chiriguanosów i może nawet poszuka sobie wśród nich towarzyszy na dalszą drogę.

Chociażby z tych względów musicie wziąć kilku moich ludzi. Przy ich pomocy łatwiej wam będzie nawiązać stosunki z tamtejszymi Tobasa-mi. .

- Oczywiście, że w tych okolicznościach nie pozostaje mi nic innego, jak tylko skorzystać z pańskiej pomocy i z góry serdecznie za nią podziękować.

- Cóż znowu! Nie pan nam, lecz my panu jesteśmy winni wdzięczność. A zresztą mam przecież zamiar spotkać się z panem w Tucuman, a więc również będę korzystać z tych zarządzeń. Poza tym pan ściga sendadora. Jeśli uda się panu schwycić tego łotra, wówczas między tutejszymi Indianami znowu zapanuje przyjaźń i zgoda. Pomagam panu dla dobra tych ludzi, więc proszę nie mówić o wdzięczności; to my winniśmy ją panu. A ponieważ zaczyna się uroczystość naszego zwycięstwa nad wrogami, zapraszam pana na nią i mam nadzieję, że mi pan nie odmówi i zabawi się z nami, nie myśląc o jutrze. Oczywiście nie odmówiłem miłemu zaproszeniu i wraz z Desiertem ruszyłem w stronę ognisk, wśród których roił się tłum, mieszkańców wioski.

Zabawa była huczna i przeciągnęła się do nocy. Ci jednak, których przeznaczono na wyprawę, udali się wcześniej na spoczynek, tak samo jak my. Czekala nas przecież uciążliwa podróż już o brzasku dnia następnego.

ROZDZIAŁ IV

NA ISLETA DEL CIRCOLO

O świcie czekało na nas sześćdziesięciu doborowych wojowników na dobrych koniach. Desierto dał nam oprócz tego jeszcze dziesięciu ludzi, którzy mieli prowadzić konie juczne z żywnością i innymi rzeczami.

Unica, żegnając się z nami miała łzy w oczach. Pocieszała ją tylko myśl, że spotka się jeszcze z nami w Tucuman.

- Wiem - szepnęła do mnie tak, by nikt nie słyszał - że pan jest człowiekiem odważnym i roztroptym. Dlatego jestem przekonana, że Horno będzie wolny.

Zapewniwszy ją, że uczynię wszystko dla ocalenia jej narzeczonego, wsiadłem na konia i ruszyliśmy, żegnani okrzykami tłumnie zebranych mieszkańców wioski.

Gdy przejeżdżaliśmy obok opuszczonego obozowiska Mbocovisów, zapytałem Desierta:

- Co pan zamierza zrobić z jeńcami?

- Nie wiem jeszcze - odrzekł. - Wszystko zależy od wyniku naszej wyprawy. Jeżeli Horno żyje i znajdziemy go, to żadnemu z Mbocovisów nie wyrządę krzywdy i wypuszczę ich na wolność po zawarciu z nimi przymierza.

- A gdybyśmy nie odnaleźli Horna?

- Wtedy ukarzę winnych więzieniem i nie spocznę dopóty, dopóki nie wpadnę na trop zaginionego. Pan jednak ma również porachunki z Mbocovisami. Przecież napadli na was i wzięli pańskich towarzyszy do niewoli. Cóż pan zamierza zrobić?

- Dam im spokój, bo właściwie wszystkiemu złemu winien

186 sendador. Jego tylko pociągnę do odpowiedzialności, jeśli dostanę go w swoje ręce.

Od poboju skierowaliśmy się na północ, przez okolice po części stepowe, po części zalesione, a miejscami świecące wydmami piaszczystymi. W południe, mimo, że droga była dosyć uciążliwa, Desierto przeznaczył tylko godzinę na odpoczynek, po czym jechaliśmy na północ aż do wieczora. Na

noc rozłożyliśmy się obozem u brzegu lasu i po wieczery poszliśmy spać. Nazajutrz, skoro świt, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Trzeciego dnia podróży przed południem zmienił Desierto kierunek drogi ku wschodowi. Ukazując mi ciemną smugę na horyzoncie rzekł:

- To wielka puszcza. Wśród gąszczy leży mnóstwo jezior i bag-nisk, nad którymi unoszą się roje krwiożerczych owadów... Wątpię, czy tę plagę zniosą nasze konie, więc musimy wyminąć ten obszar.

- A kiedy mniej więcej staniemy u celu?

- Po południu. Liczyłem, że dotrzemy do Laguna de Bambu dopiero wieczorem. Ponieważ jednak jechaliśmy bardzo prędko, będziemy więc o parę godzin wcześniej.

- Teraz musimy mieć się na baczności, aby nas nie spostrzeżono.

- O, na to mamy jeszcze trochę czasu. Przypuszczam, że załoga Mbocovisów, złożona z czterdziestu ludzi, ma głównie za zadanie starać się o żywność dla kobiet i dzieci, a ponieważ las, w którym polują, leży po stronie północnej, zatem nie ma obawy, abyśmy ich tu spotkali. Zresztą powiem panu, kiedy wypadnie wysłać przednie straże.

Jadąc rozległym stepem, przybyliśmy nad słone jezioro, na którego brzegach nie było ani śladu życia zwierzęcego lub roślinnego.

- Czy to Laguna de Serpente? - zapytał Pena.

- Tak jest. Nazwa pochodzi stąd, że jezioro ma kształt zyg-zakowaty.

- Teraz wiem, gdzie jesteśmy - przypomniał sobie Pena, który był już w tych okolicach. - Teraz pojedziemy przez niewielką sawannę, a potem przez ogromny las, za którym znajduje się wieś Mbocovisów. Założyli ją niegdyś jacyś zakonnicy. Jest tam nawet kościółek.

- Nie słyszałem o tym - rzekł Desierto.

- Niech pan nie myśli, że jest to murowany gmach z wieżą.

- A krzyż na dachu jest?

- Nie ma krzyża wcale.
- W takim razie to nie jest kościół. Nektórzy z Mbocovisów byli wprawdzie chrześcijanami, ale tylko z pozoru. Czy ksiądz tam jest?
- Nie, nie ma.
- Założyłbym się więc, że ów kościółek spełnia inną rolę. Czy pan był wewnątrz?
- Nie byłem. Wstęp do Casa de nuestro Senor jest wzbroniony dla obcych.
- Wzbroniony? Dziwny kościół! Jakaś tajemnica...
- Którą bardzo łatwo odgadnąć - wtrąciłem.
- Jak to?
- Tak, że słowa „nuestro senor” nie oznaczają Chrystusa, lecz sendadora. Wyraz „senor” nie tłumaczy się wyłącznie jako „pan”, lecz także naczelnik, władca, w ogóle zwierzchnik.
- Słusznie, ale...
- Ale - przerwałem - my wiemy, że sendador właśnie tutaj w tej osadzie ma swoją stałą siedzibę, a przebywając w niej częściej, wywiera na czerwonoskórych wpływ silniejszy niżli sam wódz szczepu. Wiemy przecież, że to on obmyśla wyprawy rozbójnicze, przynoszące jemu, jak i im, znaczne korzyści. Nie dziw więc, że uważają go niejako za swego pana i władcę.
- Słuszne rozumowanie.
- Łatwo da się też wytłumaczyć i tę zagadkę, dlaczego sendador zabrania obcym wstępu do swego domu. Nużby ktoś nieproszony odkrył w tej chaćce szczegóły, które mogłyby odsłonić jego tajemnice! Nie ma się zresztą nad czym rozwodzić, bo jestem pewny, że wkrótce zbadamy osobiście tę tajemniczą kryjówkę.

Jechaliśmy w tej chwili wąskim pasem sawanny, za którą widać było las. Gdyby gdzieś na skraju byli Mbocovisowie, musieliby nas zauważyć. Wobec tego po krótkiej naradzie ruszyliśmy z kopyta w stronę lasu i zatrzymaliśmy się przed nim. Zsiadłem z konia i zacząłem przede wszystkim badać teren, szukając śladów, ale ich nie znalazłem. Las był pusty, więc do tej chwili nikt nie mógł nas spostrzec.

- Jak wielki jest ten las? - zapytałem Desierta.

- Trzeba niespełna godzinę na jego przebycie.

- A więc mamy dosyć czasu. Pan pojedzie przodem po wysłaniu kilku ludzi w straży przedniej, ale tylko w takiej odległości, by ich

188 ciągle mieć na oku. Jeżeli coś spostrzegą, niech panu dadzą znak. Z prawej strony pojedzie Pena, z lewej ja. Na dany znak wszyscy muszą stanąć. Należy jechać cicho. A teraz naprzód.

Na szczęście, las był dosyć rzadki i mogliśmy objąć okiem znaczną przestrzeń jego wnętrza.

Po godzinie marszu dałem znak i oddział stanął. Podjechałem do Desierta i rzekłem:

- Pójdę z Peną na zwiady. Proszę kazać ludziom zsiąść z koni i rozstawić wokół straże. Gdyby mi groziło niebezpieczeństwo, dam znak wystrzałem.

Wyruszyłem z Peną, by zbadać teren.

Po kwadransie drogi stanęliśmy na brzegu lasu. Niedaleko znajdowała się wieś, a poza nią laguna, której brzegi zarośnięte były bambusami tak gęsto, że wody wcale nie było widać. Do wsi było około sześciuset kroków. Chaty, ugrupowane w czwo-robok, tworzyły wewnątrz osady obszerny plac, pośrodku którego widać było grupę krzaków. Była tam zapewne studnia. Na placu i w pobliżu chat kręciły się kobiety; tu i ówdzie bawiły się gromadki dzieci. Poza wsią z lewej strony, na obszernej równinie, uwijali się mężczyźni, zajęci ćwiczeniami: jedni rzucali dzidami, drudzy strzelali z łuków do tarcz. Z prawej strony pasły się liczne stada bydła, strzeżone przez kilku ludzi i sforę psów. Ponad tym wszystkim unosił się strop nieba, na którego skłonie widniała wielka tarcza zachodzącego słońca.

- Zdaje się - mruknął Pena - że napad nie uda się nam przed . nocą.

- I jak tak sędzę. Wszak mężczyźni prawie wszyscy są uzbrojeni, a jest ich około czterdziestu, czego lekceważyć nie można. Moim zdaniem lepiej byłoby użyć tu chytrkości niż siły.

- Otóż to. Pan znowu z tą swoją wieczną chytrością. Cóż pan takiego wymyślił?

- Przede wszystkim musimy wydostać jeńców, a dopiero potem przypuścimy szturm do wsi.

- Co takiego? Najpierw wydostać jeńców? Czyż nie możemy tego uczynić wówczas, gdy będziemy panami wsi, zamiast od razu narażać się na niebezpieczeństwo?

- Nie! Przybyliśmy tu nie po to, żeby napaść na wieś, lecz w celu oswobodzenia z niewoli jeńców i musimy stosownie postępować. Zresztą nie można zaatakować wsi zanim nie będziemy mieć tych 190 nieszczęśliwców wśród siebie, bo Mbocovisowie w ostateczności mogliby ich wymordować.

- I co dalej?

- Dalej to, że jeńcy znają tutejsze stosunki lepiej niż my i mogą nam się przydać. Dlatego też musimy przede wszystkim odnaleźć jeńców, a potem porachować się z Indianami. Można to uczynić w sposób dwojaki: albo wykradnę ich potajemnie, tak że strażnicy nawet tego nie zauważą albo też obezwładnię strażników, a że jest ich tam zaledwie trzech, więc nie będzie to wcale trudne.

- A ja powiadam, że będzie bardzo trudne i że nie mam najmniej-szej ochoty leżeć niebezpieczeństwu w gardło, jak głupiec. Przecież Mbocovisowie mają zatrute strzały i mogą nas zmieść w jednej chwili z łódki, zanim dobijemy do wyspy.

- Niechże się pan tak bardzo nie obawia... Ja sam się z tym uporam; pan może sobie tymczasem spać spokojnie gdzieś pod krzakiem. Przeważnie wystarczy mi zupełnie, by się ustrzec zatrutych strzał i jestem przekonany, że nie tylko pan, ale w ogóle nikt z naszych nie będzie raniony. Moglibyśmy osaczyć drabów i wystrzelać ich do nogi, ale ja tego nie chcę i będzie tak, jak postanowiłem. Do jutra rana musimy skończyć, bo w południe wyruszamy z powrotem.

- Nie wierzę w tak szybkie załatwienie sprawy - odburknął Pena, z urazą w głosie.

Nie odrzekłem na to nic, nie chcąc się z nim kłócić niepotrzebnie i zająłem się badaniem okolicy.

Mimo wysiłków, nie mogłem jednak dostrzec wysepki, ani nawet powierzchni wody jeziora, a zorientowanie się w ich położeniu było mi potrzebne do nocnej wyprawy po jeńców.

Wróciłem do obozu i opowiedziałem Desiertowi cały przebieg wyprawy, po czym urządziliśmy radę wojenną. Nalegałem, aby przede wszystkim wydobyć jeńców, ale Desierto wraz z Peną sprzeciwiali się temu stanowczo, a ponieważ byli w większości, musiałem rad nierad zgodzić się z nimi pozornie... W głębi duszy żywiłem nieodwołalny zamiar wykonania swego planu, mimo ich sprzeciwu, który motywowali tym, że możemy przecież osaczyć Mbocovisów, tak jak to uczyniliśmy już z tamtymi oddziałami.

- Tu - rzekłem - możliwy jest zupełnie inny obrót sprawy.

Mbocovisowie mogą nam otwarcie zagrozić wymordowaniem jeńców, gdybyśmy zażądali, aby się poddali.

- Przecież na wysepce są tylko trzech dozorczy i jeńcy nie dadzą się im wymordować. .
- Tak pan sądzi? Zapomina pan jednak, że strażnicy mają broń, podczas gdy nasi towarzysze są bezbronni i przy tym zapewne w więzach. A zresztą czy nie jest możliwe, że w razie napadu Mbocovisowie zabiorą jeńców na łódź i uciekną z nimi?
- Proszę pana! Nie sprzeczejmy się, bo to do niczego nie do-prowadzi. Lepiej pomyśleć nad planem napadu.
- Ja stanowczo nie życzę sobie przelewać krwi, skoro bez tego można się obejść. Ten sam cel osiągniemy innym, niekrwawym sposobem.
- I poniesiemy z miejsca straty - wtrącił Pena. - Nie, panie! Nie mogę tym razem uczynić zadość pańskiej słynnej humanitarności. Stanowczo mam jej już dosyć! Po co zresztą oszczędzać tych czerwono-skórych, którzy wciąż dybią na nasze mienie i życie? Świat się przecież nie zawali, gdy sprzątniemy kilku opryszków. Gdybyśmy postępowali z nimi łagodnie, zaczną nam znowu ciosać kołki na głowie, myśląc, że im to ujdzie bezkarnie.
- Tak, tak - potwierdził Desierto. - Musimy im dać taką nauczkę, żeby raz na zawsze popamiętali, co potraimy.
- Ha! - mruknałem obojętnie. - Róbcie więc sobie, co chcecie.

Dobrze jednak byłoby ukryć się teraz, dopóki widno, a nie zaszkodzi „”=?” też, jeśli na brzegu lasu ustawimy strażę, bo nużby Mbocovisowie wybrali się w tę stronę po coś i odkryli nas!

- Oczywiście - odrzekł Desierto. - Musimy też wysłać zaraz dwóch ludzi na zwiady.
- Sądzę - rzekłem - że byłoby najlepiej, gdybym ja poszedł.

Towarzysze moi nie mieli nic przeciw temu, więc poszedłem bez zwłoki na skraj lasu. O zmroku przyszedł do mnie Desierto dowiedzieć się, czy coś nie zaszło; jednak dotychczas nic nie świadczyło o jakiejś nadzwyczajnej czujności albo przygotowaniach wojennych Mbocovi-sów. Wrócili z placu ćwiczeń do swych chat i zapewne poszli spać, bo dzicy nie siedzą z wieczora przy świetle, jak ludzie cywilizowani, zwłaszcza, że wstają już o brzasku dnia.

Po prawej stronie wsi pasterze rozpalili kilka ognisk. Można było przypuszczać, że jedynie oni nie będą spać przez całą noc. Ale bez względu na odległość, można się było z nimi nie liczyć.

- Czerwonoskórzy zdaje się już śpią - rzekł Desierto. - Nie

192 zazdroścę im losu po przebudzeniu się. Ale zbyteczne jest już teraz, aby pan nadal tu siedział, bo na pewno już nikt ze wsi nie przyjdzie do lasu o tej porze.

- Słusznie. Możemy stąd odejść, zwłaszcza że trzeba się trochę zdrzemnąć, bo o świcie czeka nas praca nie lada. Tobasowie już spali oprócz dwóch, którzy stali na straży. Nie wdając się w rozmowę z Desiertem, owinąłem się w koc, odszedłem trochę na bok i położyłem się pod krzakiem, tak, by mnie towarzysze nie widzieli. Wokół panowała zupełna cisza, tylko od czasu do czasu parsknął któryś z koni, uwiązanych w pobliżu. W ciemnościach nocy nie można było nic dojrzeć nawet na pół metra przed sobą. Po uciążliwym marszu ludzie Desierta posnęli snem twardym za -wyjątkiem czuwających strażników i mnie.

Po dwóch godzinach, korzystając ze zmiany warty, podniosłem się, chwyciłem sztucer i oddaliłem się po omacku, na czworakach, aby ułatwić sobie wymijanie pni i krzaków. Po wyjściu z lasu, spostrzegłem w oddali ogniska pasterskie. Ponad wsią leżała gęsta ciemność. Wytknąłem sobie jako cel lagunę i podążyłem w jej kierunku. Aby się tam dostać, należało znacznie okrążyć wieś, co nie było łatwe, gdyż . nie znałem dostatecznie okolicy. Mimo wszystko udało mi się jakoś przedostać na drugą stronę wsi, nad brzeg laguny, aż do zarośli bambusowych. Odszukanie miejsca, gdzie była ukryta łódź, kosz-towało mnie także sporo trudu. W końcu natrafiłem na ścieżkę prowadzącą ku lagunie i po pięciu minutach drogi spostrzegłem zwierciadło wody, poza którą czernił się pas łądu, a na nim błyszczało ognisko. Ze ścieżki zboczyłem kilkadziesiąt kroków w zarośla nadwodne, gdzie ziemia była bagna, w której grzązłem prawie po kolana. Nawykły do takich przeszkód, ani pomyślałem, że nic łatwiejszego, jak utonąć w tym bagnisku. Więcej myślałem o tym, że lada chwila mogą mnie pożreć żywcem aligatory. Na szczęście uniknąłem tego niebezpiecznego spotkania i po uciążliwych poszukiwaniach wydobyłem nareszcie z trzciny łódź. Była na osiem osób. Odwiązałem ją po cichu, wsiadłem i odbiłem od brzegu, obierając jako punkt orientacyjny ognisko na wyspie. Wyspy samej nie mogłem na razie dojrzeć. Nie mogłem płynąć od strony wsi, stamtąd mogli mnie bowiem dostrzec wartownicy Mbocovisów i skierowałem łódź w stronę przeciwną. Manewrowałem tak, aby łódź nie wywoływała hałasu. Mimo to miałem niebawem towarzyszy i to w dosyć pokaźnej liczbie. Były to aligatory.

Całe szczęście, że nie zagrażały łodzi, bo była dosyć wielka i nie mogły jej wywrócić. Nie wiedziałem, czy na wyspie nie dosłyszano plusku wody, wywołanego przez aligatory i starałem się zbliżyć do niej jak najciszej. Jednak nie zauważyłem na wyspie podejrzanego ruchu i przybiłem do lądu. Uwiązałem łódź do krzaka i wyszedłem na brzeg chyłkiem, skradając się jak jaguar.

Po przejściu zaledwie kilku kroków, posłyszałem tuż za sobą jakiś szmer. Obejrzałem się, gdy nagle rzucił się na mnie jakiś olbrzymi drab i zanim pomyślałem o ucieczce lub obronie, dwoje potężnych ramion objęło mnie jak żelazne kleszcze. Nie tracąc przytomności umysłu, wykręciłem się tak, że udało mi się pochwycić napastnika za gardło, po czym zwaliliśmy się obaj na ziemię i zaczęła się walka na śmierć lub życie. Nie pierwszozną mi było zmierzyć się z silniejszym od siebie przeciwnikiem, więc i tu moja zręczność dokonała swego: olbrzym ściśnięty za krtań, począł się dusić, lecz mimo to, zaczerpnąwszy powietrza, zdołał wykrztusić przez zęby:

- Nie ujdiesz żywy, ty czerwony psie!

Wiedziałem wszystko. Olbrzym nie był Indianinem, lecz... . - Larsen! Czy pan zwariował? Porywa się pan na człowieka, który przybył wam na pomoc...

Na te słowa przeciwnik puścił mnie jak rażony piorunem i wyjąkał:

- O nieba! Kto by się spodziewał, że to pan! Sądziłem, że mam do czynienia z czerwonym...

- 'To pan źle sądził, bo czerwony wysiadłby nie z tej strony, lecz na ;::: wprost ogniska.

- Hm! Tak, istotnie... Nie pomyślałem o tym.

- Zauważył mnie pan na wodzie?

- Tak. Od dłuższego czasu wymykam się co noc potajemnie, szukając sposobności, ażeby dostać w swe ręce łódkę, gdyby na przykład któryś z Indian przybił tu w nocy dla sprawdzenia straży.

Dziś również wyszedłem z tą myślą, chociaż nie miałem wielkiej

nadziei dopięcia celu. Już miałem wracać, gdy wtem usłyszałem plusk wody. Schowałem się w zaroślach, no, i dopadłem pana...

- To nie ja, lecz aligatory spowodowały ten plusk. Ale proszę mi powiedzieć, gdzie są strażnicy?
- Przy ogniu.
- Wszyscy trzej?
- Tak.

- To trzeba wstać - rzekłem, podnosząc się z ziemi.
- Istotnie... ani się spostrzegłem, że siedzimy tutaj niepotrzebnie... takie mi się to wszystko wydaje dziwne... Kto by przypuszczał!... Tylko brat Jaguar nie tracił nadziei i ciągle mówił, że pan nas odnajdzie, chociażby czerwonoskórzy zatarli wszelkie ślady po sobie. My wszyscy zwątpiliśmy z kretesem.
- Mniejsza o to. Gdzie znajdują się tamci?
- Niedaleko stąd. Proszę iść za mną; niech się biedacy ucieszą. Pan posiada broń i niewątpliwie zdoła nas pan wyratować.
- Mam nadzieję. Z tymi trzema Mbocovisami dam sobie przecież radę.
- Skąd pan wie, że ich jest trzech?
- Wiem jeszcze więcej; wiem wszystko, co trzeba. Ale chodźmy!

Szkoda czasu.

Trudno mi opisać radość, jaka zapanowała wśród moich towarzyszy, gdy mnie zobaczyli. Starłem się, jak mogłem, pohamować wybuchy ich radości w obawie, by nie zwrócili uwagi strażników, którzy siedzieli obok ognia o kilkadziesiąt kroków dalej. Jeńcy ściskali mnie, całowali, płakali - jednym słowem ich radość była ogromna, zwłaszcza, gdy im oznajmiłem, że na pewno ich wyswobodzę.

Łódź nie mogła zmieścić wszystkich, dlatego należało wyznaczyć, kto popłynie najpierw. Obawiałem się, że to wywoła nieporozumienie, ale na szczęście yerbatero dobrowolnie oświadczył, że zostanie ze swymi towarzyszami na wyspie, dopóki po niego nie powrócimy.

- Tylko może im pan zostawi jakąś broń na wypadek, gdyby strażnicy spostrzegli co się święci?
- zapytał.
- Owszem - odrzekłem - zostawię panu mój nóż i obydwie rewolwery; to powinno wystarczyć. Zwracam uwagę, że przy lądowaniu z tamtej strony trzeba bardzo uważać, żeby nie wpaść w paszcze aligatorów. Mnie zaczepiały te potwory na pełnej wodzie.
- Och, rzeczywiście od tych bestii aż kipi w tej lagunie - rzekł brat Jaguar. - Gdyby nie to, byłibyśmy już dawno stąd zbiegli. Co do lądowania, to lepiej będzie obrać inne miejsce, a nie to, gdzie łódź była ukryta. Upatrzyłem doskonały punkt i nawet w ciemności nie pomylę się co do kierunku.

Po cichu, na czworakach opuściliśmy legowisko jeńców i część wsiadła do łodzi. Postanowiłem popłynąć z pierwszą partią, bo 195 chciałem być przy lądowaniu aby zapobiec niespodziankom. Brat Jaguar sterował, a dwaj inni wiosłowali.

Wyfądowaliśmy szczęśliwie, nakazałem oswobodzonym, by zachowali się jak najciszej i wróciłem na wyspę po yerbaterów. Gdy wsiedli do łodzi, zauważyłem, że jeden ze strażników wstał i odszedł od ogniska.

- Obchodzi wyspę - szepnął yerbatero - dla przekonania się, czy wszystko w porządku. Śpieszmy, aby nas nie spostrzegł.

- A może lepiej byłoby zostać?

- Czy pan oszalał? Przecież on ma łuk i zatrute strzały...

- Nie przeczę, że to broń bardzo niebezpieczna. Ale... mam wielką ochotę zabrać tego draba ze sobą, bo może nam się przydać później jako parlamentariusz. Wsiadźcie i połóżcie się na ziemi, aby was nie spostrzegł, a ja pójdę na jego spotkanie. rji ;

- Ja pana nie puszczę - szepnął Monteso, trzymając mnie za rękaw.

- Ba! Proszę wziąć pod uwagę, że strażnicy zapewne mają jakieś hasło, za pomocą którego mogliby o waszej ucieczce dać znać do wsi. Zacznie się alarm, Mbocovisowie zbiegną się nad lagunę i schwytają nas wszystkich. Zaczekajcie więc tutaj; nie wolno wam się oddalić stąd beze mnie. Wyrwałem się z rąk trzymającego mnie jeszcze Montesa i pobiegłem i~:~ . w głąb wyspy, patrząc w kierunku ognia. Strażnik bowiem poszedł stamtąd nie ku miejscu, gdzie byli jeńcy, lecz w przeciwną stronę. Widocznie miał zamiar obejść wyspę dookoła, a więc musiał przejść obok mnie. Cofnąłem się zatem aż pod zarośla nadbrzeżne i puściłem się naprzeciw niego.

Po jakimś czasie usłyszałem kroki dosyć wyraźne, gdyż strażnik pewny, że mu nic nie grozi, nie myślał o ostrożności. Jeden rzut oka w chwili, gdy znalazł się między mną a ogniskiem, wystarczył bym stwierdził, że Indianin nie ma łuku. Mógł jednak mieć przy sobie zatrute strzały, na wypadek, gdyby jeńcy chcieli go zaatakować. Nie mogłem oczywiście dopuścić do tego, by spostrzegł, że jeńcy uciekli, więc rzuciłem się ku niemu i uderzyłem go kolbą w głowę tak silnie, że nie wydawszy nawet jęku runął jak długi na ziemię. Czekałem jeszcze chwilę, a widząc, że się nie porusza, zabrałem go na barki I:S~'i, . i zaniósłem do yerbaterów.

- Oto macie ieńca - rzekłem. - Trzeba podrzeć jego koszulę na

196 pasy i związać go porządnie, nie zapominając o zakneblowaniu ust. Ja tymczasem uporam się jeszcze z tamtymi dwoma.

- Na miłość boską, sennor! - błagał Monteso. - Niech się pan nie waży... Jest ich dwóch, a pan..

- To obojętne. Muszę ich sprzątnąć za wszelką cenę, bo gdyby po naszej ucieczce wszczęli alarm, napad na wieś nie mógłby nam się udać; jej mieszkańcy natychmiast przygotowują się należycie do obrony.

- Napad? To pan nie jest tu sam?

- Oczywiście. Cały oddział czeka w ukryciu i niech pan mi wierzy, że opuścimy Laguna de Bambu otwarcie w dzień, a nie potajemnie. Proszę tu zaczekać na mnie...

Oddaliłem się, idąc zrazu wyprostowany, a później skradając się do ogniska na czworakach z og~omną ostrożnością. W odległości około dziesięciu kroków zatrzymałem się. Strażnicy siedzieli w ten sposób, że jeden był do mnie obrócony plecami, a drugi twarzą: obaj zajęci byli wycinaniem z bambusów jakichś przedmiotów. Obok nich leżały łuki i kołczany pełne strzał. To mnie zatrwożyło. Nie podobna było przebyć tych dziesięciu kroków, aby mnie nie spostrzegli, starczyłoby im czasu na naciągnięcie łuków. Strzelać do nich nie chciałem, bo po pierwsze: nie chciałem ich zabijać, a po wtóre: odgłos wystrzałów zbudziłby Indian we wsi. Po należytej rozwadze postanowiłem rzucić się ku nim w lamparcich skokach, mając nadzieję, że zaskoczeni tak nagle, zapomną ze strachu o łukach. Wziąłem więc do rąk sztucer i już miałem całym wysiłkiem mięśni skoczyć ku ognisku, gdy wtem od strony łodzi dał się słyszeć jakiś głos, przytłumiony wprawdzie, ale nie do tego stopnia, aby uszedł uwagi strażników. Obaj, chwyciwszy łuki, zerwali się i nasłuchiwali przez kilka sekund, odwróciwszy ode mnie plecami. Ta krótka chwila wystarczyła mi zupełnie. Skoczyłem jak tygrys i uderzyłem w głowę jednego i drugiego z taką szybkością, że prawie równocześnie padli na ziemię.

Nie tracąc czasu, chwyciłem kołczany ze strzałami i wyrzuciłem w ogień, po czym zagwizdałem na yerbaterów. Niebawem przybiegł Monteso i zobaczywszy strażników obezwładnionych, otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

- I... i... pan naprawdę... - wyjąkał.

- Tak, naprawdę obezwładniłem obydwóch. Czy nie wstyd wam?

Było was tu około dwudziestu... Kto to krzyczał u brzegu?

- Indianin, gdy się ocknął. Czy to panu zaszkodziło?

- Przeciwnie, nawet mi pomogło. Ale teraz trzeba się postarać, żeby ci dwaj nie krzyczeli. A więc do roboty! Na razie obaj są nieprzytomni.

Zabraliśmy czerwonoskórych na plecy i ponieśliśmy ich do łodzi. Tu związano ich starannie, po czym ja i Monteso zawieźliśmy ich na brzeg. Towarzysze byli już bardzo zaniepokojeni, czy mi się coś złego nie stało. Teraz zobaczyli w łodzi swoich dotychczasowych dozorców i domyślili się oczywiście przyczyny zwłoki.

Nie zwlekając, popłynąłem jeszcze raz po resztę yerbaterów, a po ich przywiezieniu, natychmiast powiodłem cały oddział w kierunku lasu. Związanych jeńców niesiono na barkach.

Na brzegu lasu zatrzymaliśmy się. Aż do tej chwili nie było czasu na 1 wyjaśnienia. Teraz, kiedy byliśmy wreszcie w bezpiecznym miejscu, mogliśmy odetchnąć i opowiedzieć sobie przebyte przygody. Upatrzyłem odpowiednie miejsce, otoczone ze wszystkich stron gęstwiną i zapaliłem kilka gałązek, aby mieć światło.

~;i::

- Widzę tu trzy osoby więcej - rzekłem, rozglądając się pomiędzy towarzyszami - i przypuszczam, że wśród nich jest senior Parduna 3 z Goyi i jego syn.

- Rzeczywiście tak się nazywam - rzekł Parduna zdziwiony.

- Ale skąd pan wie o tym?

s~;..

- Dowie się pan później. Prócz panów jest tu jeszcze jeden nieznajomy, zapewne sennor Horno?
~i

- To ja jestem - odrzekł nieznajomy młodzieniec.

- Bardzo się cieszę, że pana spotykam, bo mam mu do zakomunikowania ważną wiadomość...

- Mnie, sennor? - zerwał się Horno. - Proszę, niech pan mówi...

- Nie będę się rozwodził długo. Powiem tylko tyle, że oczekują pana z wielką niecierpliwością.

- Kto? Nie rozumiem!

- Unica.

- Unica? - zawołał i zasypał mnie pytaniami: - Unica? Pan ją zna?

- Znam i rozmawiałem z nią o panu.

- Co za szczególny zbieg okoliczności! O panu mówiliśmy ciągle tam, na wyspie. Towarzysze niedoli niezmiennie żywili nadzieję, że pan ich wybawi. Przypuszczaliśmy, że pan wrócił w kierunku krzyża De la floresta, a tymczasem pan był tam, u niej.

- No i u Desierta, który wybrał się ze swoimi Tobasami, aby pana wydostać z niewoli. Jest i on tutaj.

- Jest tutaj? I pan dopiero teraz mówi o tym? Gdzie on? Proszę mnie zaprowadzić do niego!...

- Powoli, przyjacielu! Nie mogę przecież włóczyć was po lesie w tak ciemną noc. Naszym zadaniem jest osaczyć wieś, a że północ minęła, należy zbudzić naszą drużynę i przyprowadzić ich tutaj. Tylko nie przeleknijcie się, gdy ich zobaczycie. Pójdę zaraz po nich. Ogień trzeba zgasić i pilnie uważać, aby ci trzej czerwonoskórzy nie umknęli nam, albo nie krzyczeli.

Ruszyłem w głąb lasu, idąc po omacku z wyciągniętymi przed siebie rękami. Nie było to takie łatwe, jakby się mogło zdawać, ale udało mi się dzięki temu, że mój gniadosz parsknął kilka razy, jak gdyby przeczuwając moją bliskość i w ten sposób ułatwił mi odszukanie miejsca, na którym przedtem leżałem. Chwilę odpocząwszy, udałem że wstaję i przywołałem Indian, stojących na straży, z których jeden umiał trochę po hiszpańsku.

- Czas wstawać - rzekłem. - Obudźcie Desierta.

Niebawem wszyscy byli na nogach i nie zwlekając wyruszyliśmy. Ogromne ciemności utrudniały nam drogę, więc musieliśmy prowa-dzić konie. Ja i Desierto szliśmy przodem, powoli krok za krokiem, by nie uderzyć głową o pień drzewa, lub nie wpaść w jakiś rów - dość, że upłynęło sporo czasu, nim znaleźliśmy się na skraju lasu. Wąziutki sierp księżycy wysunął się właśnie spoza wierzchołków drzew na niebo i oświetlił widnokrąg o tyle, że można było rozeznąć w głównych zarysach poszczególne pnie i krzaki, a dalej otwarty step. Nagle Desierto zatrzymał się i szepnął zaniepokojony: - Zdaje mi się, że tam są jacyś ludzie.

- Gdzie? - zapytałem, udając zdziwienie. - Ach, istotnie. Kto by tam mógł być?

- Nie Indianie, bo mają na sobie ubrania. Może byśmy podeszli bliżej i posłuchali?

‘ ‘ - Dobrze. Niech pan rozkaże swoim ludziom, aby się zachowali spokojnie, a pan, Pena i ja podejmiemy do tej gromadki. Desierto szepnął coś do jednego z najbliższych Tobasów, ten podał rozkaz dalej, po czym we trzech popęzliśmy ostrożnie pod krzaki do grupki ludzi, którzy rozmawiali. Mówił właśnie brat Jaguar, snując domysły na temat mego przybycia:

- W tym już jego tajemnica, że nie szukał od razu naszych tropów, lecz najpierw udał się do Desierta. Wymiarkował widocznie, że sam nie byłby w stanie wydrzeć nas z rąk naszych nieprzyjaciół.

- Co do mnie, przyznam się, że straciłem już wszelką nadzieję

- rzekł Monteso. - Doprawdy trzeba podziwiać jego śmiałość.

Zjawił się na wyspie jak duch, wybawił nas z niewoli, obezwładnił strażników i... skompromitował nas doszczętnie.

- Jak to?

- Tak, że nas tyłu nie dało sobie rady z pilnującymi nas czerwono-skórymi, a on sam jeden...

- Tak, tak - powiedział mnich - ma pan słuszość. I kto wie, może dziś jeszcze weźmie do niewoli wszystkich Mbocovisów...

- Wobec tego, co słyszę, można się po nim i tego spodziewać

- dodał Horno - zwłaszcza, jeżeli jest tu z nim Desierto, który jak przypuszczam, musiał wziąć ze sobą swoich wojowników. To również człowiek niepospolitych zdolności.

- Bardzo byłbym rad poznać go bliżej.

- Pozna go brat dziś jeszcze. To człowiek wyjątkowych zalet, dobroczyńca i nauczyciel całego szczepu...

Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwało mu nagłe zjawienie się Desierta, który poznał go po głosie i wyskoczył spoza krzaka wołając:

- To ty, Horno? Na miły Bóg! Czy mnie uszy nie mylą?...

Równocześnie Pena, przejęty radością z odnalezienia towarzyszy, krzyczał, wyciągając ku nim ramiona:

- Brat Jaguar! Yerbatero! Cóż to się stało? Spieszyliśmy, aby was uwolnić, lecz widzę, że się

spóźnił się... ‘

- Panowie, nie tak głośno - upominam - bo mogą was posłyszeć we wsi!

Zbili się w gromadkę i zaczęli się zasypywać wzajemnie pytaniami. Desierto dowiedział się teraz o mojej wyprawie na wyspę, lecz oczywiście nie tylko mnie nie zganił, ale nawet pochwalił mój postępek, tak samo jak i Pena.

Z opowiadań towarzyszy niewiele jest do powtórzenia. Po napadzie zawleczono ich wprost na wyspę. Mienie ich kazał sendador schować w „Casa nuestro sennor”, co świadczyło, że dom ten był nie tylko jego mieszkaniem, lecz także służył jako skład rzeczy pochodzących z ra-bunku. Jeńcy nie otrzymywali przez cały czas żadnej strawy, żywili się więc rosnącymi na wyspie w dzikim stanie arbuzami, a wodę do picia brali z laguny.

Później, gdy się rozwidniło, stwierdziłem ze smutkiem, że biedacy wyglądali jak po długiej chorobie - była na nich tylko skóra i kości. Co do sendadora, wszyscy mieli tylko jedno życzenie: aby go schwytać i ukarać, choćby go trzeba było ścigać na koniec świata. Był już jasny dzień i należało poczynić przygotowania do ataku. Rozejrzałem się więc przez lornetkę, wypatrując przede wszystkim pasterzy. Było ich sześciu, a ponieważ i z nimi liczyć się należało, więc przeznaczyłem sześciu naszych jeźdźców, by tylko na nich zwracali uwagę.

Nasi oswobodzeni towarzysze, mimo wycieńczenia z głodu, oświadczyli również gotowość do wzięcia udziału w bitwie, a że mieliśmy zapasową broń i konie, więc nie przedstawiało to żadnej trudności. Wsiadliśmy na konie i rozpoczęliśmy atak. Przede wszystkim otoczyliśmy wieś dokoła, zachowując taką odległość, aby kule nasze mogły osiągnąć jej środka; natomiast strzały Indian były dla nas nieszkodliwe.

Ponieważ działaliśmy zupełnie otwarcie, więc nic dziwnego, że natychmiast nas spostrzeżono i w kilkanaście minut cała wieś była już na nogach. Mbocovisowie w popłochu biegli od chaty do chaty, = znosząc broń, a kobiety i dzieci lamentowały. Wrzask i tumult w całej osadzie był nie do opisania. Niebawem jednak uciszyło się i zauważyłem, że Mbocovisowie zgromadzili się w środku wsi, a kilku z nich, wychylając głowy poza węzły najbliższych chat, obserwowało nas i .;, .;'; ciekawie. Byli to widocznie wywiadowcy, bo cofnęli się szybko ku środkowi wsi, gdzie urządzono naradę. Skutek tej narady był taki, że wojownicy rozeszli się na wszystkie strony ku krańcom wsi w zamiarze zaatakowania nas cichaczem, gdyż przypadli do ziemi i poczołgali się ku naszemu kołu na doniosłość strzał. Spostrzegli to nasi i bez komendy dali ognia ze wszystkich stron. Kule nasze odniosły taki skutek, że Mbocovisowie, zabrali swoich rannych i cofnęli się szybko do wsi.

Zastanawialiśmy się, co dalej czynić: przypuścić atak do wsi, czy też wysłać parlamentariusza. Oblężeni uprzedzili nas w tym. Ze wsi wyszła grupka ludzi, niosąc zatknięty na długim patyku kawałek białego płótna. W połowie drogi zatrzymali się, nie wiedząc, czy jesteśmy skłonni do układów, czy też będziemy strzelać. Na nasz znak człowiek z płótnem na tyczce przybiegł spieszenie do nas, okazując pewność siebie i nieustraszoną odwagę.

Larsen na jego widok szepnął do mnie po angielsku: -Niech się pan nie wysila na zbytnią grzeczność wobec tego draba, bo to nicpoń skończony. On właśnie domagał się natarczywie, aby nas wymordowano.

Czerwonoskóry zobaczył Larsena i stropił się, bo nie spodziewał się znaleźć tu kogoś, kto do niedawna był jeńcem Mbocovisów, ale po chwili doszedł do siebie. Widocznie nie wierzył w możliwość ucieczki wszystkich jeńców; zresztą nie spostrzegł ich pomiędzy nami i sądził niezawodnie, że umknął tylko Larsen.

- Coście za jedni? - zapytał butnie Desierta. - Jakim prawem śmiecie napadać spokojnych ludzi? My przecież żyjemy w zgodzie z innymi szczepami!

- Kłamiesz - odrzekł starzec. - Jesteście śmiertelnymi wrogami Desierta.

- Nie znam go nawet i wiem tylko, że mieszka daleko stąd, u Tobiasów, naszych przyjaciół.

- Przeciw którym poszli wasi wojownicy w zamiarach rabunku.

Ładna przyjaźń!... Nieprawdaż? A ponadto napadacie na białych, zabierając ich w niewolę!

- To oni na nas napadają, nie my na nich. Zresztą wypuścimy ich za okupem.

- No, no! Niech ci się nie zdaje, że wierzymy w twoje kłamstwa.

Wiemy dobrze, iż napadliście na białych, obrabowaliście ich i wzięliście do niewoli.

- To zrobił sendador, nie my; jego się pytajcie.

- Aha! A gdzie są wasi wojownicy?

- Na polowaniu.

- Kiedy wrócą?

- Już dzisiaj i miejcie się na baczności, bo gdy nadejdą, a zastaną was tutaj, źle będzie z wami.

- Tak mówisz? No, to muszę ci powiedzieć, że ziomkowie twoi nie poszli na polowanie i nie wrócą tu dzisiaj, a może nawet nigdy nie wrócą... Pobiłem ich i zabrałem do niewoli; w tej

chwili siedzą u mnie w podziemiach.

Na te słowa parlamentariusz stropił się jeszcze bardziej i zapytał:

- A któż pan jesteś?

- Jestem Desierto.

- Ach! - krzyknął Mbocovis mimo woli.

- Tak i nie macie innego wyjścia, jak tylko poddać się, gdyż inaczej wystrzelamy was wszystkich, a wieś obrócimy w perzynę. Łotr poczeriał z trwogi i długo nie mógł wykrztusić słowa.

Wreszcie rzekł:

- Nie wierzę, żeby to była prawda. Pan nie jest Desiertem, gdyż ten wziąłby na wyprawę więcej ludzi.

- Po co? Dowiedziałem się od Yerny i Venenosa, ilu was jest tutaj i wziąłem na wyprawę tylu ludzi, ilu potrzeba, aby was wynieść do jednego.

- Jak to? Yerno i Venenoso są u was?

- Tak, są u nas i leżą w lochach, powiązani jak barany. Wobec tego nie licz na ich pomoc, bo się jej nie doczekasz. Indianin, jeszcze bardziej przygnębiony tą wiadomością przez chwilę milczał, po czym odezwał się ponuro:

- Gdyby nawet było prawdą to, co pan mówi, nie poddamy się.

- Ha! Skoro tak, to każę natychmiast przypuścić atak do wsi.

- Niech pan tylko spróbuje dać choćby jeden strzał, a...

- To co będzie?

- Dam znać strażnikom, aby zabili wszystkich jeńców.

- Słyszysz pan? - rzekłem do Desierta po angielsku. - Z jaką pewnością siebie grozi nam drab, sądząc, że ma jeszcze jeńców w swej mocy. Co by to było, gdybym ich nie wyzwolił zawczasu.

- Istotnie - mruknął stary. - Ale może byśmy wyprowadzili z błędu tego zuchwalca? Jak pan uważa?

- Dobrze - odrzekłem i zwróciłem się do parlamentariusza: f, . : - A więc powiadasz, że macie jeszcze białych jeńców na wyspie? Chodźże ze mną kawałek, a coś ci pokażę.

Parlamentariusz rad nierad poszedł za mną ku lasowi, gdzie mu pokazałem trzech związanych strażników wyspy i rzekłem:

- W jakim sposobie wystrzelacie jeńców, skoro wszyscy są w naszych rękach? I nie tylko oni, ale nawet ich strażnicy. Nie odrzekł na to ani słowa. Dopiero gdy wróciliśmy na miejsce i Desierto zagroził, że w razie niepoddania się, spali wieś i wystrzela ich mieszkańców, czerwonoskóry mruknął:

- Tak nieludzko nie postąpicie! To się nie godzi!

- O! Proszę! Spotka was tylko zasłużona kara za dotychczasowe zbrodnie i rabunki... nic więcej. Idź więc do wsi i powiedz swoim, żeby

203 się poddali, a może darujemy im życie! Czekam pół godziny na odpowiedź.

Przygnębiony parlamentariusz odszedł do wsi, gdzie zaraz ob-skoczyli go wszyscy mieszkańcy i zbici w gromadkę długo naradzali się, co czynić. Wreszcie czerwonoskóry parlamentariusz przybył raz jeszcze do naszych stanowisk, by zapytać o warunki kapitulacji.

- Warunki są proste - odparł Desierto. - Wszyscy wasi wojownicy przybędą tutaj pojedynczo. Powiążemy ich, a równocześnie kobiety przyniosą tu broń i złożą ją przed nami. Im chętniej spełnicie nasze żądania, tym więcej możecie spodziewać się od nas względów. Parlamentariusz odszedł z tym do wsi i niebawem ruszyli ku nam w pojedynkę Mbocovisowie, poddając się bez oporu. Następnie kobiety przyniosły broń, którą rozdzieliliśmy między Tobasów, a wraz z nimi przyszli pasterze, których oddałem pod straż. Tym sposobem staliśmy się panami wsi, nie tracąc ani jednego człowieka.

Dla upewnienia się, czy Indianki nie urządziły na nas zasadzki we wsi (bo i z tym liczyć się należało), wysłałem kilku śmielszych Tobasów pomiędzy chaty Mbocovisów. Kobiety jednak ani myślały o zdradzie i zbiwszy się w gromadkę wraz z dziećmi, z trwogą oczekiwały, jak postąpimy z ich mężami.

Trzeba tu powiedzieć, że ani jeden z podwładnych Desierta nie pozwolił sobie na żaden wybryk lub rabunek. Teraz właśnie okazało się najlepiej, jaką stary Desierto wyrobił wśród nich karność. Zrozumiałe, że dla ukarania Mbocovisów, a z drugiej strony dla wynagrodzenia zwycięzców za trudy wojenne, należało zabrać łupy. Ale powstała kwestia, co zabrać. Ogólnie żądano, aby zagrabić wszelkie ruchomości, znajdujące się w chatach - ale udało mi się odwieść zwycięzców od tego zamiaru i żądania ich ograniczyły się tylko do trzód i do zawartości „Casa nuestro sennor”. Innych rzeczy się zrzekli dobrowolnie.

I nie żalowali później tego. Dom sendadora był wypełniony aż do powały różnymi towarami i przedmiotami pochodzącymi z rabunku. Znalazła się też broń towarzyszy. Wypróżniliśmy więc cały budynek i przekopaliśmy wokół ziemię, dla zbadania, czy sendador nie ukrył w niej kosztowności lub innych rzeczy, które by świadczyły przeciw niemu. Spodziewałem się, że w ziemi znajdują się rysunki, dotyczące skarbów, ukrytych nad Słonym Jeziorem. Nic jednak nie 204 znaleźliśmy, gdyż przebiegły sendador widocznie nie ufał zbyt Mbocovisom i miał prawdopodobnie bezpieczniejszą

skrytkę gdzieś indziej.

Po rozdeleniu łupów między Tobasów wymogłem na Desiercie przyrzeczenie, że będzie się obchodził z jeńcami łagodnie, a następnie zabrałem swoich towarzyszy, tudzież dziesięciu Tobasów, wyznaczonych przez Desierta i ruszyłem w daleką uciążliwą podróż w kierunku Pampa de Salinas...

ROZDZIAŁ V

SAZD BOŻY

Pampa de Salinas leży w granicach Boliwii. Tubylcy rozróżniają następujące regiony w łańcuchu Andów:

- pierwszy pas przestrzeni od pampasów aż do wysokości i 600 m nad poziomem morza nazywa się yunga i ma w całej pełni charakter międzyzwrotnikowy. Ciągną się tu nieprzebyte bujne puszcze leśne, gdzieś przerywane większymi lub mniejszymi polami, zwanymi pajonales. Świat zwierzęcy jest tu niezmiernie bogaty. Zwłaszcza olbrzymie mnóstwo papug i miliony kolibrów prześlicznym swym upierzeniem zwracają uwagę podróżnika. Spotyka się też tutaj gromady małp uwijających się wśród lian i gałęzi drzew, często natknąć się można nawet wśród dnia na pumy, jaguary oraz inne zwierzęta drapieżne;
- pas wyższy stoków andyjskich, od 1600 do 3000 m n.p.m.
- nazywa się media yunga i posiada klimat umiarkowany, jako też właściwe tej strefie zwierzęta i rośliny;
- pochyłość górską o wzniesieniu 3000 do 3300 m n.p.m. nosi nazwę cabezas de los valles. Zasłonięta od wichrów szczytami, posiada klimat niezwykle łagodny i zdrowy i graniczy z pasem szczytów górskich;
- Puna, sięgająca miejscami 3000 m wysokości zaczyna się od pasma górskiego. Wskutek bardzo ostrego klimatu tej strefy świat roślinny ogranicza się tu do kosodrzewiny, mirtów i wawrzynów;
- na wysokości ponad 3900 m ciągną się wyżyny, zwane brava puna. Silne wiatry i częste wśród najgorętszego nawet lata zamiecie śnieżne ogromnie utrudniają przejście przez góry i są dla podróżników bardzo niebezpieczne. Toteż, gdyby nie bogactwa mineralne, jakie się

206 tu znajdują, zapewne rzadko tylko i z ostatecznej potrzeby mogła dotknąć tych wyżyn stopa ludzka.

Należy dodać, że podane wyżej regiony nie mają ściśle oznaczonych granic. Nawet bowiem na wysokości zwanej „puna”, znaleźć można doliny pokryte bujną roślinnością i odwrotnie - poniżej, w strefie umiarkowanej są wzniesienia o charakterze wyżynnej puny. Od chwili wyruszenia z Laguna de Bambu upłynął miesiąc.

Trzymając się ściśle wytkniętego kierunku, minęliśmy granicę Argentyny i weszliśmy na terytorium Boliwii. Wymijaliśmy przezornie

obszary zamieszkałe przez wrogie nam szczepy indiańskie, stykaliśmy

się natomiast chętnie z ludami zaprzyjaźnionymi z plemieniem Tobas

a w takich spotkaniach wojownicy, których nam dał Desierto, bardzo nam się przydawali, bo za ich pośrednictwem było nam się łatwo porozumieć.

W ciągu tego czasu nie udało się mi natrafić na ślady sendadora. Nie dziwiłem się temu, gdyż Sabuco widocznie starał się unikać Tobasów, tak jak my unikaliśmy Chiriguanosów i ich przyjaciół.

Pewnego razu nocowaliśmy w wiosce należącej do szczepu Tobas. Część jej mieszkańców wybrała się w góry na polowanie i mieliśmy nadzieję, że się z nimi spotkamy.

Okolica, w której się znajdowaliśmy, leżała wśród strefy „puna”, pozbawionej roślinności i wody, co dawało się ogromnie we znaki biednym, wyczerpanym podróżą koniom, które ledwie nogi za sobą wlokły. Co prawda do takich podróży koń wcale się nie nadaje, przewyższa go znacznie wytrzymałszy muł.

Pena był tutaj jak u siebie w domu, znał bowiem doskonale okolicę i zapewniał, że już następnego dnia dotrzemy do Jeziora Słonego, a już wkrótce znajdziemy po drodze obfite źródło.

Również i Gomarra począł się orientować w terenie, aczkolwiek ongiś wędrował inną drogą, przez okolice bardziej dostępne. Co do naszej wyprawy - nie poszliśmy owymi łatwiejszymi drogami tylko dlatego, żeby się dostać na miejsce niepostrzeżenie.

- Jeszcze godzina drogi, a będziemy na miejscu - rzekł Pena.

- Staniemy u źródła, gdzie jest nieco roślinności, i konie będą się mogły posilić. Żywności nam dzisiaj wystarczy, a jutro jak przypuszczam, około południa staniemy nad jeziorem.

Po wypoczynku puściliśmy się w dalszą drogę. Pena i Gomarra 207 jechali przodem, jako przewodnicy, ja zaś z bratem Hilario zamykaliśmy pochód. Droga była już znośniejsza, więc mogłem rzglądać się po okolicy. Wkrótce też spostrzegłem interesujący szczegół. Zsiadłem z konia, przykucnąłem na ziemi i począłem się przypatrywać czerwonej, mokrej plamie na skale. - Krew... Co brat na to? - zapytałem mnicha, wskazując mu zabarwiony czerwono kamień.

- Phi! Nie ma się nad czym zastanawiać - odparł. - To nie krew.

Krew byłaby stanowczo czerwieńsza.

- Nie twierdzą przecie, że to krew świeża. Zdaje mi się, że na tym kamieniu leżał kawałek surowego mięsa i dlatego przypuszczam, że niedawno, może przed dwiema godzinami, był ktoś w tym miejscu.

- Czyżby jakiś podróżny? Ale to niemożliwe, aby ktoś wybierał się sam w tak niebezpieczną drogę. ;:1

- Któż tu mówi tylko o jednym człowieku; mogło ich być przecież więcej. Ale nie to mnie interesuje. Idzie raczej o kierunek drogi tych ‘ ludzi, nie zaś o ich ilość. Jeżeli bowiem dążą w dół, to musimy się mieć na baczności i dlatego teraz pojedę na czele naszego oddziału.

Jechaliśmy dość szeroką przełęczą, więc udało mi się wyprzedzić

kawalkadę bez trudności. Zaledwie jednak zbliżyłem się do Peny,

spostrzegłem w drugim miejscu na skale ślad krwi i zwróciłem na to

jego uwagę.

fa

- Przywidziało się panu... To zapewne kawałek rudy.

- A mnie się zdaje, że w tym miejscu leżał kawałek zakrwawionego mięsa. Jakiś wędrowiec szedł tędy przed dwiema godzinami.

- A panu to kto powiedział?

- Powiedziało mi to położenie tej plamy. Gdyby to był jeździec, Łf umieściłby upolowane zwierzę obok siodła na koniu czy mule. Tymczasem ten krwawy ślad mówi, że upolowaną zwierzynę niósł ktoś na plecach i przechodząc obok tej skały, zawadził o jej występ. Stąd powstała ta plama.

- Dobrze. Przypuśćmy, że to prawda. Ale cóż z tego? Co nas to obchodzi?

- O! I nawet bardzo! Człowiek ten jest na pewno Indianinem.

Biały nigdy nie zdejmuje skóry z ubitego zwierzęcia, aż dopiero gdy je ~fp ma upiec, bo mięso dłużej trzyma się w skórze, nie brudzi się i nie wietrzeje. Indianin, który wśród gór dźwiga na plecach zabite zwierzę, wydaje mi się bardzo podejrzany.

- Co pan mówi? Dlaczego?

- Dlatego, że ma towarzyszy, którym niesie zdobycz i którzy mogą być dla nas niebezpieczni.
- Do licha! Co za domysły! Kto by tam z marnej plamy dochodził aż do tak poważnych wniosków! Czyżby wyprzedził nas sendador, mając przy sobie Chiriguanosów?
- To bardzo możliwe.
- A więc oczekuje nas na Pampa de Salinas i wysyła swoich ludzi na polowanie dla wyżywienia się.
- I to możliwe. Ale człowiek, który szedł tędy, nie należy do jego obozu, jeżeli oczywiście Sabuco oczekuje nas na Pampa. Według pańskiego obliczenia mamy dotrzeć do Pampa de Salinas dopiero jutro około południa, a więc jesteśmy jeszcze dosyć daleko; żaden myśliwy tak daleko nie odszedłby od swoich.
- Być może, że sendador zatrzymał się gdzieś bliżej.
- Albo też człowiek, który niósł tędy mięso, należy do oddziału Tobasów, których spodziewamy się spotkać.
- Ma pan słuszność. Ale na wszelki wypadek musimy być bardzo ostrożni i przede wszystkim jak najprędzej wydostać się z tego wąwozu.

Popędziliśmy konie, gdyż istotnie miejsce to było po prostu stworzone na zasadzkę.

Oczywiście, przybyliśmy wcześniej do miejsca, gdzie według Peny miało znajdować się źródło. Wiedziałem z jego opisu, że leży ono wysoko na zboczu górskim i tworzy poniżej siklawę. Zapewne szum siklawy rozlega się daleko? - zapytałem go.

- Oczywiście.
- To dobrze, bo szum zagłuszy tętent kopyt końskich.
- A to na co panu potrzebne?
- Żeby nas nie usłyszał ten Indianin i jego towarzysze, którzy niezawodnie tam się rozmieścili. Pojedziemy teraz zasięgnąć języka. Puściliśmy się kłusem naprzód, drogą tak krętą, że w odległości kilkunastu kroków od nas mógłby ktoś siedzieć w zasadzce, a my niczego byśmy nie zauważyli. Pena pocieszał mnie, że niebawem droga rozszerzy się, otwierając nam widok na żleb z wodospadem. Rzeczywiście niebawem do naszych uszu doszedł szum wody, a parę minut później stanęliśmy u wejścia do okrągłej kotliny, otwartej tylko z dwu stron, to jest od strony

naszej i od przeciwnej. Po prawej ręce wznosiła się poziomo olbrzymia ściana skalna, z której spadała potężna 209 struga wody, rozpryskując się po skałach i płynąc, dalej licznymi strumieniami przez kotlinkę.

Widok tego uroczego zakątka był tak zachwycający, że trudno było od niego oczy oderwać.

Moja uwaga skupiła się jednak w tej chwili na czymś innym. Oto opodal leżał do góry brzuchem z rozłożonymi szeroko ramionami jakiś człowiek, a obok niego na ziemi czerwieniła bryła surowego mięsa, prawdopodobnie obdarta ze skóry zwierzyna. O parę kroków dalej stała oparta o skałę strzelbina.

- Rzeczywiście, nie omylił się pan - rzekł Pena. - Tam leży człowiek. Cofnijmy się, żeby go nie zbudzić.

Zsiadłem z konia i skierowałem się ku miejscu, gdzie leżał nie-znajomy. Trawa była tu niezwykle bujna, gdyż nadmiar wilgoci sprzyjał jej rozrostowi, więc tłumiła odgłos moich kroków; zresztą w szumie wodospadu i tak by ich słyszeć nie było. Zbliżyłem się ku ścianie skalnej i chwyciłem przede wszystkim strzelbę; była nie nabita, więc postawiłem ją na dawnym miejscu. Następnie, by się przyjrzeć śpiącemu, pochyliłem się nad nim. Twarz miał przykrytą kapeluszem o szerokich kresach; zniszczone, marne ubranie okrywało ciało, a zza pasa wystawała rękojeść noża.

Nie namyślając się wiele, chwyciłem śpiącego jedną ręką za gardło, a drugą wyciągnąłem mu nóż zza pasa i jednocześnie przygniotłem go kolanami do ziemi. Biedaczysko ani się spodziewał, że wśród błogiego snu spotka go tak niemiłe przebudzenie, więc ogarnął go taki lęk, że ani ręką nie ruszył i bez oporu dał się prowadzić do miejsca, gdzie stał Pena.

- Znakomicie! - rzekł. - Ciekawy j estem, czy to Chiriguano, czy też Tobas...

- Zaraz się dowiemy. Zna pan narzecza tutejszych Indian, więc się dogadamy... A może umie po hiszpańsku - dodałem. W tej chwili nadeszli nasi towarzysze. Widząc, że trzymam za kark Indianina, osłupieli ze zdziwienia.

Jeniec na widok tyłu obcych ludzi począł drzeć na całym ciele jak w febrze. Wreszcie odezwał się wcale niezłą hiszpańszczyzną:

- Czego panowie chcecie ode ~mnie? Nie zrobiłem wam przecież nic złego...

- To prawda, że nie wyrządziłeś nam dotychczas żadnej szkody.

Ale zaraz się okaże, czy mamy cię uważać za przyjaciela, czy też za 210 wroga. Do którego szczepu należysz? Do Tobasów, czy Chiriguano-sów?

- Jestem Aymara. Żyję z białymi w zgodzie i pokoju.

- Z kim jesteś tutaj?

- Sam.

- Nie wierzę i zwracam ci uwagę, że za wykręty i kłamstwo karzemy ludzi bardzo surowo - pogroziłem mu.

Biedak na te słowa upadł przede mną na kolana i zawołał:

- Puśćcie mnie! Ja wam nic nie zawiniłem... Puśćcie mnie!

- Owszem, puścimy cię, ale wprzód odpowiedz mi szczerze na moje pytania. Z kim jesteś tutaj?

- Jest nas pięciu Aymarasów.

- Co tu robicie?

- Polujemy na lamy. Widział pan zresztą, że niosę zdobycz... leży tam, nad wodą.

- Łzesz, bratku! Nikt nie zapuszcza się tak daleko w góry po to tylko, by polować na lamy, bo to by mu się nie opłacało. Tylko ludzie, którzy tu przybywają w innym celu, muszą na te zwierzęta polować, bo innego pożywienia w tych okolicach nie ma. A jeżeli was aż sześciu zajmuje się polowaniem, to moglibyście ubić tyle zwierzyny, że wystarczyłoby jej dla stu ludzi. Okłamałeś mnie zatem i nie minie cię za to surowa kara.

Na te słowa Indianin skulił się i zaczął jęczeć: - Łaski! Miłosier-dzia!... Powiem wszystko, tylko mnie nie zabijajcie.

- No, twoje szczęście, że się opamiętałeś w ostatniej chwili! Więc mów...

- Jestem Aymara i jest nas tutaj sześciu. Wybraliśmy się w te strony na szynszyle i przypadkowo spotkaliśmy ludzi, którym wyczer-pały się zapasy żywności. Najęli nas przeto byśmy dla nich polowali, bo sami nie mają na to czasu.

- A cóż takiego mają tutaj do roboty?

- Nic - odrzekł głupkowato.

- No, tak, nic, bo czekanie nie jest pracą. Ale po co tu przybyli?

Siedzą zapewne nad jeziorem w Pampa de Salinas, nieprawdaż?

- Tak, sennor.

- Co to za jedni?

- Zabroniono mi mówić o tym - rzekł i rzuciwszy okiem na naszych Indian, zaczął znowu dygotać na całym ciele...

- Ci ludzie są ze szczepu Tobas - wyjęczał - a mnie pod karą śmierci zabroniono pokazywać się im... A wy... wy dążycie do Pampa de Salinas, by okraść sendadora...

- Aha! - zawołałem, śmiejąc się z naiwności biedaka. - Wiem już, w czyjej jesteś służbie... Czy sendador mówił wam, że jesteśmy złodziejami?

- Nie wiem czy myślał o was, ale... kto wie... chyba się mylę... jesteście ci, o których mi mówił... Jestem zgubiony, bo wy... bo... Z przestachu zapomniał języka w gębie. Istotnie domyślił się, z kim ma do czynienia.

- Sendador was okłamał - odezwałem się. - Nie nas, lecz jego powinniście się obawiać. My należymy do ludzi uczciwych; nie jesteśmy bandytami.

- Ale jesteście wrogami sendadora...

- Oczywiście, bo to największy łotr pod słońcem... A kto stoi po jego stronie, ten również zasługuje na to miano i na ukaranie.

- Sennor, ja z nim mam tylko tyle wspólnego, że mi płaci za trudy, jakie ponoszę dla niego.

- Czemuż więc nie chcesz mówić prawdy?

- Bo... bo nie wiem, co zrobić... Sendador jest sławnym, ale i mściwym człowiekiem... Gdybym go zdradził, ukarze mnie srogo. Pana nie znam... on zaś uważa was za bandytów i złodziei...

- Spójrz na suknię tego człowieka - rzekłem, wskazując brata Jaguara. - Czyż mógłby duchowny należeć do bandy zbójckiej? Aymara spojrział na brata Hilaria i twarz poczęła mu się wypogadzać.

- A... to niezawodnie brat Jaguar? - zapytał. - Słyszałem wiele o nim, ale nie tu w górach, lecz daleko stąd, na dolinach. I jeżeli mam przed sobą istotnie czcigodnego brata Jaguara, to niczego się już z waszej strony nie obawiam... mogę wam ufać.

- No, zdobyłeś się wreszcie na rozsądne słowa! Jesteśmy ludźmi uczciwymi i za wyświadczone nam przysługi hojnie płacimy. Możemy też nie tylko tobie, ale i towarzyszom twoim dać tyle, ile obiecał sendador, a może więcej.

- Sennor, w takim razie... przyłączam się do was, i to tym chętniej, że Aymarasowie i Tobasowie są przyjaciółmi.

- Bardzo dobrze! Nie pożałujesz tego. Abyś zaś wiedział, kto jest sendador i za co go prześladowujemy, opowiem ci o tym pokrótce tam, przy źródle, bo chcielibyśmy trochę odpocząć.

Podczas gdy towarzysze poili konie i przyrządzali posiłek, opowiedziałem Indianinowi pokrótce o wszystkich sprawkach sendadora. Zależało mi na tym, by pozyskać zaufanie tego czerwonoskórego, bo mógł nam udzielić bardzo cennych wskazówek. Istotnie starania moje nie poszły na marne; Indianin oświadczył się wyraźnie jako nasz stronnik i sprzymierzeniec, a ponadto obowiązał się przyprzewodzić do nas swoich towarzyszy, jeżeli mu zaufam i puszczę go wolno.

- O, nie tak prędko! - rzekłem. - Przede wszystkim musisz nam powiedzieć, gdzie się ukrył sendador i jakie zasadzki na nas przygotował.

- Owszem, powiem panu wszystko. Sendador ma przy sobie około sześćdziesięciu Chiriguanosów.

- Aż tylu?

- Może więc byłoby lepiej, gdyby pan się cofnął.

- Ani mowy! Gdyby nawet miał drugie tyle wojowników, to i tak musielibyśmy się z nim rozprawić. Nie boimy się go, a to rzecz najważniejsza. Gdzie on teraz obozuje?

- Nad jeziorem.

- Hm! To bardzo nierozsądnie. Jezioro leży na stepie, a dokoła wznoszą się wysokie góry. Tak dużą ilość ludzi łatwo spostrzec z daleka z którejkolwiek strony.

- Tak, ale sendador urządził się bardzo mądrze. Nad jeziorem dostać się można tylko trzema drogami i na tych właśnie drogach postawił strażę.

- A zatem, idąc tą drogą, natrafimy na jego ludzi?

- Tak, sennor. Sześciu Chiriguanosów pilnuje z tej strony wejścia do doliny.

- Czy znasz dobrze miejsce, gdzie się ukrywają?

- Owszem, znam. Dwaj strażnicy znajdują się wysoko na skałach i mogą was spostrzec z daleka, mniej więcej o godzinę drogi. Do obozu zaś mają ze swego posterunku dwie godziny drogi.

- To znaczy, że sendador miałby godzinę czasu, by przygotować się na nasze przyjęcie. Czy ma zamiar napaść na nas nad samym jeziorem, czy też wyjdzie naprzeciw nas?

- Otóż właśnie, że zamierza wyjść naprzeciw was. Z ukrycia wśród skał, napadnie na was zniemacka, tak, żeby żaden z was nie uszedł z życiem.

- Tak, ale my nie jesteśmy takimi głupcami, żeby się dać zaskoczyć i wymordować.
- On jednak ma nadzieję, że was wszystkich sprzątnie, z wyjątkiem jednego, mianowicie z wyjątkiem pana. Chce pana dostać w swe ręce żywcem... za wszelką cenę.
- Bardzo to piękny zamiar, ale co do moich towarzyszy, oni zapewne tego zamiaru nie pochwalą... Czy nie wiesz, dlaczego mu tak bardzo na mnie zależy?
- Łatwo się domyślić - wtrącił Pena. - Potrzebuje pana do odcyfrowania kipu. Potem, gdy mu pan wyświadczy tę przysługę, nie będzie mu pan już potrzebny.
- Czy sendador założył obóz? - zwróciłem się znowu do Aymary.
- Nie.
- A mają konie?
- Nad jeziorem brak paszy, więc konie zaprowadzono w takie miejsce, gdzie jest obfitość trawy i wody.
- Czy to daleko od jeziora?
- Godzina drogi w góry. Dwaj Chiriguanosowie pasą te konie na obszernej polanie w kotlinie.

Następnie Aymara opisał miejsce, gdzie sendador usadowił się ze swymi ludźmi, a Gomarra, który przysłuchiwał się z boku, rzekł:

- Ależ to w tym miejscu, gdzie jest zakopana butelka!
- No, niech pan nie myśli, że ona się ,tam jeszcze znajduje
- odrzekłem. - Sendador ukrył ją niezawodnie w innym miejscu i szkoda, że przybyliśmy za późno. A winna temu oczywiście wyprawa do Laguna de Bambu. Sendador wyprzedził nas i kto wie, czy uda nam się załatwić sprawę tak, jak się spodziewałem.
- A ja nie widzę jeszcze nic straconego - wtrącił brat Hilario.
- Być może, spotkamy oddział Tobasów i w takim razie, mając tylu ludzi co i on, potrafimy sobie z nim poradzić. Zresztą, gdybyśmy nawet nie wzmogli się w liczbę, to po zabranii sendadorowi i jego ludziom koni, będziemy mieli przewagę.

- Tu nie chodzi o liczbę nieprzyjaciela, ale zupełnie o co innego.

Przypuśćmy, że dostaniemy nawet w ręce sendadora razem z jego ludźmi; to przez to jeszcze nie dopniemy swego celu. Przecież nam chodzi o kipu i choć sendador wskaże nam miejsce, gdzie je ukrył, to zażąda korzyści dla siebie i dla swoich ludzi.

- O tym nie pomyślałem...

- Tak... I wielka szkoda, że się spóźniliśmy. Teraz da się to naprawić tylko podstępem. Na wszelki wypadek sendador wydobyl butelkę i ukrył ją w innym miejscu; więc może idąc jego śladami, odnajdziemy to miejsce. A jak długo on tu przebywa?
- Od przedwczoraj - odrzekł Aymara.
- No, to jeszcze nie tak źle... Czy wyruszyliście na polowanie zaraz po przybyciu nad jezioro?,
- Tak, sennor.
- Nie mieliście więc czasu i sposobności, by obserwować sen-dadora, co robił i czy się nie oddalał.
- Owszem. Wiem, że odszedł wieczorem zaraz po przybyciu na miejsce, a wrócił dopiero rano.
- To bardzo ważna wskazówka.

Po niedługim wypoczynku obok wodospadu wyruszyliśmy dalej, a brat Hilario umyślnie wziął Aymarę do swego boku, aby go wybadać, czy nie obmyśla jakiegoś podstępu. Z odpowiedzi Indianina wynikało jednak dobitnie, że był szczery. Mimo to postanowiłem go mieć na oku podczas dalszej drogi.

Ponieważ konie nasze bardzo dobrze się pożywiły i odpoczęły, jechaliśmy do nocy nie zatrzymując się nigdzie, aż wreszcie Aymara oznajmił nam, że znajdujemy się w pobliżu straży postawionej przez sendadora. Ponieważ tętent kopyt końskich mógłby zdradzić nasze zbliżanie się, stanęliśmy. Według objaśnień Aymary - droga szła tutaj stromo w górę na płaszczyznę, pokrytą wielkimi głazami. Tu właśnie ukryła się straż. Dostanie się tam bez zwrócenia jej uwagi było bardzo trudne, gdyż gruby żwir i kamienie, nagromadzone na zboczu góry, staczając się przy każdym naszym stąpieniu, mogły obudzić czujność strażników. Postanowiłem zatem zbliżyć się ku nim krawędzią skalną, ale tu znów lada podwinięcie nogi lub źle obliczony krok groziły runięciem w przepaść.

Pomimo niebezpieczeństwa, towarzysze moi jeden w drugiego oświadczyli gotowość uczestnictwa w wycieczce. Oczywiście wszyscy iść ze mną nie mogli; po namyśle postanowiłem wziąć tylko Larsena. Po odłożeniu karabinów poszliśmy w ciemność, jak gdyby w otchłań. Z początku musieliśmy często szukać drogi rękoma. Ale im wyżej wznosił się teren, tym jaśniej się stawało i tym szerszy stawał się nasz widnokrąg. Po upływie pół godziny wydostaliśmy się na szczyt płaskowzgórza i spostrzegliśmy bloki skalne.

- Teraz musimy się poczołgać - szepnąłem do Larsena.

- Poza bloki?

- Przypuszczam, że nie trzeba będzie iść tak daleko. Czerwono-skórzy są zapewne z tej strony i niezawodnie śpią. Bo skądże by im mogło przyjść do głowy, aby po takich urwiskach i wśród egipskich ciemności mógł ktoś tędy jechać? Niechże więc pan posuwa się tuż za mną. Jestem pewny, że plan mój uda się całkowicie. Nie było rzeczą łatwą czołgać się po ostrym żwirze, ale jakoś dopętliliśmy do miejsca, gdzie usłyszeliśmy chrapanie; po chwili spostrzegliśmy dwóch ludzi leżących na ziemi i owiniętych w koce.

- Przygotować rzemienie! - szepnąłem do Larsena. - Weź-miemy się do roboty. Ja biorę tego z lewej, pan z prawej strony. Baczość! Zaczynamy!

Sprawa nie była trudna. Zawinąwszy w koc głowę śpiącego In-dianina, związałem go następnie rzemieniem jak snop zboża; to samo uczynił Larsen z drugim. Napadnięci parskali, ryczeli, ale głosy ich były zupełnie stłumione. Również ich usiłowania, by się uwolnić, spełzły na niczym.

Po związaniu strażników gwizdnąłem na palcach, dając znać towa-rzyszom, by się zbliżyli. Po upływie kwadrasa byli wszyscy na miejscu.

Zatrzymaliśmy się oczywiście do dnia, aby odpocząć, a gdy zaczęło świtać, rozwinęliśmy jeńców z koców. Przygnębieni niespodzianką, jaka ich spotkała, poczęli wypytywać Aymarę, kto jesteście i skąd się tutaj wzięliście. Oczywiście nie rozumiałem z tego ani słowa, ale z, ich min, pełnych rezygnacji, wywnioskowałem, że poddają się spokojnie losowi. Widocznie zrozumieli, że opór nie przyda się na nic. Nie spodziewając się wydobyć od nich więcej niż już wiedziałem od Aymary, zostawiłem ich w spokoju, nie pytając o nic. Z płaskowyżu, na którym się znaleźliśmy, rozciągał się rozległy widok na dalekie okolice. Aymara wskazał nam w tyle za nami dwie skaliste wyżyny, wśród których przedzieraliśmy się wąwozami i zbo-czami w ciągu nocy. Gdybyśmy tamtędy chcieli się tu dostać za dnia, byłibyśmy spostrzeżeni przez strażę sendadora.

Ruszyliśmy dalej i natrafiliśmy u stóp góry na niedużą polankę, gdzie pasły się dwa konie, należące do pojmanych strażników; zgłodniałe zwierzęta ogryzały kolczaste, marne rośliny, jakie rosły tu i ówdzie wśród kamieni.

Kiedy rozglądałem się po polance, spostrzegłem wąską ścieżkę prowadzącą na prawo w góry. Właśnie miałem zapytać Aymarę, dokąd ona wie, gdy wtem u jej wylotu spostrzegłem jakiegoś jeźdźca, który na nasz widok cofnął się szybko pomiędzy skały. Niebawem spostrzegłem, że spoza skały wysunęły się ostrożnie dwie głowy. Widziałem je przez lornetkę bardzo dokładnie.

- Kto to mógł być? - spytałem machinalnie, na co dowódca moich Tobasów rzekł:

- To z pewnością są Tobasowie, a wnoszę to z kierunku ich drogi; widziałem ich idących od prawej strony. Chiriguanosowie mieszkają po stronie przeciwnej. Pójdę pomówić z nimi.

- Ba, a jeśli to nie Tobasowie? - ostrzegłem Indianina.

- Nic mi się nie stanie. W razie potrzeby krzyknę, a wy przybiegniecie z pomocą.

Dwie głowy sterczały ciągle zza krawędzi skały, i dopiero gdy nasz wysłannik znacznie się do nich przybliżył, dwaj Indianie wyszli ze swego ukrycia i zaczęli z nim rozmawiać.

- To nasi! - zawołał jeden z Tobasów. - Przyłączą się do nas, i wszystko będzie dobrze.

I nie mylił się. Nasz wysłannik udał się za nieznanymi w głąb gór, po czym znów się ukazał, na czele długiego szeregu jeźdźców. Na ich widok nasi Indianie omal nie oszaleli z radości. Po krótkiej rozmowie dowódca oddziału zgodził się udzielić nam pomocy przeciw sendadorowi i Chiriguanosom. Co więcej, nasi nowi sprzymierzeńcy byli dobrze zaopatrzeni w żywność, której nam już zaczynało brakować.

Wkrótce potem ruszyliśmy w dalszą drogę. Ja z Peną jechaliśmy przodem, mając za sobą oddział w dość znacznej odległości. W pół godziny po wyruszeniu usłyszeliśmy nagle głośnie rozmowę; cofnęliśmy się przeto szybko za najbliższy zakręt i tu kazałem całemu oddziałowi ukryć się pod skałami.

Po chwili ukazali się dwaj Chiriguanosowie na koniach.

- Co robić? - zapytał Pena. - Jeśli nas spostrzegą, to niezawodnie cofną się i zawiadomią sendadora o naszej obecności.

- Osaczymy ich - odrzekłem - gdy się znajdą blisko nas.

Plan był prosty i łatwy do wykonania, toteż udał się doskonale. Obaj jeźdźcy znaleźli się nagle zamknięci, jak ptak w potrzasku i na wezwanie Aymary poddali się bez oporu.

- No - odezwałem się do Peny - jeżeli wszyscy Chiriguanosowie są tak głupi i tchórzliwi jak ci, których mamy w ręku, to wcale nie zazdroszczę sendadorowi.

Ujęci przez nas Indianie rzeczywiście robili wrażenie ludzi nieroz-winiętych umysłowo i byli tchórzami.

W pół godziny dotarliśmy do miejsca, gdzie zaczynała się rozległa dolina, z prawej strony i na wprost sięgająca aż do krańców horyzontu, na którym rysowały się olbrzymie szczyty Andów. Na lewo ciągnęła się wysoka, niedostępna ściana skalna, obejmująca półkolem jezioro w ten sposób, że zdawało się, jakby między nią a wodą nie było żadnego przejścia.

Tam właśnie, według objaśnień Aymary, rozłożył się ze swoimi ludźmi sendador.

- Czy nie głupiec? - pomyślałem, dziwiąc się jego nieostrożności.

- Toż tam można go bez trudu zagwoździć!

Gdy przez lornetkę rozglądałem się w sytuacji, przybliżył się do mnie Gomarra i wskazując opodal tego miejsca ciemną smugę, rzekł:

- Tamtędy prowadzi droga do miejsca, gdzie ten łotr zamordował mego brata, a z tamtej krawędzi przypatrywałem się jak chował butelkę z kipu.

- Ach, tak? - odrzekłem. - Więc już wiem, dlaczego tam właśnie wybrał miejsce na obóz... Chce nas zwabić w to miejsce, a gdy się tam znajdziemy, cofnie się w głąb gór, by zamknąć nam odwrót z tej pułapki...

- Niekoniecznie, bo można się stamtąd wycofać.

- Ba! Ma nadzieję, że nie dopuści, abyśmy się wycofali. Wszak zna doskonale teren i ma dość czasu na zastawienie tej pułapki.

- Stamtąd przecież prowadzi tylko jedna droga w góry-zauważył Pena.

- Sennores zapewne nie znają dobrze okolicy - wmieszał się Aymara. - Ale ja znam ścieżkę ukrytą, o której, jak przypuszczam, nie wie nikt z Chiriguanosów, a nawet sam sendador. Chodziłem tamtędy dosyć często na polowanie.

- Czy ta ścieżka jest niebezpieczna?

- Bynajmniej. Można tamtędy nawet przejechać na koniu; tylko w jednym miejscu jest trochę uciążliwa do przebycia.

- Czy wiecie, gdzie sendador ukrył swoje konie?

- Powyżej tej skały, o której właśnie mówiliśmy przed chwilą; stąd jej nie widać.
- A w jaki sposób można dostać się na waszą ścieżkę?
- Musielibyśmy cofnąć się nieco. Jest tam w pewnym miejscu szczelina skalna, przez którą można dostać się do dolinki. Stamtąd za pół godziny można stanąć na wyżynie.
- Dobrze. Skorzystamy z tych wskazówek - odrzekłem, wydając odpowiednie rozkazy.

Zatrzymaliśmy się wśród skał, nie na równinie, tak aby nieprzyjaciel nie mógł nas spostrzec. Następnie wybrałem dwudziestu Tobasów i prowadzeni przez Aymarę, ruszyliśmy ku szczelinie skalnej. Byliśmy oczywiście pieszo, więc przeprawa przez szczelinę nie przedstawiała wielkich trudności. Po przejściu przez nią, zeszliśmy w dolinę, której jedną stroną stanowiła wysoka ściana, drugą niewysoki grzbiet, za którym leżał obóz sendadora.

- Chodźmy na ten grzbiet - rzekł Aymara - a zobaczymy ich stamtąd.

Istotnie, dostawszy się na grzbiet, spostrzegliśmy o kilkadziesiąt stóp poniżej kotlinkę, a w niej konie i dwu Chiriguanosów, dalej widać było obóz sendadora.

Strażnicy odwróceni byli w tej chwili od nas i spoglądali na jezioro. Postanowiłem zaryzykować. Pobiegliśmy ku nim co tchu, nie zważając na to, że nas mogą posłyszeć. Jak było do przewidzenia usłyszeli i odwrócili się, ale uspokoili się zaraz; ujrawszy Aymarę. Nie chcąc bawić się w zbytnie ceregiele, skoczyłem z impetem pomiędzy nich i w okamgnieniu obaj leżeli na ziemi. Nadbiegli Tobasowie i z ich pomocą uporaliśmy się z jeńcami w kilka sekund. W ten sposób - rzecz można - siedzieliśmy już na karku sendadora, a on o tym nie wiedział. Z krawędzi skały widać było w dole obóz jak na dłoni. Chiriguanosowie leżeli bezwładnie na trawie, jak nieżywi, a opodal spał, oparty o skałę, sam sendador.

W miejscu, w którym się w tej chwili znajdowaliśmy, spostrzegłem ułożone w kształt krzyża kamienie i domyśliłem się, że to zapewne grób Gomarry. Nieco dalej wiła się w dół ku jezioru wąska perć. Puściłem się tędy naprzód i znalazłem ustronne miejsce. Moim Tobasom kazałem się tu ukryć. W wypadku, gdyby sendador chciał się cofnąć przez tę perć Tobasowie przetrną mu odwrót. Poleciałem im strzelać 219 najpierw ślepymi ładunkami, a dopiero w ostateczności ostrymi, a poza tym nakazałem surowo, by oszczędzali sendadora. Po udzieleniu tej instrukcji, wróciłem z Aymarą do towarzyszy, którzy czekali w ukryciu.

Aymara radził sprzątnąć jeszcze jedną straż, lecz nie zgodziłem się na to, było to zupełnie zbyteczne; mieliśmy przecież sendadora w pułapce. Pozwoliłem sobie nawet na pewnego rodzaju brawurę i na

dowód, że się go nie boję, puściłem owych czterech jeńców, których przedtem złowiliśmy. Rzecz prosta - biedacy czmychnęli w jednej chwili, ale... riiie ku sendadorowi, lecz w przeciwną stronę. Uczyniłem tak umyślnie, aby nie mieć z nimi kłopotu. Następnie kazałem towarzyszom wsiąść na konie i ruszyć naprzód drogą pomiędzy jeziorem a ścianą skalną.

Przez lornetkę zauważyłem, że Chiriguanosowie, kiedy spostrzegli nasz oddział, niespodzianie zbliżający się ku nim, zerwali się na nogi i chwycili za broń, która składała się jedynie z łuków i dzid. Na boku stał sendador, patrząc z niepokojem w naszą stronę. Oddział nasz posuwał się szybko naprzód i zbliżyliśmy się do nieprzyjaciela na taką odległość, że mogliśmy już rozpoznać dokładnie poszczególne twarze. Sendador, również zobaczył kto przybywa i krzyknął mi na powitanie:

- Jesteś nareszcie! Tym razem nie ujdiesz już cały! Poczekaj!

I zmierzwszy z karabinu, dał do mnie ognia. Kula padła o parę kroków ode mnie na grudę solną, aż się w tym miejscu zakurzyło. Było to w chwili, gdy dałem znak, by oddział się zatrzymał.

- Mam mu odpowiedzieć? - zapytał Pena, rozgniewany.

- Nie, przyjacielu. Chcę go dostać żywego w swe ręce.

- Ale on ma doskonały karabin, który sobie sprawił po drodze.

- Niech się pan nie obawia. Jeżeli będzie trzeba odpowiedzieć na zaczepkę, to niech pan to mnie zostawi.

- I znowu pan go oszczędzi... - odpowiedział Pena.

A po chwili, patrząc w stronę obozu, dodał:

- Proszę spojrzeć; podzielił swoich wojowników na dwie grupy.

Widocznie zamierza nas osaczyć.

- Być może. Zna zapewne tę drugą perć, którą pokazał mi Aymara...

- To nie ulega wątpliwości; przecież jest tutaj, jak u siebie w domu.

- A więc nie myślę się, że chce tam wysłać część swoich ludzi, by wpadli na nas z tyłu.
- Niech spróbuje. Tym większe będzie jego rozczarowanie, gdy się dowie, że perć tę już obsadziliśmy. Być może, że za parę minut rozpocznie się tam strzelanina.

Rozmawiając, obserwowałem sendadora, który na razie pozostał z drugą połową swego oddziału w obozie, ale po chwili, snadź dla ukrycia się przed naszymi kulami, ruszył ku skałom. Spostrzegłem to i kazałem towarzyszom zsiąść z koni i zostawić je pod nadzorem kilku ludzi.

- Sennor - rzekł Pena - musimy natychmiast rozpocząć ogień, bo łotry zaraz się schowają, a wtedy sam diabeł nic im nie zrobi.
- Przypuszczam, że tak źle nie będzie.
- Dziękuję... Pan ciągle tylko coś przypuszcza, zamiast korzystać ze zdarzającej się sposobności i sprzątnąć kilkunastu drabów. W ten sposób napędzi im się strachu i zaraz się nam niechybnie poddadzą.
- Sądzę, że poddadzą się i bez rozlewu krwi...
- A co? Nie mówiłem! Znow humanitarność! Ej sennor! Zobaczysz może niebawem, że na tym koniu nie można daleko zajechać!
- Bo i rzeczywiście - wtrącił Gomarra gniewnie. - Mamy drabów na celu, że tylko strzelać, a pan nam tego zabrania! Do diabła z taką naturą! Czyż długo jeszcze mam się krępować i czynić inaczej, niż mi się podoba? Czy mam czekać, aż oni nas zasypią strzałami? Mówiąc to, podniósł broń do ramienia i wypalił do sendadora. Ale strzał nie był celny i kula powaliła jednego z Indian otaczających sendadora.

Chwyciłem Gomarę za kołnierz i potrząsnąwszy nim z całej siły, krzyknąłem:

- A to co znowu za sposób? Zabił pan niewinnego człowieka!... I po co? Jest pan mordercą...
- Nic złego się nie stało - rzekł zuchwale Gomarra. -To przecież dziki...
- Który więcej zapewne wart jest, niżli pan...
- Oho! Znowu pan ze mną zaczyna... - mruknął Gomarra.

- Ani myślę kłócić się z takimi, jak pan ludźmi, a tylko zakazuję panu strzelać bez mojego pozwolenia!

- Pan mi nie może niczego zakazać!

- Przeciwnie, a jeżeli to panu nie na rękę, to proszę sobie iść, dokąd oczy poniosą! Zrozumiał pan?

- A jeżeli ja mimo to zostanę i nie usłucham pana? - zapytał ironicznie, rzucając mi groźne spojrzenie.

- Wówczas postąpię tak samo, jak tamtym razem. Miał pan sposobność odczuć to na własnej skórze...

Groźba ta poskutkowała i Gomarra nic już nie odpowiedział. Zauważyłem jednak, że większa część towarzyszy jemu właśnie w skrytości serca przyznawała rację, jak widać było z ich spojrzeń. Do moich uszu dolatywały nawet ciche szemrania. Jeden tylko brat Jaguar uściśnął mi silnie rękę i rzekł:

- Dobrze pan mówi. Wprawdzie wedle rozumienia ludzkiego można by było nie oszczędzać wroga, ale mimo to, tak czy owak do celu naszego dojdziemy z wszelką pewnością.

Podczas naszej rozmowy sendador ze swoimi ludźmi znikł wśród skał na wspomnianej perci po zabranu postrzelonego przez Gomarę Indianina.

Zwróciliśmy się i my w stronę perci, gdy nagle dał się słyszeć jakby spod ziemi wychodzący huk wystrzałów. W chwilę potem zabrzmiały wściekłe okrzyki Indian i znowu nastąpiła salwa.

- Zdaje mi się, że Tobasowie strzelają ostrymi nabojami-zauwa-żył brat Jaguar.

- Tak poleciłem im postąpić, w razie gdyby nieprzyjaciel usiłował przedostać się w górę.

- Teraz zaś pójdą wprost na nas i nie będzie można uniknąć rozlewu krwi.

- Postaram się oszczędzić ich. Ale sendadora, którego dotychczas ochraniałem, teraz muszę postrzelić choćby dla postrachu Chiriguano-sów, by się tym prędzej poddali.

Strzały Tobasów nie milkły i wrzaski po stronie nieprzyjacielskiej wznęgały się coraz bardziej. W momencie gdy towarzysze moi posunęli się naprzód i stanęli na płaszczyźnie grzbietu, zasypało ich strzałami. Cofnęli się natychmiast. Pena, wyciągając z nogi kawałek ostrego drewna, mrucał:

- A co? Nie mówiłem? Niech Bóg broni choćby zadrasnąć czerwonoskórego, ale po naszej stronie krew niech płynie...

- Biedny pan... - odrzekłem z ironią, widząc, że strzały Chirigua-nosów nie były zatrute. - Straszliwa rana!... Jak od szpilki... Zresztą

222 sam pan sobie ją zawdzięcza, bo pcha się pan naprzód bez mego rozkazu...

- A tak! Ciekawy jestem, jak pan ich pokona, nie atakując wcale.

Chyba że sami upadną panu do nóg...

- Przekona się pan zaraz, jak to będzie - odrzekłem.

I dałem znak Larsenowi, by mi pomógł wytoczyć na wzgórze głaz leżący w pobliżu. Położywszy się za nim, zacząłem się rozglądać w sytuacji.

Chiriguanosowie, ukryci pod ścianą skalną, z łukami naciągniętymi i skierowanymi w naszą stronę, czekali tylko, aż się ponownie wysuniemy. Opodal stał sendador i rozprawiał żywo z jakimś Indianinem, gestykulując rękami, jakby się z nim kłócił. Nietrudno było zresztą odgadnąć, o co mu chodziło. Wśród Chiriguanosów było już kilku rannych, a nawet dwóch zabitych i czerwonoskórzy domagali się widocznie zaprzestania walki, aby uniknąć dalszego przelewu krwi, natomiast sendador gwałtownie parł do niej.

Wobec tego postanowiłem poprzeć wywody Indianina i w tym celu zmierzyłem do sendadora, ale tak by go tylko zranić, i to niezbyt dotkliwie. Wymachiwał właśnie energicznie pod nosem prawą ręką i właśnie ją wziąłem na cel. Strzeliłem. Sendador chwycił się drugą ręką za zranione miejsce, obrócił się ku nam i krzyknął:

- Wiem, czyja to kula! Poczekaj, kanalio!

I zamilkł, słabnąc widocznie z upływu krwi, gdyż zachwiał się. Dwóch Indian podbiegło i podtrzymało go, by nie upadł, a następnie wprowadzili go w jakąś szczelinę skalną.

Indianin, który sprzeczał się z nim przed chwilą, zebrał swoich ludzi na naradę, po czym jeden z nich uwiązał na końcu dzidy chustkę i zwrócił swe kroki ku nam, jako parlamentariusz. Widząc to, wyszedłem spoza swego kamiennego szańca na spotkanie posłańca Chiriguanosów, który odezwał się łamaną hiszpańszczyzną:

- Mój wódz przysyła mnie do panów, abym wam powiedział, że jeżeli będziecie prosili o pokój, to być może, iż będzie dla was łaskawy i zaprzestanie walki.

Na te słowa towarzysze moi wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ja jednak zachowałem powagę i kiedy się uspokoiło, rzekłem:

- Powiedz swojemu wodzowi, że jeżeli w tej chwili nie poprosi mnie o łaskę, to ludzie moi stąd i tamci z góry tak was ścisną, że ani jeden z was przy życiu nie zostanie.

Oświadczenie moje tak zbiło z tropu śmiałka, że odszedł jak niepyszny. Zadowolony z toku wypadków rzekłem:

- Osiągnęliśmy przez taki obrót sprawy bardzo dużo.
- Chciałbym wiedzieć, co?... - odburknął Pena zgryźliwie.
- Jak to „co”? Mając taką pozycję łatwo zmusimy przeciwników do poddania się; wystarczy nam podnieść karabiny do ramienia. Parlamentariusz tymczasem wrócił do wodza, który spojrzał ku nam i spostrzegł niezawodnie skierowane w jego stronę lufy naszych karabinów. To go tak stropiło, że zakręcił się z niepokojem w miejscu i szybko skrył się za skały.

Nie było go widać jakiś czas - być może porozumiewał się z sendadorem. Gdy wrócił po dłuższej chwili i zamienił kilka słów z owym Indianinem, który służył za parlamentariusza, ten podążył znowu ku nam.

- Sennores - rzekł - wódz zgadza się na zawarcie pokoju pod warunkiem, że pozwolicie nam odejść stąd spokojnie.
- Razem z sendadorem?
- Tak, sennores.
- Powiedz swemu naczelnikowi, że jesteśmy przyjaciółmi Chiri-guanosów, czego dowodem jest choćby tylko to, iż puściliśmy na wolność sześciu waszych ludzi, których tu schwytaliśmy. Nie chcemy też walczyć z wami, nie dybiemy ani na wasze życie, ani na mienie. Przeciwnie, będziemy żyli z wami w najlepszej zgodzie. Ale jest jeden warunek: wydacie nam sendadora, z którym mamy różne porachunki. Do namysłu pozostawiam wam tylko dziesięć minut. Jeżeli nie zdecydujecie się w ciągu tego czasu, ruszymy naprzód, by was pchnąć pod kule naszych towarzyszy, którzy się znajdują na górze. Uważaj więc: tylko dziesięć minut! Powiedz to swemu wodzowi.

Odszedł śpiesznie, a brat Jaguar zapytał mnie:

- Czemu pan taki nacisk kładzie na owe dziesięć minut?
- Bo to jedynie zapewnić nam może korzyść. Jestem pewien, że czerwoni skłonni są wydać nam sendadora, by się samym uratować. Ale też obawiać się należy, że gdyby na to czasu starczyło,

sendador może ich odwieść od tego, bo ma na nich ogromny wpływ. Musimy więc działać szybko, a niechybnie zgodzą się na nasze żądanie. Przypuszczenia moje ziściły się. Gdy po upływie dziesięciu minut ruszyliśmy naprzód z karabinami gotowymi do strzału, Indianie 224 cofnęli się w głąb skał, po czym znowu wysłali do nas parlamentariusza, który mi oznajmił:

- Sendador chce mówić z panem.

- Ani myślę, przyjacielu.

- Sendador zaręcza, że nic się panu nie stanie.

- No, no, nie takim naiwny, jak on sprytny. Chciałby mnie dostać w ręce jako zakładnika i tym okupić sobie wolność. Znam się na takich wybiegach i już raz oszukany przez niego, ufać mu nie mogę. Jeżeli jednak ma istotnie coś do powiedzenia, to niech przyjdzie, zapewniam słowem, że go nie zatrzymam i będzie mógł po rozmowie wrócić do was.

- Powiem mu to - rzekł wysłaniec i odszedł, a po chwili wrócił, by się umówić co do miejsca spotkania.

Sendador proponował, abyśmy się spotkali w połowie drogi między naszymi pozycjami i nie mieli przy sobie żadnej broni. Zgodziłem się na to i od razu poszedłem za wysłańcem, co moim towarzyszom trochę się nie podobało, gdyż nie spytałem ich wcale o radę. Pena zawołał za mną:

- Niech no pan ~zaczeka! Mam się o coś zapytać.

- Potem będzie czas na to - odrzekłem.

- Nie, panie. Musimy wiedzieć, co pan zamierza uczynić.

- Powiem wam później. A jeżeli mi pan nie ufa, to proszę iść i rozmówić się z sendadorem, a ja chętnie tu zostanę.

- Do licha! - odburknął. - Nie mam wcale ku temu ochoty!

Niech pan sam idzie, skoro panu tak pilno.

Nie było czasu na dalszą dysputę, bo naprzeciw ukazał się sendador. Nie zdołałem opisać uczucia, jakie mnie ogarnęło na widok tego zbrodniarza. Rękę prawą miał przewiazaną; na twarzy widoczny był smutek i przygnębienie. I żał mi było, że ten wysoce uzdolniony, odważny i twardy człowiek puścił się na tak złe drogi. Do jakichże mógł dojść zaszczytów i godności w tym kraju przy takich niepospolitych zaletach! W tej chwili stał przed mną z oczami spuszczone w ziemię, budząc takie uczucie litości, że omal nie zdecydowałem się puścić go na wolność, byle tylko przyrzekł szczerą poprawę.

- A więc znowu się widzimy - rzekł głosem zdławionym, siląc się jednak na uśmiech. - Okoliczności są znowu te same. Ale czy rozejdziemy się teraz tak szybko i tak gładko, jak wówczas?

- Okoliczności zmieniły się zupełnie. Wówczas ja byłem w pańs-kiej mocy; teraz zaś przyszła kolej na pana.

- No, jeszcze nie całkiem.

- Więc pan łądzi się jeszcze? Proszę spojrzeć wokół. Przecież jesteście osaczeni ze wszystkich stron.

- Mimo to możemy się bronić do ostatniego tchnienia...

- Ba! Ale kto? Kto będzie walczył? Chiriguanosowie? Jaki by w tym cel mieli? Toż niezawodnie już pan zauważył, że im się nie chce nadstawiać karku, że chcą za wszelką cenę uniknąć niepotrzebnych strat i zawrzeć z nami pokój, tym bardziej, że przyrzekłem im uroczyście, że będą mogli odejść bez przeszkody dokąd im się spodoba, byle tylko wydali pana...

- Ach, więc to dlatego naczelnik nalega na mnie tak gwałtownie, by się poddać...

- Oczywiście. Teraz już pan wie, co robić. Trzeba się poddać.

Innego wyjścia nie ma.

- Dobrze. Przypuśćmy, że będę zmuszony do tego. - Co w takim razie zamierza pan uczynić za mną?

- Jeszcze nie wiem.

Umilkł i spuścił oczy w ziemię. Widać było, że namyśla się nad czymś. O wydostaniu się z matni przemocą mowy nie było. Szukał więc w głowie sposobu wyjścia, widząc go tylko w jakimś podstępnie.

- Niechże pan zdobędzie się raz w życiu na rozsądny krok

- rzekłem - i podda się. Innej rady nie ma!

- Dziękuję za nią. Poddać się na pewną śmierć? Chyba, że pan mi wynagrodzi to posłuszeństwo... Co mi pan obiecuje, jeżeli się poddam?

- Zdaje mi się, że pan sam mógłby odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- I owszem... Myślałem, że mi pan dopomoże w ucieczce - od-rzekł, patrząc na mnie badawczo.
- Myli się pan. Wprawdzie śmierć pańska nie przyniesie mi żadnej korzyści, ale mimo to nie uczynię już tak, jak to się zdarzyło w pobliżu krzyża De la floresta virgen. Wówczas dopomogłem panu w ucieczce, a pan nadużył mego zaufania, wciągnął mnie pan w zasadzkę i wziął do niewoli. Drugi raz oszukać się już nie dam. Niech pan ani na chwilę się nie łudzi, że panu w czymkolwiek pomogę.
- A jednak ja w to wierzę, sennor.
- To śmieszne po prostu. Pominąwszy bowiem to, że pan zawinił

226 wobec mnie i moich towarzyszy, uważam pana w ogóle za bardzo niebezpiecznego człowieka. Byłoby zbrodnią, gdybym pana raz jeszcze puścił na wolność.

- Cóż ja panu zrobiłem złego? Wziąłem pana do niewoli jedynie w tym celu, aby przy pańskiej pomocy odcyfrować kipu i niech mi pan wierzy, zamierzałem potem hojnie pana wynagrodzić i obdarować wolnością.
- No, no, wiem dobrze, jakby wyglądały te objawy wdzięczności i przyjaźni!...
- Zapewniam pana, że pańskie mniemanie jest mylne. Przecież pańskim towarzyszom również nie wyrządziłem krzywdy; przeciwnie dałem im wygodne i bezpieczne schronienie u Mbocovisów.
- Ażeby przede wszystkim uzyskać za nich suty okup, a potem usunąć ich z tego świata potajemnie, jak to zawsze było pańskim zwyczajem.
- Ależ, co pan mówi? Chciałem jedynie odnaleźć starożytne skarby, a że mi przeszkadzali; więc musiałem ich pozbawić wolności na pewien czas. Potem bym kazał ich uwolnić i wynagrodziłbym sowicie.
- Tak pan musi mówić, ale ja panu nie wierzę.
- A to z jakiego powodu?
- Bo, po pierwsze, już mnie raz pan okłamał, a po wtóre, jest pan człowiekiem, który w łajdactwie przeszedł tysiąc zwykłych śmiertel-ników.
- Hm! Myślałem, że pan potrafi myśleć trochę rozsądniej...
- To zbyt cenna uwaga!
- Ha! Mniejsza o to! Teraz powiem panu coś, czemu powinien pan dać wiarę i co zresztą mogę natychmiast poprzeć dowodami. Otóż chciałem mówić z panem tu na osobności, w cztery oczy,

aby panu zaproponować...

- Co? - przerwałem mu umyślnie, udając zaniepokojenie.

Wiedziałem z góry, do czego zmierza. Chciał mnie wciągnąć do swej kryjówki i przy mojej pomocy odcyfrować kipu, a następnie, gdyby mi się to udało, przedsięwziąć wspólnie ze mną poszukiwanie skarbów w jeziorze. Gdybym się zgodził na ten plan, on oczywiście odzyskałby wolność, a korzystając z tego, kto wie, czy bym został przy życiu. Po tym człowieku można było się wszystkiego złego spodziewać.

- Niech mnie pan puści - rzekł szeptem - a odszukamy wspólnie skarb i podzielimy się. 227

Zauważyłem, że czeka z wielką niecierpliwością na moją odpowiedź, ani się domyślając, że się sromotnie rozczaruje.

- Nie, panie - odpowiedziałem chłodno - tego nie uczynię.

Obiecywał mi pan już raz to samo i obaj źle na tym wyszliśmy. Nie dam się złowić powtórnie. Pan chce, abym działał poza plecami moich towarzyszy, a o tym mowy być nie może.

- Czemu? Co oni pana obchodzą? Toż to ludzie zupełnie dla pana obcy.

- Bynajmniej. Zżyłem się z nimi, przeszedłem niejedno i są mi jak bracia. W niczym im się nie sprzeniewierzę.

- Ma pan coś do zarzucenia memu planowi?

- Planowi samemu nic, ale sposobowi jego wykonania. Chce pan, abym porzucił towarzyszy i rozpoczął wraz z panem poszukiwania. Za to, gdyby się poszukiwania udały, otrzymałbym sowite wynagrodzenie: śmierć.

- Sennor! - krzyknął niecierpliwie, jakby dotknięty do żywego moją niewiarą.

- Niech się pan nie trudzi zaprzeczaniem. Znam pana doskonale i nie mówmy już o tym.

- A więc o czym mamy mówić, jeśli nie o tym?

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie: podda się pan, czy nie?...

- To znaczy, że pan nie chce korzystać z kipu?

- Owszem, otrzymam je, ale nie z pańskich rąk...

- W takim razie - zaśmiał się mimo woli - jestem pewny swej wolności. Bo jeżeli pan tyle świata obiegi, by dostać w swe ręce klucz do skarbów, to gnała pana jedynie chciwość. Napelnia mnie to otuchą, bo chciwość tę zaspokoić pan może jedynie przy mojej pomocy...

- Łudzi się pan.

- Wcale się nie łudzę. Gdyby mnie pan zamordował, tajemnica zesłaby razem ze mną do grobu, a do tego przecież dopuścić pan nie zechce. Musi mnie pan ochraniać wobec Peny i Gomarry, którzy są najzaciętszymi moimi wrogami.

- O, za pozwoleniem! Gomarra ma z panem osobiste porachunki za zamordowanie brata i ja bynajmniej nie mam chęci, ani obowiązku przeszkadzać mu w wykonaniu sprawiedliwości.

- Ha! Skoro tak, to musi pan zrezygnować z kipu i ze skarbów...

- Nie! Dostanę kipu i to od pana.

- Więc pan sądzi, że jestem tak głupi, iż udzielię wskazówek gdzie szukać kipu?
- Obejdę się bez pańskich wskazówek, gdyż Gomarra zna skrytkę, gdzie kipu są schowane.
- Tak! Zna skrytkę! Niechże ich sobie szuka zdrów do sądnego dnia. Butelkę zakopałem w innym miejscu.
- Wiem ó tym. Potrzebował pan na jej ukrycie całej nocy.
- A pan skąd wie o tym? - zakrzyknął zdumiony.
- Mniejsza o to.
- Więc niech i tak będzie. Skoro pan wie, że całą noc poświęciłem, by ukryć butelkę, to rozumie pan również, że odnaleźć jej nie będzie łatwo...
- Nie przeczę. Ale też i nie wpadam z tej racji w zwątpienie. Bo skoro pan potrzebował tyle czasu na schowanie butelki, to jest rzeczą wręcz niemożliwą, aby pan zatarł za sobą wszelkie ślady, mogące mnie do niej zaprowadzić. Każę więc Gomarze pokazać sobie miejsce, gdzie była ukryta przedtem i stamtąd bez zbytniego trudu dojdę śladami pańskimi do nowego schowka.
- Jak pięknie pan to sobie wyobraża! Fiu, fiu! - odparł drwiąco.
- Życzę powodzenia, ale jednocześnie zapewniam, że szkoda za-chodu, wielki i niedościgniony mędrce! Naprawdę szkoda!
- Śmiej się pan zdrów, a ja będę spokojnie dążył po nitce do kłębka i mam nadzieję, że mi się powiedzie. Ale szkoda czasu na dalsze targi. Podda się pan, czy nie?
- Nie.
- W takim razie załuję pana mocno. Jesteś zgubiony.
- Przeciwnie panie. Jestem pewny swego życia, gdyż uratuje mi je kipu.
- I to już ostatnie pańskie słowo?
- Ostatnie.
- Więc skończyliśmy. Proszę odejść.

Odwrociłem się, a on dodał poza moimi plecami: - Oświadczam, że będziemy się bronili do

ostatniego tchu!

- Owszem, brońcie się!

Wróciłem do towarzyszy, którzy mnie zasypali pytaniami, jak się sprawa przedstawia. Zwłaszcza Pena dopytywał się o szczegóły, na które nie odpowiedziałem.

Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że zwycięstwo będzie po 229 naszej stronie, a Tobasowie i towarzysze moi aż się rwali do walki, czekając tylko, by który z Chiriguanosów naciągnął łuk. Lecz Chirigu-anosowie ani myśleli o walce. Otoczyli wokół sendadora, po czym przyszedł jeszcze raz parlamentarzysta z prośbą, bym się rozmówił z wodzem Chiriguanosów.

Zgodziłem się na rozmowę pod warunkiem, że będzie to już ostatnia i wódz przybył niebawem, pytając już z daleka: - Czy sennores koniecznie chcecie mieć sendadora?

- Tak koniecznie.

- A my?

- Będziecie mogli pójść, dokąd się wam spodoba, oczywiście pod warunkiem, że przed odejściem złożycie broń.

- A czy ją nam potem oddacie?

- Oddamy, ale wówczas, gdy ruszymy stąd z powrotem.

- Więc dobrze, oddam wam sendadora.

- Ale, rozumie się, żywego.

- Tak, sennor. Broń złożymy równocześnie. Sendador chce koniecznie, byśmy się bronili do upadłego, to znaczy, abyśmy się dali wystrzelać. Ale chociaż jesteśmy jego sprzymierzeńcami, nie mogłem się zgodzić na to i wydać na śmierć tylu ludzi. Wydam wam sendadora. Proszę zaczekać.

Odszedł do swoich, a po chwili zauważyliśmy wśród nich wielkie poruszenie. Sendador nie chciał się dać związać, wrzeszczał, wygrażał i przeklinał wszystkich. Nic mu to oczywiście nie pomogło i po kilkunastu minutach wódz Chiriguanosów z pomocą kilku najsilniejszych wojowników przyprowadził go do mnie i rzekł:

- Macie go. Dotrzymałem słowa i nie chcę mieć z nim nic więcej do czynienia. Ludzie moi zgodzili się bez wahania na moje postanowienie i myślę, że wy również nie zawiedziecie

naszego zufania.

- Tak, tak! - syknął sendador, pieniąc się ze złości. - Stało się wedle waszego życzenia. Macie mnie w swej mocy i możecie zrobić ze mną, co wam się żywnie spodoba. Ale... ale... nie łudźcie się, że osiągnęliście swój cel...

Nie odpowiedziałem mu na to i ruszyłem do Chiriguanosów, którzy zaczęli składać broń. Potem poprowadziliśmy jeńców do zagłębienia skalnego, które znajdowało się opodal i ustawiliśmy przy nich straż. Z wyżyny widać było jak na dłoni Jezioro Słone i całą dolinę. Wódz Chiriguanosów podszedł do mnie, aby mnie poinformować, gdzie 230 rozstawione były jego stráže. Powiedziałem mu na to, że już wzięliśmy czterech strażników do niewoli i puściliśmy ich na wolność. Ludzie ci zapewne odszukali już swoich towarzyszy i teraz wszyscy ukrywają się niezawodnie gdzieś w pobliżu.

- Co pan zamierza uczynić z sendadorem? - zapytał. - Zasądzi go pan zapewne na śmierć?

- Zdaje mi się, że nie będzie innej rady.

- Tym lepiej! Nazwał mnie tchórzem, więc gdybyście go nawet puścili, to ja mu nie daruję.

Położenie sendadora było więc teraz gorsze niż przedtem, bo przybył mu jeszcze jeden śmiertelny wróg. Mimo to nie okazywał bynajmniej przygnębienia, a nawet pogwizdywał, co tak zgniewało Gomarę, że zawołał do mnie:

- Patrz pan na twarz tego łotra! Wygląda tak, jakbyśmy byli jego jeńcami, a nie on naszym. No, ale niedługo już tego będzie. Nie ujdzie mojej zemsty... chyba, że pan znowu coś knuje przeciw mnie.

- Bynajmniej.

- W takim razie sendador należy do mnie.

- O, jeszcze nie. Przede wszystkim muszę wydostać kipu, a co będzie potem, naradzimy się wspólnie wszyscy.

- Niech licho porwie pańskie rady! Łotr musi być mój!

- Widzę, że znowu wściekłość bierze górę nad tobą - odparłem.

- Ale kto by się porwał na sendadora bez mego pozwolenia, temu z miejsca dam kulą w łeb.

- Niech pan spojrzy - rzekł na to Gomarra. - Tam znajduje się krzyż, a pod nim grób mego brata... miejsce, gdzie należy wymierzyć karę mordercy.

- Owszem, należy go ukarać, ale nie zamordować!
- Chcę postąpić z nim wedle prawa puszczy.
- I ja również. Ale czyż to prawo zabrania sądzić człowieka za jego złe czyny?
- Kto by się tam bawił w sądy, zwłaszcza, gdy to pan je urządza!

Jestem pewny, że pan puści tego łotra, dając mu jeszcze broń, konia i żywność na drogę.

- Zdecydują o tym wszyscy towarzysze; zwołam naradę.
- Ja będę głosował, aby łotra ukarać śmiercią.
- Ty nie masz prawa głosować w tej sprawie.
- Jak to? Dlaczego? - zapytał zdumiony.

- Bo jesteś oskarżycielem. Musisz trzymać się na uboczu i tylko odpowiadać na pytania, jeśli tego zażądają członkowie sądu.

- Nie! Ja czegoś podobnego nie ścierpię!

- Milcz! Nie pytam, co ci się podoba, a co nie! Zrozumiałeś?

I pohamuj swoją złość, bo potrafię uporać się z tymi, którzy działają wbrew mej woli.

- Ja również mam wolę - zakonkludował i usunął się na bok.

W chwilę później odbyła się narada, której rezultatem był wyrok śmierci na sendadora. Tylko ja i brat Jaguar domagaliśmy się, by podsądnego oddać w ręce władzy; ale przegłosowano nas. Jednakże wszyscy zgodzili się na jedno, by przed wykonaniem wyroku wydostać od skazanego kipu.

Po ukończeniu narady zawiadomiłem sendadora o jej wyniku, co wywarło na nim wrażenie mocno przygnębiające, chociaż do ostatniej chwili zachowywał się butnie.

- W imieniu prawa, które karze śmiercią za śmierć - rzekłem doń

- jest pan skazany na rozstrzelanie za to, że zgładził pan z tego świata wielu ludzi.

- Przez rozstrzelanie? Kiedy? - zapytał przerażony.

- Zaraz.

- Do licha! Dlaczego zaraz?

- Bo pan nie zasługuje na to, by żyć dłużej choćby minutę.

- Ale... ale... - jękał się - straciecie kipu.

Przywiązywał pan do kipu niestety zbyt wielką wagę. Aczkolwiek nie wątpię, że znajdę to czego szukam, postanowiliśmy co następuje: jeżeli pan odda nam kipu i rysunki, to odłożymy egzekucję.

- I będę wolny?

- O, nie! Byłaby to niesprawiedliwość względem Gomarry. Oto grób jego brata... Nie mógłbym tutaj, w pobliżu grobu zamordowanego żądać od Gomarry, aby się zrzekł swych pretensji do pana. Gdy pan spełnisz nasze żądanie, to mimo wszystko gotów jestem puścić pana, ale... bez broni i żywności. Po upływie kwadransa Gomarra może za panem pobiec... Co się potem stanie, to już nie nasza rzecz...

- Byłoby to, to samo, co wykonanie wyroku śmierci. Cóż bowiem mógłbym począć bez broni i bez żywności w tych dzikich okolicach?

- Nie możemy panu pomóc, bo byłoby to pochwałą zbrodni.

- I pochwały tej ja właśnie panu udzielę - zabrzmiał nagle ponury

232 głos Gomarry, który nadszedł niespodzianie. - Jak słyszę, chce pan wypuścić z rąk tego zbrodniarza, a ja mam go potem szukać! Ale ja się na to nie zgodzę.

- Ani ja - dodał sendador. - Mam przestreloną rękę i trawi mnie gorączka. Jeżeli chcecie, abym wydał kipu i plany, to żądam za to zupełnego bezpieczeństwa.

- Ja zaś nie cofam swego postanowienia i zapewniam, że na jego zmianę nie wpłynie ani pańska wola, ani wola Gomarry. I nie udzielę panu zbyt wiele czasu do namysłu.

- Żądam godziny zwłoki, nie więcej, a co postanowię to będzie ostateczne.

- Dobrze, zgadzam się na godzinę zwłoki, ale nie daruję panu więcej ani minuty - rzekłem stanowczo.

- Jeszcze jedno. Jeżeli zgodzę się na wasze warunki i znajdziecie skarb, to kto go otrzyma?

- Ten, do kogo ów skarb rzeczywiście należy. Zamordowany mnich zamierzał prawdopodobnie oddać te przedmioty klasztorowi w Tucuman. Jeżeli się nie znajdzie prawdziwy właściciel skarbu, oddamy go rządowi prowincji, do której ta okolica należy.

- A ja nie otrzymam nic?

- Nic. Pan może wybierać tylko pomiędzy śmiercią przez rozstrzelanie a możliwością wymknięcia się z rąk Gomarry. Za godzinę czekam odpowiedzi.

- Chciałbym, aby pan był w tej chwili w mojej skórze...

- Wierzę, ale to się nie da zmienić...

Sendador był związany, a ponadto miał zranioną rękę, więc nie było obawy, aby mógł uknąć spod straży dwóch Tobasów, którym oddałem go pod opiekę.

- Możemy być spokojni o niego - mówił brat Jaguar. - Nato-miast baczna uwagę trzeba zwrócić na Gomarę.
- Słusznie - potwierdził Pena. - To zawzięty człowiek i gotów działać na własną rękę.
- Nie dopuszczę do tego - odpowiedziałem. - Wezmę go ze sobą nad jezioro.

Gomarra usłyszał to i zapytał:

- Chce pan, abym poszedł nad jezioro?
- Tak, bo mi udzielisz wskazówek, gdzie była zakopana butelka.

Może według tego uda mi się wysledzić nową skrytkę sendadora.

- Doskonały projekt! - podchwycił brat Jaguar.

- Myślę, że gdy sendador się przekona, iż mamy kipu w swym ręku, łatwiej zgodzi się wydać plany. Zresztą trzeba mu będzie przetrząsnąć kieszenie, gdyż możliwe, że ma te dokumenty przy sobie. Pena zrewidował natychmiast sendadora, ale bez skutku. Łotr naigrywał się z nas cynicznie:

- Jacyż wy jesteście mądrzy! No, no! Tylko ja jestem głupi i noszę wszystko ze sobą.

Pozwoliłem mu gadać do woli i skinąłem na Gomarę, by poszedł ze mną, co też uczynił, choć niechętnie. Znać było, że umysł ma zajęty planami działania na własną rękę.

Zeszliśmy na dół i niebawem odnaleźliśmy to miejsce. Butelki jednak już tam nie było. Spostrzegłem tylko wyraźne ślady ludzkie na piasku i wgłębienie, jakby od siedzenia.

Ślady były liczne i powikłane, więc trudno było natrafić na właściwy trop sendadora, wiodący do nowej skrytki. Rozglądałem się długo wokoło, ale na razie bezskutecznie. O kilkanaście kroków od nas leżało jezioro, pokryte grubą powłoką solną, która wskutek działania wiatrów i deszczu była spękana i tworzyła kry, spiętrzone w nieładzie. Na jednej z płyt spostrzegłem jakiś ciemny przedmiot. Spojrzałem przez lornetkę, przekonałem się, że było to dno stłuczonej butelki; obok widniała maleńka grudka ziemi. Poszedłem zobaczyć to z bliska, ale na tym się skończyło.

Dopiero wracając, znalazłem na brzegu rzecz bardzo doniosłą, a mianowicie kawałek nitki, zwisającej z liścia kaktusowego.

- Szkoda było zachodu -~zekłem do towarzyszy. - Sendador ma kipu przy sobie.

- To niemożliwe - odparł Pena. - Zrewidowałem go bardzo dokładnie.

- Ba! Może to mieć zaszyte pod podszewką kurtki.

- W jaki sposób? Pan się myli.

- Popatrz pan przez lornetkę tam, na tę krę. Pena spojrzał i rzekł po chwili:

- Widzę dno stłuczonej butelki.

- A co pan widzi obok?

- Grudkę piasku.

- Otóż rzecz ma się tak, przyjacielu. Sendador napełnił butelkę piaskiem, aby była cięższa i cisnął ją w jezioro. Ponieważ jednak robił

234 to po ciemku, więc nie wiedział, że butelka, zamiast wpaść do wody, rozbiła się na płycie solnej.

- A po cóż on to zrobił?

- Bo wiedział, że będziemy poszukiwali butelki, którą znamy z opisu. Żeby więc zatrzeć ślad po niej, chciał ją cisnąć w jezioro, a kipu zaszył w ubraniu. Szycie zabrało mu sporo czasu, bo po ciemku nie można być dobrym krawcem.

- Tak, istotnie. W tym miejscu siedział ktoś na ziemi; znać też odciski nóg. Ale skąd pan wie, że sendador szył?

- Patrz pan! Tam, na kaktusie, wisi kawałek nici...

- Rzeczywiście... niebieska nić. Sendador miał przy sobie całą szpulkę takich nici.

- A zatem szkoda czasu na dalsze szukanie. Wracajmy... Ale...

Gomarra?

- Wrócił zapewne do towarzystwa.

- To się śpieszmy, bo gotów uśmiercić sendadora.

Podążyliśmy szybkim krokiem, ale nie spotkaliśmy go po drodze. Gdy zbliżaliśmy się do obozowiska, usłyszeliśmy zgiełk i ochrypy krzyk sendadora:

- Psie! Nie masz do mnie prawa!... Poczekaj, niech przyjdzie dowódca!

- Ani się waż tknąć go! - wołał Larsen.

- Precz mi z drogi! - brzmiał głos Gomarry. - Mój nóż jest zatruty! Jeśli wam życie miłe, nie przeszkadzajcie mi! Zepchnę tego łotra w przepaść na miejsce zbrodni... Niech zginie!

Wbiegłem na skałę i spostrzegłem ze zgrozą, że Gomarra jedną ręką ciągnął sendadora nad przepaść, a w drugiej trzymał nóż, broniąc się nim przed tymi, którzy go chcieli powstrzymać. Sendador ryczał jak wściekły, lecz nie mógł się bronić, bo miał ręce związane.

- Stój, bo strzelam! - krzyknąłem.

Gomarra posłyszawszy swój głos, odwrócił się do mnie ze słowami:

- Wszystko mi jedno! Morderca musi zginąć!

Chwycił sendadora w ramiona, dźwignął go z wysiłkiem, kierując się ku przepaści. Jeszcze krok... jeszcze pół kroku... I gdy Gomarra czepiającego się skały sendadora uderzył kułakiem w pierś i miał rzucić w przepaść, ten owinął się nogami o jego nogi-i... krótki, rozpaczliwy okrzyk wydarł się z piersi obu. Obaj runęli w otchłań. Znajdowałem się w tej strasznej chwili zaledwie o dwa kroki od 236 przepaści i patrząc na tę okropną scenę, dostałem tak silnego zawrotu głowy, że tylko dzięki gwałtownemu wysiłkowi woli nie runąłem w ślad za tamtymi, lecz cofnąłem się i upadłem u nóg towarzyszy. Groza tego wypadku tak podziałała na wszystkich, że nawet nie spostrzegli, co się dzieje ze mną. Nikt nie odważył się zbliżyć do krawędzi skały. Jedni biegli oszołomieni, jak w obłądnie po skale, inni zaś podążyli percią w dół, by z bezpiecznego miejsca zobaczyć, co się stało z nieszczęśliwymi.

Jeden tylko Larsen stał spokojnie i poruszył się dopiero, by mnie wstrzymać, gdy wstałem z zamiarem udania się na krawędź przepaści.

- Sennor! Proszę tam nie iść! - krzyknął drżącym głosem.

- Czy pan cierpi na zawroty głowy? - zapytałem.

- Nie, nie zdarzyło mi się to nigdy. Ale tu... Okropność! Jeszcze mającą mi przed oczyma ci dwaj, kiedy w śmiertelnym uścisku runęli w otchłań.

- Muszę zobaczyć, jak to głęboko.

- Sennor. Krawędź jest może zwietrzała i gdyby się urwała...

- Proszę się nie obawiać - rzekłem i wyciągnąwszy się na brzuchu, posunąłem się na zrab skały.

Ściana granitowa miała co najmniej trzysta stóp wysokości, scho-dząc w linii skośnej do samego jeziora. Tuż w pobliżu wody spostrzeg-łem ciemną plamę, coś jakby zwłoki ludzkie, potwornie skręcone. Właśnie w tej chwili zbliżali się do nich Tobasowie i po obejrzeniu zwłok, zaczęli spojrzeć w górę, wskazując coś rękoma na ścianie skalnej. Wysunąłem się do połowy ciała poza zrab i z przerażeniem spostrzegłem przedmiot wskazywany przez Tobasów. Była to postać ludzka. Cofnąłem się natychmiast i rzekłem do Larsena:

- Jeden z nieszczęśliwych zawisł na skale i prawdopodobnie żyje jeszcze. Niech pan biegnie i zawoła towarzyszy z dołu. Trzeba go ratować...

- Co? Chyba się panu w głowie pomieszało...
- Proszę nie rozmyślać! Nie ma czasu na to! Co żywo po tamtych!

Olbrzym zrozumiał, że to nie przelewki i pobiegł percią w dół. Zapomniałem jednak powiedzieć mu rzecz najważniejszą, dlatego raz jeszcze zbliżyłem się do przepaści i zawołałem na ludzi na dole:

- Wszyscy do mnie! Zabrać lassa i powrozy.

Zrozumieli i pobiegli na miejsce, gdzie znajdowały się nasze konie. Moje lasso było tak mocne, że mogło utrzymać ciężar co najmniej 237 trzech ludzi, ale jego dwudziestometrowa długość w tym wypadku nie wystarczała. Niebawem przybyli na górę towarzysze i rozpoczęła się namiętna utarczka o to, co nam wypada zrobić.

- To sendador zawisł na skale - mówił zdyszany Turnerstick.
- Gomarra leży na dole i nawet rozpoznać go nie można... Na co panu rzemienie i powrozy?
- Musimy ratować sendadora.
- A to dobre! - wykrzyknął Pena. - Tego jeszcze brakowało!
- Kto chce nosić imię człowieka - odparłem - ten musi śpieszyć na ratunek nieszczęśliwemu, który jeszcze zapewne żyje i cierpi!...
- Skądże znowu żyje?... Nadział się pewno na jakiś głaz jak na hak i dawno już wyzionął swą zbrodniczą duszę.
- Dobrze pan mówi - wtrącił yerbatero. - Co ma wisieć, niech wisi! To był najgorszy łotr pod słońcem i nawet palcem bym nie ruszył w jego obronie, chociażby nawet jeszcze żył i męczył się.
- Przepraszam! Czy pan jest chrześcijaninem? - zapytałem.
- Owszem i to nawet nie najgorszym. Ale nie lituję się nad duszą, która godnie zasłużyła sobie na piekło.
- A ja panu powiem, że pan wcale nie jest chrześcijaninem i przykro mi teraz, że zaprzyjaźniłem się z panem tak serdecznie. Niech zresztą każdy myśli, co mu się podoba, ale ja znam swój obowiązek. Zachowajcie się spokojnie, abym mógł dobrze słyszeć i trzymajcie mnie za nogi.

Zaczółgałem się znowu nad przepaść i przez lornetkę spostrzegłem, że nieszczęśliwy, od którego dzieliło mnie około siedemdziesięciu stóp, obrócony był plecami do skały. Widocznie zatrzymał się na jakimś drzewku.

Cofnąłem się i kazałem sporządzić z rzemieni, jakie były pod ręką liny.

- Czy żyje jeszcze? - zapytał brat Jaguar.
- Tak. Porusza się, a nawet wydaje jęki.
- Niech go Bóg ma w swojej opiece. My już mu nic nie pomożemy.
- Owszem, pomożemy, jeżeli tylko nie braknie nam odrobiny dobrej woli.
- Sądzi pan, że znalazłby się człowiek, który by miał odwagę go ratować?
- Owszem.
- Ależ gdyby nawet szło o najlepszego mego przyjaciela, nie

238 kwapiłbym się, wobec niechybnej zguby... Cóż dopiero mówić, gdy idzie o takiego łotra - wtrącił Pena.

- Niech pan wyobrazi sobie położenie nieszczęśliwego - odrzekłem. - Ręce ma związane, jedno ramię postrzelone, w ciało wbiła mu się skała i wisi biedaczysko między niebem a ziemią, bliski konania. Czy to nie okropne, nie przerażające?
- Zasłużył sobie na to w zupełności.
- Nie myślmy o tym: zasłużył, czy nie zasłużył. Tu jedno tylko jest ważne: ten człowiek cierpi i grozi mu straszne, powolne konanie. Jeżeli nie ma wśród was nikogo, kto by mu chciał dopomóc, to ja się tego podejmę.
- Pan? Czy pan rozumn postradał? A cóż byśmy zrobili tutaj, gdyby nam pana właśnie zabrakło? Naprawdę dziwię się, że panu takie głupstwa do głowy przychadzą... Narazić się na niechybną zgubę dla takiego łotra! Nie! To wręcz śmieszne!
- Co postanowiłem, to uczynię. Proszę mi dać łąso.
- Po co? Przecież rzemień przetrze się na skale i runie pan w przepaść - odparł Pena.

Towarzysze krzydzeli również, popierając jego zdanie, z wyjątkiem brata Jaguara. Oczywiście protesty te na nic się nie zdały i bezzwłocznie wziąłem się do roboty.

Położyłem na krawędzi skały siodło, aby łąasso mogło się na nim gładko posuwać w dół i sporządziłem trzy liny z rzemieniami; a na końcach dwóch z nich uwiązałem kilka łąanc związanych razem, które miały służyć za siedzenie. Trzecia lina przeznaczona była jako rezerwa. Wsiadłem na tę osobliwą windę i przywiązany do niej przez towarzy-szy, byłem gOtOW d0 „drOglř~.

Jeśli mam być szczery, przyznaję, że w tej chwili uczułem straszną trwoęę.

Pocziwy braciszek usadowił się na skalnej krawędzi, żeby mieć mnie na oku i uważać na każde moje skinienie.

Na szczęście, ściana skalna była zupełnie gładka. Mimo to, droga do miejsca, gdzie zawisł sendador, wydała mi się wiecznością. Nieszczęśliwiec przedstawiał okropny widok. Zaszłe krwią oczy wystąpiły mu z orbit; z pieniających się ust zwisał spieczony język; tylko lekkie charczenie świadczyło, że człowiek ten jeszcze żyje. Dałem znak, by zatrzymano linę i zająłem się nieszczęśliwym. Przede wszystkim zbadalem, na czym się zatrzymał. Otóż była to 239 szpara w skale nie szersza nad dwie stopy, a zwąęająca się ku dołowi. Wypełniał ją gruz ze zwietrzałych kamieni i właśnie w tym gruzie znalazło warunki bytu jakieś drzewko, które jednak złamał wicher, czy też spadający odłam skały, a został tylko ostry pieńek, o który zahaczył się nieszczęśliwy.

Wisiałem przed nim nad straszną przepaścią. Siedzenie moje chybotalo się za lada poruszeniem we wszystkie strony, wskutek czego zadanie moje było bardzo trudne. Najpierw należało sendadora podnieść, a potem zdjąć z pniaka, lecz w takim razie zwiększy się mój ciężar i lina może się urwać...

Przyznam się, że w pewnej chwili przemknęła mi przez głowę myśl, żeby dać spokój wszystkiemu. Ale gdy spojrzałem w straszną twarz nieszczęśliwca, dreszcz wstrząsnął mną do głębi. Gdybym tego biedaka pozostawił jego losowi, widmo jego ścięałoby mnie przez całe życie i czyniło wyrzuty, że nie dopełniłem ludzkiego obowiązku! W człowieku tym - myślałem - nie zgasło jeszcze życie i można go zapewne wyleczyć z ran, które odniósł. A jeśli nie, to może przynaj-mniej uda się nakłonić go do skruchy przed śmiercią, gdyby chociaż na krótki czas odzyskał przytomność.

Trudno zaprzeczyć, że ratunek tego człowieka wymagał wielkiego poświęcenia, należało bowiem zejść ze swego siedzenia i wstąpić na skałę. Czy jednak wówczas gruz się nie usunie i nie runę w otchłań? Na samą myśl o tym zamąciło mi się w głowie. A jednak namyślanie mogło tylko niepotrzebnie opóźnić akcję. Skoro już znalazłem się tutaj, trzeba było działać szybko.

Wisząc na dwu linach, owinałem sendadora trzecią w pasie i zawią-załem ją. Następnie rozciąłem mu kamizelkę na piersi, ażeby płuca uzyskały swobodę, co pomogło natychmiast. Sendador odetchnął głębiej kilka razy, po czy spojrzał na mnie osłupiałymi oczyma i zaczął tak krzyceć, że przeszło mi mrowie po kościach.

- Cicho! - uspokajałem go. - Cierpi pan?

- Straszliwie! - a spojrzawszy w przepaść, ‘vstrząsnął się cały i począł błagać: - Ratuj mnie! Na wszystko, co święte, zaklinam cię! Tam w dole moja śmierć, moje potępienie i piekło.

- Niech się pan uspokoi, a spróbuję. Proszę się nie ruszać.

Odwiązałem rzemień, którym byłem przymocowany do liny, za-rzuciłem go sobie na ramię, aby przyciągnąć do siebie siedzenie w razie 240 potrzeby, po czym wstąpiłem nogami na lance, na których siedziałem, i - Bogu ducha poleciwszy, skoczyłem w szczelinę skalną. Była to chwila decydująca. Gdyby się pniak złamał, poleciałbym w przepaść razem z sendadorem. Toteż w uszach mi zaszumiało i uczułem nagły zawrót głowy. Opanowałem się, zebrałem całą siłę woli, by przezwyciężyć trwogę i odzyskać spokój, po czym rozejrzałem się w położeniu. W dole rozciągało się jezioro, pokryte w znacznej części skorupą zakrzepłej soli. Ponad nim z prawej strony stali dwaj ludzie, Indianie. Widziałem ich dobrze. Byli to zapewne strażnicy, których przed rozprawą puściliśmy na wolność. Ludzie ci zniknęli szybko wśród skał. Pod moimi stopami chrzęściły odłamki skalne i usuwał się zwietrzały gruz, ale korzenie drzewka trzymały silnie. Jedną ręką złapałem się skały, drugą chwyciłem sendadora za koł-nierz... Jeden gwałtowny wysiłek... jeszcze jeden - i zdjąłem nie-szczęśliwego z pnia. Zawisł na linie, kręcąc się jak młynek i resztkami sił krzycząc ze zgrozy.

W tej chwili gruz zaczął się gwałtownie usuwać mi spod nóg. Snadź korzenie pnia puściły pod ciężarem dwóch ciał i pień tracił powoli oparcie w szczelinie skalnej. Jeszcze chwila, a byłoby po mnie. Przyciągnąłem z błyskawiczną szybkością siedzenia z lanc, kołyszące się pode mną i opadłem na nie, po czym pociągnąłem ku sobie linę, którą obwiązany był sendador, leżący jak martwy w piargu szczeliny. Na dany znak towarzysze moi pociągnęli w górę liny i zaczęła się jazda, o jakiej mało kto ma wyobrażenie.

Mając ręce zajęte mogłem tylko nogami odbijać się od skały, co mi się nie zawsze pomyślnie udawało, a przy tym starałem się oszczędzać uderzeń sendadorowi, oczywiście kosztem własnych kości. Nareszcie udało się nam szczęśliwie dobić do zrębu skały. Najpierw wysadzono na pół żywego sendadora, potem i mnie wyciągnięto wśród radosnych okrzyków. Słyszałem je wszakże jak przez sen, bo wskutek niesłychanego natężenia nerwów i mięśni straciłem przytomność. Po przebudzeniu się spostrzegłem, że leżę na kolanach brata Jaguara, który, widząc, iż otwieram oczy, począł rmmie ścisnąć z radości i wołał:

- No, dzięki Bogu najwyższemu! Co za okropne przedsięwzięcie!

Nigdy bym już w swojej obecności nie pozwolił nikomu na coś podobnego. Zaobserwowałem tę chwilę, gdy ziemia usunęła się panu 241 spod nóg i kiedy pan zawisł w powietrzu, trzymając się liny ledwie jedną ręką. To było okropne!...

I mówiąc to, rozplakał się z rozrzewnienia. Inni towarzysze, również głęboko wzruszeni, poczęli mnie całować, a na ostatku Pena, przycisnąwszy mnie mocno do piersi, wyszeptał ze łzami w oczach:

- Sprawilem panu niejednokrotnie przykrość, teraz z całego serca proszę o przebaczenie...

- Ależ ja nic nie mam panu do przebaczenia. Przeciwnie, ja nie zawsze byłem dla was najlepszy, więc nie ma o czym mówić. Czuję się nieszczególnie: opadła mnie po tym niebywałym wysiłku ogólna niemoc, ale nie mogłem odpocząć, gdyż spostrzegłem, że o sendadora nikt się dotychczas nie zatroszczył. Leżał nieprzytomny i gdy go obejrzałem okazało się, że pień rozdarł mu okropnie plecy, pozostawiając bolesną ranę, być może śmiertelną. Gdy zastosowałem środki trzeźwiące, sendador otworzył na chwilę oczy, ale świadomości nie odzyskał i charczał straszliwie.

- Może prócz tej rany, ma jeszcze jakąś inną? - zauważył Jaguar.

- Obawiam się, że wskutek uderzenia o skałę doznał obrażeń wewnętrznych. To byłoby najniebezpieczniejsze.

Poczęliśmy go znowu cucić i nie bez skutku. Ranny otworzył oczy i powiódł nimi dokoła. Brat Jaguar, siedł obok niego i zapytał:

- Geronimo Sabuco, poznaje mnie pan?

Przypuszczałem, że sendador, przez zwykłą wdzięczność za wyratowanie go z tak okropnej męczarni, zwróci się ze skrucą do zakonnika. Stało się wszakże inaczej. Nie bacząc na swój stan, podniósł się, zacisnął zęby i syknął złośliwie:

- Idź do stu diabłów!

- Niechże się pan opamięta... - rzekł łagodnie brat Jaguar.

- Może to już ostatnie godziny pańskiego życia. Wszak, mimo wyratowania z przepaści, jest pan skazany na śmierć na mocy praw puszczy... Proszę skorzystać z ostatnich chwil i zwrócić się do Boga.

- Ja jeszcze nie umrę!... Bo kto śmiał wydawać na mnie wyrok śmierci? - dodał, zwracając się w moją stronę. - Gomarra już nie żyje i sam sobie winien. Oprócz niego nikomu nie wolno mnie sądzić! Gdybyście mi zadali śmierć, byłoby to morderstwo, a ponadto nie otrzymalibyście kipu.

- O, myli się pan! Śmiał się pan ze mnie, gdy zacząłem szukać pańskich śladów. A przecież wiem już, gdzie znajduje się kipu.

- No, no? - zapytał cynicznie.

- Wydobył pan butelkę z ukrycia, nasypał pan do niej piasku i cisnął ją pan w wodę. Kipu wszył pan w ubranie, które obecnie przeszukamy...

Słowa te wywarły na nim takie wrażenie, iż odruchowo chwycił się ręką za pierś i odrzekł:

- Nieprawda! Nie mam przy sobie nic! Postąpiłbym doprawdy głupio, gdybym tak cenne rzeczy nosił przy sobie.

- Nie tyle może głupio, ile nieostrożnie, gdyż w tej chwili wskazał mi pan nawet, gdzie mam ich szukać, mianowicie na piersiach z prawej strony...

- Nieprawda! Co za przypuszczenia!... Dajcie mi raz spokój!

- Proszę się nie wzbraniać, bo użyję przemocy.

- O, tego pan nie uczyni! Kipu nie jest pańską własnością, więc nie ma pan prawa do niego.

- A pan ma do niego jeszcze mniej prawa, bo posiadał je pan drogą zbrodni. Czy odda pan kipu dobrowolnie?

- Nie! Stanowczo nie!

- W takim razie proszę mnie nie winić za to, co teraz nastąpi!

Skinąłem na yerbaterów, którzy przytrzymali łotra i mimo jego rozpaczliwej obrony, wydobyli spod podszewki surduta trzy pęki sznurów. Każdy z nich składał się z jednego pasma głównego i około trzydziestu pobocznych.

Kipu przechodziło z rąk do rąk, bacznie oglądane, gdyż nikt z obecnych jeszcze tego nie widział.

- I to mają być litery? - pytał Pena z niedowierzaniem.

- Nie, to tylko znaki. Wyraz „kipu” pochodzi z narzecza Khetsua i oznacza tyle, co frędzle. Każdy kipu składa się z jednego sznura głównego, do którego, jak pan widzi, przymocowane są różnokolorowe mniejsze pęki sznurów. Każda barwa i długość sznura ma swoje odrębne oznaczenie.

- I pan potrafi to odcyfrować?
- Spróbuję. Ale tego rodzaju „dokumenty” są bardzo trudne do odczytania i wymagają licznych komentarzy.
- Których pan nie posiada - wtrącił żywo uradowany sendador.
- I przekona się pan - dodał - że bez mojej pomocy nie uda się panu rozwikłać tej zagadki.
- Niech pan nie cieszy się przedwcześnie. Miałem na myśli

243 komentarz ustny, a mianowicie, do czego się ten kipu odnosi, a że to wiem, więc nie będzie mi go trudno odcyfrować.

- Skąd pan to wie? Ot, mówi pan, aby mówić.
- Przepraszam, kipu dotyczy na pewno zakopanych „skarbów”.
- Próżne marzenia! - odparł, spoglądając na mnie badawczo, jakby chciał się upewnić, czy nie zachwiał mojej wiary w powodzenie przedsięwzięcia i czy nie uda mu się pozyskać mnie jeszcze dla siebie.
- Bynajmniej nie próżne, sendadorze. Zagadka ta da się rozwiązać.

Niestety, co innego utrudnia sprawę, a mianowicie to, że barwy już trochę spłowiały i tylko chemik mógłby je ściśle oznaczyć.

- Cieszy mnie ta trudność, gdyż nie będzie pan mógł skorzystać z kipu. Jestem z tego bardzo zadowolony.
- Ja też nie zamierzam korzystać z tego, do czego nie mam prawa.

Ale i pan również nie może rościć pretensji. Korzystać będą z tych rzeczy ci, którym się one należą, a pan do nich nie należy. Co do mnie, dołożę wszelkich starań aby prawi właściciele kipu mogli z niego zrobić użytek. Barwy dadzą się wydobyć, tak, czy owak.

- Wszystko na nic, jeżeli ja się do tego nie przyczynię.
- Ależ pana nikt nie będzie o to pytał!
- Owszem. Kipu bez rysunków objaśniających nie ma wartości, a ja właśnie posiadam te

rysunki i to nawet w kilku odpisach, bo kazałem je sporządzić na wypadek, gdybym zgubił oryginał.

- Jeden egzemplarz uda mi się przecież wydostać - zauważyłem spokojnie.
- Tak, jeśli mnie puścicie wolno - odparł z butną miną.
- Znalazłem kipu bez pańskiej zgody; mogę znaleźć i rysunki.

Sendador, mimo wyczerpania i bólu, podniósł się i obrzucił mnie nienawistnym wzrokiem. Po chwili wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Jesteś prawdziwym szatanem... Ale niedoczekanie twoje!... Idzie już chwila zemsty... Jest ona bliżej, o wiele bliżej, niż się tego spodziewasz!
- Cóż to za nowy sposób przekonywania, sendadorze? Czy pan myśli, że się ulękę bezsilnych gróźb?
- O! Żyj tą nadzieją, dopóki się nie rozwieje. Zemsta spadnie na ciebie jak piorun z jasnego nieba! Ostatni jednak raz pytam: puścisz mnie?
- Nie, nie puszcę - odrzekłem spokojnie, lecz stanowczo. - Nie jesteśmy wprawdzie chciwi twojej krwi, jak na przykład Gomarra i nie

244 każemy cię zabić, ale gdybyś się wyleczył z ran, oddamy cię w ręce władz.

- Spróbuj! - miotał się resztkami sił. - Rysunki są w rękach zupełnie bezpiecznych!... A mściciel już nadchodzi... już jest tutaj... na Roca de la Ventana... On je tu przyniesie... I wtedy... wtedy biada ci! Biada, jeśli jeszcze cię tutaj zastanie!

Wskutek osłabienia mówił z trudnością, wreszcie opadł bezwładnie na ziemię, zaciął usta, przymknął oczy i zbladł jakby był bliski śmierci.

- Straszny człowiek! - rzekł brat Jaguar. - Schodzi ze świata w grzechu i nie chce nawet słyszeć o skrzesze. Chyba już kona?
- Nie - odrzekłem, zbadawszy puls chorego. - Wprawdzie rany są bardzo poważne, ale też i natura twarda... nie da się łatwo pokonać.
- Opatrzy mu pan rany?

- Jeszcze nie teraz; w tej chwili potrzebuje spokoju. Krwotoku nie ma. Odzyska jeszcze przytomność i będzie miał czas do pojednania się z Bogiem. Jego ostatnie słowa dają wiele do myślenia. Wspominał o kimś, kto ma rysunki i przyjdzie tu z Roca de la Ventana. Ciekawym, co oznacza ta nazwa.

- Ja wiem - wmieszał się Pena. - Tak się nazywa prostokątna odosobniona ściana skalna, w której znajduje się otwór, podobny do okna.

- Gdzie to jest?

- O pół dnia drogi stąd.

- Ach, tak? Widocznie tam ukrył swe rysunki. Tylko nie rozumiem, kim jest mściciel, którym mi groził. Czyżby miał tutaj jakąś zaufaną osobę? Może wiedzą coś o tym Chiriguanosowie? Przywołałem wodza - i ten mnie objaśnił, że istotnie niedaleko znajduje się skała, którą nazywają Roca de la Ventana, i że sendador wysłał tam... swego syna.

- Ach! - zawołałem zdziwiony. - Nie wiedziałem, że sendador ma syna... Ciekawym, gdzie oni się spotkali?

- Ma przy sobie moich piętnastu ludzi.

- Aż piętnastu? Widocznie przeoczyłem ślady...

- Być może. Zresztą w ogóle natknął się pan na nasze ślady zbyt późno, dopiero trzeciego dnia po odejściu syna sendadora w góry za żywnością.

- Kiedy miał tutaj wrócić?

- Najpóźniej dziś wieczorem.

W takim razie musimy się mieć na baczności, zwłaszcza od strony gór.

- Przeciwnie-wyjaśnił czerwonoskóry. -Należy go się spodzie-wać właśnie z dołu, bo wprawdzie Roca de la Ventana leży w górach, ale z tej strony jest niedostępna, tak że trzeba okrążyć jezioro, aby się tu dostać.

- Teraz już się domyślam, kim byli dwaj Indianie, których widziałem w czasie mojej jazdy na linie po sendadora. Ukazali się na załomie skalnym i natychmiast znikli. Sądziłem wtedy, że to są ci sami, których schwytaliśmy na posterunku i potem puściliśmy. Naczelnik myślał chwilę, po czym odezwał się nieśmiało: - Powie-działem już panu, że chciałbym zawrzeć z wami przyjaźń i właśnie obecnie będę miał sposobność dowieść wam mej życzliwości. Gdyby nie to, wasze położenie nie należałoby do najlepszych.

- Bardzo mnie to cieszy, że szczerze stoisz po naszej stronie. Ale co do „nie najlepszego” położenia naszego, to... sądzę, że wiem, co masz na myśli.

- Nie, panie! Nie może pan wiedzieć...

- Proszę posłuchać... Syn sendadora wrócił i wysłał dwóch ludzi naprzód, aby na wszelki wypadek zabezpieczyć się przed nami. Ludzie ci widzieli mnie i nasze konie tam, w dole, więc mogli się domyślić, że pokonaliśmy sendadora. Dowie się o tym syn sendadora i oczywiście wyteży wszystkie siły, by wydobyć ojca z niewoli. Przypuszczając, że znajdujemy się tam w dole, gdzie stoją nasze konie, będzie się starał przedrzeć ku nam tą samą drogą, której my użyliśmy, a więc tędy przez grzbiet.

- Na pewno tak robi.

- Wobec tego trzeba natychmiast obsadzić drogę. Sennor Pena, proszę wziąć pięciu Tobasów i przejść przez te krzaki, ażeby... Zwróciłem się w tym kierunku, aby wskazać ręką Penie, dokąd ma się udać, gdy wtem nagle spomiędzy krzaków wyskoczył jakiś czło-wiek, uzbrojony od stóp do głów, a za nim kilkunastu czerwonskórych.

Krótką chwilą wystarczyła mu na zorientowanie się w sytuacji

-zobaczył bowiem na płaszczyźnie skalnej rozbrojonych Chiriguano-sów i związanego sendadora.

- Naprzód! Na nich! - krzyknął i rzucił się ku Larsenowi, którego zapewne, sądząc po jego wzroście, uważał za dowódcę, albo, co najmniej, za najniebezpieczniejszego z nas wszystkich.

I jednocześnie wypalił do Larsena, a z drugiej lufy do Peny. Nie trafiając jednak, obrócił strzelbę w rękach i skoczył w moją stronę ze wzniesioną do góry kolbą. Nie zaszedł jednak daleko. Bo oto znajdujący się przy nim Chiriguanosowie, zamiast biec za nim, na znak stojącego przy mnie swego wodza, nie ruszyli się z miejsca, a równo-cześnie nadbiegli Tobasowie i w okamgnieniu rozbroili napastnika. Nie bronił się, bo wiedział, że na nic się to nie przyda. Widząc, że poddał się bez oporu, nie pozwoliłem go związać, lecz rozkazałem Indianom, by go wzięli w środek między siebie, aby mu uniemożliwić ucieczkę.

Jeniec spostrzegł ojca, leżącego na ziemi i zbladł śmiertelnie. Natychmiast jednak zapanował nad sobą i rozejrzawszy się wokół zapytał:

- Który z was nazywa się Charley?

- To ja jestem - odezwałem się.

- Czy pan mnie zna? - zapytał, obrzucając mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Domyślam się tylko, że mam do czynienia z synem sendadora.

- A więc to pan? No, tak... Muszę panu oświadczyć, za kogo pana uważam...

- Proszę się nie trudzić...

- A jednak muszę panu powiedzieć to, na co pan zasłużył... Jest pan zjadliwym drapieżnym potworem!... Jeszcze gorzej: psem, który ofiarę swą ściga tak długo, dopóki w niej oddechu starczy, dopóki... Przerwał, spostrzegłszy, że jego ojciec otworzył oczy. Sendador widocznie poznał syna po głosie i nagle odzyskał siły. Rozejrzawszy się wśród nas, popatrzył chwilę na brata Jaguara, który trzymał jeszcze w ręku kipu i rzekł do syna: - Przybliź się do mnie, synu.

A gdy młodzieniec, posłuszny wezwaniu, ukląkł przy nim, rzekł:

- Przyłóż ucho do moich ust, bo nie mam siły głośno mówić.

Nie sprzeciwiłem się temu, z pobudek czysto ludzkich, ze względu na więzy krwi, jakie ich łączyły.

A jednak była to nieogłędność, której skutki nie dały na siebie długo czekać. Ich cicha rozmowa nie była, jak się okazało, pożegnaniem ojca z synem.

Młody człowiek po krótkiej rozmowie z ojcem wstał i rzekł do mnie:

- Dowiaduję się, że pan ma kipu. Czy pan wie, że nie będziecie mieć nic z niego, jeśli nie będziecie mieć rysunków?

- Owszem, mogę pana zapewnić, że nam się przyda.
- Lepiej jednak będzie, gdy wam dostarczę rysunki.
- A czego pan za nie żąda? .
- Wolności dla nas obu i połowy skarbów, które znajdziemy według kipu.
- Tego przyrzec panu nie mogę, bo skarby nie są moją własnością.
- To znaczy, że pan odmawia...
- Również i o waszej wolności mowy być nie może. Ojciec pański winien jest zbrodni i musi za to stanąć przed sądem...
- Pan jest okrutny - odrzekł, robiąc minę jak człowiek, który wszystko już utracił i zamierza poddać się losowi. - Nie macie zresztą prawa ani obowiązku być naszymi sędziami. A poza tym proszę spojrzeć w dół... w tę odchłań i powiedzieć czy... czy... Ani jedno z tych słów nie było wypowiedziane bez celu. Jakkolwiek byłem pewny, że mówił o otchłani w przenośni, jednak mimo woli wszyscy zwróciliśmy oczy w tym kierunku. Syn sendadora tego pragnął i wykorzystał chwilę znakomicie: wyrwał z rąk brata Jaguara kipu i rzucił się do ucieczki, powalając na ziemię dwu Chiriguanosów, stojących mu na drodze.

Wypadek ten zaskoczył nas tak nagle, że staliśmy jak wryci. On zaś tymczasem biegł w dół ścieżką prowadzącą nad jezioro, z szybkością antylopy.

Zostawiłem osłupiałych towarzyszy i puściłem się za nim w pogoń, o tyle spóźnioną, że wyprzedził mnie o jakieś czterdzieści kroków. Nie był dobrym biegaczem i byłbym go szybko dogonił, gdyby nie to, że w ostatnim momencie dał susa na solną pokrywę jeziora, by je przebiec w poprzek. Istotnie nie miał innego do wyboru. Pod wpływem śmiertelnej trwogi nie liczył się z tym, że warstwa solna, pokrywająca jezioro, może się pod nim załamać; wtedy zginąłby bez ratunku.

Co do mnie - liczyłem się z niebezpieczeństwem i nie pobiegłem za nim. Co prawda, przeprowałem się już kiedyś przez stokroć niebezpieczniejsze miejsca, na przykład przez wielkie jezioro solne w Tuni-sie, wolałem jednak schwytać zbiega w sposób o wiele łatwiejszy. Zwróciłem się szybko w stronę gdzie stały nasze konie i dopadłszy swojego gniadosza, skoczyłem na siodło i puściłem się pełnym kłusem wokół laguny ku przeciwnemu brzegowi. Oczywiście przez cały czas nie spuszczałem oka z uciekającego, który umykał szybko w poprzek jeziora. Umiał szybko rozpoznawać grubość i wytrzymałość warstwy solnej według jej barwy, więc biegł przez miejsca bezpieczniejsze. Sól zresztą posiada większą elastyczność niż lód.

W porze deszczowej woda sięga zazwyczaj aż do samych brzegów takich jezior. Gdy wyparuje,

powłoka solna u brzegów załamuje się i pęka, tworząc rodzaj kry, bądź spoczywającej na bagnie, bądź na powierzchni wody. Dalej ku środkowi rozciąga się zazwyczaj jednolita solna szyba.

Syn sendadora umiał zwinnie przeskakiwać z jednej kry na drugą, a w miejscach, które uważał za kruche, kładł się i przebywał je tocząc się na kształt beczki, po czym znowu biegł prosto przed siebie, pomimo że byłem już po drugiej stronie jeziora.

Tymczasem towarzysze moi zdążyli zbiec z góry i obstawili brzeg za nim, tak że nie mógł myśleć o odwrocie. Z boku ściana skalna spadała prawie pionowo w wodę, uniemożliwiając wyjście. Najdogodniejszą drogą, gdzie mógł mieć jakąkolwiek szansę umknięcia, był ta, którą ja mu właśnie zastąpiłem. Mimo to właśnie wtedy zamierzał wydostać się z matni, sądząc zapewne, że potrafi mi się wyśliznąć. I mógł liczyć na to istotnie, gdyby się zetknął ze mną na stałym gruncie, to jest na skalistym brzegu, pełnym jam i olbrzymich głazów. Aby mu pokrzyżować plany, postanowiłem w odpowiedniej chwili wpaść konno na powłokę solną i tu zagrozić mu drogę. Warstwa solna była tu dość gładka i silna, tak że można się było na niej utrzymać jadąc szybko, bez zatrzymywania się i zwalniania biegu. Pędząc jednak brzegiem spostrzegłem, że tuż naprzeciw uciekające-go znajduje się na lądzie jak gdyby wąwóz. Zorientowałem się, że wyłom ten może ułatwić ucieczkę ściganemu, gdyby wszedł do niego i zapadł się gdzieś wśród wyrw skalnych. Skierowałem więc swego gniadosza na płytę solną. Rumak, obawiając się snadź instynktownie niebezpieczeństwa, stanął dęba i nie chciał iść naprzód. Pociśnięty jednak mocniej ostrogami zdecydował się na posłuszeństwo: dał susa na pierwszą z brzegu płytę, przeskoczył na drugą i niebawem pędził już śmiało po jednolitej solnej tafli jeziora.

Towarzysze moi, widząc tę imprezę, krzyczeli przerażeni abym się cofnął. Nie słuchałem ich jednak i pędziłem dalej za zbiegiem, który, zaniepokojony krzykami, przystanął, rozejrzał się, spostrzegł że go gonię i przyspieszył biegu.

Co do mnie, więcej uwagi zwracałem na barwę powłoki, niż na 250 zbiega. Jak długo bowiem powłoka ta była jasna, krystalicznie błyszcząca, mogłem się przy szybkiej jeździe nie obawiać niczego, natomiast zbieg nie miał już czasu na rozglądanie się w drodze. Byłem o jakieś sześćdziesiąt kroków od niego, gdy zbliżał się już do brzegu, biegnąc resztką sił. Nagle spostrzegłem, że tafla solna w tym miejscu miała zdradliwą szarobrunatną barwę.

- Stój! - krzyknąłem. - Zapadniesz się w tym miejscu!...

Ostrzeżenie nie poskutkowało - uciekający biegł dalej w tym kierunku. Nie chciałem śmierci biedaka, krzyknąłem za nim: - Bieg-nij na prawo, gdzie sól jest biała, bo na tym brunatnym zginiesz! - ale i to ostrzeżenie puścił mimo uszu i biegł na oślep przed siebie. W takich chwilach, gdy idzie o życie ludzkie, myśl i czyn muszą być szybkie jak błyskawica.

Chwyciłem lasso, które jakby przez dziwne jakieś przecucie wziętem na siebie po uporaniu się z ratunkiem sendadora i w pełnym galopie rzuciłem lasso za uciekającym tak trafnie, że właśnie w chwili, gdy jedną nogą wpadł już do wody, złapałem go w pętlicę i jednocześnie osadziłem konia na miejscu, o kilkanaście kroków przed cienką i kruchą partią tafli solnej.

Zbieg skoczył jeszcze krok czy dwa i szyba solna załamała się zupełnie, zapadając się wraz z nim pod wodę.

Gdybym szarpnął szybko w tył, zbieg by nie poszedł pod wodę, ale takim nagłym szarpnięciem sam mogłem pozbawić się życia. Jechałem więc dalej, ale zatoczyłem łuk i lasso się naprężyło. Niestety, ugrzęzło tak mocno wśród kry, że nie mogłem wyciągnąć zbiega. Na dobitek w tej samej chwili koń mój zapadł się również tylną nogą. Dobyłem noża, chcąc przeciąć lasso i w ten sposób uratować sobie życie, ale się wstrzymałem i jeszcze raz zadałem koniowi ostrogę. Biedne zwierzę pod wpływem bólu skoczyło naprzód tak gwałtownie, że wyrwało młodzieńca z objęć śmierci.

Oczywiście nie mogłem zatrzymać się nawet na okamgnienie, bo poszedłbym na dno razem z koniem. Jechałem w zwolnionym tempie, aby nieszczęśliwy, ciągnięty na lassie, nie rozbił się na śmierć. Zwijałem lasso piędź po piędzi, aż wreszcie udało mi się wydźwignąć topielca przed siebie na siodło.

Oczywiście powrót ze zdwojonym ciężarem był dość trudny i nie-bezpieczny, ale w końcu udało mi się jakoś dojechać do brzegu po 251 zwałach kry solnej, zwłaszcza że koń mój już się oswoił z tym niebezpieczeństwem.

Na brzegu oczekiwali mnie brat Jaguar, Turnerstick i Pena, którzy odebrali zbiega ode mnie, aby go ocucić. Ja zsiadłem z konia. Dzielny gniadosz drżał na całym ciele i parskał raz po raz; widocznie czuł instynktownie, że przebył przed chwilą wielkie niebezpieczeństwo. Syn sendadora wyglądał okropnie. Ubranie podarło się na nim niemal w strzępy, a na ciele miał liczne obrażenia. Kiedy wreszcie odzyskał przytomność i zdał sobie dokładnie sprawę z tego, co zaszło, patrzył na mnie długo, jakby chciał odgadnąć, co mnie skłoniło do ratowania go, po czym chwycił moją rękę i rzekł: - A jednak pan nie jest krwiożerczy... Uratował mi pan życie. Proszę powiedzieć, czym mógłbym się panu odwdziżyć za to.

- Mnie? Niczym. Proszę być uczciwym człowiekiem i starać się naprawić krzywdy, które wyrządził ludziom w ciągu życia pański ojciec.

- Tak, uczynię to. Przede wszystkim oddam panu dobrowolnie kipu...

I sięgnął do kieszeni, a ja rzekłem:

- Przecież kipu pan trzymał w ręce!...

- Rzeczywiście! Przypominam to sobie... Przepadł więc w wo-dzie! ...

- Tak przepadł bezpowrotnie!

- Może jednak rysunki się na coś przydadzą? Zaraz... gdzie mój pas?

- Także na dnie jeziora...

- Przebóg! Tam właśnie były zaszyte rysunki. I cóż teraz? Może poszukać...

- To się na nic nie przyda. Koszt byłby za wielki. Trzeba najpierw usunąć z tego miejsca powłokę solną, a potem opuścić się na dno jeziora; do tego zaś niezbędni są nurkowie oraz łodzie, liny i wiele innych rzeczy. Teraz wracajmy na górę, gdzie oczekuje pana ojciec. Zgodził się na to bez oporu i podążyliśmy na szczyt skalny. Oczywiście nie było już obawy, aby zbieg chciał nam się powtórnie wymknąć, więc nie pozwoliłem na niego nakładać więzów. Gdy przybyliśmy na szczyt skały, Indianie, którzy byli świadkami pościgu, patrzyli na mnie jak na bohatera. Moim białym towarzyszom 252 rzecz nie wydawała się tak bohaterska, gdyż wiedzieli, że mniej tu trzeba było odwagi, niż umiejętności w postępowaniu. Sendador leżał na ziemi. Oczy mu błyszczały, nie wiadomo - z radości, czy też z gorączki. Chwycił skwapliwie rękę swego syna i długo mówił coś do niego, w czym mu nie przeszkadzaliśmy. Teraz bowiem temat ich rozmowy był nam już obojętny, aczkolwiek przypuszczałem, że sendador jeszcze bardziej będzie na nas wymyślał, przecież omal nie byłem przyczyną śmierci jego syna, a po wtóre - kipu i rysunki, do których tak ogromną przywiązywał wagę, przepadły bezpowrotnie. Ogarnęło mnie zdumienie, gdy sendador wezwał do siebie mnicha, ale już zupełnie innym, pozbawionym nienawiści głosem.

- Sennores! - rzekł. - Serce moje skruszyło się nareszcie, w chwili, gdy widziałem syna, zapadającego w toń jeziora. I aby wam dać dowód, że myślę szczerze, pozwólcie mi opowiedzieć w tej chwili przebieg mego życia, wszystkie moje złe czyny i zbrodnie!

- Nie, Geronimo Sabuco! Nie pozwolę na to - zaprotestowałem.

- Jeżeli pan przeczuwa zbliżającą się śmierć, to radziłbym raczej pomyśleć o Bogu, a nie tracić czasu na spowiedź przed nami. Jeżeli pragniesz pociechy religijnej, to udzieli jej panu pobożny brat Hilario.

- Słusznie. Czy pan mi przebaczy to, co zawiniłem względem pana?

- Z całego serca.

- Dziękuję. A co pan zamierza uczynić z moim synem?

- Nic. Może się udać, dokąd mu się podoba. Mam nadzieję, że nie zapomni o tym, co się tu stało i przekona się, iż Pan Bóg jest nie tylko sprawiedliwy, ale i miłosierny.

- Pójdź więc do mnie, mój synu! Podaj mi rękę i posłuchaj.

Przykro to i boleśnie ojcu przemawiać do syna w ten sposób w ostatniej godzinie, ale cóż robić. Ja ciebie wciągnąłem na bezdroża nieprawości. Musisz się poprawić i wynagrodzić ludziom krzywdy, które im wyrządziłem. To moja ostatnia wola, a twoje główne zadanie na resztę życia...

Te słowa zatwardziałego grzesznika i zbrodniarza mocno mnie wzruszyły. Tę nagłą zmianę wywołał

zapewne wybuch miłości do ocalonego syna, a po części trwoga przed zbliżającym się konaniem. Mówił z wielką trudnością, często brakowało mu tchu, a na czoło wystąpił kroplisty pot. Nie ulegało wątpliwości, że nadchodził koniec. Syn słuchał z rozrzewnieniem słów ojca i pod ich wpływem również 253 przeobraził się duchowo. Uczuł skruchę i pojął, że prowadził zbrodnicze życie.

- Jesteś bogaty - mówił do niego drżącym głosem sendador

- i wiesz, gdzie nasze mienie się znajduje. Ale wiadomo ci również, że do majątku doszliśmy drogą nieuczciwą, więc powinieneś zwrócić go tym, których skrzywdziliśmy. Uczyn to i żyj odtąd uczciwie. Mnie lżej będzie na tamtym świecie, gdy się przekonam, że usłuchałeś moich rad. Żal mnie ogarnia, że nie mogę już sam naprawić krzywd, które wyrządziłem!...

Skrucha ojcowska wywarła na młodzieńcu niezwykle silne wrażenie. Otarłszy łzy, odpowiedział: - Byłem ci zawsze posłuszny, ojcze, a więc i teraz będę. Przyrzekam ci, że stanie się podług twej woli.

- Dziękuję ci, synu najdroższy - odrzekł z ulgą umierający.

- Teraz usuń się, bo chciałbym jeszcze mówić z duchownym.

Przejęty do głębi serca powagą tej chwili, odszedłem i ja na bok, dając znak towarzyszom, aby mnie naśladowali. Ich jednak mniej interesował tragiczny koniec sendadora - myśli ich zwrócone były ku czemu innemu, a mianowicie rozprawiali, czy nie dałoby się jeszcze odszukać kipu. Może syn sendadora zgubił je jeszcze po drodze, zanim wpadł pod wodę? Zwrócili się z tym do mnie i musiałem zejść z nimi nad jezioro, pozostawiając przy umierającym brata Hilaria. Długo szukaliśmy zaginionego kipu, ale bez skutku i radzi nieradzi musieliśmy ostatecznie zrezygnować z olbrzymich skarbów Inkasów. Po dwóch godzinach wróciliśmy na górę, prowadząc ze sobą zbiegłych strażników, którzy kręcili się po okolicy i teraz przystąpili do nas bez obawy.

Sendador pojednany z Bogiem, zapadł w omdlenie, a brat Hilario siedział obok niego. Zakonnik mnie zobaczył i rzekł skwapliwie:

- Sendador wyraził żal za grzechy i Bóg mu je odpuści w swej niezgłębionej łaskawości.

Z rysów twarzy rannego było widać, że już umiera, ale jeszcze na chwilę odzyskał przytomność, uścisnął syna i zdołał jeszcze wyszeptać:

- Tam... leży... Juan Gomarra... Pogrzebcie go przy mogile brata, a obok... i mnie...

Niebawem nawrócony grzesznik pożegnał się z tym światem... Odmówiliśmy nad zwłokami modlitwy, w których uczestniczyli również Indianie, po czym cały oddział udał się na dół na nocleg, ja zaś 254 z młodym Sabuco i bratem Jaguarem przesiedzieliśmy całą noc w pobliżu zmarłego.

Na drugi dzień rano pogrzebaliśmy uroczyście zwłoki sendadora, Gomarry i kilku Chiriguanosów, którzy padli w bitwie, po czym opuściliśmy Pampa de Salinas.

Przedtem nie wiedzieliśmy, że sendador miał syna, i że młody ten człowiek był niejako współnikiem czynów swego ojca. Byłem bardzo ciekawy przeszłości tego młodego człowieka, lecz nie wypadało mi wprost o to zapytać. Inni jednak pod tym względem nie mieli skrupułów i już podczas pierwszego postoju na nocleg poczęli go zasypywać pytaniami. On jednak odparł spokojnie: - Sennores. Proszę was bardzo, uszanujcie moją tajemnicę; której odsłonięcie ani mnie, ani wam żadnej korzyści przynieść nie może i nie zmieni w niczym tego, co się już stało. Popełniłem wprawdzie bardzo wiele złego, ale bądźcie pewni, że odtąd zacznę inne życie, aby naprawić zło, jakie razem z nieboszczykiem ojcem ludziom wyrządziłem. Udam się tam, gdzie on żył, i to niech wam wystarczy!

Po takim wyjaśnieniu nikt się już nie odważył wypytywać go jeszcze. Nad Rio Salado nasze drogi rozeszły się. Młody Sabuco pożegnał się z nami i na czele Chiriguanosów i Tobasów powędrował dalej, my zaś skierowaliśmy się do Tucuman.

Tu oczekiwał nas już stary Desierto z Unicą i Hornem. Zabawiliśmy w Tucuman kilka dni, zażywając dobrze zasłużonego wypoczynku, po czym Monteso zebrał swych yerbaterów, pożegnał się z nami i odjechał do swoich.

W pewnej miejscowości na Półwyspie Jutlandzkim, mieszka Horno ze swoją małżonką Unicą i bardzo miłymi dziećmi, które są ogromną pociechą starego dziadka. Trzyma się on jeszcze dość krzepko i często wyjeżdża do stolicy w odwiedziny do przyjaciela Peny. Przy szklance wspominają sobie niedawne, a tak ciekawe czasy, pełne przygód i niebezpieczeństw.

Spędziłem niedawno z nimi kilka najpiękniejszych dni w życiu, podejmowany w ich domu z ogromną serdecznością.

W piękną, księżycową noc letnią rozmawialiśmy długo o puszczech Ameryki Południowej i o jej mieszkańcach, Indianach, których szybko można ucywilizować, gdyby tylko choć odrobiną dobrych chęci przyczynili się do tego przedstawiciele rasy białej...

KONIEC